

PROROCTWO WYGNANYCH MAGÓW

Sarah Silverwood




ANDER

Sarah Silverwood

**PROROCTWO WYGNANYCH
MAGÓW**

Przekład

AGNIESZKA WESELI

A stylized, handwritten signature logo in black ink, consisting of the letters 'MKS' in a cursive, flowing script.

PROROCTWO MAGÓW

Stoją razem, dziewięciu, a w każdym z nich jest Prawda, Wolność i Duma, i Miłość, i Gniew, Przyływ rzeki i odpływ to przecież ich krew.

Dwa odbicia zobaczysz, choć tego samego, Martwe kości jednego, a ciało drugiego
-Magów pytaj o grę tę, oni wszystko dostrzegą.

Oto ich proroctwo:

Mroczny mąż Mrocznym Wiekiem przybędzie zawładnąć. Wrota wpuszczą tych także, co ratować nas pragną.

Oto niosą podróżnicy z zewnątrz do środka Honor, męstwo, a grzech i nienawiść też spotkasz. Światło wszelkie i mrok w odcieniu bogaty Przejdą pustki, otchłanie, by rozedrzyć światy.

Kiedy życie i śmierć połączą się w jedno,
Równowaga wszystkiego rozpadnie się pewno,
A miłość uczyni największe zniszczenie
I rozpęta wojnę, wszystkich wojen zatracenie.
Niegotowy historie posiadzie i masz rychle
Czarną burzę, szaleństwo i za króla bitwę.
Magowie przepowiedni nie widzą wyników,
Może obrońcą będzie Zakon Podróżników,
Może historie mocne, jasne się ostaną,
A zniszczone obronią przed lęku otchłanią.
Ze słowami nie walcicie: bez wątpienia miną,
A dwa światy niech przyszłość niechybną swą przyjmą.
Gdy jeden, jeden i jeden czterema się stanie,
Wszystkich światów się skończy oczekiwanie.

*

1

Finmere Tingewick Smith siedział na drugim stopniu schodów sądu kryminalnego Old Bailey w Londynie, dokładnie w tym miejscu, w którym szesnaście lat wcześniej został porzucony w kartonowym pudełku, i z zimna pociągał nosem. Jak co roku pożałował, że matka - kimkolwiek była i gdziekolwiek teraz przebywała - nie pofatygowała się, by wejść do budynku, zanim na zawsze zniknęła z życia syna. Wtedy coroczny listopadowy rytuał nie byłby tak nieprzyjemny. Zadygotał.

Przygnębiony, patrzył, jak jego oddech ulatuje iskrzącą chmurką. Skóra na udach nieprzyjemnie swędziała. Westchnął ciężko. Od siedzenia na mokrym kamieniu pewnie ma już z tyłu-na dzinsach wielką plamę, a na ulicach nie jest jeszcze dość ciemno, żeby dało się to ukryć. Świetnie. Tylko tego mu potrzeba.

Mijały go kolejne pary tupoczających stóp - najwięcej w szpilkach, kilka w wysokich botach, jakieś w wypastowanych do błysku pantoflach - aż wreszcie przed Finem zatrzymała się para znoszonych, ale porządnie utrzymanych czarnych, sznurowanych męskich butów.

- Szyskiego najlepszego, Fin. - Głos był burkliwy, ciepły i znajomy i mimo ogólnego skostnienia oraz tej przeklętej mokrej plamy na tyłku Finmere się uśmiechnął.

- Cześć, Ted. - Głęboko w brzuchu poczuł coś jasnego i ciepłego jak płomień świecy. Urodziny miał, owszem, dziwaczne, ale jednak nie całkiem do niczego.

- Proszsz. Czymaj, a ja zapale.

Z babeczki oblanej niebieskim lukrem sterczała dumnie pojedyncza świeczka, taka sama jak co roku, chociaż dzisiaj ciastko wydawało się mniejsze - może dlatego zresztą, że od poprzednich urodzin Fin urósł osiem centymetrów. Trudno powiedzieć. Kiedy Ted usiadł obok na schodach, w zimnym londyńskim powietrzu rozszedł się ostry zapach świeżo wypalonego tytoniu i mydła. Widok nienaganego munduru strażnika zawsze przywodził Finowi na myśl lawendę. Dlaczego? Mundur nie pachniał wcale lawendą. Ale może pachniał nią tamtej nocy, szesnaście lat temu?

Trzasnęła zapalniczka i błysnął płomyk świecy. Ted uśmiechnął się szeroko.

- No, dalej. Zdmuchnij, chłopie. - Jego twarz była bardziej wychudzona i pomarszczona niż rok temu. Serce Finmere'a się ścisnęło.

Wziął oddech i dmuchnął. Światelko zgasło.

- Dzięki, Ted. To wspaniałe. - Chwycił lepkie od lukru ciastko niezręcznymi palcami. Odetchnął głęboko". - Wiesz, nie musimy robić tego co roku... może to za duży kłopot...

- Odbiło ci, mały? Cieszę się, że mogę się z tobą spotkać. Za rzadko się widzimy. No, ale tak to wygląda. Robię, co mi każą. - Ted zmrużył otoczone zmarszczkami oczy. - Myślę o tobie cały rok, chłopie, nie tylko w urodziny. Żebyś mi o tym pamiętał. No, wcinaj.

Minęła piąta. Tłum na chodnikach gęstniał, w miarę jak biura wypływały kolejne gromady pracowników. Spieszyli się do metra albo biegli do autobusów, nie zwracając uwagi na dziwną parę na schodach: starego mężczyznę w mundurze i jedzącego ciastko nastolatka w bluzie z kapturem. Żując biszkopt, Fin zastanawiał się, czy chodzi o niego, o Teda, czy o nich obu. Podejrzywał, że o niego. Nikt go nigdy nie zauważał. W tej dziedzinie był mistrzem.

- Jak ci leci, Ted? - Zabawne, jak trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Po prostu utykały w gardle i nie chciały przejść dalej. Miał ochotę uściskać staruszka, ale czuł, że jest już na to za duży. A poza tym widywali się tak rzadko, że prawie się nie znali.

- Nie narzekam, chłopie, nie narzekam. W tym roku idę na emeryturę. - Ted wbił wzrok w wypastowane buty. - Czasem sam nie wiem, gdzie te lata puciekały. Zabawna rzecz... czas.

Finmere nie był pewien, czy powinien coś powiedzieć. W wieku szesnastu lat trudno pojąć wszystkie zawiłości czasu, nawet jeśli - a może: zwłaszcza że - całe życie ma się pokrojone na małe, wydzielone kawałeczki.

- A wydaje się, jakby to było wczoraj... Leżałeś tu, na tym schodku, i gaworzyłeś w tym swoim kocyku. Szesnaście lat. A niech mnie. - Zerknął na Finmere'a. - Masz jeszcze tamten kocyk?

- Aha.

- Dobrze. Zawsze trzeba pamiętać, skąd się człowiek wziął.

Fin wytarł nos rękawem.

- Dlatego co rok to robimy?

- Taa, jasne... No i chcemy wiedzieć, jak sobie dajesz radę, chłopaki z wielkiego domu i ja.

Finmere pomyślał o dzierganym kocyku, który schował w bezpiecznym miejscu, żeby nie przepadł w zamęcie jego życia. Pewnie kiedyś pachniał matką. Czasami w złe dni, nawet teraz, kiedy był już większy, wyciągał go i przyciskał do twarzy, szukając ulotnej woni. Ale kocyk pachniał głównie wilgocią i plastikową torbą, w której był przechowywany. Zapatrzył się na mijające ich tłumy. Ludzie przepychali się, żeby jak najszybciej dotrzeć do domów i rodzin.

- Niewiele tu do pamiętania, co nie? Schody i kocyk.

Ted wyciągnął z kieszeni puszkę, z której wydobyl skręconego własnoręcznie papierosa. Znow trzasnęła zapalniczka. W mglistym powietrzu zaświecił ognek.

- Widzisz tę puszkę? - Wyciągnął dłoń. Blacha była poobijana i zniszczona. Jeśli na przodzie znajdował się obrazek, dawno już się wytarł. - Byłem młodszy niż ty teraz, kiedy ją dostałem. To puszka na papierosy mojego taty. Nie znałem go, jak ty swojego starego. Mój zginął na Wielkiej Wojnie. Zostawił to na kominku, miała czekać, aż wróci.

Ted przyglądał się pamiątce jeszcze przez chwilę, nim wsunął ją do kieszeni kurtki.

- Przez tę puszkę mamie się zdawało, że tata skoczył tylko do pubu na piwko z kumplami - zawiesił głos. - Ale on nie wrócił do domu. Kiedy uznała, że już jestem dość duży, pozwoliła mi ją wziąć.

Pochylił się i szturchnął Fina w bok. Nierówne, pożółkłe od nikotyny zęby błysnęły w uśmiechu.

- A może ja dam ją tobie, co? Kiedy, wiesz... kiedy przyjdzie mój czas. Chciałbyś?

Finmere uśmiechnął się i kiwnął głową, chociaż na samą myśl o tym poczuł, jak pogłębia się bolesna pustka, która narastała w nim w ciągu tego urodzinowego popołudnia. Dlaczego właściwie Ted nie ma rodziny, której mógłby zostawić tę pamiątkę? Czemu chce dać tak wyjątkową rzecz-dzieciakowi, którego widuje raz do roku? Uczucie, którego nie rozumiał, ścisnęło mu serce. Życie Teda było dla Fina jak czarna dziura - nie wiedział, czy stary strażnik ma żonę, dzieci, wnuki, a jeśli kiedyś miał, to co się z nimi stało.

Wytarł dłonie w nogawki spodni. Nad tyłoma rzeczami ostatnio się zastanawiał. Na przykład teraz zadawał sobie pytanie, czy Tedowi coś się nie pokręciło. Przerabiali

Wielką Wojnę na historii. Skończyła się w 1918 roku, a teraz był 2010. I chociaż Fin mógł uważać za jedyny pewnik w swoim życiu - czy uczył się w ogólniaku Eastfields, czy w Szkole dla Chłopców St Martin's - że matma to zabójcze nudy i wolałby łykać sznurze głowy, zamiast się jej uczyć, to jednak potrafił odejmować. Gdyby Ted stracił ojca w tej wojnie, miałby teraz ponad dziewięćdziesiąt lat.

Zerknął na starszego mężczyznę. Z rzadnymi srebrnymi włosami i pomarszczoną twarzą Ted wyglądał na pewno na kogoś, kto przekroczył pięćdziesiątkę - może nawet dobijał do siedemdziesiątki - ale to się nie trzymało kupy. Jeśli w tym roku przechodził na emeryturę, powinien mieć ponad sześćdziesiąt lat. Pan Carr stale powtarzał Jordanowi Brewsterowi: „Jeszcze przez rok muszę patrzeć na twoją ponurą minę, chłopcze, ale potem wybije słodkie sześćdziesiąt pięć latek i wreszcie się pożegnamy". Chociaż zdaniem Fina każdy po trzydziestce był już zgrzybiałym starcem, nigdy nie słyszał, żeby ktoś pracował w wieku dziewięćdziesięciu lat. Może Tedowi pomyliły się wojny. Może chodziło mu o II wojnę światową. Tak, na pewno.

Znów westchnął i postarał się o radosny wyraz twarzy, chociaż palce w adidasach już całkiem mu skostniały. Strażnik obserwował go z namysłem. Chłopak niemal czuł na skórze ciężar tego uważnego spojrzenia.

- Wszystko w porządku? Strasznie coś jesteś cichy.

Czy było w porządku? Raczej tak. Prawdę mówiąc, w porównaniu z niektórymi mógł się czuć prawdziwym szczęściarzem. Powinien być bardziej wdzięczny. Naprawdę. Inaczej wychodził na chamidło. Po prostu... no tak, był już nieco zmęczony tym, że nie wie o sobie, a jego życie biegnie tak zawiłą drogą.

Wzruszył ramionami.

- Jest świetnie, Ted. Serio. I dziękuję za tort. - Uśmiechnął się. - Na tort nigdy nie będę za duży i cieszę się, że zawsze spotykamy się w urodziny. Bardzo.

Stary mężczyzna zarumienił się lekko, aż jego twarz zaświeciła w gęstniejącym mroku.

- Tylko... tylko czasem... - Fin szukał odpowiednich słów. - Chciałbym poznać jakieś... odpowiedzi.

Ted podniósł się, przeciągnął. Dopalił papierosa i zgasił niedopałek na chodniku.

- Fin, czasami przeceniamy odpowiedzi. Zaufaj staremu Tedowi. - Złapał

Finmere'a za ramię i poderwał go na równe nogi. - Gotowy na spotkanie ze staruszkami?

Chyba tak. Fin pomacał tylne kieszenie spodni: wilgotne. Doskonale. Nie ma to jak mokry tyłek, kiedy musisz się przelecieć po mieście. Odwrócił się, próbując ocenić skalę tragedii, ale nie mógł aż tak wykręcić głowy. Z okropnym wrażeniem, że wszyscy się na niego gapią, zmusił zziębnięte stopy do ruchu. Starał się nie odrywać oczu od szczelin między płytami chodnika. Gdzieś daleko zawyła syrena policyjna. Białe furgonetki i czarne taksówki trąbiły wściekle, jakby to mogło przyspieszyć jazdę. Zimne powietrze paliło płuca Fina.

Ciężkie ramię strażnika otoczyło jego barki pocieszającym ciepłem. Byli już niemal równego wzrostu.

- Nie martw się, synu. Masz szesnaście lat.

- A co to za różnica? - zapytał Finmere, powłócząc nogami; nie chciało mu się podnosić stóp.

- Wielka. Szesnaście lat to ciekawy wiek. Jeszcze nie dorosły, ale już nie dziecko. Jakbyś był pomiędzy: ani tu, ani tam. Kiedy masz szesnaście lat, wszystko jest możliwe.

- Chyba tak. - Żeby ogarnąć tę odpowiedź Teda, mózg Finmere'a naciągnął się do granic możliwości.

- Stuknęło ci szesnaście latek. Tylko pomyśl. - Ted zaśmiał się pod nosem. - I te twoje urodziny: jedenastego dnia jedenastego miesiąca. Zabawna data. Podejrzana, rozumiesz. Dzień, w którym zdarzają się różne rzeczy. A wiesz, o której cię znalazłem?

Finmere kiwnął głową.

- Jedenaście minut po jedenastej wieczorem.

- Zgadza się. Dopiero co zacząłem zmianę, wychodzę na pierwszego dymka i co widzisz? Leżysz sobie na schodach. Nie płakałeś ani nic. - Ted wydał dźwięk, który brzmiał jak coś pomiędzy kaszlem a śmiechem. - A popatrz teraz na siebie! No, wyciągaj nogi, idziemy na Charterhouse Square. Już na nas czekają.

Szli w wygodnej ciszy pod prąd fali pieszych, coraz dalej w głąb śródmieścia. Ted torował drogę, a Finmere trzymał się krok czy dwa za jego plecami. Skręcili z głównej alei i zapuścili się w cichsze, boczne uliczki, wyłożone nierównymi płytami piaskowca, na których światło z narożnych pubów malowało ciepłe, jasne plamy. Stamtąd wydostali się na otwartą przestrzeń Smithfield Market i, walcząc z zimnymi powiewami w

szerokim przejściu, powędrowali obok ciężarówek--chłodni zaparkowanych w rzędzie wzdłuż głównej, krytej hali targowej, aż w końcu wyłonili się na Charterhouse Street.

Taksówki śmigały we wszystkie strony jak czarne żuki, zatrzymywały się na moment, żeby wziąć pasażerów i wygasić znak „Wolny” i znów się rozpędzały.

Temperatura spadała w miarę, jak gęstniał mrok. Nim znaleźli się na Charterhouse Square, Finmere poczuł, że szczypią go czubki zmarzniętych uszu.

Potrzebował szalika. Zapomniał o nim podczas ostatnich zakupów, ponieważ w ubiegłym roku używał grubego szala w kolorach szkoły St Martin's, niebieskim i kremowym. Nie miał pojęcia, gdzie teraz jest ten szalik. Pewnie upchnął go na samym dnie czerwonego szkolnego kufra, który musi czekać aż do przyszłego roku, gdy znów ujrzy światło dzienne. Wtedy - tak samo jak Fin - zostanie wrzucony do czarnej limuzyny i dowieziony pod drzwi bardzo ekskluzywnej rezydencji, w której mieści się szkoła. Teraz jednak Finmere z konieczności korzystał z zielonego kufra, jak co drugi rok, kiedy uczył się w państwowym liceum, a w ogólniaku Eastfields mieli tylko szkolne mundurki.

Myśląc tak o czerwonym i zielonym kufrze oraz o swoim życiu, rozkołysanym między dwiema szkołami, uznał za całkiem zrozumiałe, że czuje się zagubiony - chociaż był to, oczywiście, oksymoron, a może paradoks... a może należało użyć jeszcze innego słowa oznaczającego coś, co nie powinno mieć najmniejszego sensu, a jednak ma. Kiedy kolejny lodowaty podmuch liznął jego szyję, Fin zadygotał i naciągnął mocniej kaptur.

Nie byłoby aż tak źle, gdyby mógł z kimś porozmawiać, ale w tej kwestii obowiązywał surowy zakaz, którego Finmere nie złamał, choć wiele razy odczuwał pokusę, zwłaszcza odkąd poszedł do liceum. Albo raczej - do liceów. Czasami to wszystko po prostu go przerastało. Kiedy był młodszy, już działało się nie najlepiej, ale teraz wraz ze zmianą szkoły musiał zmieniać ubranie, sposób chodzenia, a nawet to, jak mówił. A kłamstwa rosły i puchły, aż pękała od nich głowa.

Coraz częściej zastanawiał się, co by się stało, gdyby wygadał się przed jednym z dwóch najlepszych przyjaciół, Joem lub Christopherem, gdzie właściwie przebywa co drugi rok, kiedy nie uczy się w jego szkole. Miał też większe zmartwienia: skoro skończył szesnaście lat, czy staruszkowie, którzy płacili za wszystko, nie każą mu przypadkiem spakować manatków i zmykać, i nie zostawią go z niczym, na ulicy, tam, gdzie znaleźli? Mogli to zrobić: w końcu, jak dopiero co zauważył nocny strażnik, był

niemal dorosły. Gdyby złamał umowę, mogliby uznać, że nie zależy mu na ich opiece.

Zadrzał i zerknął na idącego przodem Teda. Wyglądał miło i podczas corocznych spotkań zawsze traktował Fina dobrze, ale czy można naprawdę poznać kogoś, kogo widuje się raz do roku?

Wsunął ręce do kieszeni i zacisnął palce, aż zaczęły mrowić. Chyba nikogo tak naprawdę nie znał, nawet Joego i Christophera, chociaż przyjaźnił się z nimi od dzieciństwa. Ciekawe, czy polubiliby się, gdyby się poznali. A jeszcze ciekawsze, czy gdyby się poznali, nadal lubiliby jego... Pewnie nigdy nie wybaczyliby mu tych wszystkich tajemnic i nawet nie miałby im tego za złe.

- A ty dokąd? Już doszliśmy.

Głos Teda zatrzymał Finmere'a w pół kroku. Zamyślony, o mało nie minął domu.

- Przepraszam! Myślałem tylko... - Uśmiechnął się. Ted spoglądał na niego uważnie; zupełnie jakby wiedział, co chodzi Finowi po głowie. Dobrze, że w tej ciemności ledwo widać twarz. Zawstydził się swoich niewdzięcznych myśli. Na ulicach naoglądał się bezdomnych dzieciaków. One nie miały nic, a on miał szczęście. Naprawdę miał szczęście. I lepiej o tym nie zapominać.

Brama otworzyła się z piskiem zawiasów.

- Wchodź, synu. Czeka cię niezła robótka.

Finmere kiwnął głową i ruszył za Tedem krótką ścieżką do drzwi wejściowych.

Na pierwszy rzut oka Dom Telluriów* przypominał pozostałe imponujące budowle w stylu georgiańskim**, które wznosiły się wokół Charterhouse Square. Chociaż zapadł już wczesny listopadowy zmrok, osłonięte okiennicami szyby były ciemne. Na lakierowanych drzwiach czy prętach ogrodzenia brakowało szyldu, który określałby przeznaczenie budynku. Żaden zewnętrzny znak nie wskazywał, że różni się on czymkolwiek od posępnych, poważnych biur bankierów i prawników, jakie otaczały plac ze wszystkich czterech stron.

Kiedy był młodszy, Fin pytał, czemu nie ma tabliczki z nazwą. W końcu nawet liceum Eastfields ją miało: wielką, odrapaną, wysmarowaną sprejem tablicę tuż przy głównym wejściu.

Ted tylko się śmiał.

- Każdy, kto powinien, wie, że to tutaj, więc po co szyld? Fin, czasami gadasz

straszne głupoty, po prostu boki zrywać.

Wiele lat później, stojąc przed wielkimi anonimowymi drzwiami, Finmere wcale nie uważał tego pytania za głupie ani śmieszne. Było coś dziwnego w tym domu starców pozbawionym szyldu. Od dawna specjalnie zwracał na to uwagę i nie znalazł innego gmachu, który, jak ten, niczym nie zdradzał swojego przeznaczenia. Na budynkach zawsze wiszą tabliczki. Tak już jest. To jedna z tych rzeczy, dzięki którym świat ma jakiś sens.

* Ang. Orrery House - tellurium to model układu Ziemi, Księżycy i Słońca. Pozwala odtworzyć oświetlenie Ziemi w różnych porach dnia i roku, fazy Księżycy, zaćmienia Słońca i Księżycy (przyp. tłum.).

** Styl georgiański panował w architekturze, dekoracji wnętrz i rzemiośle artystycznym w Wielkiej Brytanii za rządów Jerzego I, Jerzego II i Jerzego III, czyli w latach 1714-1820 (przyp. tłum.).

Wyciągnął rękę do złotego przycisku dzwonka. Serce zadrżało mu lekko. Mimo mrozu poczuł, że ma spocone ręce. Po chwili drzwi się otworzyły.

- Ach, młody panicz Smith... a właściwie już nie taki młody, co? Proszę wejść.

Ted szturchnął go w plecy. Finmere wkroczył do środka i zaczął starannie wycierać buty. Wszystkie podłogi w Domu Telluriów pokrywały grube dywany. Odkąd pamiętał, były śnieżnobiałe, co zawsze stanowiło dla niego zagadkę. Kiedy on wkładał nowy podkoszulek, jeszcze tego samego ranka lądowało na nim coś ciemnego, lepkiego i bardzo plamiącego.

Gdy uznał, że podeszwy są już czyste, podniósł wzrok znad wycieraczki.

- Dzień dobry, panie Jarvis. Jak się pan ma?

- Dobrze, dziękuję. - Jarvis strzepnął nieistniejący pyłek z białych lokaj skich rękawiczek, które aż świeciły w złotym blasku kandelabrow łśniących pod wysokim sufitem. - Pańskie urodziny co roku nadchodzą szybciej. Wydaje się, jakby był pan tu wczoraj.

Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z idealnej czystości rękawiczek.

- Ale cóż. Z czasem tak już bywa. Płynie, płynie... i znów jesteśmy w tym samym miejscu. A pan urósł.

Finmere uśmiechnął się również, myśląc jednocześnie, że dorośli, których zna,

rzadko kiedy gadają do rzeczy. Szkoda. Rozpiął kurtkę i poczuł, że twarz pali go z gorąca. W tym domu zawsze było bardzo ciepło.

- To samo, co zwykle? - zapytał Ted.

- Oczywiście - odpowiedział Jarvis. - Sędzia Brown musiał zostać na zebraniu, ale mówił, że postara się zajrzeć do nas, żeby zobaczyć chłopca, nim wyjdzie.

Odwrócił się i poprowadził gości długim korytarzem. Dywan odzywał się cichutko pod ich stopami. Fin wyobraził sobie, że rytm jego serca i oddechu dopasowuje się do rytmu kroków. Zawsze trochę się denerwował w Domu Telluriów, ale jakaś jego część uwielbiała te wizyty. Stopień schodów i kocyk - takie rzeczy nie dają większego oparcia. Co innego wielki, zdobiony, najwyraźniej bogaty budynek, pełen ludzi, którzy z jakiegoś powodu - na swój dziwaczny sposób - postanowili się nim opiekować. To już był jakiś konkret.

Zdjął kurtkę i bluzę i powiesił je w szatni u podnóża szerokich kręconych schodów.

- Gdzie mam zacząć?

- Tym razem na trzecim piętrze, paniczku Smith. Nie spodziewam się, że zdąży pan dzisiaj wiele zrobić.

- W porządku. No to ja już pójdę.

- Dobry chłopak. Tak, zawsze trzeba się ludziom odwdziaczyć. - Ted uśmiechnął się szeroko i mrugnął. - A ja sobie łyknę gorącej herbatki. Jak skończysz, przyjdź na kanapkę.

- Dzięki, Ted.

Finmere położył rękę na grubej mahoniowej poręczy i postawił stopę na schodach.

- Ach, paniczku Smith? - Wyprostowany, w doskonale skrojonej -liberii, Jarvis wyglądał jak posąg lokaja idealnego. - Niech pan skończy kwadrans przed północą. Dziś nie może być żadnych opóźnień.

- Dobrze, panie Jarvis. - Fin kiwnął głową.

Na trzecim piętrze zalegała gęsta cisza. Lśniące białe drzwi bez numerów ciągnęły się w dwóch przeciwległych rzędach. Fin zatrzymał się przed pierwszymi po lewo i znów zastanowił nad dziwną awersją do oznakowań, jaką cechowali się właściciele tego domu. Te pokoje muszą mieć jakieś numery, pomyślał. Przecież nie można powiedzieć: „Cześć, bądź tak miły i posprzątaj w tym pokoju na trzecim piętrze. No wiesz, w którym: tym

pośrodku, po lewej!" To się nie uda. Bez sensu. Na każdych drzwiach w szkole - w obu szkołach - były numer albo litera, które odróżniały je od innych identycznych drzwi. Tak się robi, i już.

Westchnął. Może na starość dorośli dziwaczej. A o dorosłych z Domu Telluriów mógł z pewnością powiedzieć jedno: są bardzo starzy. Wziął głęboki oddech, próbując opanować zdenerwowanie, zapukał do pierwszych drzwi po lewej stronie i otworzył je.

- Halo?

W porównaniu z korytarzem, który zalewało światło odbijające się bez końca wśród kandelabrow, w pokoju panował półmrok. W wózku inwalidzkim przy łóżku siedział mężczyzna. Nie poruszył się ani nie odezwał, ale to Fina nie zaskoczyło. Mieszkańcy domu rzadko coś do niego mówili i wszyscy byli przykuci do wózków.

- To ja, panie Everclear. Finmere Tingewick Smith - powiedział niepewnie. - Przychodzę co roku. W moje urodziny.

Starzec nie zareagował.

Fin poczuł się głupio, stojąc tak w progu. Nogi same zaniósły go w stronę łóżka. Zatrzymał się przed mieszkańcem pokoju, który na oko miał ze sto lat i był tak wychudzony, że Fin wyglądał przy nim na kulturystę. Wokół ciemnej, pokrytej plamami wątrobowymi łysiny sterczało kilka wiotkich szarych kosmyków. Kości policzkowe niemal przebijały cienką, niemal papierową skórę. Spod półprzymkniętych powiek połyskiwały nieobecne oczy.

Fin próbował się uśmiechnąć, ale jak zwykle poczuł się niezręcznie i źle. Co roku było gorzej. Po części dlatego, że nie wiedział, czy ledwo żywi staruszkowie w ogóle go słyszą i widzą, a poza tym nie miał pojęcia, czy cieszą się, że ich odwiedza. Myśl, że może gdzieś w środku marzą tylko o tym, żeby sobie poszedł i zostawił ich w spokoju, sprawiała, że czuł się między nimi jak intruz. Ale robił to, co robił, na życzenie sędziego, i tylko raz do roku - a sędzia na pewno wie, co dobre. O wiele lepiej niż on sam.

Wszystkie pokoje wyglądały tak samo. Na małym stoliku obok łóżka znajdowały się: książka oprawiona w czarną skórę, pewnie Biblia, puszka miętówek i notatnik, a na nim drogie, eleganckie pióro wieczne. Pierwsza strona notatnika w tym pokoju była pusta. Przygotowano już zestaw do golenia; leżał na starannie poskładanym ręczniku, przy małej misce z wodą.

Fin wziął puszysty ręcznik i ostrożnie owinął go wokół wątłej szyi starca. Potem rozrobił pianę miękkim pędzlem z końskiego włosia. Tutaj nie używało się pianek w spreju ani żeli. Mieszkańcy Domu Telluriów życzyli sobie być goleni w tradycyjny sposób. Skupiając się na swojej robocie, Fin zaczął cichutko pogwizdywać. Lepsze to niż cisza.

Zadziwiająco, jak bardzo mogą rozboleć ramiona od takiej prostej rzeczy jak golenie. Może dlatego, że musiał się mocno koncentrować, żeby powstrzymać drżenie rąk i nie zadrasnąć brzytwą pomarszczonej skóry. O wpół do jedenastej plecy zeszywniały mu od pochylania się, a palce mrowiły boleśnie, jakby pisał bez przerwy przez cały dzień. Dobrą rzeczą było to, że odwiedził już niemal wszystkie pokoje i miał jeszcze spory zapas czasu. Wylał ostrożnie resztkę piany z twarzy pana Soamesa, wyprostował się i przeciągnął.

- Chyba skończyłem - szepnął. - Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

Prawdę mówiąc, pan Soames zasnął dobre pół godziny wcześniej, zaraz po tym, jak powitał Fina bezzębnym uśmiechem, przedstawił się i zaproponował miętówkę z puszki na stoliku. Podczas golenia gromko pochrapywał, aż trzęsły się opadające policzki, co groziło skaleczeniem - ale Fin zdołał to opanować. Po tylu latach nabrał już wprawy w tej dziwnej robocie.

Opłukał miskę i brzytwę, położył zestaw go golenia w przylegającej do pokoju łazience i cichutko wykradł się na korytarz. Miał już wejść w kolejne drzwi bez numeru, kiedy coś zwróciło jego uwagę: dźwięk, który nagle zakłócił uroczystą ciszę wnętrza. Zatrzymał się i nadstawił uszu. Gwizdanie! Ktoś jeszcze gwizdał na tym piętrze, gdzieś przy końcu korytarza - i nawet fałszował tak samo jak on. Finmere przygryzł wargę. O wiele ciekawiej byłoby ogolić tego kogoś niż kolejnego śpiącego staruszka. Postarał się zapisać w pamięci, do którego pokoju doszedł - dwoje drzwi dzieliło go od środkowego kandelabru - i ruszył w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

Korytarz zakręcał w prawo i prowadził do kolejnej klatki schodowej, trochę skromniejszej niż ta, którą Fin dostał się na piętro. Wychylił się za balustradę i spojrział w dół, a potem do góry. Nic. Ani żywego ducha. Nieco zdziwiony zawrócił, skąd przyszedł, ale po kilku metrach stanął.

Dziwne: gwizdanie dochodziło z niszy za ostatnimi drzwiami. Wnękę wypełniał

wielki bukiet zonkili. Fin stał przed nimi i zbierał myśli. Żonkile nie gwizdzą. A jeśli już miałyby gwizdać. Były sobie świnki trzy, to dlaczego tak okropnie fałszują?

Rozejrzał się dokoła, by się upewnić, że naprawdę stoi tu sam i że to nie jest jakiś durny urodzinowy kawał, a potem pochylił się i zbliżył ucho do bukietu. Zaczerwienił się na myśl, jak głupio by wyglądał, gdyby zastał go tak Jarvis albo Ted. Z pewną ulgą stwierdził, że dźwięk wydobywa się z za wazonu. A nawet jakby... zza ściany.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, wyciągnął ramiona i z wahaniem pchnął gładką tylną powierzchnię. Nic się nie stało - niczego zresztą się nie spodziewał. Ale gwizdanie musiało skądś dochodzić. Dom Telluriów nie przypominał stancji pani Baker w Bermondsey, u której mieszkał. Tam, jeśli u sąsiadów płakało dziecko, słyszał je doskonale przez całą noc. Tutaj jednak mury były na to o wiele za grube i, co ważniejsze, Dom Telluriów nie sąsiedował z żadnym innym budynkiem.

Wbił wzrok w niewinną biel ściany. Ktoś za nią gwizdał - już na całe gardło - Dziesięć zielonych butelek. Może jeśli odsunie kwiaty, będzie mógł się lepiej przyjrzeć albo chociaż lepiej usłyszy. Golenie szło mu dzisiaj wyjątkowo sprawnie, więc może poświęcić na to dziesięć minut. A poza tym ma w końcu urodziny.

Chwycił mocno kryształowy wazon, podniósł, odwrócił się wraz z nim i ustawił kwiaty na dywanie. Na szczęście naczynie się nie przechyliło - nie miał ochoty sprawdzać, czy woda zrobi plamę na białej wełnie. Wyprostował się, odwrócił i...

Zaklął na głos - wcale nie pod nosem.

Ściana niszki przesunęła się bezszelestnie i teraz miał przed sobą wylot wąskiego, niskiego korytarza, który prowadził chyba do jeszcze jednego pokoju. Do ukrytego pokoju.

Gwizdanie ucichło.

- Harlequin? To ty?

Finmere próbował przełknąć ślinę, ale nagle zaschło mu w ustach. Te urodziny z każdą chwilą stawały się ciekawsze.

Nie wiedząc, co począć, Finmere wszedł w głąb korytarzyka.

- Ehm... nie. To ja, Fin. Finmere Tingewick Smith.

Musiał schylić się pod niskim sufitem, zanim przekroczył próg pokoju, który

wyglądał na połączenie sypialni z gabinetem. Okazał się o wiele większy niż pozostałe i chociaż na stoliku obok łóżka leżały obowiązkowe: puszka mocnych miętówek i książka w czarnej oprawie, było tu także mnóstwo innych rzeczy.

W wózku inwalidzkim przy biurku siedział stary człowiek z nogami okrytymi grubym kocem w kratę, chociaż w pokoju panowało takie gorąco, że Finmere ledwo mógł oddychać. Starzec podniósł wzrok i spojrzał na niego. Patrzył i patrzył, całe wieki.

- Finmere, mówisz?

Fin skinął głową, zmuszając oczy, żeby patrzyły na mężczyznę, zamiast uciekać w stronę ściany pokrytej setkami wielkich, czerwonych i zielonych tomów na mahoniowych półkach albo w stronę dziwnych przedmiotów, których mnóstwo zalegało półki i biurko. Szczególnie trudno było nie zerkać na blat biurka, ponieważ spiętrzony na nim stos papierów był przygniatany przez przycisk o wyglądzie jakiejś dziwnej czaszki: prawie ludzkiej, ale nie całkiem. Miała ogromne oczodoły. Niczego podobnego nie widział w szkole na lekcjach biologii. Była trochę niepokojąca. Zupełnie jakby istota, którą kiedyś gościła, przyglądała się Finowi przez te puste otwory.

- Wiem, że to głupie imię - wydusił wreszcie. - Nie ja je wybierałem.

Starzec zmarszczył brwi i zsunął okulary na czubek nosa. Brodę miał siwą jak śnieg, ale oczy błyszczały żywo, inaczej niż u pogrążonych w półśnie mieszkańców pozostałych sypialni.

- Ach, głupie, tak uważasz? - zawiesił głos, po czym zarechotał. - Może i racja. Ale mogło być gorsze. Zapytaj Teda, jak miałbyś na imię, gdyby zostawili cię na tych schodach dzień później. Sam zobaczysz!

Z zaskoczenia Finmere zapomniał o nieśmiałości.

- To pan mnie zna? Ja pana nie pamiętam, a "na pewno bym zapamiętał. Pan jest... no, o wiele żywszy niż tamci. I nie przypominam sobie tego pokoju...

Rozejrzał się wokół i podniósł oczy. Na suficie namalowane były gwiazdozbiory. Finmere zamrugał. To na pewno ze zmęczenia... ale przysięgłby, że gwiazdy naprawdę migoczą.

- A taki pokój na pewno bym zapamiętał... - zakończył szeptem.

- Och, znam cię, Finmere, chociaż się nie spotkaliśmy. A ten pokój... wcale nie wiem, czy rzeczywiście tu jest. Niektóre pokoje są jak czas. Zabawne miejsca. -

Podjechał nieco bliżej. - Dzisiaj twoje urodziny, prawda? Ile masz lat?

- Szesnaście.

Mężczyzna w wózku uśmiechnął się szeroko, odchylił na oparcie i splótł ramiona. Na jednym z palców załśnił czarno--złoty pierścień. Starzec zachichotał krótko i westchnął.

- Szesnaście, co? Interesujący wiek. Tkwisz między dwoma światami. - Zaśmiał się cicho, jakby to był żart, który tylko on rozumie, i poprawił się w fotelu. Między fałdami koca załśnił jakiś kształt, który mężczyzna natychmiast zasłonił. Co to mogło być?

Wyglądało jak rękojeść miecza... ale to przecież niemożliwe?

- Z jednej strony przygody dzieciństwa - ciągnął starzec. - Az drugiej niebezpieczeństwa dorosłości.

- Ted też mi to dzisiaj mówił - wymamrotał Fin.

- Oczywiście. - Mężczyzna się uśmiechnął. - Oczywiście, że tak.

Fin nie miał pojęcia, co teraz powiedzieć. Co to za człowiek? I skąd tyle wie o nim i o Tedzie?

W drzwiach zamajaczył jakiś cień.

- Finmere? - Długa pauza. - Co ty tu robisz, do licha? Wychodź natychmiast!

Z sercem w gardle Fin odwrócił się i stanął oko w oko z sędzią.

- Przepraszam, ja tylko...

- Wybacz, Harlequinie - wtrącił się starzec. - To moja wina. Usłyszałem, jak gwizdałem.

FTn pomyślał, że nigdy dotąd nie widział kogoś równie starego, kto zachowywałby się jak psocący dzieciak! Z kolei sędzia spurpurowiał tak, jakby jego wąska czaszka miała eksplodować.

- Gwizdałeś?! - wyrzucił z siebie wreszcie. - Coś takiego! Co ty sobie myślisz?

Cisnął starcowi jeszcze jedno groźne spojrzenie, po czym złapał Fina za ramiona, żeby go wyprowadzić z pokoju.

- Nie odpowiadaj. Doskonale wiem, co myślisz. - Wymierzył długi, kościsty palec w uśmiechniętą, pomarszczoną twarz mężczyzny na wózku. - I powinieneś wybić to sobie z głowy.

Sędzia popchnął Finmere'a przed sobą, mamrocząc coś pod nosem. W ostatniej chwili Fin zdążył odwrócić głowę i uśmiechnąć się na pożegnanie do starca, który mrugnął w

odpowiedzi. I tyle go widział.

- Nie ruszaj się. Stój tutaj - rozkazał sędzia twardo, zostawiając Fina przy schodach, zanim wrócił, żeby ustawić wazon z kwiatami na miejscu. Patrząc, jak w perspektywie białego korytarza sędzia zamyka przejście do ukrytej sypialni, Finmere zastanawiał się, jak się czuje. Zakłopotany? Trochę. Winny? Tak, to też. Cokolwiek czuł, nie było miłe. Wiedział, jak wygląda sędzia, kiedy jest lekko poirytowany lub nieco rozbawiony. Ale nigdy jeszcze nie widział go tak zdenerwowanego i poruszonego.

Z dała od pokoju z sufitem lśniącym od gwiazd na trzecim piętrze Domu Telluriów, wśród znajomych ścian, słyszał w uszach tylko bicie własnego serca, które coraz mocniej łomotało o żebra. Jest zwykłym niewdzięcznikiem, wtyka nos w cudze sprawy, a teraz sędzia wściekł się na niego.

Twarz zaczęła go palić.

- Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam... - zaczął. - Naprawdę. Wiem, że nie powinienem tak łązić po cudzym domu i zaglądać byle gdzie, i wiem, że jest pan na mnie bardzo, bardzo zły, i ma pan pełne prawo, i...

Nie mógł powstrzymać strumienia słów, który wylewał się przez usta z jego spanikowanej głowy.

- I wiem, że jestem tylko podrzutkiem, i powinienem okazać więcej szacunku...

Sędzia Brown spojrzał na niego.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, że nie powinienem łązić po cudzym domu i...

Sędzia uciszył go gestem dłoni.

- Tak, tak. To słyszałem dobrze. Chodzi mi o to, co powiedziałaś na końcu. - Na jego twarz wróciła już zwyczajna bladość, tylko na policzkach płonęły dwie czerwone plamy. Wbił w Finmere'a wzrok, zaciskając wargi tak, że niemal zniknęły. - Czy usłyszałem „podrzutek”? Uważasz się za podrzyconego?

Fin powoli kiwnął głową. Czuł, że jego policzki też są rozpalone.

- Tak, proszę pana - wymamrotał.

Sędzia wypuścił długi, świszczący oddech.

- Dobry Boże, a skąd ten pomysł? Skąd przyszło ci do głowy, chłopcze, że zostałeś podrzycony? W życiu nie słyszałem czegoś bardziej komicznego! - Wpatrywał się w

Fina, jakby zobaczył go po raz pierwszy. - To absurd. Podrzutki zostawia się w budkach telefonicznych i na przystankach. Nie na stopniach Old Bailey. Z pewnością nie zostałeś podrzucony, Finmerze Tingewicku Smisie. Zostałeś umieszczony.

Wyprostował się, zerknął na Fina i uniósł brew.

- A to, mój chłopcze, dwie zupełnie różne rzeczy.

Świat zawirował Finowi w oczach, a jego usta otworzyły się same, nim zdołał się opanować.

- Ale jaka to różnica?

- Jaka różnica?! - huknął sędzia tak potężnym głosem, że zadrżały kryształły zwieszające się z kandelabrow. - Jaka różnica? Czego oni cię uczą w tych szkołach?

Jego źrenice wwierały się w twarz Fina, który dałby wszystko, żeby gruby biały dywan rozstał się teraz i pochłonął go na wieki. Bezradnie wzruszył ramionami.

- Matematyki. Angielskiego. W St Martin's mamy też łacinę, ale z tego jestem kiepski. No i WOS, PO, ZPT. Aha, no i WF.

Sędzia Brown zdumiał się, jakby Fin przemówił do niego w obcym języku.

Westchnął i podrapał się w głowę.

- PO? WF? ZPT? Czy już żaden przedmiot nie ma pełnej nazwy? Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- Uczymy się też historii i geografii. I biologii z chemią. Bardzo je lubię - wybełkotał Fin, natychmiast żałując kłamstwa. Miał nadzieję, że sędzia się nie zorientuje. I bez tego był dość rozjuszony.

- Przypuszczam, że wszystkie mają swoje miejsce w świecie, nie jestem tylko pewien ich miejsca w twoim świecie. - Sędzia Brown odsunął rękaw czerwonej togi i zerknął na zegarek. - Och, już tak późno? Co się dzieje z tym czasem?

Fin nie odpowiedział. Patrzył, jak chudy nadgarstek sędziego znika pod czerwoną tkaniną. Zdawało mu się, że zauważył na ciężkiej złotej bransolecie dwie tarcze, a jedna z nich wyglądała naprawdę dziwnie. Po co sędziemu aż dwa zegarki? Głowa Fina pulsowała boleśnie, ze zmęczenia czuł w ustach metaliczny posmak, a w uszach mu szumiało. Ten dzień był zdecydowanie najdziwniejszy z szesnastu dziwnych dni urodzin.

- Jest pan na mnie zły? - wymamrotał. Jeśli sędzia zamierzał go ukarać, wolał mieć

to od razu za sobą. W żołądku poczuł kłującą kulę strachu.

- Zły? - Sędzia nachylił się i popatrzył mu w twarz. - Oczywiście, że nie jestem zły. Martwię się tylko trochę, czym ci napychają głowę w tych szkołach, ale zły nie jestem.

Westchnął i ruszył ku schodom.

Fin poszedł za nim, próbując zrozumieć, co sędzia mruczy pod nosem.

- Jedno jest pewne. Czas, żebyś dowiedział się więcej. Myślę, że musimy porozmawiać, wiesz, o dorastaniu...

Serce Fina zadygotało panicznie. Na to zdecydowanie był już za duży.

- To znaczy... o tym, jak to robią pszczołki i ptaszki? Bo jeśli tak, to przerabialiśmy to już w szkole. - Wciąż jeszcze wzdrygał się na wspomnienie lekcji w St Martin's, kiedy jako trzynastolatek musiał wysłuchać, jak pan Clarke zacina się na szczegółach opowieści, skąd się biorą dzieci. Nie zniósłby tego horroru po raz drugi, i to w wykonaniu sędziego Browna. W wieku szesnastu lat był może niemal dorosły, ale na pewno nie dość dorosły. Wątpił, czy do takiego wyzwania dorośnie kiedykolwiek.

Sędzia zatrzymał się na wysokości pierwszego piętra, odwrócił się, aż czerwona szata zafalowała wokół jego kościstej sylwetki, i zmierzył Fina spojrzeniem od stóp do głów.

- Pszczoły? Ptaki? A cóż to za pomysł? I co miałbym ci o nich powiedzieć? Chyba najlepiej zostawić to twojemu nauczycielowi biologii, nie uważasz? - Zaczął znów schodzić. - Nie, ja mówię o tobie, Finmerze. O twoim życiu. O tym musimy porozmawiać.

Nerwy Fina, wystawione dzisiaj na ciężką próbę, znowu napięły się do bólu. Zakręciło mu się w głowie.

- Uch... dzisiaj wieczorem, proszę pana?

- Nie, nie teraz. Za mało czasu. - Sędzia Brown zmarszczył brwi i skrzywił się, jakby na moment jego myśli odleciały ku jakiejś ważnej i pilnej sprawie. Znowu skupił uwagę na Finie. - Jutro o drugiej po południu. Przyjdź do mojego mieszkania w Rookeries. To na rogu Cowcross Street. Zapytaj kobietę w recepcji o apartament Rookhaven. Pokaże ci drogę.

Zawiesił głos.

- Może będziesz musiał trochę ponalegać. - Znowu rzucił okiem na dziwaczny zegarek. - Mój Boże, jak ten czas leci! Chyba powinieneś już iść do Teda i zjeść kolację,

zanim wrócisz do domu.

Uśmiechnął się łagodnie. Taki wyraz był rzadkim gościem na jego surowej twarzy.

- I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Finmere.
- Ale,, proszę pana - powiedział Fin, walcząc z ziewnięciem. - Jutro jest czwartek.
- I co z tego?
- Idę do szkoły. Nie mogę przyjść później, koło szóstej?

Zajęcia kończyły się o trzeciej, ale o wpół do czwartej był umówiony z Joem i jeszcze kilkoma chłopakami na mały mecz. Jeśli się urwie, będzie musiał skłamać, dokąd idzie. A w kłamstwach, jak zauważył z biegiem lat, bardzo łatwo się pogubić. Już nieraz się na tym przejechał.

- Hm. - Zmarszczki na twarzy sędziego Browna wyraźnie się pogłębiły. W jego minie Finmere odczytał namysł i zakłopotanie. - Nie, musimy się spotkać o drugiej. Do której szkoły chodzisz w tym roku?

- Do liceum Eastfields.

Twarz sędziego się rozjaśniła.

- Ach, w takim razie to będzie proste. Z mostu Tower dojedziesz bardzo szybko. Dwadzieścia minut metrem, zdaje się. Jeśli wyjdiesz ze szkoły o pierwszej, będziesz miał mnóstwo czasu. - Wyciągnął rękę i uścisnął Finowi dłoń na pożegnanie.

Zdażył zrobić kilka kroków, nim Finmere się odezwał:

- Ale ja nie mogę tak po prostu zwać z lekcji. - Ciekawe, co sędzia Brown wie o prawdziwym życiu, mruknął w duchu. - Potrzebuję usprawiedliwienia. Wie pan, żeby wyjaśnić, dlaczego nie ma mnie w szkole.

Oczywiście większość chłopaków nie zwracała sobie tym głowy. Jeśli chcieli wagarować, po prostu się zrywali. Ale Fin wolał nie zwracać na siebie uwagi w ten sposób. Wystarczyło, że nauczyciele zawsze obwiniali go o coroczne nieobecności, zupełnie jakby w tym czasie się obijał, a nie spełniał woli opiekunów. Nie musiał dokładać sobie kłopotów prawdziwymi wagarami.

Sędzia zacisnął wargi.

- Hm, usprawiedliwienie to nie jest rozsądny pomysł. Ani potrzebny. Codziennie spotygam na Oxford Street dzieciaki, które powinny być w szkole. Skoro one tak mogą, ty też dasz sobie radę. - Kiwnął głową, jakby się dogadali. - Widzę cię się jutro. O

drugiej. Nie spóźnij się.

Z tymi słowami sędzia Brown odszedł, mamrocząc coś pod nosem. Szmer jego lśniących butów na dywanie oddalał się i cichł coraz bardziej, póki sędzia nie zniknął za drzwiami swojego gabinetu.

Finmere westchnął - chyba po raz tysięczny od chwili, w której Ted dołączył do niego dzisiaj na schodach Old Bailey. We czwartek po południu mieli w planie matematykę i angielski. W żaden sposób nie mógł się zerwać tak, żeby nikt tego nie zauważył. Był najlepszy z obu przedmiotów

Skrzywił się lekko, przygotowując się wewnątrz do wizji kary, jaka go czekała: będzie musiał zostać po lekcjach. Wiedział, że nie ma wyjścia. Sędziego Harlequina Browna bał się o wiele bardziej niż któregośkolwiek z nauczycieli czy uczniów liceum Eastfields.

Stojąc w cichym wnętrzu Domu Telluriów w noc swoich szesnastych urodzin, Finmere poczuł na barkach ciężar całego świata. Miał nadzieję, że z wiekiem jego życie stanie się nieco mniej skomplikowane. Ale nic na to nie wskazywało. Przynajmniej jeszcze nie w tym roku.

Ziewnął i powłókł się schodami w dół, do sutereny, gdzie znajdowała się kuchnia i gdzie Ted z pewnością grzał się przy piecu, beztróska paląc swojego papierosa. Miło być takim Tedem, pomyślał, idąc po kamiennych płytach kuchennej posadzki. Ted chyba niczym za bardzo się nie przejmował. Może na tym polega dorosłość? A może taki już był. Od myśli o Tedzie skojarzenie zaprowadziło go do wspomnienia starca w ukrytym pokoju. Uśmiechnął się. Nie, te urodziny naprawdę nie były takie złe.

Pchnął ciężkie drewniane drzwi prowadzące do kuchni. Zapach świeżo upieczonego chleba uderzył go w nozdrza razem z gorącym z pieca i dopiero wtedy uprzytomnił sobie, jak bardzo jest głodny.

Minęła już północ, gdy Ted cicho zamknął za nimi frontowe drzwi Domu Telluriów i obaj wyszli przez bramę na cichy, pusty plac. Złowrogie żelazne latarnie rzucały plamy żółtego światła, poza którymi cienie drzew i krzaków wydawały się jeszcze ciemniejsze i bardziej złowieszcze. Fin widział, jak jego oddech zamienia się w szarą mgiełkę.

- Poszukajmy dla ciebie taksówki - powiedział Ted ściszym głosem, rozglądając się dokoła. Dopiero po chwili rozluźnił plecy. Finmere zastanowił się, czy Ted

przypadkiem także nie boi się groźnych kształtów, które kołysały się w mroku; przypominały duchy, potwory i wszystkie te rzeczy, o których wiedział, że nie istnieją, ale obawiał się przestać w nie wierzyć, żeby nie kusić losu. Zadrżał. Lodowate powietrze wydawało się jeszcze zimniejsze po godzinach spędzonych w przegrzanym budynku.

Myśl o Domu Telluriów sprawiła, że zatrzymał się i ściągnął brwi.

- Ted, dlaczego po prostu nie zadzwonimy po taksówkę z domu? Przecież tak byłoby prościej - przerwał. - I taniej.

Ted wyszczerzył zęby.

- Zawsze chcesz znać odpowiedź, co? Dobrze, że pogadacie sobie jutro z sędzią. Czas najwyższy, ja ci to mówię.

Przyspieszył, oddalając się w kierunku światła głównej ulicy. Finmere musiał podbiec, żeby dotrzymać mu kroku.

Skąd Ted wiedział, że ma się jutro spotkać z sędzią Brownem? Fin ani słowem o tym nie wspominał. Kolejny dziwaczny incydent w serii dziwacznych wydarzeń w dniu, który tradycyjnie bywał dość dziwaczny. Finmere czuł się już mocno zmęczony tym, że każdy wie więcej o jego życiu niż on sam. Ale w końcu tak było zawsze. Powinien się już przyzwycząić. Odprowadził wzrokiem dwie czarne taksówki, które wraz z błyskiem zielonego światła sygnalizacji skoczyły do przodu jak uwolnione z klatki zwierzęta.

Zbliżali się do ruchliwego skrzyżowania z Aldersgate Road. Ted się rozejrzał.

- No, tośmy na miejscu. Zaraz złapiemy ci taksę. - Wydobył z kieszeni białą chusteczkę i wytarł nos. - Jezu, ale mróz. Zima będzie ostra, wspomnisz moje słowa.

Uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że chowasz w tym swoim kufrze jakieś kalesony?

Fin prychnął.

- Taa, jasne. W szkole nie daliby mi żyć.

Ted uniósł brwi.

- Nie wiesz, co tracisz, chłopie. Takie ciepłe długie kalesony.

- Wierzę ci na słowo - mruknął Fin z uśmiechem.

Stali przez chwilę w pełnej porozumienia ciszy. Ted wypatrywał wolnej taksówki, a Fin podniósł oczy na czarne nocne niebo. Gwiazdy lśniły i migotały, pojawiając się i znikając na atramentowym tle. Pomyślał o pokoju ukrytym za ścianą w Domu Telluriów.

- Ted... - Patrzył, jak opar oddechu ulatuje ku uśmiechniętej twarzy księżycy. - Jak miałbym na imię, gdyby zostawili mnie na schodach Old Bailey dzień później?

- A skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Fin przeniósł wzrok na twarz starszego mężczyzny. Przez chwilę wydawało mu się, że w przyjaznych, dobrze znanych rysach zobaczył nagle kogoś innego. Nie Teda. I w następnej sekundzie już go nie było, zniknął jak chmurka oddechu w nocnym powietrzu, a przed Finem stał zziębnięty strażnik z Old Bailey i pokazywał w uśmiechu wszystkie zęby.

Fin wzruszył ramionami.

- Spotkałem w domu jednego staruszka. Powiedział, żebym cię zapytał. Śmiał się z tego.

- Bo może i jest z czego - odezwał się w końcu Ted. -Wiesz, że zostawili cię na schodach w nocy jedenastego listopada, i wzięłem nazwiska z trzech rozpraw, jakie miały się odbyć następnego dnia, i dlatego tak się nazywasz?

Finmere przytaknął. Ted opowiedział mu tę historię na siódme urodziny, a nawet pokazał kopię spisu spraw: Korona przeciwko Finmere'owi, Korona przeciwko Tingewickowi, Korona przeciwko Smithowi.

- No więc, gdybyś pojawił się na schodach następnego dnia, nazywałbyś się Lesley Swine Boyle. - Ted zarechotał i trącił Fina w bok. - Co byś na to powiedział?

Lesley Swine Boyle. Z takim imieniem i nazwiskiem życie w ogólniaku Eastfields byłoby nie do zniesienia. Czyste piekło. W St Martin's pewnie też. „Prosiak Boyle”, tak pewnie by go przechrzcili. Albo i gorzej.

W oddali ukazały się żółte światła. Ted gwizdnął i machnął ręką.

- Następnym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy, że dziw-
nie się nazywasz, pomyśl, że mógłbyś mieć mniej farta, dobra?

Taksówka zahamowała przy chodniku.

- Tamten stary powiedział to samo - mruknął Fin.

Ted wyciągnął z kieszeni kurtki dwudziestofuntowy banknot.

- To za przejazd i na napiwek.

- Dziękuję za tort i za wszystko, Ted. No, to chyba do zobaczenia za rok. - Nagła panika chwyciła go za gardło. -Będziesz przychodził w moje urodziny, Ted, prawda? Nawet gdy już będziesz na emeryturze?

Myśl o tym, że mógłby przestać widywać tę znajomą pomarszczoną twarz, uderzyła go w żołądek jak prawy sierpowy. Nie miał bliższej rodziny.

Ted wydobyl ze swojej puszki skręconego wcześniej papierosa i zapalił.

- Tak szybko się mnie nie pozbędziesz, Fin, nie martw się. - Mrugnął i zatrzasnął drzwi samochodu.

Fin otworzył boczne okno.

- Uważaj na siebie, Ted.

Stary mężczyzna uśmiechnął się szeroko i klepnął dłonią w drzwi od strony kierowcy, by dać mu znak, że może już jechać. Kiedy taksówka wykrecała na jezdnię, Fin opadł na siedzenie, ale za chwilę odwrócił głowę. Chodnik był pusty. Fin patrzył przez kilka sekund z bolesną pustką w sercu, a potem nagle spadło na niego ołowiane zmęczenie. Ziewnął szeroko, aż świat zamazał mu się przed oczami.

- Dokąd, synu?

- Pardoner Street, Bermondsey - powiedział, wciąż ziewając. - Poproszę.

Taksówkarz skinął głową. Finmere zadrżał. W samochodzie było porządnie zimno. Powieki paliły go żywym ogniem. Pozwolił im opaść. Tylko na chwileczkę.

Po minucie już twardo spał.

Obserwując, jak wskazówki zegara zbliżają się powoli do pierwszej po południu, Fin stłumił ziewnięcie. Miał wielką nadzieję, że cokolwiek zamierza mu powiedzieć sędzia Brown, okaże się warte zachodu. Dzień nie zaczął się najlepiej, a Finmere musiał jeszcze zerwać się z lekcji.

Oczy wciąż lekko go piekły. Ponieważ kolejne ziewnięcie za nic nie dało się zdusić w zarodku, pochylił głowę i starał się być niewidoczny. Co akurat w tej klasie nie było specjalnie trudne. Pan Settle próbował zapisać na białej tablicy daty narodzin i śmierci sześciu żon Henryka VIII, ale kiedy tylko się odwracał, za jego plecami podnosił się szmer obraźliwych epitetów, a w powietrzu zaczynały latać papierowe kulki.

Pan Settle zaczął tu uczyć niedawno. Fin żałowałby go bardziej, gdyby nauczyciel nie był takim mięczakiem. Uczniowie klas jedenastych* odczuwali już grozę egzaminów, które czekały ich pod koniec roku, chociaż większość reagowała na to zmniejszeniem i tak już nieznacznych wysiłków naukowych albo wzrostem agresji. Na domiar złego gwiazdą klasy Fina była Kayleigh Trent, która właśnie twardo odmówiła oddania nauczycielowi telefonu komórkowego i wyplucia gumy. Przez jedną straszliwą chwilę pan Settle wyglądał, jakby miał się rozplakać, ale na szczęście pozbiierał się jakoś i polecił jej zostać po lekcjach. Wymamrotał też coś o wezwaniu matki, na co Kayleigh parsknęła pogardliwie i zaklęła jak szewc. Pan Settle udał, że nie słyszy - albo też był naprawdę głuchy, bo Fin, siedząc w drugim końcu sali, usłyszał to doskonale.

Kolejna papierowa kulka przeleciała między ławkami i Fin spojrzał na zegar. Cztery minuty do długiej przerwy. Żołądek skręcił mu się w ciasny supeł. Już miał przechlapane. Bóg jeden wie, co jeszcze dziś na niego spadnie.

Po nocnym powrocie z Domu Telluriów zasnął dzisiaj okropnie, a kiedy już dobiegł do szkoły, przypomniał sobie, że praca domowa z geografii została pod łóżkiem. A więc nie tylko pojawił się w klasie dziesięć minut po dzwonku, ale nie mógł też pokazać odrobionego zadania.

Stary Marsh, zwany Utopcem, westchnął teatralnie, rzucił mu spojrzenie znad dwuogniskowych szkieł i oznajmił, że o trzeciej trzydzieści Finmere ma się stawić z powrotem w klasie. „Albo...”

Serce Fina podskoczyło i zamarło. Gdyby usłyszał takie „Albo...” od pana Settle'a, w ogóle by się nie przejął - wszyscy mieli gdzieś, co sobie myśli pan Settle - ale Utopiec był szkolną legendą; pracował w Eastfields od zawsze, a co najmniej od dwudziestu lat. Uczył matki, wujków i ciotki kolegów Fina. Był częścią tej szkoły, zupełnie jak graffiti na tablicy przy bramie, które pojawiała się magicznie, kiedy tylko ktoś spróbował je zmyć. „Albo...” z ust Utopca oznaczało realne zagrożenie. Nie należał do tych nauczycieli, którzy krzyczą, że masz zostać po lekcjach, choćby się waliło i paliło... a dziesięć minut później o wszystkim zapominają. Stary Utopiec Marsh pamiętał wszystko.

Z mdłym uczuciem w żołądku Fin usiadł w ławce i doczekał do końca geografii. Cztery godziny później, kiedy pan Settle, przekrzykując hałas, kazał im iść na przerwę, wciąż czuł w brzuchu ten mdlący ciężar.

- I nie zapomnijcie - powtórzył pan Settle po raz siedemnasty czy coś koło tego - że na jutro przynosicie wypracowania.

Jego słowa ledwie przebijały się przez ryki umykającej hordy jedenastoklasistów. Finmere założyłby się, że jutro na biurku pana Settle'a nie pojawi się stos wypracowań, ale wiedział, że na ten tydzień będzie miał już dość kłopotów. Musi napisać wypracowanie, kiedy wróci ze spotkania z sędzią.

Zostawiając pana Settle'a samego w klasie - nauczyciel oparł głowę na rękach i zastanawiał się, który to diabeł pod-szepnął mu, żeby zatrudnić się w Eastfields - Fin wyszedł na korytarz i wpadł w kłębowisko uczniów w niebieskich swetrach, którzy tratowali się w drodze na obiad do stołówki lub w biegu do toalet, żeby wypalić papieroska. Pozwoliwszy, żeby niosła go burzliwa fala nastolatków, Finmere wspomniął St Martin's, szkołę, której korytarze były oazą spokoju, na przerwach wszyscy trzymali się lewej strony i nikt nie biegał. W St Martin's nie używano także dzwonka. Fin nie umiał sobie wyobrazić Eastfields bez dzwonek. Nawet z ich pomocą zapędzanie dzieciaków do klas przerastało siły przeciętnego herosa.

Odbił w lewo, w kierunku sali matematycznej. Na końcu korytarza majaczyły rzędy szafek. Każda szkoła miała swoje plusy i minusy. Do Eastfields chodziły dziewczyny, co zdecydowanie zaliczało się do plusów - nie żeby z wieloma się umawiał... no, dokładnie z dwiema - ale nie umiał sobie wyobrazić dwóch miejsc, które bardziej by się różniły. Nic dziwnego, że przez większość czasu czuł, jakby ktoś naciągał mu mózg na wałki magła.

Kucnął przy swojej szafce i zaczął grzebać w kieszeni, szukając klucza. Semestr zaczął się dość dawno, ale drzwiczki jego schowka uniknęły jak dotąd wgnieceń. Korzyść z szafki w dolnym rzędzie: nie znajdowała się na poziomie szalejących pięści.

- Nie spieszy ci się! Zdycham z głodu. Ruszaj się, no! -Nad głową Fina pojawiła się nagle ciemna twarz Joego. Koszulę miał wywleczoną na wierzch i poluzowany krawat, podobnie jak Fin. Żaden szanujący się uczeń nie nosił inaczej szkolnego mundurka.

- Myślałem, że Davies usadził cię w kozie.

Joe się roześmiał.

- Tak, ale nie skorzystam. Nie w przerwie na obiad. - Dokładnie taki sam ciepły, otwarty uśmiech miała mama Joego. Czasami Fin wpadał do nich na herbatę i wtedy pani

Manning uśmiechała się właśnie tak... trochę zadziornie, ale najmilej na świecie. Finmere zastanawiał się nad własnym uśmiechem: czy przypomina nim mamę czy tatę, ale kiedy myślał o takich rzeczach, widział tylko szarą rozległą pustkę i unoszący się w oddali cień sędziego Harlequina Browna. - Mamy z nim lekcje jutro rano - ciągnął Joe, nie widząc, że przyjaciel odpłynął gdzieś myślami. - Wtedy, proszę, może mnie upuścić. Byle przed obiadem.

Fin ledwie zdążył wcisnąć książki do szafki, gdy Joe szarpnięciem poderwał go na równe nogi.

- No chodź, bo zeżrą nam wszystkie frytki.

Fin poczuł, jak jego żołądek wywija fikołka. Myślał, że dzisiaj nic gorszego nie może go już spotkać. A jednak. Nie było ucieczki.

- Słuchaj, Joe, ja nie mogę. Muszę coś załatwić.

- Spoko. Pójdę z tobą. Tylko najpierw coś zjedzmy, bo zwariuję.

Mrowienie na czole, tuż pod włosami, uświadomiło Finowi, że się czerwieni.

- Em... ale ja to muszę załatwić sam. - Bezradnie wzruszył ramionami.

Uśmiech na twarzy Joego zbladł.

- Co załatwić?

- Prywatne sprawy. - Fin odchrząknął; zaschło mu w gardle. - Rodzinne.

No i masz, stało się. Zelgał.

Oczy Joego się rozszerzyły. Najwyraźniej nie myślał już w tym momencie o frytkach.

- To ma coś wspólnego z twoim ojcem? - wyszeptał z uszanowaniem.

Finmere krótko przytaknął. Dlaczego Joe nie poszedł grzecznie do swojej kozy?

Obeszłoby się bez kłamstwa, przynajmniej w tej chwili.

Przyjaciel przysunął się bliżej.

- Co teraz zrobił?

Fin cofnął się i naciągnął kurtkę.

- Słuchaj, naprawdę nie mogę o tym mówić, Joe, wiesz? - Wykręcił się. - Muszę spadać. Do zobaczenia jutro.

- Dokąd idziesz? Nie mów, że się zrywasz! - Wstrząśnięty Joe zapomniał o szepcie i ostatnie zdanie prawie wykrzyczał.

- Cśśś - syknął Fin. - Nie wszyscy muszą wiedzieć!

Próbował się uśmiechnąć do Joego, ale mięśnie twarzy nie chciały go słuchać.

- Zobaczmy się jutro, dobra? - Zaczął przepychać się przez zbity tłum ku wyjściu, czując, że nogi ma jak z ołowiu. Przyjaciel został z tyłu, zdezorientowany i sam, i to było okropne.

- Hej! - zawołał za nim Joe. - Hej, Fin! Mieliśmy zagrać po szkole w piłę! Hej!

* Słyszając ton bolesnego zawodu w jego głosie, Finmere aż się wzdrygnął, ale nie zawrócił. Do rana Joe mu odpuści. Nie umiał długo chować urazy. Zawsze widział w ludziach to, co najlepsze. Od tej myśli Finowi zrobiło się jeszcze gorzej.

Zamiast wyjść główną bramą, przy której stróżowali nauczyciele, szybkim truchtem okrążył budynek szkoły, przebiegł tunelem pod salami do zajęć praktyczno-technicznych -pozdrowiając po drodze gromadkę kryjących się tam palaczy - i wymknął się przez małą furtkę przy stojakach na rowery.

Na ulicy ściągnął i wepchnął do kieszeni krawat, a potem zapiął kurtkę aż pod samą brodę. Z pochyloną głową - ze względu na zimno i z obawy, że rozpozna go jakiś pracownik Eastfields, który wyskoczył w przerwie na piwko - ruszył w stronę stacji metra London Bridge odległej o co najmniej dziesięć minut marszu. Wyciągał nogi, żeby jak najszybciej oddalić się od szkoły. Skąd te nerwy? Nie było dnia, żeby kilka osób nie zerwało się z lekcji. Ale on wolał unikać wyczulonych radarów nauczycieli. Dla świętego spokoju. I nie chciał odpowiadać na niewygodne pytania.

Powolne autobusy, sapiąc niecierpliwie, wyrzucały kłęby niebieskawego smrodu; czasem posuwały się o kilka metrów, żeby zaraz utknąć znowu w kroku. Fin wyprzedzał je bez trudu, kiedy stały w długich szeregach samochodów osobowych i taksówek.

Chociaż wiedział, że nie ominą go koza i inne przykrości, a w perspektywie miał nocne odrabianie pracy domowej, kiedy schodził na peron metra, rozpiekało go radosne poczucie wolności. A poza tym, pomyślał, sprawdzając stan karty Oyster*, te wagary to nawet nie mój pomysł. Właściwie z lekcji kazał mu się zerwać sędzia Brown. Więc w zasadzie Fin miał zezwolenie opiekuna, tylko - tak jakby - nie przyniósł go do szkoły.

Piętnaście minut i jedną przesiadkę później Finmere wydostał się z ciepłego brzuszyska Londynu na stacji Farringdon i przystanął, żeby się rozejrzeć i namierzyć Cowcross Street. Być może dlatego, że właśnie tutaj został porzucony, nigdy nie tracił

orientacji w obrębie londyńskiego City**. Dokądkolwiek się wybierał, jego stopy po prostu same znajdowały drogę. A może to dlatego, że tutaj ukrył swój kocyk? W pewnym sensie - był w domu, a raczej w tym, co w jego przypadku najbardziej przypominało prawdziwy dom.

Poszedł wzdłuż ulicy do skrzyżowania z St Peter's Lane i zatrzymał się na widok małego owalnego szyldu nad drewnianymi drzwiami. „Rookeries”. Uśmiechnął się. Przynajmniej ten budynek trzymał się zasad i wyraźnie oznajmiał, co się w nim mieści. Jedynym problemem był wyraz, wypisany mniejszymi literami pod nazwą. „Hotel”. Sędzia mówił, że ma tutaj mieszkanie - ale mieszkanie w hotelu?

Fin przygryzł dolną wargę i przyjrzał się dokładnie budynkowi z szarej cegły, którego boczny mur rozciągał się wzdłuż całej długości wąskiej, wybrukowanej kocimi łbami St Peter's Lane. Popołudniowe słońce odbijało się w lśniących szybach wielkich, otwieranych w pionie okien. Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, wszedł po schodach i pchnął drzwi. Jeśli nie trafił we właściwe miejsce, może przynajmniej ktoś pokaże mu drogę.

Cicho zamykając za sobą drzwi, wkroczył do holu i natychmiast poczuł się niezręcznie i nie na miejscu. Wysokie ściany hotelu pokrywała wypolerowana boazeria. Po lewej znajdował się kominek, na którym za ozdobną, kutą w żelazie kratą trzaskał i buzował ogień. Po obu stronach paleniska dwa królewskie fotele wyłożone pękatymi satynowymi poduszkami czekały na śmiałka, który odważy się na nich przy-siąść. Zdaniem Fina, a nie miał w tej kwestii doświadczenia ani wiedzy, wyglądały na stare i bardzo cenne. Przed kominkiem rozciągał się długi, bogato zdobiony dywan - chyba perski? - który sięgał niemal do kontuaru recepcji.

Kontuar. Nie sposób było nazwać inaczej tego olbrzymiego potwora z litego drewna, na grubych toczonych nogach, o blacie pokrytym skórą. Oświetlone miękkim blaskiem dużej lampy z zielonym abażurem, siedziały za nim dwie kobiety, pracowicie i w skupieniu zapisując kartki, które piętrzyły się w wysokich stosach. Kobiety przerywały tylko po to, żeby zanurzyć pióra w staroświeckim kałamarzu. Starsza od czasu do czasu kontrolowała pracę młodszej.

Fin ruszył powoli w ich stronę; każdy krok jego zdartych szkolnych butów odbijał się echem na kamiennych płytach, a mimo to żadna z kobiet nie podniosła oczu. Przez

chwilę stał przed nimi niezgrabnie. Odkasznął. Młodsza uniosła głowę i uśmiechnęła się pytająco, odkładając swoje dziwne pióro. Finmere przyglądał mu się przez moment. Zawsze myślał, że takimi piórami piszą tylko dzieci w szkole, i tylko w zeszytach do ćwiczeń. O ile się na tym znał, dorośli pisali wszystko na komputerze. Przynajmniej tym jego nauczyciele tłumaczyli swoje koślawe bazgrały. Ale w recepcji Rookeries w ogóle nie było komputera. Dziwne.

- Czym mogę służyć? - Kobieta uśmiechała się ściągniętymi ustami, jakby zastanawiała się, co ten niechlujny nastolatek robi w ich pięknym, pełnym antyków przybytku. Krzywiąc się lekko, omiotła wzrokiem ubłocone nogawki czarnych spodni, dawno niepastowane buty i kawał białej koszuli, wyłażący spod swetra. - Nie powinienes być w szkole?

Starsza z kobiet nawet na niego nie popatrzyła; mamrocząc pod nosem, zapisywała w rubrykach jakieś liczby.

- Ehm... jestem Finmere Tingewick Smith.

Twarz młodszej recepcjonistki pozostała niewzruszona. Pod jej zimnym spojrzeniem Fin stracił resztkę śmiałości. Zaczął nerwowo skubać rękaw swetra i zerknął na okrągły zegar w mahoniowej szafce, który wisiał na ścianie za kontuarem.

- Eee, sędzia Harlequin Brown powiedział, że mam się tu z nim spotkać. Punktualnie o drugiej. - Zegar wskazywał za kilka minut drugą.

Kobieta pochyliła jasnowłosą głowę i idealnie wypielęgowanym paznokciem przesunęła wzdłuż listy nazwisk w oprawionym w skórę rejestrze.

- Obawiam się, że obecnie nie gościmy nikogo o tym nazwisku - powiedziała i natychmiast wróciła do swoich dokumentów.

Fin przyglądał się jej przez chwilę niepewny, co począć. Cóż, sędzia mówił, żeby nalegać.

- Przepraszam - zaczął, próbując nadać głosowi zdecydowany ton. - To Rookeries, prawda?

Blondynka z westchnieniem podniosła głowę.

- Tak, oczywiście. Nie widziałeś szyldu?

Fin skinął głową.

- Jedyne Rookeries na Cowcross Street?

Rzuciła mu obojętne spojrzenie.

- Gdyby było ich więcej, mogłoby to być dość mylące, nie sądzisz?

- Więc to tutaj - odezwał się cicho. Nie chciał być niegrzeczny, ale postanowił, że nie da zbić się z tropu. Przysunął się do kontuaru. - Czy mogłaby pani jeszcze raz sprawdzić? Sędzia Harlequin Brown. Powiedział, że mam zapytać o apartament Rookhaven.

- W takim razie wszystko jasne. - Kobieta najwyraźniej straciła cierpliwość. - W ogóle nie mamy takiego apartamentu!

Oparła dłonie na biodrach i przeszła Fina takim wzrokiem, jakby popełnił jakąś zbrodnię.

Starsza kobieta przestała mamrotać i podniosła oczy znad papierów. Czując na sobie jej chłodne, oceniające spojrzenie, Fin odruchowo wyprostował się i wygładził koszulę.

- Heather, kochanie, bądź tak miła i zrób nam dzbanek pysznego earl greya.

- Ale...

- Idź, Heather - rzuciła, ostrym głosem; Fin zrozumiał, że z kimś, kto mówi takim tonem, po prostu się nie dyskutuje. Miała stalowosiwe włosy, ściągnięte w kok tak ciasny, że wydawał się napinać rysy jej twarzy i podnosić kąciki oczu. A może taki wygląd nadawał jej makijaż: grube kreski na powiekach.

Zaczekała, aż młodsza kobieta zniknie, i wyszła zza kontuaru.

- Apartament Rookhaven? - zapytała, unosząc perfekcyjnie wyskubaną brew i przyglądając się uważnie Finowi, który przełknął ślinę i przytaknął. Marzył teraz tylko o jednym: żeby parkiet rozstąpił się pod nim i wessał go w czarną dziurę. W tym momencie zegar nad kontuarem wybił miękko drugą i kobieta westchnęła. - Proszę za mną. - Była chuda i prosta jak patyk. Nienaganny kostium uzupełniały grube brązowe rajstopy i praktyczne czarne buty. - Nie chcemy przecież, żeby sędzia czekał.

Odwróciła się i szybkim krokiem pomaszerowała przez dywan ku drzwiom, których Fin wcześniej nie zauważył, osadzonym w boazerii za jednym z zabytkowych foteli.

- Ale tamta pani powiedziała, że nie macie apartamentu Rookhaven.

- Jeśli chodzi o tamtą panią - oznajmiła recepcjonistka, naciskając kławkę - to nie mamy.

Zastanawiając się - po raz kolejny - nad dziwami i sekretami świata dorosłych, Fin

poszedł za nią przez długi pokój o szkarłatnych ścianach. Środek pomieszczenia zajmował wielki stół jadalny, a na końcu huczał ogniem kolejny kominek. Na wysokiej narożnej serwantce stał wazon z kolorowymi liliami, które pachniały akurat tak silnie, żeby woń wypełniała pomieszczenie, ale nie męczyła. Fin naliczył wzdłuż stołu dziesięć krzeseł. Jego oczy rozszerzyły się na widok lśniących kryształowych szklanek, wypolerowanych srebrnych sztućców i wachlarzy z białych lnianych serwetek przy każdym nakryciu.

- Niesamowite - westchnął. Jadalnia była nawet bardziej imponująca niż ta, którą znał z St Martin's, a tamta naprawdę robiła wrażenie.

- Staramy się, jak możemy - powiedziała rzeczowo kobieta, otwierając następne drzwi i wprowadzając Fina do pomieszczenia, które mogło być biblioteką albo bawialnią; w każdym razie czymś, co jego zdaniem istniało tylko w powieściach Dickensa albo w tych ciągnących się godzinami wiktoriańskich dramatach, które telewizja nadawała co roku w Boże Narodzenie. W pokoju stało kilka staroświeckich foteli z podłokietnikami i dwa czy trzy małe biurka: na każdym w kręgu światła z lampki leżały w takiej samej konfiguracji gazeta, mały notatnik i pióro. Fin zastanawiał się, czy goście mają dość odwagi, żeby czeokolwiek dotknąć. Może nie. Może dlatego wszystko w tym hotelu wyglądało tak idealnie.

Przy otwartym kominku zauważył małe mosiężne wiaderko z szyszkami sosnowymi. Ktoś musiał dorzucić już kilka do ognia: zamykając oczy, Fin mógł sobie bez trudu wyobrazić, że jest w chatce drwala, hen, w leśnych ostępach... Oczywiście nigdy nie był w chatce drwala, ale w dzieciństwie uwielbiał bajki i przeczytał ich dość, żeby wiedzieć, jaka woń wypełnia taką chatkę... Ciepły, żywiczny, świeży zapach, właśnie taki, jak w tym pokoju.

- Zamknij drzwi. - Kobieta przynagliła go ostrym spojrzeniem. Stała przy jednej z szaf bibliotecznych.

- Ach, tak. Przepraszam. - Fin posłusznie wykonał polecenie. Poczul, że lepią mu się dłonie, zupełnie jakby znalazł się nagle pod czujnym okiem Utopca Marsha. Coś mu mówiło, że Utopiec polubiłby tę kobietę. Mogłaby być doskonałą nauczycielką w czasach, które wciąż z żalem wspominał: kiedy podstawą nauczania były dyscyplina i klapsy wymierzane linijką i nikt nie wygłaszał ckliwych bredni o „opiece” czy

„wrażliwości”.

Dopiero kiedy Finmere zatrzasnął drzwi do jadalni, kobieta przeniosła wzrok na szafę z książkami. Stała na palcach, żeby dosięgnąć górnej półki, i przesuwała dłoń, aż dotknęła grzbietu grubego woluminu w błękitnej oprawie. Wbiła w niego krótko przycięte paznokcie, ale go nie wyjęła, tylko odchyliła o czterdzieści pięć stopni w swoją stronę i od razu wsunęła z powrotem. Zaciskając wąskie wargi, aż niemal całkiem zniknęły, ponownie wyciągnęła rękę - tym razem do starej książki w wyblakłej brązowej okładce - i powtórzyła całą operację.

Finmere patrzył na nią wielkimi oczami. Co to ma znaczyć? Recepcjonistka, mamrocząc coś pod nosem, znalazła trzecią książkę, po czym, z westchnieniem ulgi, przeszła do łatwiej dostępnych, niższych półek. Teraz poruszała się szybciej, precyzyjnymi, krótkimi gestami wybierając jeden tom za drugim, bez wyraźnego porządku, odchylając każdy i wkładając na miejsce. W końcu wyprostowała się i uśmiechnęła. Nie było w tym uśmiechu ciepła, tylko zadowolenie z dobrze wykonanej roboty.

Wyglądziła niewidoczne fałdy na spódnicy i dotknęła ciasnego koka, żeby sprawdzić, czy jakiś niesforny włos nie próbuje się uwolnić. Finmere wątpił szczerze, by jej włosy ośmieliły się zbuntować. Przez jego głowę przeleciała wizja recepcjonistki w staroświeckiej koszuli nocnej: w ręku trzymała zszywacz i starannymi ruchami przybijala pasma włosów do głowy. Obraz rozplynął się - na szczęście - spłoszony nagłą seria metalicznych trzasków.

Rozejrzał się, żeby zlokalizować źródło dźwięku, ale zanim mu się udało, zauważył, że coś dzieje się w miejscu, w którym półki stykały się z kominkiem. Pojawiła się tam szczelina, szeroka może na trzy centymetry, a szafa biblioteczna przesunęła się lekko do przodu. Finmere stracił oddech. Sekretne przejście. Jeszcze jedno sekretne przejście. Zakręciło mu się w głowie.

Trzymając dłoń na krawędzi, kobieta zaczekała, aż półki całkiem się odchyła.

- No, wchodź. Muszę dokończyć rachunki. Nie mogę tu stać cały dzień.

Finmere otrząsnął się i zbliżył, zaglądając w głąb otworu. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia. Według jego wyobrażeń w tajnych przejściach stęchły mrok powinny rozświetlać kopące świece albo dymiące lampy gazowe. Spodziewał się też wilgoci i

uciekających w popłochu szczurów. Tymczasem patrzył na niewielki kwadratowy hol. Na przeciwległej względem wejścia ścianie, na wieszaku, zobaczył długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy, czerwoną jedwabną tokę i perukę.

Po prawej stronie znajdowały się solidne drewniane schody prowadzące w górę i zakręcające na wysokości dziesięciu metrów. Z sufitu zwisała staroświecka witrażowa lampa w stylu Tiffany'ego, z której biło zupełnie nowoczesne światło halogenowej żarówki. Korytarz był ciepły i suchy, a podłogę pokrywał gruby biały dywan, dokładnie taki, jak w Domu Telluriów. Fin poczuł falę lekkiego zawodu.

- I zdejmij obuwie - dodała jeszcze recepcjonistka.

Niepotrzebnie: na widok dywanu Finmere odruchowo stanął na jednej nodze i zaczął stopą ściągać but. Kobieta skinęła głową.

- Kiedy sędzia z tobą skończy, musisz pociągnąć tę dźwignię, żeby stąd wyjść. - Wskazała starą srebrną rączkę zamocowaną w szafie na zawiasach, czy też w drzwiach z półkami. - Jeśli nie otworzy się od razu, to znaczy, że w bibliotece jest jakiś gość. Drzwi zostaną zamknięte, póki biblioteka nie będzie pusta. Zrozumiałeś?

Fin przytaknął, chociaż - jak zwykle - nie był wcale pewien, że cokolwiek rozumie. Skąd drzwi będą wiedzieć, że ktoś jest w pokoju? Ukryta kamera? Czujnik ruchu, jak w filmach z Bondem? Trochę dziwny wynalazek jak na hotel, w którym nie ma nawet komputera.

- Jeśli będziesz długo czekał, pociągnij dźwignię dwa razy. Przyjdę tu z recepcji i opróżnię pokój. - Zmierzyła go chłodnym wzrokiem. - Ale radzę, żebyś uzbroił się w cierpliwość. Nie przeszkadzaj mi, chyba że będziesz musiał tu siedzieć naprawdę bardzo długo.

Wyszła do biblioteki i odwróciła się do Fina.

- Większość naszych gości cały dzień spędza w City, na spotkaniach.

Fin zdecydował, że prędeż wrośnie w dywan, nim pociągnie dwa razy za dźwignię.

- Nie pokaże mi pani, dokąd iść? - wybełkotał.

Uniosła brwi.

- Zdaje się, że to oczywiste. - Jej głos był suchy jak studnia na środku Sahary.

Kościstym palcem wskazała schody. -Do góry, chłopcze. Do góry.

Z tymi słowami zamknęła szafę drzwi. Fin został sam. Ściana, która pojawiła się

nagle przed jego oczami, była pokryta jak wszystkie pozostałe grubą kremową tapetą tłoczoną w złote burbońskie lilie. Oczywiście, pomyślał, odwracając się: „Do góry”.

Gładka drewniana poręcz wydawała się ciepła w dotyku. Fin chwycił ją i zaczął się wspinać po schodach. Przez szkolne skarpetki - które akurat nie miały ani jednej dziury - czuł fakturę grubego wełnianego chodnika na stopniach. Co to za miejsce? Dlaczego sędzia tutaj mieszka? A może tylko pracuje? Tak czy inaczej, wszystko to wyglądało bardzo tajemniczo: ludzie zwykle nie mieszkają za sekretnymi przejściami w dziwnych hotelach, w których rejestrach nie ma nawet ich nazwiska. Świat tak nie działa... a raczej nie działał do wczorajszej nocy, kiedy Finmere znalazł ukryty pokój w Domu Tel-luriów. Od tej chwili tajne przejścia wyskakiwały z każdego kąta.

Schody zaprowadziły go do korytarza z czterema parami drewnianych drzwi i kolejną klatką schodową w rogu.

- Eee, halo? Panie sędzio? - W ciszy jego głos zabrzmiał bardzo głośno. Fin przestąpił z nogi na nogę. A jeśli sędziego tutaj nie ma? Jeśli coś zatrzymało go w sądzie? To byłby dramatyczny koniec dnia: nie dowie się, co sędzia chciał mu powiedzieć, a to znaczy, że w szkole narobił sobie kłopotów zupełnie bez sensu.

- Halo?! - zawołał, tym razem nieco głośniejszym głosem, starając się opanować nerwy.
- Finmere? To ty? - Głos sędziego dobiegł gdzieś z wysoka.

Fin uśmiechnął się z ulgą.

- Tak, to ja.
- Wejdz tu, chłopcze. Jestem w gabinecie.

Fin ruszył na kolejne piętro spiralnymi schodami, tak wąskimi, że zaraz zakręciło mu się w głowie. Sędzia musi być sprawniejszy, niż wygląda, jeśli przez cały dzień biega po tych stopniach. Z drugiej strony, ma gabinet ukryty za ścianą biblioteki w bardzo szczególnym hotelu w Clerkenwell. Biorąc to wszystko pod uwagę, zaczął podejrzewać, że sędzia Brown jest kimś innym niż surowy i oschły starzec w peruce i czerwonej todze, którego widuje co roku w dniu urodzin.

Drzwi na końcu korytarza były lekko uchylone. Zapukał.

- Wchodź, wchodź - odezwał się sędzia.

Fin pchnął drzwi i przekroczył próg.

- Dzień dobry panu - powiedział, zastanawiając się, dlaczego tak zaschło mu w

ustach. Na środku pokoju stało wielkie biurko, na którym piętrzyły się stosy książek i teczek związanych różowymi tasiemkami. Spod papierowych i kartonowych zwalów wyglądał gdzieś tam fragment obitego skórą blatu.

Za biurkiem, na masywnym krześle siedział sędzia Harlequin Brown. Zerknął na Fina znad okularów, które zsunął na czubek nosa.

- Jest punkt druga. Bardzo dobrze. - Jego oczy świeciły żywo wśród zmarszczek. - Czas to wystarczająco dziwna rzecz, nawet jeśli ludzie się nie spóźniają.

- Tak, proszę pana - zgodził się Finmere, zachodząc jednocześnie w głowę, co sędzia ma na myśli. Może czas robi się dziwny, kiedy człowiek się starzeje, ale Fina na razie nigdy jeszcze nie zaskoczył. Sekundy zmieniały się w minuty, minuty w godziny i tak dalej: grzecznie, równo i w najlepszym porządku.

- Nalej herbaty, Finmere. Muszę podpisać te dokumenty, zanim zaczniemy rozmowę.

Fin kiwnął głową i się rozejrzał. Gabinet musiał znajdować się na szczycie budynku, w osmiokątnej wieżyczce. Pomyślał o dwóch kobietach, które dodawały słupki cyfr przy tamtym biurku, kilka pięter niżej, i przez moment miał wrażenie, że trafił do innego świata. Zauważył imbryk stojący na srebrnej tacy na niskim stoliku pod jednym z okien. Nalał do obu filiżanek nieco mleka, uważając, żeby nie rozchlapać, i wypełnił je parującym, aromatycznym płynem. Earl grey. Kobiety na dole pewnie piły to samo.

- Wyjrzyj przez okno - zaproponował sędzia, nie podnosząc głowy znad dokumentów o poważnym, urzędowym wyglądzie, na których składał nieczytelne podpisy i dodawał uwagi. - Myślę, że widok ci się spodoba.

Fin zostawił filiżanki na srebrnej tacy i podszedł do jednego z okien. Chociaż listopadowe niebo było szare i zachmurzone, nie mógł powstrzymać uśmiechu. To było niesamowite! Przed jego oczami rozciągały się roztańczone szeregi nierównych londyńskich dachów, skośnych, z łukami, z kopułami, płaskich i spiczastych, czepiających się sąsiadów lub sterczących jak dumni samotnicy. Mozaika niepasujących do siebie szczegółów przypomniła o wiekach istnienia miasta.

Widok znajomej statui stojącej dumnie na szczycie jednego z budynków po lewej stronie zaparł mu dech w piersiach.

- Widzę stąd Old Bailey! - zawołał. - Widzę kobietę z wagą.

Sędzia Brown zachichotał za jego plecami.

- Wspaniała, prawda? Tak niewielu ludzi spogląda w górę. Przez całe życie patrzają tylko w dół albo prosto przed siebie. Nie przestaje mnie to zadziwiać. - Cmoknął niecierpliwie. - Strata czasu. Widzisz katedrę Świętego Pawła?

Panorama Londynu z tej wysokości była tak oszałamiająca, że Finmere na chwilę zapomniał o zdenerwowaniu.

- Tak! Tak, widzę kopułę. Jest fantastyczna!

- Dobrze - powiedział cicho sędzia Brown. - Póki wiesz, gdzie są te dwa budynki, nie możesz się zgubić. Czasami, wieczorem, kiedy mam czas pomyśleć, lubię wyglądać przez to okno. To mi daje poczucie miejsca i perspektywy. Przypomina, co jest naprawdę ważne.

Smutek w jego głosie kazał Finowi się odwrócić.

Starszy mężczyzna patrzył w stronę okna z wyrazem tęsknoty na twarzy. Kiedy zauważył, że Fin mu się przygląda, przybrał zwykłą, surową minę i wyprostował się na krześle.

- Przynies tu herbatę, Finmere, i siadaj.

Fin był zadowolony, słysząc znów ten rozkazujący ton. Lubił wiedzieć, że sędzia Brown jest surowy, poważny i nieprzystępny. Wszystko inne sprawiało, że czuł się bardzo niepewnie.

Ostrożnie ustawił filizanki na uprzątniętym pospiesznie kawałku blatu i przyciągnął sobie krzesło tak, że mógł usiąść na wprost sędziego. Rzeźbione ornamenty oparcia wbiły mu się w kręgosłup, więc przesunął się, żeby znaleźć najwygodniejszą pozycję.

Sędzia Brown złożył kościste ręce na blacie biurka i się pochylił. Jeden z jego łokci spoczywał na teczce, a serce Fina podskoczyło, gdy na nią spojrział. W odróżnieniu od pozostałych, tę związano czarną tasiemką, a chociaż leżała do góry nogami, doskonale mógł odczytać swoje nazwisko wydrukowane w lewym rogu. Przełknął ślinę. Czy w środku są jego świadectwa ze szkoły? Jakże jeszcze dokumenty może przechowywać sędzia Brown? Badania lekarskie? Kartę od dentysty? A może siada od czasu do czasu wraz z innymi starcami - przynajmniej tymi, którzy nie śpią - żeby przejrzeć zawartość i ocenić, czy Finmere'em nadal warto się opiekować? Żołądek Fina skręcił się boleśnie. Chciało mu się wymiotować.

- A więc, Finmere - sędzia zsunął okulary na sam czubek cienkiego nosa - masz już szesnaście lat, a to ważny wiek. Jesteś na progu dorosłości, między jednym światem a drugim. To bardzo ekscytujący czas.

Rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy na pewno są sami, i ściszył głos.

- I bardzo poważny

Fin zmarszczył brwi. Coś podobnego powiedział mu wczoraj wieczorem Ted.

Sędzia pociągnął łyk herbaty.

- I czas chyba najwyższy, żebyś dowiedział się nieco więcej o tym, kim jesteś i skąd pochodzisz. - Pokręcił lekko głową. - Podrzutek! Skąd ten szalony pomysł?

Fin wzruszył ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Ja tylko myślałem... wie pan... - zawiesił głos i zakończył wypowiedź kolejnym wzruszeniem ramion. Wyraz twarzy sędziego dobitnie wskazywał, że nie został zrozumiany.

- Cóż, to oczywiste. Nie zostałeś porzucony. - Sędzia odchrząknął. - Zostałeś umieszczony. Tutaj. Gdzieś. Gdzie będziesz bezpieczny.

Wpatrywał się w Fina z taką mocą, że chłopak musiał przytaknąć. Krzesło, na którym siedział, zrobiło się jakby twardsze i jeszcze bardziej niewygodne. Skoro sędzia użył słowa „bezpieczny”, czy to znaczy, że coś mu zagraża?

- Widzisz, Finmere... - Starszy mężczyzna umilkł i złożył dłonie w daszek. - Rzeczy są albo nigdzie, albo gdzieś. Rozumiesz? A ty zostałeś umieszczony gdzieś. A nie nigdzie. I nikt z nas nie ma pojęcia, czy należysz tu, czy tam. A może i tu, i tam?

Fin pomyślał, że gdyby sędzia zabrał się do wyjaśniania, skąd się biorą te dzieci, których nie znajduje się na schodach Old Bailey, na pewno szłoby mu równie koślawo.

- Och, tak trudno to wytłumaczyć... Ale chyba zaczynasz już łapać? - Starszy mężczyzna spojrzał na niego z nadzieją. - Prawda?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Fin, czując, że zaczyna go boleć głowa. Bardzo chciał uspokoić sędziego Browna, ze względu na niego i na siebie. - Gdzieś i nigdzie.

- Właśnie! - wykrzyknął sędzia. - Wiedziałem, że zrozumiesz. Bystry z ciebie chłopak, Finmerze Tingewicku Smisie. Nauczyciele muszą być z ciebie dumni.

Westchnął z ulgą i zadowoleniem.

- A skoro masz już szesnaście lat, czas, żebyś dostał to.

Rozwiązał teczkę, z papierowej kieszonki wyciągnął niewielki przedmiot i popchnął po blacie. Fin złapał go i obrócił w palcach. Nigdy w życiu nie widział nic podobnego. Czarno--złoty pierścień z ciemnozielonym kamieniem był ciężki, jakby wykonano go przed wiekami, których upływ dodawał mu wagi.

- Był w twoim pudełku. Tak się dowiedzieliśmy, rozumiesz? Ted go zobaczył i od razu przyniósł cię do mnie. I już wiedziałem, że musimy cię chronić.

Głos sędziego zmiękł, ale Fin i tak słuchał tylko jednym uchem. Patrzył na swój środkowy palec, na który włożył pierścień. Okazał się nieco za duży, ale chciał go nosić. Teraz miał kocyk, wielki dziwny dom, w którym bywał raz do roku, i pierścień. Na myśl o nieoczekiwanym wydłużeniu się listy rzeczy, które mógł uważać za własne, chciało mu się... śmiać? Płakać? Nie wiedział.

W jego głowie błysnęło nagle wspomnienie. Trzy świnki. Tamten gwizd.

- Widziałem taki pierścień - wyszeptał. - Wczoraj wieczorem w domu.

Teraz był już pewien: starzec w ukrytej sypialni nosił dokładnie taki sam klejnot.

Sędzia Brown uniósł brew.

- Wcale mnie to nie dziwi. Cóż, tego nie da się uniknąć. -Rozsiadł się wygodniej i napił herbaty. Zmarszczki na jego twarzy nieco się wygładziły. - Muszę powiedzieć, że bardzo mi ulżyło. - Uśmiechnął się. - Teraz, skoro już wszystko rozumiesz, na pewno będzie ci się żyło trochę łatwiej. Na swój sposób.

Kiedy podniósł rękę, żeby zerknąć na zegarek, Fin oderwał wzrok od pierścienia. Chciał się przyjrzeć tajemniczemu cyferblatowi, który przez moment widział zeszłej nocy. Ale teraz nic nie zobaczył - i prawdę mówiąc, nie wydawało mu się to takie ważne... ponieważ miał pierścień. Nowy kawałek w układance, którą było jego życie. Ten fakt wreszcie do niego docierał. Poczul, że mrowią go palce.

- Dobry Boże, już wpół do trzeciej! - Sędzia Harlequin Brown klasnął w dłonie. - Lepiej biegnij do tej swojej szkoły. O trzeciej mam ważną rozprawę. Podwójne morderstwo. Paskudna rzecz.

Fin chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić ani słowa. Miał tyle pytań, tylu rzeczy nie rozumiał - ale w głowie czuł jakby mętną mgłę, a wszystkie słowa utknęły gdzieś między językiem a ustami.

Sędzia wbił w niego zniecierpliwione spojrzenie.

- No, idź już. - Osadził okulary na szczycie nosa. - Czas na żadnego nie czeka człowieka. Ani na chłopca.

- Tak, proszę pana, oczywiście - wykrztusił wreszcie Fin. Wstał i ostrożnie zaniósł niewygodne drewniane krzesło na dawne miejsce.

- Dobrze. - Sędzia posłał mu krótki, zaskakująco ciepły uśmiech, po czym pochylił głowę nad stosem teczek i wydobyl jedną gdzieś ze środka.

Fin patrzył na czubek jego łysiejącej głowy i rzadkie siwe kosmyki włosów. Patrzył z takim napięciem, że mógł już odróżnić poszczególne plamy wątrobowe na lśniącej skórze. Przyjemnie było włożyć złoty pierścień, ale Fin uświadomił sobie, co oznacza jego ciężar na palcu: kolejne pytania bez odpowiedzi.

W końcu zdał sobie sprawę, że sędzia Brown zatonął w swojej pracy, i westchnął cicho. Jego serce i żołądek robiły jakieś dziwne rzeczy w brzuchu, jakby próbowały się spotkać w środku drogi. Wziął głęboki oddech, żeby zmusić je do powrotu na swoje miejsca. Przywykł do pytań - ciągle rodziły się w jego głowie i zdaje się, że jeszcze trochę będzie musiał z nimi pożyć.

Odwrócił się, cicho wyszedł przez drzwi i ruszył w stronę schodów. Ale gdy tylko stanął na pierwszym stopniu, zatrzymał się. Serce waliło mu jak oszalałe i poczuł nagłą falę gniewu na samego siebie.

Dlaczego kiwał głową jak tuman i powtarzał, że rozumie, skoro nie rozumiał?! W szkole nie był takim ciamajdą - przynajmniej nie zawsze. Kiedy sędzia zaczął mówić, że rzeczy są gdzieś albo nigdzie, albo tu i tam, trzeba było po prostu podnieść rękę. Co by go to kosztowało? A ta historia, że znaleźli w jego pudełku pierścień i zaraz wiedzieli, że muszą go chronić - o co właściwie chodziło?

Przygryzł wargę. Od siedemnastych urodzin i kolejnej szansy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, dzieliły go trzysta sześćdziesiąt cztery dni. Cała wieczność. Lekki podmuch powietrza wypadł na schody przez uchylone drzwi do gabinetu i zmierzwił mu włosy nad czołem. Dobra. Dostyc tego. Nie ma mowy, żeby czekał kolejny rok. Musi tam wrócić.

Wyprostował plecy, próbując poczuć się doroślejsz, zawrócił w stronę gabinetu i pchnął drzwi.

- Panie sędzio... - zaczął, zadowolony, że jego głos nawet za bardzo nie drży. -

Wiem, że mówiłem, że rozumiem, ale tak naprawdę... nie zrozumiałem...

Słowa zamarły mu w gardle. Nie mógł uwierzyć w to, co widział. W powietrzu między nim a biurkiem dmuchnął przeciąg, aż zafalowały luźne kartki. Po czole Finmere'a znów przeleciał chłodny powiew, ale chłopak ledwie zwrócił na to uwagę.

- Sędzio Brown? - szepnął, podchodząc powolutku i odruchowo zaciskając rękę w pięść, jakby chciał chronić swój pierścień. Wyszedł z pokoju tylko na kilka chwil... i w tym krótkim czasie coś tu się stało... coś strasznego...

Sędzia Harlequin Brown osunął się na krzesło. Jego ręce zwisały bezwładnie po obu stronach. Wilgotna czerwona plama rozlewała się po koszuli jak rozkwitająca róża. Fin zakrył usta, żeby nie krzyknąć jak małe dziecko. W środku klatki piersiowej starca tkwiła rękojeść złotego miecza. Po jednej jej stronie lśniło kilka czarnych kamieni, a po drugiej migotał jeden wielki czerwony - wyglądał, jakby kpił z morza krwi, którą wytoczył.

Świat zawirował. Szum oddechu w głowie narastał jak huk wzbierającego oceanu. W duszy Fina otworzył się mroczny otwór, z którego coś wyciągnęło łapy, jakby chciało go schwytać - i zniknęło, otwór się zamknął, zanim Fin zdał sobie sprawę, że w ogóle tam był.

Sędzia zacharczał, kołysząc zwieszoną okropnie głową, i to wreszcie wyrwało Fina z odrętwienia. Obiegł biurko i podtrzymał głowę starca drżącymi, spoconymi dłońmi. Okulary sędziego musiały spaść na podłogę; rozszerzone źrenice znalazły Qczy Fina.

- Wezwę pogotowie - wybełkotał Finmere. - Zadzwońię po policję... zaraz...

- Nie ma czasu - wykrztusił sędzia. Nie wierząc, że to słyszy, Fin poczuł, jak oczy palą go od łez.

- Ale pan jest... trzeba wezwać policję... - Patrzył na rękojeść miecza, sterczącą dumnie nad wychudzonym starym ciałem. Niech pan nie umiera, chciał powiedzieć. Proszę, proszę. Uderzyła go fala zimna, a potem ściana żaru. Przestraszył się, że zemdleje. Uczucie niedowierzania musiało ustąpić faktom. To wszystko działo się naprawdę... było zbyt prawdziwe.

Sędzia podniósł rękę i chwycił nadgarstek Fina lodowatymi palcami.

- Słuchaj, Finmere. Uważnie. - Jego głos brzmiał wilgotno, jakby płuca i krtań wypełniał płyn. Oczy uciekały mu w głąb czaszki, ale po chwili zebrał siły i powiedział wyraźnie: - Weź miecz.

- Nie! - Wstrząśnięty Fin aż podskoczył. - Nie mogę...

Zimny uścisk palców stęzał wokół jego dłoni. Sędzia niemal przebijał go wzrokiem.

- Finmere, musisz wziąć miecz. - Oddech rwał mu się w piersi. - Weź miecz.

Znajdź Teda.

Zamilkł. Fin zaczął się trząść, ale wtedy sędzia dokończył resztką sił:

- Ted wie, co... trzeba zrobić...

Gorące łzy spłynęły z oczu Fina na twarz sędziego Browna.

- Obiecuj mi, że weźmiesz miecz, Finmere. - Jego głos zanikał. - To ważne.

Może dlatego, że starzec nie mógł skupić wzroku, a może dlatego, że Fin miał oczy pełne łez, ich spojrzenia rozdzieliły się i odpłynęły.

- Obiecuję - wymamrotał wreszcie.

Sędzia zdołał jeszcze uścisnąć go słabnącą dłonią.

- Dobry chłopiec - powiedział niemal niesłyszalnie. - Zawsze byłeś dobrym chłopcem.

Uśmiechnął się blado. Między zębami lśniła krew.

- Czas na przygodę... dla nas obu. Ale moja... odbędzie się już gdzie indziej. -

Ostatni raz popatrzył Finowi w oczy. -Miecz, Fin. Musisz wziąć miecz.

Jego usta otworzyły się szerzej, ciało naprężyło się i lekko zadrżało. A potem Fin poczuł w ramionach straszny ciężar martwej głowy sędziego Harlequina Browna.

Jego opiekun odszedł.

Fin stał i patrzył na ciało. Wydawało mu się, że trwa to już całą wieczność. Stopy miał jak z kamienia, kiedy do bólu oczu wypatrywał jakiegoś ruchu, drgnięcia palca, jeszcze jednego oddechu zmasakrowanej piersi. Ale nic się nie działo, tylko serce Fina waliło w jego uszach jak dzwon.

Nagle poczuł się sam, straszliwie sam, a oprócz szoku i żalu pojawiło się pierwsze ukłucie strachu. Rozejrzał się. Gabinet był pusty i cichy; nie tykał nawet zegar. Fin z trudem przelknął ślinę. Ktokolwiek to zrobił, musiał być gdzieś w pobliżu. Rozglądał się w koło, ale nie zauważył żadnego poruszenia. Czy morderca mógł się jakoś wymknąć? Może przez okno?

Spojrzał na grube szyby. Wszystkie okna były zamknięte, a zasuwę opuszczone.

Więc jeśli morderca nie jest ninja... ale to przecież nie marny film akcji, to się dzieje naprawdę. To się dzieje naprawdę! Fin odtworzył w myślach tych kilka chwil między wyjściem z gabinetu a powrotem. Miał wrażenie, że od tego momentu minęło wiele godzin. Był za drzwiami tylko kilkadziesiąt sekund - najwyżej minutę - i po prostu niemożliwe, żeby ktoś zdążył wejść przez okno, zabić sędziego i uciec. A poza tym te zasuwki nie wyglądały, jakby ktoś w ostatnim czasie je podnosił.

Obejrzał się. Może ten człowiek ukrył się za drzwiami, a kiedy Fin wszedł, wymknął się na schody. To już bardziej prawdopodobne. Brzmiało nawet rozsądnie, chociaż cichy głosik w głowie Fina szeptał, że zauważyłby przecież, gdyby ktoś wyszedł z gabinetu za jego plecami. A najgorsza w tej hipotezie była możliwość, że morderca czeka na niego na dole schodów.

Nagle Fin uświadomił sobie, że wciąż stoi za krzesłem sędziego i trzęsie się, aż kości obijają się o siebie, a zęby stukają jak kastaniety. Niechcący ugryzł się w język i z bólu łzy stanęły mu w oczach. Przynajmniej otrząsnął się z paraliżującego przerażenia. Poczł w ustach metaliczny posmak krwi i opanował chęć splunięcia. Musi się stąd wydostać.

Zdaje się, że tylko krok dzielił go od ataku paniki. A na to nie mógł sobie pozwolić - przecież dostał od sędziego jasne wskazówki. Szalony rytm serca uspokajał się powoli, w miarę jak Fin powtarzał w głowie słowa Harlequina Browna: ma znaleźć Teda. Ted będzie wiedział, co robić. Stary strażnik na pewno potrafi wyjaśnić to wszystko policji lepiej niż on sam.

Spojrzał na ozdobną rękojeść miecza, która mrugała do niego znad rozdartej piersi sędziego. Czy chciał, czy nie, musiał wydobyć ostrze. Obiecał to umierającemu mężczyźnie i nie mógł złamać słowa. Nie teraz.

Przełknął głośno, ściągnął kurtkę i rozłożył ją na biurku, na teczkach z różowymi tasiemkami. Zacisnął powieki i złapał zimny metal. Kiedy napiął mięśnie, poczuł, jak wszystkie klejnoty rękojeści wbijają mu się w spocone dłonie.

- Przepraszam - szepnął ostatni raz do jedyne go opiekuna, jakiego kiedykolwiek znał. Wstrzymał oddech, zamknął oczy i pociągnął mocno. Myślał o Joem, o Christopherze, o tajemniczym pierścieniu, który dopiero co otrzymał, o kocyku, w którym go znalezione, i ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tym, że miecz wysuwa się z ciała sędziego Harlequina Browna tak gładko, jakby tkwił w maśle, a nie mięśniach, kościach i skórze.

Wreszcie wyszedł cały, a z dziury wylała się struga krwi. Fin odskoczył, obawiając się, by nie chlapnęła mu na rękę albo na szkolny mundurek. Nie chciał, żeby splamiła go ta straszna zbrodnia, a jakaś mała cząstka w nim bała się, że jeśli krew pryśnie na skórę, już nigdy jej nie zmyje. Rzucił miecz na kurtkę, starając się odpędzić wizję, że broń, wyrwana z ciała ostatniej ofiary, skoczy teraz ku niemu. Ten miecz sprawiał, że Fin czuł coś dziwnego w środku - coś, co powinien umieć nazwać, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Broń wydawała się w jakiś sposób znajoma... choć było to bez sensu. Nigdy w życiu nie widział nic podobnego.

Pod warstwą gęstej karmazynowej krwi złoto niemal świeciło - aż wokół miecza, na tle kurtki, tworzyła się lśniąca aureola. Ostrze też było niezwykle: obie krawędzie ostre od rękojeści po szpic. Fin przeczuwał, że gdyby ich dotknął, miecz przeciąłby mu palce do kości. Zadrżał. Im dłużej patrzył, tym dziwniej się czuł.

W jego głowie otwierały się jakieś drzwi, ale za nimi była tylko straszliwa, ziejąca mrokiem pustka, więc zaraz zatrzęsła je w myślach, zerkając na zaplamiony krwią metal w fałdach kurtki. Był dziwny. Nie umiał tego inaczej określić. I zabił sędziego. Ta myśl zabolęła tak bardzo, jakby ostrze wbiło się również w jego serce.

Nie chciał już patrzeć na miecz. Szybko zawinął go w kurtkę, obwiązując rękawami, i z wahaniem podniósł. Kiedy przycisnął pakunek do piersi, poczuł, że przez cienki tani materiał bije gorąco. Czy było to uciekające życie sędziego, czy może to miecz tak płonął?

Nie oglądając się, ruszył do drzwi. Nie chciał już widzieć martwego ciała sędziego - bał się, że nie będzie pamiętał, jak wyglądał żywy. Nagle, już pod drzwiami, stanął jak wryty. Coś było nie tak z biurkiem. Czegoś brakowało.

Odwrócił się, czując, jak zimne szpony ściskają mu serce. Wszystkie teczki, rozrzucone po blacie i zachlapanie krwią sędziego, miały różowe tasiemki. Tej z czarną tasiemką i jego nazwiskiem nie było.

Fin przymknął oczy.

Nie dbając już, czy na dole czai się morderca, wypadł przez drzwi i zbiegł wąskimi kręconymi schodami. Gabinet sędziego ożył nagle setką cieni: duchy, potwory, nożownicy - wszyscy gotowi skoczyć mu na plecy. Im bardziej był przerażony, tym szybciej biegł, im szybciej biegł, tym bardziej się bał. Kiedy dotarł do końca korytarza,

gdzie stały jego buty, oczy miał wielkie jak spodki i ledwie dyszał.

W końcu udało mu się zatrzymać. Odetchnął głęboko. Musi się uspokoić, zanim eksplodują mu płuca i pęknie serce. Przycisnął plecy do ściany i spojrzał na schody, z których przed chwilą niemal spadł w panicznej ucieczce z miejsca zbrodni. Drewniane stopnie były puste. Nic się na nich nie pojawiło: ani potwór, ani zabójca. Mimo to patrzył w tamtą stronę, aż puls zwolnił do zwykłego tempa. Dopiero wtedy, po całych pięciu minutach, odważył się opuścić wzrok i pochylić, żeby jedną ręką naciągnąć buty.

Trzymając pod pachą miecz owinięty kurtką, pociągnął za dźwignię, modląc się w duchu, żeby szafa-drzwi się otworzyły. Jeśli kobieta z recepcji będzie musiała przyjść, by go wypuścić, wyraz twarzy Fina zdradzi jej, że coś się stało. A ponieważ na górze najwyraźniej nie ma żadnego zabójcy, kobieta nigdy nie uwierzy obcemu nastolatkowi, że nic go nie łączy z morderstwem. Zwłaszcza że wynosi z gabinetu ukryte w kurtce narzędzie zbrodni.

Coś chrupnęło i ściana ustąpiła, ukazując ciche, spokojne wnętrze biblioteki. Finmere wyszedł z ukrytego holu i z opuszczoną głową pobiegł do drzwi do jadalni. Tym razem od zapachu kwiatów wiszącego w powietrzu jak ciężki trujący gaz aż go zemdlilo. Wstrzymał oddech. Nie dotknął krzesel. Nie dotknął niczego. Ten budynek pozwolił zabić sędziego Browna i Fin nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

W drzwiach zatrzymał się na chwilę, żeby ocenić sytuację. Wyrzał ostrożnie zza framugi, wysuwając głowę, aż zobaczył całe wnętrze recepcji. Za dywanem i fotelami widział kontuar. Siedziała za nim tylko jedna z kobiet, ta młodsza. Blond włosy zasłaniały twarz pochyloną nad rachunkami.

Mijały kolejne sekundy ciszy. Fin się wahał. Tuż za drzwiami rozległ się głośny trzask: w kominku pękł kawałek drewna. Recepcjonistka nie podniosła głowy. Finmere zacisnął zęby. Teraz albo nigdy.

Wyszedł na dywan, zmuszając stopy, żeby poruszały się powoli, zamiast przyspieszyć do szalonego sprintu. Miękka wełna wyciszała odgłos kroków. Pochylił nieco głowę, ale starał się nie spuszczać wzroku z masywnych frontowych drzwi. Kiedy znajdzie się na zewnątrz, będzie mógł panikować do woli. Ale dopiero wtedy.

Dywan się skończył i chociaż Fin starał się stąpać jak naj-lżej, na parkiecie jego kroki zadudniły niczym werbel. Poczul zawrót głowy i czekał, że ryknie alarm i zatrzasną się

okiennice, zamykając go wraz z narzędziem zbrodni w tym eleganckim holu jak w pułapce... ale nic się nie stało.

Chociaż każda chwila ciągnęła się niczym całe godziny, kilka minut później - nie wierząc własnemu szczęściu - Finmere otworzył drzwi i odetchnął zimnym, świeżym powietrzem londyńskiej ulicy.

Westchnienie, które wyrwało mu się z piersi, przypominało szloch. Ruszył niemal biegiem w stronę rogu St Peter's Lane, skręcił w uliczkę i poszedł nią, ślizgając się i potykając na kocich łbach. W połowie drogi poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zatrzymał się i oparł o mur, dysząc ciężko i wymiotując tak, że o mało nie wypluł żołądka. Po raz pierwszy w ciągu tego popołudnia cieszył się, że nie zdążył zjeść obiadu. Przynajmniej nie zapaskudził sobie butów. Zamknął oczy, przycisnął plecy do szorstkiego muru i osunął się w dół, aż kolana dotknęły brody. Zadrżał z zimna, chociaż gorąca fala pokryła mu twarz szkarłatnym rumieńcem.

Kiedy otworzył oczy i zobaczył przed sobą ludzką postać, stracił oddech.

Ale to był Joe. Stał nad nim z założonymi rękami, przyglądając mu się z pytającym wyrazem okrągłej twarzy.

- Powiesz mi, o co chodzi, czy jak?

- Co do... Co ty tu robisz? - Gardło Fina płonęło od kwasu żołądkowego, a głos zgrzytał jak zardzewiała żyletka.

- O to właśnie miałem zapytać. Poszedłem za tobą, chyba jasne. - Joe przykucnął obok, opierając się o mur. - Ale co ty tutaj robisz? To ma coś wspólnego z twoim tatą? - Zmarszczył brązowe brwi. - Kiepsko wyglądasz, Fin. Co jest?

Finmere poczuł się nagle bardzo, bardzo zmęczony. Patrzył na Joe'go i sam nie wiedział, czy się cieszy, że przyjaciel go śledził, czy wręcz przeciwnie. Dobrze było zobaczyć życzliwą twarz, ale czy Joe nadal będzie się uśmiechał, kiedy odkryje, że wszystkie opowieści Fina to bajki? Bardzo wątpliwe. Na moment ogarnęła go fala żalu nad sobą... jednak twardy ucisk miecza na piersi przywrócił mu trzeźwość myśli. Jeśli Joe nie zechce być już jego przyjacielem, będzie musiał się z tym pogodzić - w końcu miał na sumieniu sporo kłamstw. Jeżeli będzie zły i poczuje się zdradzony, Fin nie powie złego słowa. Ale teraz musiał przede wszystkim zrobić to, czego chciał sędzia Brown. To znaczy - odszukać Teda. Poderwał się na równe nogi, z ulgą stwierdzając, że kolana już

się pod nim nie uginają.

- Stało się coś złego i muszę kogoś znaleźć - odezwał się schrypniętym głosem. -
Może lepiej idź do domu, Joe. To coś... Za chwilę może być jeszcze gorzej. I...

Odwrócił głowę, żeby przyjaciel nie zauważył wyrazu bólu na jego twarzy.

- ...i nie zawsze mówiłem ci samą prawdę.

Joe przyglądał mu się uważnie przez sekundę, po czym wzruszył ramionami.

- A teraz chcesz mi powiedzieć?

Fin pokręcił głową.

- Nie mogę o tym mówić. Jeszcze nie. Póki nie znajdziemy Teda. - Bał się, że jeśli teraz opowie Joemu, co się zdarzyło, wypadną mu z głowy szczegóły, może właśnie te najważniejsze, które Ted powinien usłyszeć, a nie chciał tak zawieść sędziego. Lepiej zrobi, jeśli na razie zatrzyma wszystko dla siebie.

- Okej.

Fin spojrzał na przyjaciela. Widział, że chociaż milczy, zżera go ciekawość, i poczuł nagle falę ulgi, a potem ciepłego wzruszenia. Dobrze, że Joe jest tu obok niego.

- Powiem ci, tylko nie teraz - obiecał.

- No to chodźmy. - Joe uśmiechnął się szeroko. - Mam w kieszeni piątaką i zaraz padnę z głodu. Nie tylko ty nie jadłeś dzisiaj obiadu.

- W porządku, ale musisz wziąć coś na wynos. Nie wiem, ile mamy czasu... -
Finowi nie udało się opanować drżenia w głosie.

Zimne listopadowe powietrze przewiewało szkolny mundurek Fina tak skutecznie, że w krótkim czasie jego zlodowaciałą skórę pokryła gęsia skórka. Siedział bez kurtki na tym samym wilgotnym stopniu schodów Old Bailey, ale tym razem nie dbał o plamy na spodniach. To było wczorajsze zmartwienie; dzień urodzin wydawał się odległy o miliony lat. Wbijał piekące boleśnie oczy w mętny tłum londyńczyków, próbując wypatrzeć w masie rąk, nóg i twarzy znajome rysy Teda.

Zaledwie dwie godziny wcześniej Joe znalazł go na ulicy pod Rookeries, ale i to zdawało się wieki temu. Zmrok szybko gęstniał w czarną noc. Joe pożarł wielką torbę gorących frytek z solą i octem, Fin skubnął zaledwie kilka. W brzuchu zalegał mu

martwy ciężar rozpaczy, a od samego zapachu znów robiło mu się mdło. Oddał swoją porcję Joemu, który pochłonął ją w takim tempie, jakby nie jadł od kilku dni.

Kiedy skończył, zmiął papier i celnym kopnięciem umieścił go w koszu, po czym odwrócił się, uśmiechnął szeroko i potężnie beknął. Fin próbował odwzajemnić uśmiech, ale bliżej mu było do płaczu. Wśród ulicznego ruchu i tłoku czuł się coraz bardziej niespokojny.

W tężejącym mroku doszli do Old Bailey i Fin poprowadził Joego w znajome miejsce na drugim stopniu. Dziwnie siedziało się tutaj z kimś - nawet z najlepszym kumplem. Zupełnie jakby zderzyły się dwa światy i porządki się pomieszały: jeśli się nad tym zastanowić, właśnie to się stało. Dziwaczne... ale dzisiaj wszystko było dziwaczne, nawet bardziej niż dziwaczne.

Po godzinie siedzenia na mokrych schodach w listopadowym chłdzie nawet wrodzona nadpobudliwość Joego wypaliła się ostatecznie. Siedzieli obaj bez słowa, obejmując kolana w bezskutecznym poszukiwaniu ciepła. Od czasu do czasu któryś kasłał albo pociągał nosem. Wielu przechodniów przyglądało im się ciekawie, ale nikt się nie zbliżył - poza jednym gościem, który rzucił Finowi funta i powiedział, żeby kupić sobie gorącej herbaty. Zanim otworzyli usta, odszedł w stronę stacji metra.

Latarnie nad ich głowami mrugały niepewnie, jakby dopiero się budziły i nie były przekonane, czy już czas zaświecić. Te po drugiej stronie ulicy okazały się śmielsze. W końcu rozjarzyły się też lampy nad Finem.

Poczuł, jak przyjaciel drży z zimna.

- tylko tutaj spotykasz się z tym całym Tedem? - Ciekawość Joego nie dawała się uśpić na długo.

- Tak. Raz do roku. W moje urodziny. Widziałem się z nim wczoraj.

Joe zamierzał kiwnąć głową, ale w połowie zamarł i zmarszczył brwi.

- Przecież ty masz urodziny latem. Dlatego nic wtedy nie robimy. Bo ciebie nie ma.

Fin przełknął ślinę. Starannie splecione kłamstwa zaczynały wymykać mu się z rąk jedno po drugim.

- Nieprawda - szepnął schrypniętym głosem. - Wymyśliłem to. W każde urodziny przychodzę tutaj i spotykam się z Tedem, a potem muszę coś zrobić. Nie wolno mi o nich mówić... to znaczy o tych rzeczach, które robię.

Westchnął.

- Dlatego zawsze łatwiej było skłamać.

Joe siedział przez chwilę w milczeniu. Potem podniósł na Fina rozszerzone oczy.

- Ale dlaczego tutaj, pod Old Bailey? To tutaj skazali twojego tatę? A ten Ted to może jest twój ojciec, co? Udało mu się tu dostać z Rio? Ale odjazd!

Fin patrzył na mijające ich anonimowe twarze. Jeszcze raz przełknął ślinę.

- Spotykam się z Tedem tutaj, bo to tu mnie znalazł. Na tym stopniu. Wczoraj minęło szesnaście lat. Ktoś mnie tu zostawił w pudełku. - Nie wspomniał o kocyku. Kocyk należał do niego. Tylko do niego. - Ted znalazł mnie, kiedy przyszedł do pracy. Jest nocnym strażnikiem. Zaopiekowali się mną sędzia i inni starsi goście z takiego jakby lepszego domu dla starców. Nie wiem tak naprawdę dlaczego.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Joego. Spodziewał się -i bał równocześnie - że przyjaciel go wyśmiej.

Ale Joe gapił się na niego z półotwartymi ustami, jakby chciał zadać za wiele pytań jednocześnie i wszystkie naraz utknęły mu w gardle.

- To twój stary nie jest szefem gangu i nie ukrywa się w Rio? - wyrzucił w końcu.

- Nie. Nie znam swojego ojca. Ani matki. - Twarz paliła Fina ze wstydu.

Joe przesunął dłonią po swoich krótkich afrolokach, jak zawsze, kiedy głęboko nad czymś myślał.

- Znaczy, nie muszę się bać, że jak przestaniemy się kumplować, to przyleci facet ze spluwą i strzeli mi w kolano?

Fin wydał z siebie dziwaczny, zduszony chichot.

- A ja właśnie myślałem, że po tej sprawie przestaniemy się kumplować. Przez te wszystkie kłamstwa.

- Eee, to za mało, żeby stracić przyjaciela. Trochę mnie zaskoczyłeś, ale wciskali mi już w życiu większy kit - zawiesił głos. - To nie były podłe kłamstwa, rozumiesz. A to różnica.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Nagle Joe poderwał głowę.

- Zaraz... - Wstał. - Skoro twój tata nie jest przestępcą i się nie ukrywa, to co ty robisz co drugi rok, kiedy nie ma cię w Eastfields? No bo raczej nie odwiedzasz ojca, który nie istnieje?

Fin zastanawiał się od dawna, jak Joe przyjmie całą prawdę o jego życiu. Teraz nie widział sensu cokolwiek ukrywać, więc za chwilę się przekona.

- To zabrzmiało dziwnie... - zaczął i zamilkł, bo serce skoczyło mu do gardła.

Na stopniach pojawiła się znajoma para sznurowanych męskich butów.

- Ted! - Fin zerwał się na równe nogi, zapominając o zimnie i odrętwieniu.

- Fin? Co ty tu robisz?

- Coś... coś złego stało się sędziemu Brownowi. - Oczy Fina wezbrały nagle gorącymi łzami. Otarł je ze złością wierzchem ręki. Na to był już za duży.

Nigdy nie widział, żeby Ted poruszał się tak szybko. Zbiegł po schodach i stanął za plecami chłopców, jakby chciał ich osłonić. Rozejrzał się czujnie, szybko, szukając wśród cieni i kształtów potencjalnego zagrożenia. Stał się w tej chwili tamtym obcym Tedem, którego Fin widział przez moment zeszłej nocy. W niczym nie przypominał starego człowieka tuż przed emeryturą.

- Lepiej wejdźmy do środka - mruknął. - Chodźcie.

Chociaż siadywał na tych schodach co roku, a co najmniej kilkaset razy przechodził obok Old Bailey, obrzucając budynek sądu pełnym respektu spojrzeniem, Fin nigdy nie był w środku. Lśniące, jasne wnętrza w każdym szczególe różniło się od staromodnej elegancji hotelu Rookeries czy chłodnego przepychu Domu Telluriów. Trudno było wyobrazić sobie, że pracował tutaj ktoś tak staroświecki, jak sędzia Brown.

Wszyscy trzej, z Tedem na czele przeszli obok ochroniarza, który puścił oko do kolegi. Fin przeraził się, widząc wykrywacz metalu, ale Ted ominął maszynę, odpiął taśmę z napisem „Zakaz wstępu” i przeprowadził chłopców na drugą stronę.

Joe aż sapnął. Fin obejrzał się; przyjaciel rozszerzonymi oczami przyglądał się wielkim kopułom zalany światłem halogenowych lamp, a potem przeniósł wzrok na kłębiący się wokół nich ludzki tłum.

- O rany - szepnął. - Nie mogę uwierzyć. Jestem w Old Bailey. Odjazd na maksa!

W slangowej odzywece Fin usłyszał jamajski zaśpiew. Mama Joego mówiła najczystszą południowolondyńską angielszczyzną - od niej tego nie wziął. Pewnie zadawał się ze starszymi chłopakami z jakiegoś gangu. Fin podejrzewał, że to o nich w tej chwili myśli. Wielu miało pewnie na koncie wyroki i znało sąd od środka. Finmere nie był fanem gangów, ale nic nie powiedział. Rozumiał potrzebę przynależności,

przebywania z ludźmi podobnymi do ciebie.

Ted poprowadził ich korytarzem, otworzył drzwi po lewej stronie i zapędził chłopców do środka ruchem ręki. Zamknął starannie za sobą, podparł klamkę krzesłem i dopiero wtedy odetchnął, rozluźniając nieco kwadratowe barki, wcześniej napięte i twarde jak skała.

Jasne światło żarówki podkreślało sieć zmarszczek na jego twarzy i nadawało policzkom ceglany odcień, ale oczy Teda błyszczały żywo i przyjaźnie. Jak zwykle.

- W porządku, Fin. Tutaj nie ma kamer.

Fin powoli położył na stole okręcony kurtką, długi pakunek. Niemal bał się go puścić po tym, jak trzymał przy sobie przez tyle godzin.

- Sędzia Brown powiedział, żeby cię znaleźć. - Przełknął ślinę, żeby zatrzymać napływające do oczu łzy. Postanowił nie płakać, chociaż gardło bolało go od hamowanego szlochu. Opiekun nie pochwałałby takiej słabości, tego był pewien.

- Dzielnie się spisaleś, Fin. Znalazłeś mnie - odezwał się łagodnie Ted. - A teraz powiedz: co się stało?

- Poszedłem spotkać się z nim w Rookeries. Kazał mi zerwać się ze szkoły i przyjść. Miał mi odpowiedzieć na pytania. - Fin za wszelką cenę starał się opanować drżenie głosu. Przecież nie był już dzieckiem. - Sędzia Brown pracował... na biurku była teczka z czarną tasiemką... z moim nazwiskiem... wszystkie inne były związane różowymi, a ta jedna czarna, dlatego ją zauważyłem.

Mówił szybko i niewyraźnie, jakby słowa same tłoczyły mu się do ust, ale Ted nie spuszczał z niego oczu i słuchał uważnie.

Skoro już zaczął, chciał jak najszybciej uwolnić straszną historię, którą w sobie dusił.

- Dał mi ten pierścień. - Finmerek podniósł dłoń, żeby Ted mógł popatrzeć. Wciąż się trzęsła. - Powiedział, to znaczy sędzia, że pierścień był razem ze mną w pudełku, a potem mówił coś o tym, że gdzieś, nigdzie... tego nie zrozumiałem.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Kiedy wyszedłem z gabinetu, poczułem, że muszę poprosić, by mi to wyjaśnił, więc wróciłem. - Popatrzył na Teda, próbując skupić uwagę na czymkolwiek innym niż straszliwy widok, który nadal miał w pamięci. - Byłem na zewnątrz tylko przez chwilę. A potem... gdy wszedłem...

Głos zamarł Finowi w zaciśniętym gardle. Zaczął rozwijać kurtkę.

- ...siedział na krześle. Przebity... tym. - Rozłożył materiał i wśród plam zaschniętej krwi zaślniła aureola złotego blasku.

Nagle w głowie Fina pojawił się obraz: miecz ze świstem tnący powietrze tuż przed jego twarzą, trzymany silną męską ręką. Zagryzł wargi i zamrugał, żeby odpędzić wizję. Co się z nim dzieje? Czy po wstrząsie człowiek może mieć omamy? Spojrzał znów na splamioną klingę.

- O rany, Fin... - szepnął Joe. - Nie żył?

Finmere niemal zapomniał o jego obecności.

- Kazał mi wyjąć miecz i znaleźć Teda. A potem umarł.

Patrzył na Teda i modlił się, żeby wszystko wróciło do tego normalnie anormalnego stanu, na który narzekał jeszcze wczoraj. Ale to niemożliwe. Sędzia nie żył, a broń, od której zginął, leżała tutaj, tuż przed nim. Nic już nie będzie jak dawniej.

Ted stał nad stołem, wbijając wzrok w złoty miecz. Sękatymi palcami drapał się w brodę. Z jego stalowoszarych oczu zniknął wesoły ognek.

Fin i Joe milczeniu milczeli i patrzyli na niego, czekając, aż się odezwie.

- Miecz obosieczny - powiedział wreszcie. Joe zerknął na Fina, ale Fin też nie rozumiał. Te słowa nic mu nie mówiły... dlatego zaskakujące uczucie, że wie, co to znaczy, musiało być złudzeniem.

- Co takiego? - spytał w końcu Joe.

- Miecz obosieczny. Jeden z najdoskonalszych. - Strażnik podniósł broń, żeby przyjrzeć się jej z bliska. - Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Wyjął z kieszeni białą chustkę i starannie wytarł ostrze z krwi sędziego.

- Ehm, nie powinien pan tego zostawić? Wie pan, to dowód... - odezwał się cichutko Joe.

Ted zignorował jego słowa, jakby Joego w ogóle nie było w pokoju, i oglądał miecz ze wszystkich stron, obracając go w dłoniach.

- Miecz obosieczny nie został stworzony do zabijania

- powiedział po dłuższej chwili. - Nigdy nie wykuwano ich w tym celu.

Spojrzał na Fina, który zauważył, że ciężar tych okropnych wydarzeń pogłębił jeszcze zmarszczki na jego twarzy.

- I nikogo poza sędzią tam nie było?
- Wiem, że to brzmi jak jakieś szaleństwo, ale to prawda.
- Serce Fina przyspieszyło do sprintu. Ted chyba nie sądzi, że on ma z tym coś wspólnego? Wcześniej w ogóle o tym nie pomyślał...

- Nie, nie oszalałeś, Fin. - Starszy mężczyzna pociągnął nosem. - Odsłonili karty. Sądziłem, że czegoś spróbują, ale nie przyszło nam do głowy, że posuną się tak daleko. Wczoraj w nocy mieliśmy zebranie Rady Spoczywających. Postanowiliśmy ich powstrzymać.

Westchnął.

- Ale już za późno. Żeby Rycerz zabił Rycerza? To straszne. - Zabrzmiało to tak, jakby nagle cały ciężar świata spadł mu na barki.

- Jaki rycerz? - Fin czuł, że zaraz pęknie mu głowa; ale przynajmniej wyglądało na to, że Ted wierzy w jego opowieść.

- Kto miał czegoś spróbować?

- Kogokolwiek przystali, żeby to zrobić, potrzebowal własnego miecza, żeby wrócić. - Chrapliwy głos Teda zmiękł. - To musi być miecz Harlequina. Chciał, żebyś go wziął, synu.

Uśmiechnął się ze smutkiem i długo patrzył na Fina, zanim podał mu broń.

- I co ważniejsze, będziesz go potrzebował.

- Nie powinna się nim zająć policja? - Finmere wcale nie chciał tego miecza. To on odebrał mu sędziego Browna i teraz Finowi został już tylko Ted, i... tutaj zaczynała się ta niepokojąca mroczna pustka w głowie, której bał się dotknąć, żeby nie rozwarła się czarna dziura. Miecz oznaczał kłopoty, to pewne.

Strażnik zaśmiał się niewesoło.

- To nie jest sprawa dla policji, Fin. Tam, dokąd musimy się wybrać, policja się nie dostanie.

Ta odpowiedź ani trochę nie zdziwiła Fina. Jak dotąd nic w jego życiu nie było normalne, dlaczego teraz miałyby się to zmienić?

- Musimy sami się tym zająć, Fin... a raczej ty .musisz. Ja mam robotę po tej stronie, a starszkwowie już nie nadają się do podróży. Mieliśmy z Harlequinem nadzieję, że uda się utrzymać ciebie z daleka od tego wszystkiego... no, ja miałem nadzieję, bo

Harlequin czuł, że zostaniesz wciągnięty w to szybciej, niż nam się wydaje. To dlatego chciał z tobą porozmawiać.

Fin spojrzał znowu na miecz. Ted skinął głową w jego stronę.

- Weź. Jest twój. Ale na razie go owiń.

Fin nie mógł się zmusić, żeby dotknąć broni.

- To nie miecz zawinił, Finmere - powiedział cicho Ted. - Ten miecz i sędzia przeżyli razem sporo przygód. Tak samo będzie z tobą. Stary Harlequin go kochał. Gdyby metal mógł płakać, to złoto i ta stal szlochałyby jak dzieci nad tym, co nimi uczyniono.

Fin powoli sięgnął po rękojeść. Była ciepła w dotyku i ten żar wypełnił go zaraz od czubka głowy do stóp. Teraz, kiedy spojrzał na miecz, nawet przez zasłonę łez zobaczył, jaki jest piękny. Z półotwartymi ustami oglądał migoczące klejnoty, przypatrywał się, jak światło odbija się od ostrych krawędzi. Nagle z mieczem w dłoni poczuł się dobrze, niemal dobrze mimo czarnej pustki, która wciąż kryła się gdzieś w jego głowie.

Joe westchnął ciężko.

- Fin, ja tam jestem tępy, ale może ty coś z tego łapiesz?

Finmere pokręcił głową, wciąż nie odrywając oczu od miecza.

- Nie za bardzo. - Uśmiechnął się lekko. - Witaj w moim świecie.

Ted skrzyżował ramiona. Mosiężne guziki jego błękitnego munduru lśniły w blasku miecza.

- Spróbuję wam wyjaśnić. - Patrząc na Fina, kiwnął głową w stronę Joego. - Ale nie wiem, czy twój kumpel to ogarnie. Lepiej, żeby miał bujną wyobraźnię.

- Och... Ted, jeszcze jedno - przerwał mu Fin, z wahaniem odkładając miecz na kurtkę. - Zapomniałem powiedzieć, że jak wychodziłem, tej teczki z czarną tasiemką, wiesz, z moim nazwiskiem, już nie było.

Ted stanął jak wryty.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Na pewno jej nie było. Może wzięli ją przez pomyłkę? - Przez całe popołudnie czepiał się tej bezsensownej nadziei. Dlaczego ten ktoś, kto zabił sędziego, miałby interesować się nim, Finem?

- Cholera jasna. - Ted szybkimi ruchami owinął miecz w kurtkę. - Dobra, musimy

lecieć do Maggie, i to biegiem.

- Maggie?

- Do twojej gospodyni, do właścicielki stacji, nie wiem, jak to się mówi. Będą tam przed nami i Bóg jeden wie, co zrobią. Chodźcie!

St John Alexander Golden dorzucił kolejne grube polano do ognia trzaskającego na kominku. W pokoju nie było zimno; po prostu lubił żar. Kiedy oparł się o gzyms nad paleniskiem i patrzył w płomienie, jego biała koszula wzdęła się lekko i uniosła jak żagiel.

Dwa zegary stojące na mahoniowej półce odmierzały dwa całkowicie różne czasy, ale St John, zatopiony we własnym świetle, nie słyszał tykania żadnego z nich. Stał tak blisko ognia, że zwisający z biodra miecz zaczął się rozgrzewać i parzyć ciemno odzianą nogę. Jeszcze trochę, a nie sposób byłoby go dotknąć, nawet w rękawiczkach. Czasami St John dochodził do wniosku, że miecze zbyt wrażliwie reagują na to, co dzieje się wokół nich. Może uda mu się to w przyszłości zmienić. W przyszłości, kiedy wszystkie światy będą już należały do niego.

- Chyba mi się udało. - Triumfujący głos wyrwał St Johna z jego marzeń. Odwrócił się. Conrad Eyre, mrużąc oczy, stuknął w klawiaturę laptopa. - Ale nie gwarantuję, że się nie zerwie. Sygnał bezprzewodowy jest dość słaby.

Dwudziestokilkuletni Conrad był o wiele młodszy od St Johna, ale został Rycerzem w wieku osiemnastu lat, jako jeden z najmłodszych, których kiedykolwiek przyjęto w szeregi Zakonu Rycerzy Nigdzieświata. St Johna, który otrzymał miecz jako dwudziestolatek, także uważano wtedy za młodzika. Większość młodych mężczyzn aż paliła się do przygód i życia pełnego emocji, więc starzy woleli się upewnić, że nowy towarzysz dojrzał już na tyle, żeby przyjąć i zrozumieć ryzyko oraz obowiązki, jakie nakładała na niego nowa rola.

Od kiedy wybrano go na komandora Rady Wewnętrznej, St John przekonał się o korzyściach, jakie dawało otaczanie się młodszymi Rycerzami. Byli lojalni i pozwalali się kształtować. St John pracował ciężko, żeby wpoić im nowy sposób myślenia: skoro to oni ponoszą ryzyko i odpowiedzialność, oni również powinni otrzymać nagrodę. Działał powoli i ostrożnie - i przekonał się, jak bardzo opłaca się ten wysiłek.

Zerknął nad ramieniem Conrada.

- Postaraj się za wszelką cenę zabezpieczyć sygnał. Może i jesteśmy w średniowiecznej części miasta, ale chcę, żeby to miejsce było dobrze chronione. Nie możemy wciąż trzymać tak licznych straży. Potrzebujemy ludzi do innych zadań.

Na ekranie komputera obracał się trójwymiarowy model budynku z epoki Tudorów*, w którym się znajdowali. W różnych miejscach budowli zapalały się światełka.

- Czerwony punkt to ciało. - Conrad wskazał dwie czerwone kropki na trzecim piętrze. - Widzisz? To my.

W innych pomieszczeniach wysokiego budynku znajdowało się jeszcze kilka takich punktów.

St John zmrużył oczy i pogłaskał krótko przyciętą brodę.

- A skąd będziemy wiedzieć, czy to ciała naszych przyjaciół, czy wrogów?

- Właśnie nad tym pracuję. Już niemal skończyłem. Programuję system, żeby rozpoznawał niepowtarzalną wibrację każdego pierścienia. - Podniósł dłoń. Na środkowym palcu lśnił pierścień z kamieniem w kolorze wody morskiej, takim samym jak klejnoty zdobiące rękojeść jego miecza. Kamienie w pierścieniu i w mieczu St Johna były szmaragdowozielone. Miecz i pierścień wręczano Rycerzowi jednocześnie. Podobno do ich wykucia używano złota ze wszystkich światów - tak przynajmniej mówiła legenda. St John nie zastanawiał się, czy wierzy w legendy, a jednak poświęcił sporo czasu na rozważania o dawnym proroctwie. Nie pamiętał o nim, gdy zaczynał wcielać w życie swój plan, ale teraz, kiedy miał dość czasu na myślenie, widział bardzo wyraźnie, że działa przez niego przeznaczenie.

To on miał rządzić Mrocznym Wiekiem. Czuł to we krwi. Los wszystkich światów zależał od niego i nic nie mogło tego odwrócić. Na samą tę myśl aż zakręciło mu się w głowie.

- Przeskanowałem dane z twardego dysku w Domu Tel-luriów - powiedział Conrad. - Nawet się nie zorientowali, że tam byłem.

Pokręcił głową.

- Głupi starcy. Nie wiem, czy w ogóle używają komputera, który im zainstalowałeś. Nadal wpisują wszystko do tych starych rejestrów.

Opadł na oparcie ciężkiego drewnianego krzesła i przeciągnął się, przeczesując palcami lekko kręcone i nieco za długie włosy.

- Ale dlaczego właściwie tutaj siedzimy? O wiele wygodniej byłoby założyć bazę w Futurum.

St John przyglądał mu się z uśmiechem. Młodszy Rycerz okazał się cennym pomocnikiem i zastępcą, a do tego nigdy nie nabierze dość rozumu, żeby zagrozić pozycji St Johna. Podłogę pokrywały świeże trzciny przyniesione tu rano przez starą kobietę, która знаła swoje miejsce i zarządzała domem. Łodygi szeleściły i trzaskały pod butami St Johna, kiedy szedł do wąskiego okna, żeby odsłonić ciężką kotarę i wyjrzeć na zewnątrz.

Do pokoju wdarł się zimny podmuch wiatru. W żadnym oknie w tej części Londynu Nigdzie świata nie było szyb. Jakiś czas temu pewien szklarz wizjoner, dostrzegając niszę w rynku, próbował naprawić problem, ale następnego dnia miasto obudziło się znów bez szyb, jakby nigdy nie zostały wstawione. Ta okolica wyrosła ze średniowiecznego ziarna - może to były zgubiony but, korona albo ścięta głowa - i nie życzyła sobie, żeby ktoś przy niej majstrował.

W oddali, nad okrytą mgłą Tamizą Czasu, na East Endzie - wschodnich krańcach miasta - St John widział jasną kopułę i wysokie budynki Futurum. W nocy błyszczały tak mocno, że rozświetlały całe miasto i wydawały się dotykać nieba. St John się uśmiechnął. Tu, gdzie stał, czuł się jak w domu, ale Futurum bardzo mu się podobało. Miał wobec niego plany. Podobnie jak w przypadku większości rzeczy w Nigdzie-świecie nikt nie mógł powiedzieć na pewno, skąd wzięło się Futurum. „No, skądś się wzięło, z jakiegoś czasu i miejsca”, stwierdziłaby większość londyńczyków. „Jak reszta Londynu. Chcesz mieć spokój i ciszę? Przeprowadź się na wieś”. O ile St John wiedział, mieszkańcy dziwnego Londynu Nigdzie-świata nigdy nie przenieśli się na wieś. Byli ludźmi miasta -niezależnie od tego, w jakim czasie mieszkali.

Pozwolił oczom ślizgać się po dalekich, niezwykłych budowlach. Dawno już nie odwiedzał swojego Londynu, ale łukowaty zarys dachu głównego budynku Futurum przypominał mu zawsze Millennium Dome*. Mogły się tam zaplatać kawałki z innego świata, lecz Futurum z pewnością zawdzięczało niejedno architekturze Canary Wharf**.

Wciągnął głęboko w płuca haust zadymionego powietrza stolicy. Poczul, jak wypełnia go milion smaków i zapachów.

- Trochę wycucia, Conradzie - mruknął pod nosem, wciąż patrząc na niezwykłą linię

budynków, która z czasem stała się tak znajoma. - Gdybyśmy się tam przenieśli, wyglądałoby na to, że chcemy coś ukryć.

Odwrócił się od kojącego widoku i wziął dzbanek z drewnianej półki nad kominkiem. Cyna była przyjemnie ciepła w dotyku. Nalał gęstego czerwonego wina do dwóch pucharów i jeden podał Conradowi. Pił z namysłem, przyglądając się, jak zastępca bawi się komputerem.

- A co z twoim dzisiejszym zdaniem? Powiesz coś o tym? - zapytał w końcu.

Conrad podniósł oczy i lekko zmarszczył brwi.

- Żadnych problemów. Wszystko zgodnie z planem. O co ci chodzi? - Obronne nuty w jego głosie uświadomiły St Johnowi, że młody mężczyzna martwi się jedynie o to, by jego zwierzchnik nie pomyślał, że coś poszło nie tak.

Chociaż starannie dobierał towarzyszy, ceniąc w nich przede wszystkim bezwzględność, St John poczuł drobne ukłucie bólu w sercu. Tego popołudnia Conrad z zimną krwią zamordował Harlequina Browna, jednego z najświetniejszych Rycerzy ostatnich czasów, komandora Rady Wewnętrznej w stanie spoczynku, strażnika Domu Telluriów i obrońcę Zakonu. Sędzia Harlequin Brown był człowiekiem honoru, dobrym i mądrym, o charakterze bez skazy. St John zawsze żywił do niego niechętny szacunek.

Kiedy osoba St Johna zwróciła uwagę Rycerzy Nigdzie-świata, nikt inny, tylko sędzia Brown miał zastrzeżenia co do pewnych epizodów w jego przeszłości. Wiele lat później, kiedy pojawiły się pierwsze zapowiedzi kłopotów, Harlequin gwałtownie sprzeciwiał się wybraniu St Johna na komandora.

Szanował sędziego Browna właśnie za to, że starzec widział przez niego jak przez szkło. I właśnie z tego powodu sędzia musiał umrzeć.

St John pociągnął długi łyk mocnego palącego usta wina.

Wielka szkoda, że Harlequin nie dał im wyboru i musieli go zabić. Lecz lekki żal, jaki czuł z tego powodu St John, równoważyła myśl o konieczności tego posunięcia. Gdyby stary mężczyzna wycofał się w porę i poświęcił całkowicie zapewnieniu bezpieczeństwa Domowi Telluriów, St John może zostawiłby go przy życiu. Ale bezczynność nie leżała w naturze Harlequina.

Odetchnął z zadowoleniem. Usunięcie sędziego oznaczało brak zorganizowanego oporu. Nawet gdyby jacyś starcy doszli do siebie na tyle, żeby podjąć walkę, nikt nie

zdola ich poprowadzić. Będą zdezorientowani, zagubieni. St John widział już przebudzenia: powrót do życia wymaga czasu, a kiedy przebudzeni odzyskają dawną sprawność, będzie już za późno. Bitwa zostanie wygrana, zanim jeszcze się zacznie.

Gdy tylko zdobędzie to, czego potrzebuje po tej stronie, być może wybierze się w podróż i rozprawi ze starymi. Pokusa była silna. Jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne.

St John uśmiechnął się do Conrada i ścisnął jego ramię. Pierścień zalśnił w półmroku.

- Dobrze sobie dzisiaj poradziłeś, Conradzie. Nie zapomnę tego. Żadnemu innemu członkowi Rady nie powierzyłbym tak ważnego zadania. Żadnemu.

Conrad podniósł wzrok, rumieniąc się lekko. St John z przyjemnością ujrzał w jego oczach jawne uwielbienie. Potrzebował tego. Wiedział aż za dobrze, jak niebezpieczna może się stać nadmierna poufałość.

- To był zaszczyt, panie - odezwał się Conrad. - Możesz zawsze na mnie liczyć. Do śmierci.

St John się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że przed tobą jeszcze długie lata życia. - Poklepał Conrada po ramieniu, podniósł puchar i odszedł do małego pomieszczenia, którego używał jako gabinetu. Zasunął rygle, żeby odciąć się od wścibskich oczu i uszu, i zbliżył do pulpitu do pisania. Szeroki blat był pusty. Leżał na nim tylko jeden przedmiot: jasnobrązowa teczka. Rozwiązał czarną tasiemkę i otworzył ją po raz drugi od chwili, kiedy przyniósł mu ją Conrad Eyre.

Opierając się o stół, jeszcze raz przerzucił papiery. Szkolne świadectwa, kserokopia paszportu, do którego jako prawny opiekun wpisany był Harlequin Brown, wyniki badań lekarskich, kwity za czesne i rachunki za stancję w Bermondsey, ostatni z października. Do tego domu posłał już Kane'a i O'Regana na zwiad. W teczce znajdowała się też notatka z liceum Eastfields mówiąca o konieczności nabycia nowego mundurka. Kimkolwiek był ten chłopak, rósł.

Treść żadnego z dokumentów nie wskazywała jednak, z jakiego powodu może być ważny dla Rycerzy. St John zmarszczył czoło. Ale to nie znaczy, że chłopiec nie jest ważny. Harlequin nie był głupcem. Niektórych rzeczy z pewnością by nie zapisał. Tak czy inaczej, jeśli dom niedaleko mostu Tower kryje jakieś sekrety, Kane i O'Regan na pewno je wydobędą - w ten czy w inny sposób.

Łykając wino, przeglądał świadectwa. Dlaczego Harlequin posyłał chłopaka do dwóch tak różnych szkół? Wydawało się to bez sensu. Ale sądząc z nużących szkolnych sprawozdań, nastolatek, gdziekolwiek się uczył, był dobrze wychowany, bystry i pilny. St John uśmiechnął się ironicznie. „Dobry chłopiec”. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby dziecko oddane pod opiekę Harlequinowi nie wyrosło na „dobrego chłopca”.

Spojrzał z namysłem na przeciwległą ścianę gabinetu, machinalnie pukając palcem w teczkę. Po kilku chwilach wstał i zbliżył się do czegoś, co wisiało na ścianie okryte brudnym końskim pledem, który wciąż pachniał stajnią i zwierzęcym potem. Pociągnął tkaninę za róg i pozwolił jej opaść na ziemię, odsłaniając owalne lustro. Jego rama wykonana była z czerwonego brązu - barwionego metalu, którego St John nie widział wcześniej ani w Nigdzieświecie, ani w Gdzieświecie. Osobliwe ryte wzory poruszały się nieustannie, wijąc się wokół opalizującej metalowej ramy. St John nie mógł patrzeć na nie zbyt długo, bo zaczynały go piec oczy, a w głowie odzywał się tępy, pulsujący ból. Cóż, w końcu było to magiczne zwierciadło. Pochodziło z dalekiego, nieznanego Wschodu. Od wieków nie używano takich luster w Nigdzieświecie. Kiedy już je zdobył, St John musiał zatrzymać Maga - tylko on potrafił z niego korzystać.

Do jednej z grubych nóg pulpitu przytwierdzony był masywny łańcuch, który rozciągał się w skrętach na podłodze i znikał w szarawoczarnej matowej powierzchni lustra. Nie odbijało światła, jak należy, od momentu, w którym Mag je przebudził. Wyraz malujący się na posępnej twarzy Maga mówił wyraźnie, że ma St Johna za wielkiego głupca. Jednak ani pieniędzy, ani obietnic St Johna nie uznał za głupie, podobnie jak luksusowego apartamentu na drugim krańcu miasta, w którym teraz mieszkał. St John wolał trzymać Maga w pobliżu, póki nie upewni się, że już go nie potrzebuje. Jeśli Magowie nie chcieli być znalezieni, nie sposób było ich znaleźć. Czemu zresztą St John się nie dziwił.

Zajrzał w ponury mroczny owal. W jakimkolwiek świetle leżało to okropne miejsce po drugiej stronie, zawsze panował tam beznadziejny szary półmrok. Nawet ślad koloru nie ożywiał pustki, nicości i cienia.

St John pociągnął mocno za łańcuch. Najpierw usłyszał odgłosy panicznej ucieczki żuków czy innego plugastwa, jakie żyło w głębinach tego nieznanego więzienia. Potem po przeciwnej stronie przekłętego szkła pojawiła się ona.

Jej brudne jasne włosy wciąż lekko lśniły, jakby rzucając wyzwanie cuchnącemu mrokowi, który ją otaczał, ale ich blask już zamierał. Blade kosmyki wymykały się z ciasnego węzła, w który je zwijała i z którym wtrącił ją do tej otchłani. Mrużyła oczy. St John zastanawiał się, ile widzi z tamtej strony. Dość dużo, stwierdził, zauważając, jak nagle sztywnieje jej kark i naprężają się ramiona. Wyglądała na zmęczoną.

Uśmiechnął się.

- Jesteś już gotowa je oddać?

Nie zmieniając wyrazu twarzy, podciągnęła kolana pod brodę. St John nie umiał powiedzieć, czy siedzi na podłodze, czy na jakimś stołku. Tak czy inaczej, kiedy się poruszyła, łańcuch przykuty do kajdan na jej bosej stopie zabrzączał.

- Cóż, wkrótce będziesz - powiedział spokojnie. - Nie wytrzymasz tam. A wierz mi, wolałbym cię nie krzywdzić, więc nie zmuszaj mnie do tego.

Zawiesił głos, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Nie spodziewał się jej zresztą: Opowiadaczka, z pozoru krucha i delikatna, w środku była twarda jak hartowana stal. Nie zdziwi się, jeśli skończy się na tym, że będzie musiał wezwać Prawdomówców, żeby otworzyli jej usta. Mag zapewniał go z naciskiem, że Prawdomówcy potrafią zmusić do mówienia każdego - nawet Opowiadaczkę.

Ale nie chciał jeszcze tego robić. Na razie mógł znaleźć łatwiejszy sposób wydobycia z niej słów, na które czekał. Nie był przecież barbarzyńcą, a kiedy będzie już po wszystkim, nie chciał, żeby ludzie uważali go za potwora.

- A na razie może mi powiesz, dlaczego Zakon tak bardzo interesuje się szesnastoletnim chłopakiem z Gdzieświata, niejakim Finmere'em Tingewickiem Smithem?

Spojrzała na niego z wściekłością i pogardą. Ach, więc zna to imię? St John pogładził złotą brodę. To dopiero było ciekawe.

Ted wziął owinięty kurtką miecz i wszyscy trzej wyszli z budynku Old Bailey. Ulica powitała ich lodowatym zimnem. Strażnik skręcił w prawo i natychmiast przyspieszył kroku.

- Stacja Bank, chłopaki. Trzymajcie się blisko.

Fin szedł tuż za nim. Starszy mężczyzna torował im drogę wśród mrowia

przechodniów, które zapelniało chodniki i gdzieniegdzie wylewało się na jezdnię. Po kilku minutach szybkiego marszu w narzuconym przed Teda tempie Fin był porządnie zgrzany, chociaż po zdjęciu kurtki został w samym mundurku. Kiedy odbili na Cheapside, usłyszał za sobą ciężki oddech Joego.

Od czasu do czasu Ted zerkał za siebie, żeby sprawdzić, czy są wszyscy. Patrząc na jego plecy, czarny w mroku mundur i srebrne włosy, które lśniły jak stalowe druty, Fin miał wrażenie, że widzi obcego człowieka w ciele Teda. Czy na tym świecie jest chociaż jedna osoba albo rzecz, którą on, Finmere, naprawdę zna?

Jego szkolne buty ślizgały się nieco na chodniku, kiedy mijali wąski wylot St Edward's Street. Z ukłuciem bólu Fin popatrzył w stronę widocznego w perspektywie Postman's Park. Tam ukrył bezpiecznie swój kocyk: owinał go w plastikową torbę i wsunął ostrożnie za tabliczkę upamiętniającą Olive Jones, dwudziestojednoletnią kelnerkę, która oddała swoją kamizelkę ratunkową pasażerce, ratując jej życie, a sama zginęła na tonącym statku wycieczkowym. Wszystkie tabliczki w Postman's Park były poświęcone zwyczajnym ludziom, którzy poświęcili życie, żeby ocalić innych, jak Henry James Bristow z Walthamstow, który zmarł od poparzeń po tym, jak uratował swoją małą siostrzyczkę z ognia. Miał osiem lat.

Niekiedy bohaterska Olive i matka zlewały mu się w głowie w jedną osobę. Wciągając w płuca kłujące, zimne powietrze, Fin poczuł nagle, że chciałby zostawić Teda i Joego i wymknąć się do małego, ukrytego przed ludzkim okiem parku - tylko na pół godziny, żeby poczytać napisy na ceramicznych tabliczkach, których rzędy wisiały na murze. Przypomniałyby mu, jak zawsze, że - chociaż jego życie to jeden wielki zamęt, w którym właśnie pojawiły się straszne morderstwo i krwawy miecz - na świecie nadal istnieje dobro. Mimo że jego kocyk pachniał wilgotnym plastikiem, chciał przycisnąć do niego twarz i przypomnieć sobie, że kiedyś miał swoje miejsce i kogoś, kto wydzierał dla niego ten kocyk, więc musiał go kochać, przynajmniej troszeczkę.

Minął już jednak wylot uliczki i, choć serce uderzyło bolesną tęsknotą, stopy nie zwolniły. Koszula przylepiła mu się do skóry. Nie czas uzalać się nad sobą.

Przy końcu Cheapside włączyli się w płynącą do metra ludzką falę i zbiegli po ruchomych schodach na peron stacji Bank. Pociąg zaraz ruszał, więc Ted przytrzymał drzwi, żeby chłopcy mogli wejść, i wszyscy trzej ściśnięci jak sardynki w puszcze

pojechali turkoczącym i skrzypiącym wagonem linii Northern w kierunku Borough.

Fin zerknął na Teda. Chociaż ani na chwilę nie zwolnił kroku, twarz starego strażnika była czerwona i pokryta plamami, a z czoła spływały mu wielkie krople potu. Oddychał ciężko, jakby musiał z trudem właczać do płuc zgęstniałe powietrze.

Po raz pierwszy do Fina dotarło, że Ted nie jest niezniszczalny. Obraz martwego sędziego Browna znów pojawił się przed jego oczami, ogromny i straszliwie rzeczywisty. A jeśli teraz przyjdą po Teda? Co wtedy? Mężczyzna musiał zauważyć coś na jego twarzy, bo uśmiechnął się - tym samym przyjaznym, szerokim uśmiechem, który Fin znał od szesnastu lat.

- Spokojnie, synu. Krzepa już nie ta, co kiedyś, ale biegać jeszcze dam radę - powiedział, pokaszując. Uśmiechał się, chociaż świszczący oddech zaprzeczał jego słowom. - Zapalę sobie i będę jak nowy, zobaczysz.

Fin uśmiechnął się również, chociaż wcale nie było mu wesoło. Ktoś właśnie zamordował sędziego Harlequina Browna w tajemniczy, może magiczny sposób, a jeśli sędzia pozwolił się tak łatwo zabić, nikt inny nie mógł się czuć bezpiecznie. Nawet Joe. Nagle uświadomił sobie, że być może naraża przyjaciela na niebezpieczeństwo. Spojrzał na niego: głowa Joego tkwiła, niewygodnie zaklinowana, pod pachą wiszącego na uchwycie grubasa. Kumpel nie wyglądał na zachwyconego. Ciekawe, co z tego wszystkiego rozumie.

- Wsiadamy - mruknął Ted, kiedy słodki głos oznajmił, że są na stacji Borough. Gdy drzwi otworzyły się z elektronicznym piknięciem, wydostali się z wagonu i strażnik z Old Bailey natychmiast ruszył ku ruchomym schodom tak szybko, jak tylko pozwalał tłok na peronie. Biegł w górę po dwa stopnie.

- To lepsze niż trening - wysapał Joe za plecami Fina. -A ja myślałem, że starzy nie mają siły!

Fin obejrzał się przez ramię z uśmiechem. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że Ted nie przypomina innych starszków - tak samo jak sędzia Brown. Kiedy o tym myślał, z jakiegoś powodu czuł dumę.

Dopiero gdy dotarli do domu pod numerem 54 przy Pardonner Street i Finmere stanął, żeby wygrzebać z kieszeni klucz do frontowych drzwi, zaczął bać się o panią Baker. Aż do tej chwili, mimo widocznego niepokoju Teda i szalonego biegu na przelaj przez

miasto, myśl o tym, że ktokolwiek chciałby skrzywdzić gospodynię, wydawała mu się nieprawdopodobna. To się po prostu nie mieściło w głowie.

Fin mieszkał u niej przez trzy lata z ostatnich sześciu - to znaczy w każdym roku nauki w Eastfields. Pani Baker wydawała się całkiem miła: karmiła go i prała mu ubrania, ale tak naprawdę jej nie znał. To była stacja, nie rodzinny dom, i nawet kiedy poza Finmere'em nie miała innych gości (co zdarzało się dość często, bo stacja pani Baker, chociaż porządnie utrzymana, nie należała do najelegantszych w tej części Londynu), zawsze traktowała go jak pensjonariusza, a nie członka rodziny.

Tak było od zawsze. Poza posiłkami, jeśli nie w szkole lub z przyjaciółmi, wolny czas Fin spędzał w swoim pokoju, gdzie miał telewizor, biurko, a nawet małą lodówkę i elektryczny czajnik. Jeśli nie wstał na dźwięk budzika, pani Baker nie przychodziła, żeby wyrzucić go z łóżka, jak mama Joego czy prefekci w St Martin's. Nie była leniwa czy nieżyczliwa: najwyraźniej uważała za całkiem normalne, że mały chłopiec wstaje sam i samodzielnie szykuje się do szkoły. Zapytał ją o to któregoś dnia, kiedy miał jedenaście lat i nocował u Joego. Spojrzała ze zdziwieniem, jakby mu trochę odbiło.

- Przecież chodzi tylko o to, żeby wstać z łóżka, kochany. Co w tym trudnego?

Zaśmiała się i poszła zaparzyć świeżą herbatę.

Finmere znalazł wreszcie klucz i podał go Tedowi. Czekając, aż strażnik otworzy drzwi, pomyślał, że w ogóle nie zna pani Baker. Nie wiedział, co się stało z panem Bakerem: czy umarł, czy może małżonkowie się rozwiedli. Nie wiedział, czy zawsze prowadziła stację, czy może w młodości zajmowała się czymś bardziej pasjonującym. Wiedział tylko tyle, że czasem śpiewa stare piosenki, które brzmią jak przeboje z lat czterdziestych, i uwielbia seriale w telewizji. A to niewiele -jak na kogoś, z kim spędziło się trzy z sześciu ostatnich lat.

Kiedy Ted ostrożnie uchylił drzwi, Fin poczuł, że się rumieni. Przez cały ten czas nie zadał pani Baker ani jednego osobistego pytania. Była częścią jego życia, jak Ted i sędzia, a on przyjmował to jak coś zwyczajnego, bez zastanowienia i wdzięczności...

- Za mną, chłopaki. Tylko cicho - zarządził Ted, wchodząc do holu.

Fin ruszył za nim z ciężkim sercem. Za dużo czasu w swoim życiu poświęcił na użalanie się nad tym, czego nie ma, zamiast pomyśleć, ile miał dobrych rzeczy! Teraz to wszystko do niego docierało. Oby nie za późno.

Znaleźli panią Baker w kuchni. Leżała bezwładnie na stole. Kiedy weszli, podniosła głowę i zanim ich rozpoznała, Finmere zobaczył w jej oczach błysk przerażenia.

- Thh...ed - wykrztusiła z trudem. Fin stał z otwartymi ustami. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego? I to kobiecie w średnim wieku...

- Och, Maggie. - Ted pochylił się nad nią. Finmere wciąż nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Pani Baker była ubrana w niemodną podomkę w kwiaty, którą zawsze wkładała do sprzątanania. Gdyby nie znany strój, chybaby jej nie rozpoznał. Serce waliło mu jak młotem, a w gardle czuł znowu mdłości. Spuchniętą twarz pani Baker pokrywała krew z ust i rozciętej wargi. Fin skoczył do zlewu, chwycił czystą ścierkę, namoczył ją w zimnej wodzie i w milczeniu podał Tedowi.

Joe zaczął zbierać kawałki potłuczonej zastawy, którymi zasłana była cała podłoga, i układał je w kupkę na drugim końcu stołu. Napastnicy wyciągnęli wszystkie szuflady i opróżnili szafki. Przy takich zniszczeniach Joe nie mógł wiele zdziałać... ale przynajmniej coś robił. Finmere kucnął i dołączył do przyjaciela, chociaż jego oczy wciąż uciekały w kierunku dwojga dorosłych.

Maggie wzdrygnęła się i skrzywiła, kiedy Ted zaczął wycierać jej twarz.

- To nie wystarczy, Ted, kochany - powiedziała niewyraźnie. - Chyba wybili mi ząb.

- Maggie, tak mi przykro. - Fin nigdy nie słyszał w głosie Teda tyle smutku. - To moja wina. Chyba się starzeję. Powinienem cię ostrzec, że przeczuwamy coś złego. Ale byliśmy za bardzo zajęci przekonywaniem samych siebie, że się mylimy.

Westchnął i wyciągnął z kieszeni swoją sfatygowaną puszkę. Wyjął z niej papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko.

Maggie ścisnęła go za drugą rękę.

- To nie twoja wina, Ted, nawet tak nie myśl. Jestem dorosła, a ty nie możesz się obwiniać o to, co robią podli ludzie. - Z jej ust spłynęła strużka krwawej śliny, którą starszy mężczyzna ostrożnie wytarł. - Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

Umilkła i zamknęła oczy. Fin patrzył na nich z napięciem. Wyglądało na to, że Ted i pani Baker dobrze się znają - dlaczego żadne z nich wcześniej o tym nie wspomniało?

- Pytali o chłopca, Ted. O Finmere'a. - Pani Baker ściszyła głos, ale oddychała tak ciężko, że Fin słyszał każde słowo.

Przełknął ślinę. Joe trącił go łokciem. Oczy miał wielkie jak spodki - on też najwyraźniej wszystko usłyszał. Finmere poczuł w środku okropną pustkę, o wiele gorszą niż mdłości, którymi zareagował dziś rano jego żołądek na wieść, że nie tylko musi zerwać się ze szkoły, ale także uciec z zasądzonej przez Utopca Marsha kozy. Dlaczego ktoś pobił panią Baker, żeby dowiedzieć się czegoś o nim? Przecież był nikim, dosłownie nikim.

- Chcieli wiedzieć, dlaczego Harlequin się nim opiekuje. Mówili coś o teczce. Pytali, skąd pochodzi Fin.

Finmere przestał udawać, że nie słyszy, i wstał.

- Nic im nie powiedziałam, Ted, ani słowa. - Pani Baker wzruszyła ramionami. - Zresztą niewiele wiem. Harlequin dobrze to wymyślił. Na szczęście nie byli tu długo.

Zaśmiała się cicho i skrzywiła boleśnie.

- Wreszcie jakaś korzyść z cienkich murów. I ten złośliwy staruszek z domu obok przynajmniej raz się na coś przydał. Zaczął walić w ścianę i wrzeszczeć, że wezwie policję.

Wsparała się ciężko o blat i z trudem stanęła na nogach. Rozejrzała się, sięgnęła do wiszącej na jednej prowadnicy szuflady i wyjęła opakowanie nurofenu. Od razu, bez popicia, krzywiąc się, połknęła dwie tabletki.

Przeniosła wzrok na wpatrzonych w nią chłopców i spróbowała się uśmiechnąć.

- Widać, że nie bywają za często na południowym brzegu, co? Wiedzieliby, że tutaj nikt nie wzywa policji, a jak już wzywa, to się nie drze, tylko dzwoni.

- Jak weszli do środka? - zapytał Ted.

- Przez frontowe drzwi. Weszli i wyszli. Ale następnym razem, kto wie, skąd wyskoczą?

Fin znów poczuł się całkowicie zagubiony. Ted i pani Baker mówili chyba jakimś szyfrem, jak wcześniej sędzia Brown. Na wspomnienie ostatniej rozmowy z sędzią oczy wezbrały mu łzami, więc opuścił wzrok i zaczął mrugać, żeby zapędzić je z powrotem pod powieki.

- Racja. - Ted rozejrzał się po kuchni. - Mogą wrócić w każdej chwili. Nie jesteśmy tu bezpieczni.

- Wiesz co, Ted? - powiedziała pani Baker, również patrząc dokoła. - Chyba miło

byłoby wrócić do domu.

Ted się uśmiechnął.

- Najpierw zabierzemy cię do dużego domu. Nie wszystko naraz. - Odwrócił się do Finmere'a. - Fin, idź na górę i włóż jakieś dzinsy i adidasy. Jak najszybciej. A ty, Joe, pomóż Maggie z płaszczem i torbą, dobra?

W głowie Fina kłębiło się mnóstwo pytań, ale teraz nie było na nie czasu, więc tylko kiwnął głową i pobiegł na drugie piętro do swojego pokoju. Nie zajrzał do salonu na pierwszym piętrze: nie chciał się przekonać, że napastnicy też go zrujnowali.

Kiedy otworzył drzwi swojej sypialni, stanął jak wryty i stracił oddech. Ktoś wyłamał wieko zielonego kufra i wyrzucił na podłogę całą zawartość, podobnie jak zawartość szuflad komody. Niewiele zresztą znalazł. Stan posiadania Fina był więcej niż skromny. Kilka książek. Parę starych gier planszowych. Zniszczony iPod i stary komputer, który zawieszal się na zwykłym wypracowaniu.

Finmere poczuł na palcu ciężar pierścienia i zdrętwiał. Jutro na pewno zostawiłby klejnot w domu, żeby nie skonfiskował go nauczyciel albo nie podwędził któryś ze szkolnych złodziejasków. Coś mówiło mu, że ci ludzie szukali właśnie takich rzeczy. To brzmiało sensownie: w końcu pierścień dał mu sędzia. Spojrzał na klejnot. Za nic go nie zdejmie. Choćby nie wiem co.

Przerzucił bezładny stos ubrań na środku pokoju, żeby wydobyć dzinsy, podkoszulek, koszulę z długimi rękawami i bluzę z kapturem, którą miał na sobie wczoraj. Ściągnął mundurek i szybko się przebrał. Może zrozumieli już, że jest zwykłym chłopakiem? Może dadzą mu teraz spokój? Naciągając bluzę przez głowę, poczuł - co rzadko mu się zdarzało - nagłą falę gniewu. Zamarł w pół ruchu. Nieważne, czy przestał ich interesować: teraz to on interesował się nimi. Trzeba ich ukarać za to, co zrobili sędziemu Brownowi i pani Baker. Jeśli on, Fin, może pomóc w tym Tedowi, to - zdał sobie właśnie z tego sprawę - ma gdzieś niebezpieczeństwo.

Ukląkł i zajrzał pod łóżko, szukając adidasów. Pod jednym butów zauważył swój podręcznik do geografii. Leżał tam sobie jak symbol tej części życia Fina, która nagle się zakończyła. Finmere był niemal pewny, że jutro nie pójdzie do szkoły. Ciekawe, czy Ted w ogóle pozwoli mu wrócić do Eastfields. Myśl o liceum rozwiała się nagle, bo wzrok znów zaczął mu płać figle. Kiedy sięgał po but, w mroku pod łóżkiem zamiast swojej

bladej, chudej dłoni z za dużym pierścieniem kręcącym się wokół środkowego palca zobaczył nagle większą, męską, opaloną rękę, na której mocnym palcu pierścień leżał jak ułamek. Ale w następnym ułamku sekundy Fin miał przed oczami znajomą kościstą dłoń nastolatka.

„Co będzie, to będzie”.

Kucał jeszcze przy łóżku, kiedy słowa przypląły do jego głowy nie wiadomo skąd. To nie on mówił - chociaż zdanie brzmiało, jakby wypowiedział je sędzia Brown. Serce Fina podskoczyło w piersi. Słowa prześliznęły się przez mroczne drzwi w jego świadomości, które najwyraźniej znów się otworzyły. Może powinien powiedzieć Tedowi o tych dziwnych wrażeniach i myślach - może Ted umiałby je wyjaśnić. Zerknął ukradkiem na uchylone drzwi, zacisnął zęby i - ze strachem, którego nie rozumiał - zamknął je. Cokolwiek dzieje się w jego głowie, może poczekać. Są teraz ważniejsze problemy do załatwienia niż fanaberie jego mózgu.

Usiadł na łóżku, żeby naciągnąć buty. Wciąż miał swój kocyk i pierścień, a pani Baker, chociaż pobita, żyła. W pewnym sensie już przechytrzyli tych drani - kimkolwiek są.

- Pospiesz się, Fin! - zawołał z dołu Ted.

Fin szybko zawiązał drugi but i zbiegł po schodach, nie oglądając się za siebie.

Ted, Joe i pani Baker stali już przy frontowych drzwiach.

- Gotowy? - zapytał Ted i, widząc, że Fin kiwa głową, podał mu kawałek papieru. - Tli masz adres kebabu na tyłach stacji Aldgate. W bocznej uliczce, obok firmy taksówkowej. Spotkamy się tam za półtorej godziny.

- Co? - wykrztusił Fin. Czy to znaczyło, że muszą się rozdzielić?

- Nie kłóć się ze mną, Fin. Muszę zawieźć Maggie do Domu Telluriów.

- Nie mogę iść z wami? - Finmere miał nadzieję, że w jego głosie nie słychać rozpacz.

Ted pokręcił głową.

- Nie, chłopie. I słuchaj: nie kręć się koło szkoły. Teraz może tam być niebezpiecznie. Wszystko wyjaśnię, jak spotkamy się u Turka. W porządku, synu?

Fin przelknął ślinę.

- Dam sobie radę. Serio. Zajmij się tylko panią Baker. - Uśmiechnął się do kobiety,

którą ledwie znał, a ona oddała mu słaby uśmiech.

Otworzyła drzwi i ten wysiłek od razu pozbawił ją sił.

- Wiesz, kogo musimy znaleźć, Ted? - zapytała zmęczonym głosem, ale o wiele wyraźniej, jakby przyzwyczaiła się już do opuchlizny w ustach.

Fin pomyślał, że wygląda teraz bardzo staro, i zadał sobie pytanie, ile może mieć naprawdę lat. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad wiekiem pani Baker. Tak czy inaczej, kiedy dokończyła zdanie, znów nie zrozumiał, o co chodzi.

- Fowkesa. Trzeba znaleźć Fowkesa. - Odwróciła się i wyszła na zimną, ruchliwą ulicę. - To okropne, ale pewnie tylko jemu ze wszystkich młodych możemy jeszcze ufać.

Kiedy Ted wszedł do Sali Owalnej na najwyższym piętrze Domu Telluriów, Jarvis nalewał właśnie gęstą, mocną kawę do filiżanek stojących przed sześcioma starcami, którzy siedzieli przy długim stole. Serce strażnika zamarło, gdy przekonał się, jak wiele krzeseł o wysokich oparciach jest pustych. Miał nadzieję zobaczyć więcej towarzyszy przebudzonych i w pełni sił umysłowych, ale szczęście wciąż im nie sprzyjało. Może to przeznaczenie zwraca się przeciw nam? Może spełnia się proroctwo? Przegonił tę myśl z głowy: nigdy nie pozwalał, żeby przesady pokonały jego siłę woli, i nie zamierzał tego zmieniać.

W drugim końcu cichego pomieszczenia stała Maggie, zapatrzona w telluria, które wypełniały oszklone szafki i witryny - najrzadsze i najbardziej wyrafinowane przyrządy, jakie kiedykolwiek wykonano, przedstawiające znaki zodiaku i Układ Słoneczny, zachwycające detalami modele ze złota i brązu, które ukazywały ruch planet wokół Słońca. Niektóre powstały dwa tysiące lat temu lub w jeszcze odleglejszej przeszłości i na pewno nie były przeznaczone dla niezgrabnych rąk, ale Ted uwielbiał się im przyglądać. Czuł, jak na widok telluriów budzi się w nim dziecko, które odeszło bardzo, bardzo dawno...

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Maggie podniosła głowę. Z twarzy zmyto jej już krew, ale opuchlizna wyglądała okropnie. Nie pora na dziecinne zachwyty, przypomniał sobie Ted.

- Daj jeszcze trochę tej kawy, Jarvis! - zawołał wesoło Simeon Soames. - Tak się zmęczyłem, wstając z tego przeklętego wózka, że mało nie zasnąłem z powrotem.

Jarvis natychmiast dolał mu kawy do filiżanki, uważając, żeby nie zaplamieć białych rękawiczek, i się cofnął."

Ted stanął u szczytu stołu i przesunął wzrokiem po starych, pomarszczonych twarzach.

- Panowie - zaczął pewnym głosem, starając się mówić najpoprawniej, jak umiał. - Nadeszły straszne czasy i nie możemy wiency... więcej udawać, że nic się nie dzieje. Rada Wewnętrzna zwróciła się przeciw nam. St John Golden poszedł własną drogą i zabrał swoich Rycerzy.

Zgarbiony mężczyzna po lewej spojrział mętnie przez dwuogniskowe okulary i włożył w usta miętówkę. Lucas Blake był dobrym Rycerzem, póki - pięć lat temu - nie dopadło go starzenie.

- Mówisz, że Golden porzucił Zakon? - zapytał z niedowierzaniem, przecierając oczy, łzawiące od mocnego aromatu mięty, którym próbował się otrzeźwić.

- Dokładnie to mówi - prychnął Freddie Wise, ściskając rączkę hebanowej laski. - I nie wiem, czemu się tak dziwisz. Golden nigdy nie był w porządku.

Westchnął i podniósł filiżankę do ust zaskakująco pewną dłonią.

- Wy, młodziki, mieliście go za zwykłego narwańca. Myśleliście, że się wyszumi i uspokoi. Tylko jeden Harlequin wiedział. Próbował wam powiedzieć. Ale żaden z was nie słuchał, niewdzięcznicy. I zobaczcie, do czego to doprowadziło.

Gestem przywołał Jarvisa.

Zapadło ciężkie milczenie, wypełnione lękami, którymi żaden nie chciał się dzielić z resztą.

- Ale teraz Harlequin zginął - odezwał się w końcu Ted. - I nie przywrócimy mu życia.

Cisza, która zapadła tym razem, była jeszcze dłuższa.

- Był dobrym człowiekiem - powiedział cicho Lucas Blake. - Zakonowi będzie go brakować, Potrzebujemy więcej takich jak on.

- Dzieje się coś bardzo złego. Gorszego niż to, że zabili Harlequina, chociaż to oczywiście okropne, i zabrali teczkę Finmere'a. - Harper Jones znużonym ruchem potarł obwisłe policzki. - Miałem straszne sny. Jakby przygniatały mnie i dusiły wszystkie światy.

- Ja też. - W oczach Lucasa Blake'a Ted zobaczył nagle młodego mężczyznę, którym Lucas był jeszcze tak niedawno. Zobaczył też inne rzeczy i niewypowiedziane słowa, które dźwięczały także w jego własnych myślach. Słowa takie jak prorocstwo i legenda. Może w tych opowieściach jest jednak ziarnko prawdy...

- I ja - dodał sucho Freddie Wise. - I nie tylko my. Kata-tonicy też śnią. Poruszają się, krzywią i coś wołają. Prawda, Jarvis?

- Nie inaczej, proszę pana. Nigdy wcześniej się to nie zdarzało.

Freddie spojrzał na Teda.

- Chyba czas zerknąć na mapę.

- Musimy? - jęknął Cardrew Cutler. - Głowa mi od tego pęka.

- Jak każdemu, Cardrew. Ale i tak chcę ją obejrzeć.

Ted popatrzył wokół stołu, żeby upewnić się, że wszyscy się zgadzają, po czym podszedł do włącznika światła przy drzwiach. Sięgnął do niewielkiego przycisku w plastikowej obudowie, który kliknął pod jego palcami. Obudowa podniosła się, odsłaniając guzik opalizujący wszystkimi barwami jednocześnie. Ted wcisnął go i się odwrócił. Środkowa część stołu odsunęła się gładko, ukazując ukrytą mapę.

Ted, Maggie i starzy mężczyźni wpatrzyli się w nią zachwyconymi oczami. Nawet Jarvis stracił nieco ze swojego odwiecznego chłodu. Rzeczywiście, widok był hipnotyzujący.

Mapa nie była faktycznie mapą - lecz swego rodzaju tellurium, Prawdziwym Tellurium, które przedstawiało Londyn każdego ze światów. Miasta leżały jedno nad drugim, kolorowe i pełne szczegółów, chociaż niemal przezroczyste.

Ted zauważył maleńki, czerwony piętrowy autobus, który blokował ruch na moście Westminster. Reflektory rzucały snopy światła w listopadową noc. Poniżej znajdowała się inna warstwa - inny Londyn, w którym panowało późne popołudnie, a letni deszcz padał na most, nieco węższy i położony nieco bardziej na lewo. W kolejnym Londynie, jeszcze niżej, w ogóle nie było mostu, tylko port promowy o dziwnym wyglądzie, a niżej...

Zamrugał powiekami.

Gdy próbował sięgnąć wzrokiem zbyt daleko w warstwy, które opadały gdzieś w głąb, o wiele poniżej poziomu podłogi, jego mózg zaczynał szaleć i groził wybuchem.

Mapa nie została wykonana po to, żeby zbyt długo się jej przyglądać, ani po to, żeby rozumieć; po prostu była. Ted pozwolił oczom błędzić po niej bez patrzenia, aż stała się na nowo buzującym wirem światła, ruchu i barw.

Freddie Wise wciąż nie odrywał od niej wzroku.

- Patrzcie - odezwał się. - Tam.

Wskazał na odległy narożnik mapy, w którym, na samym skraju, widoczna była szara chmura, o wiele gęstsza i cięższa

- Jak każdemu, Cardrew. Ale i tak chcę ją obejrzeć.

Ted popatrzył wokół stołu, żeby upewnić się, że wszyscy się zgadzają, po czym podszedł do włącznika światła przy drzwiach. Sięgnął do niewielkiego przycisku w plastikowej obudowie, który kliknął pod jego palcami. Obudowa podniosła się, odsłaniając guzik opalizujący wszystkimi barwami jednocześnie. Ted wcisnął go i się odwrócił. Środkowa część stołu odsunęła się gładko, ukazując ukrytą mapę.

Ted, Maggie i starzy mężczyźni wpatrzyli się w nią zachwyconymi oczami. Nawet Jarvis stracił nieco ze swojego odwiecznego chłodu. Rzeczywiście, widok był hipnotyzujący.

Mapa nie była faktycznie mapą - lecz swego rodzaju tel-lurium, Prawdziwym Tellurium, które przedstawiało Londyn każdego ze światów. Miasta leżały jedno nad drugim, kolorowe i pełne szczegółów, chociaż niemal przezroczyste.

Ted zauważył maleńki, czerwony piętrowy autobus, który blokował ruch na moście Westminster. Reflektory rzucały snopy światła w listopadową noc. Poniżej znajdowała się inna warstwa - inny Londyn, w którym panowało późne popołudnie, a letni deszcz padał na most, nieco węższy i położony nieco bardziej na lewo. W kolejnym Londynie, jeszcze niżej, w ogóle nie było mostu, tylko port promowy o dziwnym wyglądzie, a niżej...

Zamrugnął powiekami.

Gdy próbował sięgnąć wzrokiem zbyt daleko w warstwy, które opadały gdzieś w głąb, o wiele poniżej poziomu podłogi, jego mózg zaczynał szaleć i groził wybuchem. Mapa nie została wykonana po to, żeby zbyt długo się jej przyglądać, ani po to, żeby rozumieć; po prostu była. Ted pozwolił oczom błędzić po niej bez patrzenia, aż stała się na nowo buzującym wirem światła, ruchu i barw.

Freddie Wise wciąż nie odrywał od niej wzroku.

- Patrzcie - odezwał się. - Tam.

Wskazał na odległy narożnik mapy, w którym, na samym skraju, widoczna była szara chmura, o wiele gęstsza i cięższa niż zwykła chmura deszczowa. Poruszała się bardzo powoli, płynąc w kierunku Londynu.

- To się dzieje we wszystkich światach? - wyszeptał Lucas Blake.

- Gorzej. - Freddie odchylił się na krześle. - To nie ma granic. Pod chmurą nie widać warstw. Zupełnie jakby przestały istnieć.

Ted przyjrzał się jeszcze raz. Freddie miał rację.

- Co to znaczy? - zapytał Cardrew Cutler.

- Nie wiem. Ale to nie może być nic dobrego. Każdy świat ma swoje miejsce.

Zdaje się, że ta chmura to zmienia. Chyba łączy je, stapia w jedno.

Ted podszedł do ściany i znów nacisnął guzik. Cienki blat z polerowanego drewna wysunął się ze stołu i przykrył mapę. Przez chwilę, nim oczy Teda przywykły, pokój wydawał się ponury i pozbawiony kolorów.

- Tego nie mogą robić Rycerze. Nie możemy wpływać na równowagę między światami. Więc jak to się dzieje?

- Czego chce Golden? - odezwał się Lucas.

- Władzy - odpowiedział Ted. - Zawsze chciał władzy.

Jego serce waliło z hukiem o żebra, kiedy układał sobie wszystko w głowie.

- Opowieści - rzucił nagle, wędrując wzrokiem po twarzach wokół stołu. -

Równowaga wszystkiego zależy od Pięciu Odwiecznych Historii.

Kiedy Freddie zrozumiał, na jego twarzy odmalował się szok. Oczy dwóch starych przyjaciół się spotkały.

- Opowiadaczka... - zaczął Freddie i urwał, blednąc. Po chwili wyszeptał: - Zrobili coś Opowiadaczce. Tylko ona potrafi w ten sposób wpływać na światy.

Cardrew Cutler włożył w usta miętówkę.

- Czy my przypadkiem przed czymś nie uciekamy? - Rozejrzał się po towarzyszach i zatrzymał wzrok na Freddie'cie. - Nawet ty, Freddie, z całą twoją mądrością nauką i logiką, na pewno się nad tym zastanawiasz.

Zastukał sękatym palcem w powierzchnię stołu, aż załśniły wyryte na niej wyrazy.

- Proroctwo.

Atmosfera w sali zgęstniała. A więc nie tylko jemu, pomyślał Ted, ale i Lucasowi Blake'owi też przyszła do głowy starożytna przepowiednia.

- Proroctwo to tylko stary wiersz napisany przez ludzi, o których nic nie wiemy - zaprotestował słabo Freddie. - I nigdy nie udało nam się ustalić, co dokładnie znaczy.

Simeon Soames wzruszył ramionami, krzywiąc się jednocześnie - tyle wysiłku kosztował go ten drobny ruch.

- Ale musisz przyznać, Freddie, że gdyby nie proroctwo, Zakon by nie powstał. Proroctwo to powód, dla którego istniejemy. Zakon utworzono, żeby zapobiec spełnieniu się proroctwa, i chociaż wszyscy traktujemy je jak jakąś dawną religię, a nasza rola zmieniła się z biegiem wieków, to jednak... może... - Głos zamarł mu w gardle.

Może tylko zabrakło mu sił, żeby dokończyć zdanie, pomyślał Ted. Zresztą, nieważne. Wszyscy zrozumieli. Nawet Freddie Wise po raz kolejny odczytywał w milczeniu świetliste wyrazy. Stare oczy Teda również powędrowały ku nim, chociaż znał cały wiersz na pamięć.

Proroctwo Magów

Stoją razem, dziewięciu, a w każdym z nich jest

Prawda, Wolność i Duma, i Miłość, i Gniew,

Przyływ rzeki i odpływ to przecież ich krew.

Dwa odbicia zobaczysz, choć tego samego

Martwe kości jednego, a ciało drugiego -

Magów pytaj o grę tę, oni wszystko dostrzegą.

Oto ich proroctwo:

Mroczny mąż Mrocznym Wiekiem przybędzie zawładnąć. Wrota wpuszczą tych także, co ratować nas pragną.

Oto niosą podróżnicy z zewnątrz do środka Honor, męstwo, a grzech i nienawiść też spotkasz. Światło wszelkie i mrok w odcieniu bogaty Przejdą pustki, otchłanie, by rozedrzyć światy.

Kiedy życie i śmierć połączą się w jedno, Równowaga wszystkiego rozpadnie się pewno, A miłość uczyni największe zniszczenie I rozpęta wojnę, wszystkich wojen

zatrącenie.

Niegotowy historie posiadzie i masz rychle Czarną burzę, szaleństwo i za króla bitwę.
Magowie przepowiedni nie widzą wyników, Może obrońcą będzie Zakon
Podróżników, Może historie mocne, jasne się ostaną, A zniszczone obronią przed lęku
otchłanią.

Ze słowami nie walczye: bez wątpienia miną, A dwa światy niech przyszłość
niechybną swą przyjmą.

Gdy jeden, jeden i jeden czterema się stanie, Wszystkich światów się skończy
oczekiwanie.

Ted westchnął, tak jak pozostali. Proroctwo. Nikt w nie tak naprawdę nie wierzył,
nawet Harlequin. Być może Zakon powstał, aby chronić światy przed jego
ureczywistnieniem, ale w ciągu stuleci przekształcił się w rodzaj policji strzegącej
Nigdzieświat, aby nie przedostawali się do niego ludzie i rzeczy z Gdzieświata. Jeśli
pradawny wiersz mówił prawdę, to... Boże, dopomóż. Ted pomyślał o chmurze
rozlewającej się nad mapą i przygryzł wargę. Gra się rozwija.

Znów spotkał wzrok Freddiego Wise'a i zobaczył, jak w nieruchomym spojrzeniu
przyjaciela odbija się jego własny strach. Na coś takiego byli już o wiele, wiele za starzy.

Wpadli jeszcze do mieszkania Manningów w Brickman Es-tate, żeby Joe mógł się
przebrać i zostawić kartkę dla mamy, i dotarli do stacji Aldgate ze sporym zapasem
czasu. Bez trudu znaleźli małą turecką restauracyjkę; o ósmej trzydzieści siedzieli już nad
filiżankami parującej słodkiej herbaty. Kierowcy z małej firmy taksówkowej z
sąsiedztwa, jedyni poza nimi klienci, zajadali się lepkimi od miodu ciastkami.

Fin z zadowoleniem i ulgą stwierdził, że oba przedsiębiorstwa trzymają się przyjętych
zwyczajów, jeśli chodzi o szyldy. Co prawda firma taksówkowa mogła się poszczycić
jedynie brudnym kwadratowym neonem w kolorze żółtym, z napisem „Taksówki”, ale
przynajmniej było jasne, co to za miejsce. Właściciel restauracji postarał się bardziej:
tablicę z nazwą lokalu, zapisaną niby-tureckimi literami, zdobiły winne grona i liście oraz
symbole niebieskich oczu proroka chroniące przez złym urokiem. Wszystko jak należy.

Ted postawił na ceratowym obrusie dwa pojemniki z pianki i usiadł.

- Wcinajcie, chłopaki.

Fin podniósł pokrywkę i zobaczył kebab, polany obficie sosem chilli i majonezem. Pusty żołądek przypomniał o sobie głośnym burczeniem.

- Dzięki, Ted - powiedział, sięgając po widelec.

- Mmmh, szszuper, Ted - wybełkotał Joe pełnymi ustami. Ted - chociaż Fin trochę się obawiał jego reakcji - nawet nie unióśł brwi, widząc, że przyszli obaj. Cóż, Joego nie dało się powstrzymać: jest gotów na wszystko, cokolwiek się stanie, i Fin w żaden sposób się go nie pozbędzie. Joe zapowiedział to jasno i wyraźnie. Przebolał jakoś kłamstwa przyjaciela - rozumiał, że Fin nie kłamałby bez ważnego powodu - ale jeśli odeśle go teraz do domu, to naprawdę będzie koniec ich przyjaźni. W głębi duszy Fin poczuł ulgę.

Ted kazał Joemu przynieść herbaty i pochylił się do Finmere'a.

- W porządku, synu. Wcale się nie zdziwiłem, że idzie z tobą. Chłopaki kochają przygody, tak już jest. - Jego głos zmiękł. - Niebezpieczeństwami martwią się dorośli, a wy macie jeszcze na to czas.

Fin zastanawiał się, jakimi to niebezpieczeństwami martwi się Ted. Wieloma, sądząc po wyrazie twarzy.

Ted wyjrzał przez okno, marszcząc brwi. Chociaż wciąż znajdowali się w centrum Londynu, ulica była cicha i spokojna. Finmere przyglądał się strażnikowi znad kebabu. W końcu Ted odwrócił się do nich, oparł łokcie na blacie i pochylił się nieco. Przy innych stolikach taksówkarze gadali, śmiali się i przeglądali zagraniczne gazety. Nie zwracali uwagi na dwóch nastolatków i starszego mężczyznę w mundurze strażnika.

- Teraz słuchajcie - odezwał się Ted tak cicho, że jego schrypnięty głos zabrzmiał jak warczenie. - Muszę wam coś powiedzieć. To, co Harlequin chciał ci wyjaśnić dzisiaj po południu, Fin. Może być, że nie wszystko od razu załapiecie.

Serce Fina podskoczyło, uderzając o żebra. Schylił się, tak jak Ted, a Joe zrobił to samo. Wyglądamy jak spiskowcy, pomyślał Fin. Ale nie udało mu się uśmiechnąć.

- Mów, Ted. O cokolwiek chodzi, ja ci wierzę.

- Dobra. Powiem prosto i bez ozdóbek. - Ted wziął głęboki oddech. - Czasem to, co widzimy, to nie wszystko. Ten świat, nasz świat, oczywiście istnieje, ale nie jest jedyny. Są też inne światy. Tamtych nie można tak łatwo zobaczyć.

- Jak Marsa albo Merkurego? - przerwał Joe. Fin kopnął go pod stołem. Joe zawsze

brał wszystko zbyt dosłownie. Widząc, że Fin na niego patrzy, przewrócił oczami.

- Nie, nie są jak inne planety, tylko... - Ted przerwał na chwilę, próbując znaleźć właściwe słowo.

- Może jak wszechświaty równoległe? - Fin zmarszczył czoło, a Ted uśmiechnął się szeroko. Za zamkniętymi drzwiami w głowie Finmere'a coś kliknęło i wskoczyło na swoje miejsce - tak cicho i gładko, że nawet tego nie poczuł.

- Właśnie tak, Fin! Równoległe wszechświaty. Coś w tym rodzaju. - Ted puścił do niego oko. - Zawsze wiedzieliśmy, że mądry z ciebie chłopiec. No, więc te wszystkie światy są trochę jak nasz, ale są jednocześnie zupełnie inne. Niełatwo to wytłumaczyć. Leżą jakby jeden na drugim, warstwami, przynajmniej tak uważamy. Większość światów możemy sobie tylko wyobrażać, ale z najbliższym jest inaczej. Znamy go. Nazywa się Nigdzieświat.

Fin wstrzymał oddech. Czy o tym mówił sędzia? Rzeczy są nigdzie albo...

- A nasz świat jak się nazywa? - Głęboko zamyślony Joe maniakalnie czochrał krótkie, mocno skręcone loki. - Po prostu Ziemia?

Ted pokręcił głową.

- Nie, nasz świat nazywa się...

- Gdzieświat - dokończył Finmere.

Ted i Joe spojrzeli na niego zaskoczeni.

- A ty skąd wiesz? - zapytał Joe.

- Sędzia mówił, że rzeczy są gdzieś albo nigdzie. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Fin popatrzył na Teda. - Ale myślał o światach, prawda? To o tym chciał mi powiedzieć.

Ted uśmiechnął się pośpiesznie.

- Sędzia Brown stał na czele Zakonu Rycerzy Nigdzie-świata. W Nigdzieświecie jest takie stare proroctwo, które przepowiadało powstanie Zakonu. - Pociągnął nosem. - Nasze światy miały być jak gdyby połączone przez Rycerzy, na dobre i na złe. Tak w każdym razie uznali w Nigdzieświecie, kiedy pierwszy raz pojawił się tam ktoś z naszej strony. Dawno temu proroctwo było w Nigdzieświecie jakby religią, ale nie wiem, czy teraz jeszcze w nie wierzą.

Fin pomyślał, że Teda równie trudno zrozumieć, jak wcześniej sędziego. To wszystko

jedno: że kręci mu się w głowie, kiedy myśli o tym wszystkim i próbuje jakoś to poukładać.

- Tak czy siak, są te dziury, ale było też, a raczej jest, jedno przejście zawsze otwarte. Kiedy je znaleźli, około 1615 roku, został odkryty Nigdzieświat. Z początku ludzie próbowali je zamurować, ale takie wrota, wiecie, mają być otwarte i nie zawsze daje się je zamknąć. W końcu przebiły się na wylot przez cegły.

Fin napił się zimnej herbaty.

- Gdzie są te wrota?

- Pod ulicami Clerkenwell, w murze Starego Aresztu, tego więzienia, które od 2001 roku jest zamknięte dla zwiedzających. Harlequin sporo się namęczył, zanim udało mu się to załatwić - wyjaśnił Ted ze smutnym uśmiechem.

Przez chwilę milczeli wszyscy trzej. Nawet Joe siedział bez słowa, przetrawiając informacje.

Fin patrzył na siatkę popękanych żyłek, która pokrywała czerwoną szorstką twarz Teda.

- A ty jesteś jednym z nich? - zapytał wreszcie. - Jesteś Rycerzem Nigdzieświata? Strażnik pokręcił głową.

- Nie. Niektórym nie jest to pisane. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ale skąd w tym wszystkim wziął się Fin? - Joe przestawił piankowe pojemniki i zaczął wyjadać resztkę zimnego kebabu Finmere'a.

- Siedemnaście lat temu w Nigdzieświecie został zamordowany Rycerz. Przez pewien czas bardzo źle się tam działo. - Ted zerknął na Fina. - Jakiś rok później pojawiłeś się ty. Ktoś włożył ci do pudełka pierścień tamtego Rycerza. Miecza nie, tylko sam pierścień.

Przez głowę Fina przepłynęła szumiąca fala krwi. Usłyszał echo następnych słów, jeszcze zanim Ted je wypowiedział.

- Harlequin i w ogóle wszyscy myśleliśmy, że Baxter, ten zabity Rycerz, musi być twoim ojcem.

Zakręciło mu się w głowie, więc zacisnął dłonie na siedzeniu krzesła. Jego świat przewrócił się właśnie do góry nogami. Miał gęsią skórkę i dreszcze: Ojciec. Ojciec, prawdziwy, z imieniem, ze wszystkim. Baxter... Pytania wypełniły nie tylko głowę, ale i

całe ciało Fina, i było ich o wiele za dużo, żeby ująć je w słowa. Jaki był? Ile miał lat? Jak zginął? Coś łomotało w zamknięte drzwi świadomości. Co to takiego? Dlaczego to takie ważne? I dlaczego tak bardzo go przeraża? I co ma wspólnego z tym, że Baxter być może jest jego ojcem? „Ojciec”. To chyba nie dzieje się naprawdę...

Ted pochylił się ku niemu i dopiero, kiedy chwycił go za rękę, Fin zdał sobie sprawę, jak okropnie się trzęsie.

- Ale na pewno tego nie wiemy, Fin. - Strażnik ścisnął jego dłoń. - Po tym wszystkim Rycerze wybrali nowego komandora. Nazywa się St John Alexander Golden. Wielu z nas... no, myśleliśmy, że zjednoczy Rycerzy po tych problemach, i na jakiś czas rzeczywiście zjednoczył. Ale teraz zszedł na złą drogę, a za nim młodzi Rycerze. Robi straszne rzeczy i musimy go powstrzymać. O tym jest w prorocztwie, wiecie. Może to ma jakiś związek, a może nie, ale nie możemy ryzykować. Po to w końcu powstał Zakon.

Fin czuł się tak, jakby po jego mózgu przebiegło właśnie stado słoni, a jednak gdzieś głęboko, w samym środku, wszystko w nim śpiewało: pierścień, kocyk, Baxter. Wciąż miał mnóstwo pytań - ale znał już o wiele więcej odpowiedzi niż kiedykolwiek w swoim szesnastoletnim życiu. Kawałki układanki przesuwaly się na właściwe miejsca i po raz pierwszy zaczynał czuć, że gdzieś przynależy. A może nigdzie? Opanował chichot i wzbierające jednocześnie łzy.

- Ale co my możemy zrobić? - wykrztusił wreszcie.

Na to jedno pytanie Ted mógł odpowiedzieć:

- Synu, musicie włamać się do Aresztu i przejść do Nig-dzieświata. Tam znajdziecie Fowkesa i powiecie mu, że Rycerze porwali Opowiadaczkę. On będzie wiedział, co robić.

Fin zmarszczył brwi.

- Kto to jest Opowiadaczka? I Fowkes?

- Wszystko w swoim czasie. Najlepiej nie wiedzieć za dużo, póki koniecznie nie trzeba. - Ted uśmiechnął się szeroko. - Ale jedno ci powiem: to twoje przeznaczenie, Fin. Czuję to przez skórę. Nie widzisz?

Fin patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Nie, raczej nie widział.

- Jeśli Baxter był twoim ojcem, a twoja matka pochodziła z Nigdzieświata, to jesteś pierwszym człowiekiem, który należy do obu światów. - Ted wyprostował się na krześle.

- Dlatego sędzia Brown tak wszystko urządził: twoje życie miało być podzielone, rok tu, rok gdzie indziej, żebyś przyzwyczaił się do życia w dwóch światach. I chciał się przekonać, czy umiesz dochować tajemnicy.

Uśmiechnął się.

- W niczym nas nie zawiodłeś, Fin. Jesteśmy z ciebie dumni.

Szum w głowie Finmere'a zaczął zalewać myśli. Za dużo tego było i nie wiedział, od czego zacząć. Z pewnością nie czuł się nikim specjalnym - raczej przeciwnie. I to od zawsze.

Próbował posortować informacje jak fiszki. Nigdzieświat. Baxter. Wrota. Co takiego powiedział Ted? Muszą myśleć o tym, co ważne, a teraz najważniejszą rzeczą jest dostać się do Starego Aresztu. Tylko jak?

W myślach przyjrzał się stosom fiszek. Kilka kartek unosiło się nad nimi - nie wiedział, gdzie je przyporządkować. Uwagę Fina przyciągnęła kremowego koloru fiszka, która uniosła się ze stosu o nazwie „Szkoła”, zepchniętego teraz daleko w głąb głowy. Sięgnął po nią w myślach i przeczytał. Zamrugął.

- Mój najlepszy przyjaciel w St Martin's, Christopher Arnold-Mather... jego ojciec jest w rządzie - zaczął, wyrzucając słowa jak najszybciej, żeby myśl nie uciekła. - Jest ministrem kultury.

Joe spojrzał na niego, jakby Fin zaczął gadać od rzeczy.

- To ma być ważne?

Finmere udał, że nie słyszy; Joe po prostu nastroszył się na wzmiankę o St Martin's i najlepszym przyjacielu Fina w tamtej szkole.

- Ministrem kultury, tak? - Oczy Teda się zwęziły.

- Stary Areszt to zabytek, więc chyba ministerstwo ma z nim coś wspólnego?

Ted skinął głową.

- Mów, co wymyśliłeś.

- Mam pomysł, ale najpierw trzeba wyciągnąć Christo-phaera ze szkoły. - Zerknął na Teda. - Musisz się przebrać. W sweter i koszulę. I przydałaby się jeszcze marynarka, wiesz, taka z łatami na łokciach.

Zawiesił głos.

- I może włoż okulary. Weźmiemy taksówkę z tej firmy obok i spotkamy się tutaj,

gdy każdy załatwi swoje sprawy.

Uśmiechnął się do Joego, a przyjaciel oddał mu uśmiech, ale inny niż zwykle - o wiele mniej zawadiacki i zadziorny.

- Dobra, to lecimy po tego twojego gościa - odezwał się ze sztucznym entuzjazmem.
- Jest w porządku, Joe. - Fin wstał i wyrzucił opakowanie po kebabie do kosza przy drzwiach. - Polubisz Christophera. Jest świetny.
- Taa - zgodził się Joe bez przekonania. - Na pewno.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Stare powiedzenie brzęczało bez sensu w głowie St Johna Goldena, kiedy okryty ciemnym płaszczem szedł przez brudne uliczki. Nie było właściwie zimno, tylko w powietrzu unosił się dziwny, przejmujący do szpiku kości chłód. St John trzymał się błotnistego szlaku, który zakręcał w ulice i wił się zaułkami.

O ile wiedział, w Nigdzieświecie nie było Rzymu, ale wszystkie drogi prowadziły do Old Bailey - Domu Prawd Rzeczywistych. A przynajmniej jedna z każdej dzielnicy: mieszkańcy mogli nią pójść, jeśli chcieli jak najszybciej dotrzeć na miejsce, nie zapuszczając się w czasy i okolice, które im nie odpowiadały.

Dom Prawd Rzeczywistych należał do wszystkich londyńczyków. Mogli go odwiedzać, kiedy tylko chcieli. Jednak przeważnie stał cichy, jeśli nie całkiem pusty. Ludzie byli zbyt zajęci przyziemnymi sprawami codziennego życia, póki ich czas - niezależnie od epoki, w której żyli - nie dobiegł końca. Wtedy zaczynali się zajmować śmiercią, a to kładło kres wszystkim pozostałym sprawom, czy mieszkało się w tym, czy w którymkolwiek innym świecie.

Chociaż mieszkańcy Londynu Nigdzieświata nieczęsto - o ile w ogóle - odwiedzali Dom Prawd Rzeczywistych, lubili wiedzieć, że Old Bailey stoi tam, gdzie stał, i że ktoś troszczy się o rzeczy najważniejsze. Skręcając za ostatni róg na swojej trasie, St John się uśmiechnął. Co prawda dawno już nie był w Gdzieświecie, ale nie miał wątpliwości, że ludzie wszędzie i zawsze są ludźmi. W ciągu krótkiego, żalosego żywota zdarza im się

łgać i oszukiwać - mały przekręt tu, niewinne kłamstewko tam i tak dalej - ale wszyscy upierają się przy tym, jaka ważna jest prawda. Tylko że niewielu chce stawać oko w oko z rzeczywistymi prawdami. O wiele lepiej trzymać się od nich z daleka. A to akurat dziś wieczorem było St Johnowi bardzo na rękę.

Wąska uliczka doprowadziła go do szerszej. Choć dzień był mroczny i ciemny, St John starał się iść w cieniu budynków. Nie musiał się wcale ukrywać, ale w ostatnich dniach stał się - jak zauważył - o wiele ostrożniejszy niż wcześniej. Teraz, w ostatniej fazie planu, musiał mieć się na baczności, aż odzyska historię i zdobędzie - wraz ze swoim patronem, oczywiście - władzę nad wszystkimi światami.

Wysoko nad jego głową, na szczycie budynku z białego kamienia, znajdowała się wielka rzeźba przedstawiająca naczynie prawdy, które wydawało się unosić nad Londynem. Gość z Gdzieświata mógł je łatwo pomylić z klepsydrą, chociaż naczynie prawdy było od niej i węższe, i wyższe, a zawartość, zamiast przesypywać się przez przewężenie, unosiła się pośrodku. Z zewnątrz naczynie prawdy przypominało dawny czasomierz, za to mieniący się barwami płyn wewnątrz, pomyślał St John z kpiącym uśmiechem, kojarzył się z modnymi w latach siedemdziesiątych lampami typu lava.

Ogromne, rzeźbione w marmurze i zdobione złoconiami naczynie prawdy na szczycie budowli robiło spore wrażenie, chociaż nie mogło się równać z imponującym widokiem rzeczywistych naczyń, które w tysiącach tęczywych rzędów stały na półkach domu, jak książki w olbrzymiej bibliotece.

St John ominął schody prowadzące do głównego wejścia i odnalazł małe drzwi w murze po lewej stronie budynku. Otworzył je dużym mosiężnym kluczem, który wy dobył z kieszeni, sprawdził, czy ulica jest pusta i czy nie szpiegują go jakieś wścibskie oczy, po czym kilka razy kopnął mocno drzwi, aż deski popękały, a zamek się zepsuł. Teraz wyglądały tak, jakby ktoś włamał się przez nie do budynku. Zadowolony wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Wnętrze domu wypełniała cisza, jakby sama natura postanowiła uszanować świętość tego miejsca. Perry Longman czekał już na pewno na piętrze, ale zamiast iść od razu do pokoi, które zajmowała Opowiadaczka, St John ruszył prosto korytarzem, żeby przez otwarte podwójne drzwi po prawej stronie zajrzeć do wielkiej owalnej sali. Nie przekroczył progu - rzeczywista prawda była ostatnią rzeczą, jaką chciał usłyszeć - tylko

popatrzył w głąb rozległego pomieszczenia, którego ściany, od podłogi po kopułę, pokrywały rzędy półek z naczyniami: lśniące i migoczące morze roztańczonego światła.

Na żadnym z wielu poziomów nie było chyba gości. St John nie widział nikogo ani nie słyszał śmiechu, płaczu czy okrzyków złości i protestu, które zwykle towarzyszyły wizytom w Domu Prawd Rzeczywistych. Old Bailey nie był miejscem dla tchórzki, a większość ludzi wolała nie znać całej prawdy o sobie czy o ukochanych najbliższych. Łatwiej żyć w błogosławionej niewiedzy.

Archiwiści o białej skórze albinosów poruszali się bezgłośnie w górę i w dół drabin, ostrożnie przenosząc naczynia z miejsca na miejsce i zręcznymi palcami wyszukując te o bladej, mętnej zawartości, które należało zabrać do Lochów Martwych Prawd albo do Sali Mitów i Legend. St John nie obawiał się, że go zauważą. Wszyscy archiwiści byli ślepi, głusi i niemi. Tylko ktoś taki jak oni mógł znieść całodzienną pracę w Domu Prawd Rzeczywistych i nie oszaleć. Nie słyszeli prawd, ale ich jaskrawe kolory przebijały się w jakiś sposób przez mroki ślepoty, dzięki czemu potrafili odróżnić naczynia i ustawiać je we właściwych miejscach. Dla wszystkich mieszkańców Nigdzieświata pozostawali od wieków tajemnicą.

St John przyglądał się czarno odzianym postaciom, które przesuwają się jak duchy po korytarzach i salach budynku. Archiwiści nie widzieli się nawzajem, a jednak, mijając się, żaden nawet nie musnął towarzysza. Nikt nie rozumiał, jak radzą sobie z tą pracą. Co jakiś czas dwóch czy trzech głuchoniemych ślepców pojawiała się pod głównym wejściem Old Bailey, gdzie czekali na przyjęcie. Kiedy tylko zostali przebrani w czarne szaty i dopuszczeni do sal z naczyniami, na ich bladych twarzach pojawiał się niebiański uśmiech. Natychmiast zaczęli rozdzielać i porządkować prawdy rzeczywiste, jakby urodzili się do tego zadania i przygotowywali do niego przez całe życie. Może zresztą tak było. Ludzie mówili, że archiwiści przybywają gdzieś spoza miasta, ale nikt - nawet Księżę Regent - nie wiedział tego na pewno. St John odwrócił się, marszcząc nos. Jeśli o niego chodzi, byli po prostu bandą dziwadła.

Przeszedł wewnętrznym korytarzem aż do centralnego atrium, gdzie woda szemrzącym strumykiem spadała do marmurowej sadzawki, by po chwili znów powędrować rurami w górę do pyska kamiennej ryby. Strone schody prowadziły stąd na piętro, zakręcając łukiem wzdłuż ściany. St John wbiegł nimi po dwa stopnie naraz,

przeskakując nad miejscem, gdzie siedemnaście lat temu został zamordowany Baxter. Czas go już gonił.

U szczytu schodów znajdowały się podwójne, wysokie, białe drzwi. St John zapukał cicho: trzy razy, dwa i znów trzy. Jedno ze skrzydeł uchyliło się lekko, a potem szerzej, kiedy Perry Longman go rozpoznał.

- Dobrze, że jesteś. Co za miejsce! Aż mnie ciarki przechodzą - przywitał go Perry. Miał już niemal trzydzieści lat, ale był tak szczupły, że wyglądał o wiele młodziej. Spośród wszystkich Rycerzy tylko o nim jednym St John myślał z uczuciem zawodu. Nie brakowało mu ani odwagi, ani rozumu, lecz - jak głosiły plotki - widywano go w hazardowych spelunkach i kasynach obu światów. St John wiedział, że nie może zaufać człowiekowi z taką skazą. Teraz wreszcie wymyślił, jak go wykorzysta.

- Co my tu właściwie robimy? - Perry rozejrzał się po śnieżnobiałym wnętrzu mieszkania Opowiadaczki. Ścian, mebli ani ozdób nie brukał nawet cień koloru. - Przecież już ją mamy? Tutaj jest tak białe, że czuję się okropnie brudny.

St John się uśmiechnął. Rozumiał, o co chodzi Perry'emu. Na nieskazitelnej bieli tych pomieszczeń nigdy nie pojawiała się najmniejsza plamka. Była to - obok sekretu pracy archiwistów - kolejna zagadka domu.

- Rycerze strzegą apartamentu Opowiadaczki i chronią ją samą.
- Ale jej tu nie ma. Złapaliśmy ją. Będziemy udawać, że nic się nie stało?

Dlaczego?

- Ponieważ reszta świata o tym nie wie, Perry. - St John mówił powoli, jak do opóźnionego w rozwoju dziecka. Poszukał dłonią drewnianej rękojeści noża do steków, który ukradł dzisiaj na miejscowym targu i ukrył w fałdach płaszcza. Teraz chwycił ją mocno. - A ludzie nie uwierzą, że pozwoliliśmy ją uprowadzić bez walki, prawda?

Fundamentem Zakonu jest honor.

Perry popatrzył dokoła. Pierścień członka Rady Wewnętrznej wydawał się niemal za duży na palcach dłoni, którą oparł na szczupłym biodrze.

- To znaczy, że narobimy tu bałaganu? - Uśmiechnął się szeroko. - Ja walnę ciebie, a ty mnie, a potem pokażemy, jakie mamy siniaki?

St John podszedł o krok bliżej.

- Obawiam się, mój drogi, że to musi wyglądać trochę bardziej przekonująco.

Zrobił jeszcze krok, stanął przed zaskoczonym Perrym, objął jego szyję ramieniem i przyciągnął go ku sobie.

- Przykro mi, Perry, ale nawet ty musiałeś zauważyć, że jesteś najmniej potrzebny.
- Wbił nóż pod żebra szczupłego mężczyzny, kierując go w górę, prosto w serce.

Perry zdążył tylko westchnąć i światło na zawsze zniknęło z jego oczu.

Chociaż już pierwszy cios go zabił, St John jeszcze kilka razy uderzył nożem w martwe ciało, nim pozwolił mu opaść na ziemię. Przykląkł i używając skraju płaszcza Perry'ego jak rękawicy, wy dobył jego obosieczny miecz z pochwy i włożył rękojeść między bezwładne palce.

Sprawdził, czy na podłodze rozlało się dość krwi, i zadowolony wyszedł na schody, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Nie zajrzał nawet do pokoiów Opowiadaczki. Przeszukali je wcześniej, kiedy przyszli tu po nią w środku nocy. Nie zostało już nic interesującego. To, czego chciał - Pięć Odwiecznych Historii - ukrywała w sobie. Taka była jej rola.

Przebiegł obok wejścia do Sali Owalnej i wykradł się przez wyłamane boczne drzwi, naciągając połę płaszcza na głowę, żeby zasłonić rudozłote włosy. Szybkim, pewnym krokiem oddalił się od Domu.

Skręcając za róg, St John poczuł na skórze pierwsze ciężkie krople deszczu. Jedna spadła mu na dłoń, zaraz potem druga. Podniósł rękę do oczu. Obie krople były ciemne, brudne, o wiele czarniejsze niż opad z chmury zanieczyszczonej smogiem. Zadziwiony, spojrzał w niebo.

Deszcz był czarny. Taki deszcz widział nad Nigdzieświa-tem tylko raz w ciągu wszystkich spędzonych tu lat, ale burzę, którą zwiastował, przeczekał w Gdzieświecie. Patrząc na ciemne strugi, pomyślał o Opowiadaczce. Ona i historie, których strzegła, zapewniały równowagę wszystkim światom. Chociaż nigdy nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, wszyscy wiedzieli, że to Opowiadaczka sprowadziła poprzednią czarną burzę.

Przez chwilę zastanawiał się, jak daleko znajduje się więzienie po drugiej stronie lustra. Może za daleko. Popatrzył na skłębione chmury. Możliwe że okazał jej za wiele ciepłości. Może czas zdjąć białe rękawiczki i po prostu załatwić sprawę.

Jego uwagę przyciągnął ruch w zaułku po przeciwnej stronie ulicy. W cieniu

budynków zamajaczyło śniade oblicze Maga. Przybysz patrzył na St Johna. Po sekundzie zniknął w mroku. Komandor przez chwilę szukał wzrokiem ciemnej jak garbowana skóra twarzy i oczu, w których błyszczał lęk.

Potem zasłonił się połą płaszcza i poszedł szybkim krokiem w stronę średniowiecznej części Starego Miasta. Na strach było już teraz za późno.

Po trwającym dziesięć minut biegu przez ciche nocne uliczki szacownej dzielnicy Surrey chłopcy znaleźli się wreszcie przed wejściem do szkoły St Martin's; daleko, bardzo daleko od surowych betonowych brył Brickman Estate. Wielka tablica z nazwą szkoły, dumna i bez śladu graffiti, umocowana była na otwartej bramie pod zwisającymi nisko gałęziami drzew. Joe zatrzymał się na moment i popatrzył w głąb szerokiego, kilkusetmetrowej długości podjazdu prowadzącego do sporego budynku, który kiedyś był okazałą rezydencją rodzinną, a obecnie mieścił jedną z najlepszych w Anglii szkół dla chłopców. Lampy zalewały kamienną fasadę potokami jasnożółtego światła.

- To twoja druga szkoła? - zapytał Joe cicho.

Fin przytaknął.

- Cholernie wielka.

- Szkoła jak szkoła. - Fin wiedział, że to kiepska wymówka, ale w pewnym sensie powiedział prawdę.

- Taa, wygląda zupełnie jak Eastfields - prychnął Joe.

- No tak, jest inna, ale w sumie taka sama. - Fin wzruszył ramionami. - Tutaj przyjeżdżam z czerwonym kuferkiem.

Oczywiście szkoły różniły się, ale o wiele więcej miały ze sobą wspólnego, chociaż trudno byłoby to wyjaśnić na poczekaniu. Nie wiedziałby, jakich słów użyć. I nie było czasu. Pomyślał o sędzim Brownie, który postanowił posłać go do dwóch tak odmiennych szkół. Może podobnie jest ze światami: trzeba je poznać, żeby zrozumieć. Tak samo jak ludzi, którzy w nich żyją.

- Która godzina? - zapytał, żeby zmienić temat.

Joe zerknął na zegarek.

- Trochę po dziesiątej.

- Dobra. Już wyłączyli światło, ale Christopher jeszcze nie śpi. To znaczy, nie sądzę. - Serce Fina waliło jak młotem.

Dziwnie się czuł, stojąc przed St Martin's. W tym roku nie pasował do tego miejsca jeszcze bardziej niż Joe. Chociaż Joe pewnie tak nie myśli. - Musimy uważać. Pan George, kierownik internatu, na pewno jest na nogach.

Uśmiechnął się do Joego.

- To taki tutejszy Utopiec Marsh. Zawsze wie, jak coś się kroi.
- Jasne.

Kryjąc się w cieniu rzędu dębów, przebiegli przez trawnik. Finmere nigdy wcześniej nie widział budynku St Martin's w nocy. Musiał przyznać, że wygląda dość imponująco.

Kucnęli za ławką. Fin się rozejrzał.

- W tym skrzydle są tylko wstępniaki.
- Wstępniaki?
- Tak, klasy młodsze i średnie. Tutaj zaczynasz się uczyć, jak masz sześć lat. - Fin popatrzył w znajome okna. Dziesięć lat temu spał za jednym z nich. To był jego pierwszy rok w St Martin's, kiedy postanowił schować swój kocyk, żeby nie stracić go podczas którychś przenosin. Pamiętał jeszcze, jak przytulał kocyk do twarzy i płakał, zanim zaniósł go do Postman's Park. Zaczerwienił się lekko. Był wtedy strasznym dzieciakiem.

- Musimy dostać się na drugą stronę. Sypialnie wyższej piątej są na pierwszym piętrze.

- Wyższej piątej? - Joe spojrzał na niego, jakby Fin zaczął nagle mówić innym językiem.

- Przepraszam. Klas jedenastych.
- Aha. - Joe zrobił minę, jakby wcale go nie ruszało, że rozumie jedno na trzy słowa Fina. Co oznaczało, że bardzo go to obchodziło.

Schyleni obiegli budynek. Na tyłach, gdzie nie zamontowano tyłu lamp, co od frontu, ciemność była gęstsza. Finmere uśmiechnął się, podniósł kilka kamyków i wycelował w okna pierwszego piętra. Pierwszy kamień uderzył w ścianę i spadł na ziemię. Drugi o włos minął okno na paterze. To było trudniejsze, niż Fin się spodziewał. Dopiero trzeci kamień stuknął w szybę. Obaj aż podskoczyli, słysząc trzask. Ale nic się nie stało.

Fin rzucił jeszcze jeden kamyk, celując starannie w środek okna.

- W razie czego od razu uciekaj - mruknął do Joego. Wcale by się nie dziwił, gdyby się okazało, że pan George akurat w tej chwili patroluje korytarz przy sypialniach

wyższych piątych.

- Byłoby łatwiej, gdyby mama nie zabrała mi pitolonej komórki.
- Akurat. Tutaj absolutnie nie wolno mieć telefonu. Jak cię złapią z komórką,

natychmiast wylatujesz.

- Nie gadaj! No, chciałbym tych stąd zobaczyć u nas w szkole. Porażka - parsknął pogardliwie Joe.

Rama okna na piętrze z turkotem podjechała do góry i w otworze ukazała się głowa chłopca. Wstali obaj, a Fin pomachał. Nie poznawał tej twarzy.

- To ja, Finmere Tingewick Smith! Muszę porozmawiać z Christopherem Arnoldem-Matherem - poprosił i skrzywił się nerwowo: miał wrażenie, że jego głos niesie się echem po całym terenie szkoły. Ale najwyraźniej nie mówił aż tak głośno, albo chłopak w oknie był przygłuchy.

- Co?
- Powiedziałem... - urwał. - Czekaj tam!

Podbiegł do budynku i popędził w górę schodami przeciwpożarowymi, wstrzymując oddech, kiedy tylko brzęknął metal. Joe biegł tuż za nim. Na schody prowadziło wyjście ewakuacyjne z sypialni, więc gdy zatrzymali się na drugim poziomie i przykucnęli, od okna i wychylającego się chłopaka dzielił ich ledwie metr.

- Jestem Finmere. Uczę się tutaj. - Chłopiec wyraźnie go nie rozpoznał. Musiał być nowy. - No, czasami. Słuchaj, zawołaj tu po prostu Christophera.

Piegowaty chłopak patrzył na niego jeszcze przez sekundę, wzruszył ramionami i zniknął. Fin i Joe zostali, ściśnięci niewygodnie, na metalowej platformie. Ich oddechy parowały po szybkim biegu po schodach. Kilka chwil później usłyszeli odgłosy przepychanki i wymianę mamrotanych zdań za oknem, a zaraz potem pojawił się Christopher. Wychylił się przez parapet, tak że cała górna część jego długiego, chudego ciała zawisała w powietrzu.

- Fin! - Uśmiechnął się szeroko. - Co ty tu, do cholery, robisz?
- Musisz mi pomóc z jedną rzeczą - wyszeptał Finmere. - To naprawdę ważne.
- Coś z twoim tatą? Ma problemy z jakąś misją szpiegowską? Co trzeba zrobić? Joe, który dotąd patrzył przez pręty na szkolny ogród, podniósł wzrok na Fina.
- A, to twój ojciec jest teraz szpiegiem? No, no, nieźle się rozwija.

Finmere zaczerwienił się z zakłopotania. Joemu powiedział, że jego tata kieruje przestępczym gangiem, bo uznał, że coś takiego zrobi największe wrażenie na dzieciakach z Eastfields. Na tej samej zasadzie powiedział Christopherowi i kolegom z St Martin's, że jego ojciec jest szpiegiem. Miał wtedy sześć lat. Słowo się rzekło: nie mógł już odwołać tej historii.

- Teraz nie mogę nic wyjaśnić. Po prostu mi zaufaj. Musimy znaleźć twojego ojca. Entuzjazm Christophera wyraźnie przygasł.

- A co ma z tym wspólnego mój ojciec?

Fin o mało nie wyskoczył ze skóry. Powinni jak najszybciej stąd zniknąć. Pan George zawsze im powtarzał, że czuje w powietrzu, kiedy tylko chłopaki zaczynają coś szykować. W tej chwili nos prowadził go pewnie do Wschodniego Skrzydła.

- Christopher, musimy się pospieszyć - przynaglił przyjaciela. - Ubierz się i idziemy!

- I weź jakąś kasę. Jesteśmy prawie spłukani - dodał Joe.

Christopher popatrzył na niego i przeniósł wzrok na Fina.

- Wrócę na śniadanie?

Joe wybuchnął śmiechem, aż Fin musiał stuknąć go łokciem w bok.

- Nie sądzę - powiedział.

Christopher pokazał zęby w uśmiechu.

- Dobrze. Ta cholerna owsianka wychodzi mi już uszami. Zaraz wracam. - W tej samej chwili zniknął w ciemnym wnętrzu sypialni.

Ted czekał na nich przed tureckim lokalem na zapleczu stacji Aldgate w zamówionej taksówce. Trzej chłopcy wcisnęli się na tylne siedzenie, strażnik usiadł z przodu. Finmere ledwie go poznał. W tweedowej marynarce, robionym na drutach swetrze i sztruksach, z podniszczoną brązową walizką w ręku, wyglądał dokładnie tak, jak chciał Fin: jak nieszkodliwy, nieco zramolały staruszek. Możliwe że jego plan ma jednak jakieś szanse powodzenia. Teraz, kiedy wrócili do centrum, czuł się o wiele mniej pewnie.

Siedział w środku, między przyjaciółmi. Christopher całkiem nieźle - jak na te okoliczności - przyjął fakt, że ojciec Finmere'a nie jest jednak drugim Jamesem Bondem. Ale ta nowina, podobnie jak wiadomość o dwóch szkołach Fina (i o drugim najlepszym przyjacielu), utonęła w zalewie znacznie bardziej zadziwiających rewelacji, które Fin,

wspierany od czasu do czasu przez Joego, wyszeptał Christopherowi do ucha podczas jazdy taksówką z Surrey.

Teraz Joe siedział bez słowa na tylnym fotelu, przygryzał wargę i patrzył przez okno. Ted odwrócił się do Christophera.

- To gdzie teraz może być twój tata?

Christopher spojrzał na niego z namysłem. Fin pożałował, że przyjaciel nie może zobaczyć Teda w nienagannym błękitnym mundurze z mnóstwem mosiężnych guzików, w którym wyglądał naprawdę imponująco i - mimo wieku - wydawał się niezniszczalny.

- Ta cała historia o różnych światach... to prawda? - zapytał Christopher.

- Tak, synu. Sam się przekonasz, jeśli tylko uda nam się dostać do Starego Aresztu. Christopher uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Powinno się udać. Ojciec będzie w Greyu. W swoim klubie. To jest...

- Wiem, gdzie to jest - przerwał mu Ted. - To był też klub Harlequina Browna.

Jeden z tych, do których warto należeć.

Odwrócił się do kierowcy i kazał mu jechać w stronę Westminsteru.

Finmere przyglądał się przemykającym za oknami światłom. Przed nocą londyński ruch wreszcie zelżał, więc taksówkarz mógł porządnie przyspieszyć. I dobrze. Fin nie wytrzymałby chyba stania w korku. Nie z tym wszystkim, co wisiało mu nad głową.

Christopher pochylił się i odwrócił w stronę Joego.

- Joe, w tamtej szkole... Eastfields?... gracie w rugby? Wyglądasz mi na szybkiego.

Łącznik młyna*?

Joe pokręcił głową.

- Nie. Gramy w piłkę. Ja w ataku. Strzelam gole.

- Super! Może jak skończymy z tą sprawą, co prawda stale nie wiem, o co chodzi, nauczę cię rugbya, a ty mnie piłki? Czasem grywamy w St Martin's, ale tylko dla zabawy, na przerwach. Nasze sporty to rugby i krykiet.

- Ja tam nie lubię krykieta - przyznał Joe. - Cały dzień tylko się łązi. Nudy.

Christopher się roześmiał.

- Też tak myślę. To dla starszków. - Odchylił się na oparcie i przez kilka sekund patrzył w okno, a potem trącił Fina łokciem.

- Chyba niezły gość - szepnął.

- Nie chyba, a na pewno.

Joe rozluźnił się, co znaczyło, że i on zaczyna trochę lubić Christophera, ale Fin wiedział, że musi potrwać, nim całkiem się do niego przekona. Joe nie był tak otwarty i kontaktowy jak Christopher.

Po kilku minutach Joe odwrócił głowę od szyby.

- Fin, a ty? Co wolisz? Rugby czy piłkę? - zapytał z niewinną miną.

Joe nie był może intelektualistą, ale na pewno nie był głupi. Finmere uśmiechnął się: doskonale rozumiał, o co pyta przyjaciel. Nie miało to nic wspólnego ze sportem. Christopher też się odwrócił i spojrzał na Fina.

Finmere wzruszył ramionami.

- Lubię je dokładnie tak samo - odparł, patrząc wprost przed siebie.

Żadna ze stolic świata nie może się pochwalić tyloma klubami dżentelmenów, iloma szczyli się Londyn. Dyskretnie wyjawiając, że należysz do Boodle'a czy też White'a, możesz otworzyć sobie drogę do najbardziej elitarnych kręgów towarzyskich na wszystkich pięciu kontynentach. Wiele klubów o najdłuższej tradycji cieszy się większym szacunkiem niż sam brytyjski rząd.

Wszystkie przewodniki nazywają White'a najstarszym klubem w Londynie. Jego członkami są przede wszystkim arystokraci, nie wyłączając członków rodziny królewskiej. Fakt, że najstarszym klubem dżentelmenów w mieście jest w rzeczywistości Grey, należy do naj pilniej strzeżonych sekretów Londynu.

Klub Grey to instytucja bardzo ekskluzywna. Liczba jego członków nie może przekraczać stu, a o przyjęciu decyduje nie tyle arystokratyczne pochodzenie kandydata, ile jego osoba, pozycja i status - chociaż obowiązkowa roczna opłata w wysokości dwudziestu tysięcy funtów znacznie ogranicza grupę zainteresowanych. Ponadto członkowie Greya mogą z podniesioną głową nazywać go „klubem dżentelmenów”: inaczej niż wiele podobnych instytucji, nigdy nie otworzył swych wrót przed kobietami. Dżentelmeni za bardzo cenili sobie ciszę i spokój.

Finmere, Joe i Christopher wyładowali się na chodnik, a Ted zapłacił kierowcy. Przed nimi, za czarnymi prętami ogrodzenia, wznosił się biały budynek w stylu georgiańskim.

Po prawej i po lewej stronie ciągnęły się łukiem szeregi podobnych domów.

Fin zerknął na lśniącą tabliczkę przy lakierowanych na czarno drzwiach z wielkimi mosiężnymi klamkami. Uliczne latarnie w tej części Londynu działały doskonale, więc nawet o tej porze - tuż przed północą - mógł bez trudu przeczytać napisy.

- Grey - szepnął do siebie. - Rok założenia 1682. Semper fidelis, semper paratus. Zawsze wierny, zawsze gotowy.

Złota plakietka aż się prosiła, żeby jej dotknąć brudnym palcem. Lśniącej powierzchni nie kalala najmniejsza nawet plamka.

Kiedy Ted zadzwonił do drzwi, Fin wypchnął Christophe-ra naprzód.

- Pamiętaj o planie - przypomniał z sercem w gardle. Jego pomysł naprawdę trudno było nazwać „planem”. W tej chwili wydawał się beznadziejny... ale nie mieli już czasu, żeby ponownie go przemyśleć.

- Nie martw się, Fin. - Christopher uśmiechnął się szelmowsko. - Wiem, jak wkręcić staruszkę. A poza tym załatwi nam wejście, żeby jak najszybciej się nas pozbyć. Zawsze jest taki zajęty.

Wreszcie drzwi się otworzyły i na progu stanął łysy, krępy mężczyzna w garniturze. Obrzucił ich chłodnym wzrokiem. Gdyby ktoś chciał znaleźć całkowite przeciwieństwo Jarvisa, facet akurat by się nadał, pomyślał Fin. Wcale nie wyglądał jak lokaj - prędzej jak bramkarz w nocnym klubie.

- Czy mogę pomóc, panowie? - odezwał się z najczystszy proletariackim akcentem z East Endu, chociaż „h” i „t” wymawiał jak należy. Bardzo dziwne. Fin spodziewał się kogoś z co najmniej taką klasą jak Jarvis, może nawet kogoś w rodzaju Christophera.

- Owszem - przytaknął Ted. Jego głos znów brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle. - Chcielibyśmy rozmawiać z panem Arnoldem-Matherem. Mamy dość ważną sprawę.

- Jestem jego synem - wtrącił Christopher władcym, wyniosłym tonem, który zawsze robił na Finie wrażenie. Tak właśnie powinien rozmawiać z recepcjonistkami w Rookeries... chociaż, prawdę mówiąc, odrobina pewności siebie nie zaszkodziłaby mu też na co dzień. Obserwując chłopców z St Martin's i dzieciaki z Eastfields, zrozumiał, że takiego poczucia wyższości nie da się udawać czy nauczyć: było wrodzone. Posiadali je tylko ci, którym od kołyski wbijano w głowę, że są uprzywilejowani i wyjątkowi,

choć... niektórzy wcale tacy nie byli; Fin osobiście poznał w St Martin's kilku naprawdę wrednych gości. - Muszę pilnie porozmawiać z ojcem - kontynuował Christopher. Wiem, że jeśli jest w mieście, nie wychodzi z Greya przed pierwszą. - Podniósł głowę i wyprostował plecy.

Bramkarz-lokaj zmierzył go spojrzeniem, po czym przyjrzał się uważnie wszystkim po kolei.

- No? - rzucił Christopher niecierpliwie; zabrzmiało to niemal jak rozkaz.

Fin zauważył w oczach mężczyzny krótki błysk: zdaje się, że w tej chwili z rozkoszą rozgniółby Christophera jak muchę. Sekundę później cofnął się do holu, wpuszczając ich do środka, i cicho zamknął drzwi.

- Proszę zaczekać tutaj. Sprawdzę, czy członek jest w tej chwili osiągalny. - Kiwnął krótko głową i zniknął w jednych z trojga wysokich drzwi.

Fin rozejrzał się dyskretnie. Narożny stoliczek rozdzielał dwie duże, pokryte skórą sofy Chesterfield, czerwoną i zieloną. Ich kolor przypominał Finowi o szkolnych kufrach. Ciekawe, gdzie jest teraz czerwony kufer. Może kiedy ta zwariowana przygoda się skończy, oddadzą mu go wcześniej.

Wszyscy czterej stali. Sofy nie zachęcały do siadania - podobnie jak pedantycznie złożona gazeta na stoliku nie wydawała się czekać na czytelnika. Ciszę zakłócało jedynie głośnie tykanie dużego stojącego zegara z brązowymi wskazówkami. Za dwadzieścia minut wybijie północ. Fin pomyślał, że powinien być wykończony i że pewnie niedługo dopadnie go zmęczenie po całym dniu, ale w tej chwili czuł się tak, jakby zbliżało się południe, a nie środek nocy.

Otworzyły się inne drzwi i do holu wszedł bramkarz-lokaj, a za nim wysoki mężczyzna o gęstych siwych włosach.

- Christopherze - jego twardy głos ciął jak bicz. - Co robisz o tej porze poza szkołą, na litość boską?

Był ubrany z nienaganną elegancją. Ciemny garnitur wydawał się świeżo wyprasowany, a oksfordzki węzeł krawata mógłby służyć za wzór w Sevres. Finmere był pod wrażeniem. Dotąd jeszcze ani razu nie udało mu się porządnie zawiązać krawata, a kiedy już zrobił węzeł, nigdy nie przetrwał on dłużej niż kilka pierwszych lekcji. Poza tym... ten strój musiał być niewygodny. Jaki sens ubierać się tak do klubu, dokąd

przychodzi się podobno dla relaksu? I po co - żeby wyglądać w odpowiedni sposób?

- Ojciec. - Christopher zbliżył się i podał mu rękę, którą pan Arnold-Mather uściskał mocno, choć raczej niecierpliwie.

- A więc?

- Chodzi o szkolny konkurs. Musimy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przygotować projekt na temat wybranego londyńskiego zabytku. Bardzo chcielibyśmy opisać Stary Areszt w Clerkenwell. Ma wspaniałą historię, a poza tym są tam podobno duchy i w ogóle. - Christopher nie pozwolił ojcu przerwać. - Zwycięzcy dostaną nagrodę, a szkoła będzie przyznawać nowe Wyróżnienie dla Wybitnego Ucznia.

Pan Arnold-Mather skinął głową w kierunku bramkarza-lokaja. Fin przysięgłby, że zanim mężczyzna zniknął w jednych z drzwi, w jego oczach błysnął żal. Pewnie miał nadzieję, że wywali ich stąd na zbity pysk.

- Ale co ty robisz w centrum po nocy? - Pan Arnold-Mather zmarszczył krzaczaste brwi, aż zbiegły się na środku czoła.

- Próbowaliśmy coś wymyślić i nic innego nie przyszło nam do głowy. A jeden dzień już minął, więc zaraz skończy się czas i będziemy musieli wracać do szkoły. - Christopher wskazał na Teda. - To pan Mason, nauczyciel. Pomaga nam przy projekcie.

Ted podszedł bliżej i uściskał rękę pana Arnolda-Mathera.

- Miło mi pana poznać. Bardzo przepraszam za tak późne najście. - Jego swojski akcent nadal był nieobecny. Fin poczuł się dziwnie, jakby zamiast Teda pojawił się ktoś obcy.

- Gdybyśmy czekali do jutra, byłbyś w Westminster i nie udałoby nam się z tobą spotkać. - Christopher melodramatycznym gestem wsparł dłonie na biodrach. Finmere zaniepokoił się, czy przyjaciel nieco nie przesadza.

- Tak, rozumiem. Ale to naprawdę nie jest przyjęcie, Christopherze. Nie nachodzi się ludzi w ich klubie.

- Przepraszam, sir - mruknął Christopher pod nosem, wbijając wzrok w czubki adidasów

Pan Arnold-Mather zignorował to i spojrzał na Fina i Joego.

- A wy...?

Fin wyciągnął rękę.

- Finmere Tingewick Smith.

Oczy mężczyzny zwęziły się lekko, kiedy ścisnął podaną dłoń. Skórę miał szorstką w dotyku, o wiele bardziej niż Fin spodziewałby się u polityka.

- A więc jesteś najlepszym przyjacielem Christophera -odezwał się po chwili. -
Dużo o tobie słyszeliśmy. Zdaje się, że prowadzisz bardzo interesujące życie.

Finmere zarumienił się ze wstydu. Christopher pewnie powiedział rodzicom, że jego ojciec jest szpiegiem. Ale teraz znał imię mężczyzny, który być może był jego prawdziwym ojcem - Baxter - i nawet krępujące wspomnienie kłamstw nie mogło zgasić tej radości.

Pan Arnold-Mather puścił wreszcie jego dłoń i zwrócił się ku Joemu, który sztywno wysunął przed siebie rękę.

- Joe Manning. Miło mi poznać. - Zabrzmiało to jak „my-łomiepoznać” i pan Arnold-Mather znów zmrużył oczy.

- Joe dostał stypendium w St Martin's - wyrwał się Christopher, za plecami ojca gwałtownie mrugając do Finmere'a. Fin był zachwycony, jak szybko na to wpadł: uczniowie St Martin's nie mówili z silnym londyńskim akcentem i nie połykali końcowych spółgłosek.

- Tak - potwierdził Joe bez wahania. - Sportowe.

- A jakież to sport uprawiasz, młody człowieku?

Serce Fina uderzyło o żebra. Jeśli Joe powie, że piłkę nożną, pan Arnold-Mather nigdy w to nie uwierzy. W St Martin's nie grało się w piłkę.

- Rugby - oznajmił Joe głośno. - Jestem łącznikiem młyna.

- Doskonale. - Pan Arnold-Mather uśmiechnął się za-ciśniętymi-ustami. - Dobra robota, młody człowieku.

Kiedy przeniósł uwagę z powrotem na syna, Joe puścił oko do Finmere'a, a Fin odpowiedział mu uśmiechem. Nie, Joe na pewno nie był głupi.

- A więc po co dokładnie przychodzisz do mnie w środku nocy, Christopherze? - zapytał pan Arnold-Mather.

- Stary Areszt jest zamknięty dla zwiedzających... - zaczął Christopher.

- Ach, rozumiem. Mam was tam wpuścić. Cóż, mogę to załatwić. Rano każę komuś, żeby się z wami spotkał. - Sięgnął dłonią do kieszeni, ale Christopher go

powstrzymał.

- Naprawdę bardzo chcielibyśmy wejść tam dziś w nocy, sir - powiedział, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt rozpaczliwie.

Fin poczuł ciarki na plecach. Jeśli będą musieli czekać aż do rana, nauczyciele w szkole zauważą, że Christopher się wymknął, dyrekcja zawiadomi rodziców o nieobecności ucznia i koniec zabawy. Jeśli trzeba kryć kolegę, chłopaki znajdą mnóstwo sposobów, ale nie zdołają oszukiwać nauczycieli zbyt długo.

- Tam podobno straszy i w ogóle... oczywiście my nie wierzymy w duchy - dodał Christopher spiesznie - ale powinniśmy o tym napisać w projekcie. A jutro wieczorem musimy wracać do szkoły, więc mamy tylko tę jedną noc.

- I nic innego nie wymyśliliśmy dzisiaj po południu, tylko ten Stary Areszt - włączył się Fin.

- I mamy o wiele większą szansę zwyciężyć niż inne grupy. - Joe jak zwykle nie mógł okazać się gorszy. - Oni wzięli sobie strasznie nudne miejsca, British Museum i inne takie.

Pan Arnold-Mather podniósł ręce, żeby ich uciszyć, spojrzał na Teda i westchnął. Ted uśmiechnął się i westchnął także, w ten irytujący sposób, w jaki dorośli zwykli dzielić się dramatyczną refleksją o treści: ach, te nastolatki! Ciekawe, czy zdają sobie sprawę, zastanowił się Fin, jak dramatyczne są takie momenty dla rzeczonych nastolatków.

- Cóż, to oczywiście wbrew prawu, ale doceniam waszą pomysłowość. Sądzę, że mogę posłać kogoś, kto was wpuści do budynku. Ale pamiętajcie, że skarbów tam nie znajdziecie.

Christopher wyszczerzył zęby do Fina, który odpowiedział uśmiechem. Chyba się udało!

- Zamierzacie zostać na całą noc?

- Tak, sir - odpowiedział Ted. - Oczywiście cały czas będę z nimi.

- Świetnie. Nie jestem zwolennikiem rozpieszczania chłopaków. Nieprzespana noc na pewno ich nie zabije. - Pan Arnold-Mather sięgnął do kieszeni po notatnik w skórzanej okładce i cienkie złote pióro. Zapisał adres i podał kartkę Tedowi. - Rano zostawcie klucze tutaj, w recepcji.

Spojrzał na stojący zegar.

- Nie ma jeszcze północy. Zadzwoń do Hatchera. Powinien być tam za pół godziny. - Popatrzył z uśmiechem na Christophera. - Synu, cieszę się, że uczysz się myśleć i planować. Pracujcie solidnie i zachowujcie się przyzwoicie. Chętnie zobaczę, jak wyjdzie ten wasz projekt.

- Tak, sir. - Christopher uściskał dłoń ojca.

Fin stwierdził, że obaj zachowują się niezręcznie, niemal jak obcy ludzie. Może mieć rodziców tylko w wyobraźni to nie jest ostatecznie takie złe.

Wycofali się jak odprawieni żołnierze i, mrużąc pod nosem podziękowania i pożegnania, przepchnęli się bezładną grupą przez drzwi, które otworzył przed nimi pan Arnold-Mather.

- Aż się dziwię, że poszło tak gładko - odezwał się Ted, kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły. Dzięki Bogu, jego akcent wrócił do normy. - Nie to, że miałeś zły pomysł - dodał szybko - tylko jest środek nocy i w ogóle...

- Wiem, o co panu chodzi. - Christopher obejrzał się na budynek klubu Greya. - Zwykle nie daje się tak łatwo ugadać. Może wygrał w karty.

Zawiesił głos.

- A może po prostu chciał się mnie pozbyć... to znaczy nas... - zająknął się i zapadło niezręczne milczenie, bo żaden z nich czterech nie wiedział, co powiedzieć.

- No to gdzie jest ten cały Stary Areszt? - wyrwał się wreszcie Joe i napięcie opadło.

- W Clerkenwell. Niedaleko. Mamy pół godziny, więc możemy iść pieszo - stwierdził Ted.

- Byle nie biegiem. Biegania to ja mam na dzisiaj dosyć - wymamrotał Joe.

- Żegnajcie, marzenia o grze w reprezentacji - zadrwił z niego Fin.

- Nie słyszałeś? - wtrącił się Christopher. - Joe już nie gra w piłkę. Jest łącznikiem młyna.

Stojąc tak pomiędzy dwoma najlepszymi przyjaciółmi, Finmere poczuł się naprawdę nieźle. Za progiem czekała fantastyczna przygoda, a Joe i Christopher pójdą razem z nim. Będą jak trzej muszkietierowie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, z obosiecznymi mieczami w dłoniach...

Kiedy czekali w wejściu do jednego z budynków mieszkalnych w Clerkenwell, zaczęło padać. Przez chwilę Fin miał wrażenie, że krople są czarne... ale na pewno tylko wyglądały tak w świetle latarni. Może odbijało się w nich ciemne niebo.

Przy krawężniku zatrzymała się czarna taksówka, z której wysiadł niski mężczyzna w długim wełnianym płaszczu. Zamienił kilka słów z kierowcą i się odwrócił. Na głowie miał melonik. Chłopcy wymienili spojrzenia: po raz pierwszy widzieli kogoś w meloniku.

Zauważył ich grupkę wciśniętą we wnękę drzwi, podszedł i zatrzymał się, żeby przyjrzeć im się dokładnie znad zsuniętych na czubek nosa okularów.

- Tędy - odezwał się wreszcie.

Fin owinął się mocniej kurtką, próbując osłonić ciało przed deszczem, i ruszył za Tedem. Szybkim krokiem skręcili za róg w boczną uliczkę. Mężczyzna w płaszczu - najwyraźniej Hatcher - otworzył kluczem furtkę w ogrodzeniu. Tuż za nią zaczynały się wąskie jak studnia schody, które wiodły w mroczną głębię. Fin nie mógłby powiedzieć, czego właściwie się spodziewał, ale wejście do więzienia wyobrażał sobie jednak nieco bardziej okazale.

Za ich plecami, na ulicy, warczał silnik czarnej taksówki. Hatcher przekręcał w zamkach kolejne klucze, mamrocząc pod nosem - dość głośno, żeby na pewno usłyszeli - „Wyciągają z łóżka w środku nocy... Nikt nic nie wyjaśni... Leje jak z cebra. .. Zimno jak diabli... Cholerne rozpuszczone bachory...”

Drzwi Starego Aresztu się otworzyły. Hatcher sięgnął do środka i włączył światło. Odwrócił się do nich.

- Odnieście klucze z samego rana - powiedział cierpko. -To nie jest plac zabaw.

Roztrącił ich bez słowa i poszedł do czekającej taksówki.

- Dziękujemy panu! - zawołał za nim Fin. Hatcher nie odwrócił głowy.

- Przemily gość - stwierdził Christopher.

- No, może byśmy weszli? Zaraz tu, kurna, zamarznę. -Joe popychał ich w kierunku drzwi.

Kiedy znaleźli się w oświetlonym wnętrzu, Finmere przyjrzał się twarzom pozostałych. Jednak oczy go nie myliły: spadające z nieba krople zostawiały na

policzkach brudne plamy, jakby ślady błotnistych łez.

Joe popatrzył na przyjaciela.

- Błę! Wytrzyj się, Fin.
- No, i ty też.

Oczyścili się rękawami i strzępami papierowych chusteczek. Ted otarł twarz płócienną chustką do nosa i zamyślił się głęboko.

- Czarny deszcz. Niedobrze. Bardzo niedobrze. - Pociągnął nosem i wetknął chustkę do kieszeni. - Dobra. Lepiej się pospieszmy.

Widok-czarnych kropel go przeraził. Fin zauważył to, chociaż starszy mężczyzna od razu postarał się ukryć strach. Nie dość szybko. Wyraz jego twarzy wystarczył, żeby Finmere zdrzął. Czego jeszcze Ted im nie mówi?

- Okropnie tu jest - szepnął Joe, kiedy schodzili za Tedem dwa piętra w dół. Kolebkowe sklepienia wisiały tak nisko, że chociaż nie brakowało miejsca, by się wyprostować, nawet chłopcy zaczęli się garbić.

Wzdłuż korytarza ciągnęły się szeregi ponurych cel o ścianach z kamienia.

- Wymyśliłeś to o duchach, Christopher, prawda? - zapytał Fin.

- No, oczywiście - powiedział dość niepewnie Christopher.

- Jasne, że wymyśliłeś to dla ojca. - Ted szedł w głąb piwnic tak szybko, że nie mieli szansy lepiej się rozejrzeć. - Ale w Starym Areszcie naprawdę straszny. Ludzie wciąż mówią o duchach i dziwnych odgłosach. Niedawno była tu nawet ekipa z jakiegoś programu telewizyjnego. Przyjechali na noc, ale przestraszyli się i uciekli.

- Naprawdę? - szepnął Fin bez tchu i poczuł, że Joe i Christopher przysuwają się bliżej. Szli teraz tuż przy nim, lecz zupełnie mu to nie przeszkadzało. Rzeczywiście, było coś przerażającego w cichych, ciemnych celach dawnego więzienia.

- Oczywiście, wcale nie słyszeli duchów - mówił dalej Ted. - W każdym razie nie takie, jakie sobie wyobrażali.

- Skoro to nie były duchy, to co to za głosy? - chciał wiedzieć Finmere.

Ted odszukał wąską klatkę schodową i poprowadził ich jeszcze niżej, do pomieszczeń, które najwyraźniej służyły jako magazyn. Poupychane w celach i zapomniane, stały tu manekiny z wystaw na górnych piętrach. Nawet światło było tutaj ciemniejsze, a temperatura spadła o kilka stopni, jakby zanurzyli się głębiej w trzewia

ziemi. Ted skręcił w lewo.

- Podróżowanie nie jest tak bezpieczne, jak się może wydawać. Niektórzy od tego chorują. Ja na przykład się duszę, a inni mają jeszcze gorzej. I w dodatku to się może zdarzyć za każdym razem, a nie tylko podczas pierwszej podróży.

Zatrzymał się i odwrócił do chłopców.

- Chciałem z wami o tym porozmawiać przy wrotach, ale możemy i tutaj - zawiesił głos. - Podróżowanie do Nigdzieświata i z powrotem nie jest całkiem bezpieczne. Po drodze możecie usłyszeć głosy. To pechowcy, którzy znaleźli wrota i przeszli przez nie, ale nigdy nie pojawili się po drugiej stronie...

- Jak to? - przerwał Christopher. - To co się z nimi stało?

Ted wzruszył ramionami. Twarz miał ponurą.

- Nikt tego nie wie. Na pewno gdzieś utknęli. Sam słyszałem krzyki. Moim zdaniem nie są w żadnym miejscu, w żadnym ze światów, tylko pomiędzy nimi. Jakby wpadli w czarną dziurę.

- Och, cu-do-wnie - stwierdził Joe.

- Ale to się rzadko zdarza - dodał Ted. - I tylko tym, którzy nie wierzą w to, co widzą. Ludziom bez wyobraźni. Jakby mózg nie pozwalał im zrobić ostatniego kroku. Dlatego wariują i utykają w połowie drogi.

Fin uśmiechnął się nerwowo.

- No, to nam nic się nie stanie. My wierzymy

- Jest jeszcze coś. W Nigdzieświecie czas dziwnie się zachowuje. Pozwala się tam dostać, ale przy powrocie może zacząć szaleć.

- To znaczy? - Fin zaczynał wątpić, czy ta wyprawa to naprawdę dobry pomysł.

Strażnik przyjrzał mu się uważnie, jakby oceniał, ile jeszcze znieśie.

- Staruszkowie z Domu Telluriów - zaczął. - Ci, których co roku golisz.

Fin kiwnął głową.

- Wyobraź sobie, że niektórzy z nich nie są tacy starzy... zdarza się, że podczas powrotu z Nigdzieświata ludzie nagle się starzeją. Dlatego być Rycerzem to tak wyjątkowe zadanie. Niektórzy z tych, których golisz, podczas ostatniej podróży nie mieli więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Wyruszają młodzi i zdrowi, a chwilę później wracają jako starcy.

Chłopcy patrzyli na niego z półotwartymi ustami.

- Po kilku latach, choćby nie wiem jak z tym walczyli, wpadają w rodzaj śpiączki. Wcale nie umierają od razu, tylko bardzo, bardzo długo są starzy. Nie wolno tego lekceważyć. Starzenie może dotknąć każdego Rycerza czy Podróżnika. Nie ma żadnej reguły. Nikt nie jest bezpieczny. Miecze obosieczne trzeba traktować z szacunkiem i używać ich tylko, kiedy to absolutnie konieczne.

Chłopcy milczeli. Fin po raz pierwszy zobaczył na twarzach przyjaciół prawdziwy strach i czuł, jak przerażenie skręca mu żołądek. Zestarzeć się nagle, ot tak, w mgnieniu oka? To było o wiele okropniejsze niż śmierć, a śmierci też jeszcze nie ogarnął.

- I nic nie da się dla nich zrobić?

Ted lekko wzruszył ramionami.

- Czasami, tuż przed północą, zwłaszcza w jakieś wyjątkowe dni, starzenie się cofa. To się zdarza bardzo rzadko, co pięć albo dziesięć lat. Ale co wieczór golimy starszaków, żeby dobrze się prezentowali, tak na wszelki wypadek. - Odetchnął głęboko. - Widzisz, nie można tracić nadziei. Bez nadziei jesteśmy skończeni.

Fin pomyślał o długich godzinach, jakie spędził, goląc starych mężczyzn w Domu Telluriów. Nagle poczuł się bardzo mały i jednocześnie bardzo dumny, że powierzono mu to zadanie.

- Więc mówisz, że nam też się to może zdarzyć? - Joe przeczesał dłonią włosy.

Ted kiwnął głową.

- Mniej więcej.

Fin popatrzył na przyjaciół.

- Nie musicie iść ze mną. Naprawdę. Obaj już bardzo pomogliście. To ja powinienem się tym zająć.

- Z Finem jest inaczej - poinformował Ted. - On już raz wrócił z Nigdzieświata, kiedy był małym dzieckiem. Część jego historii działa się w Nigdzieświecie, a część tutaj. A wy obaj urodziliście się i wychowaliście w Gdzieświecie.

Christopher i Joe spojrzeli na siebie wielkimi oczami i uśmiechnęli się w tej samej chwili.

- Jeśli ci się wydaje, że zostawimy cię samego, to się grubo mylisz. - Christopher objął Joego ramieniem. - No nie?

- Jak nie, jak tak.

- Ale to może być niebezpieczne. - Fin wiedział, że Joe zwykle szybciej działa, niż myśli, a Christopher, chociaż tak wiele ich różniło, pod tym względem był akurat dość podobny.

- Na pewno, synu - poprawił go Ted. - To na pewno będzie niebezpieczne.

- Tak jak wszystkie najlepsze przygody, prawda? - skwitował Christopher.

Joe naprężył muskuły i zacisnął pięści, jak bokser, kiedy szykuje się do walki.

- Do ataku!

Wrota znajdowały się za ścianą ostatniej z cel. Ted nacisnął włącznik i pod sufitem zamigotała brzęcząca żarówka.

- W XIX wieku, jak kogoś tutaj wsadzili, zaraz zakuwali biedaka w kajdany, żeby tam przypadkiem nie zajrzał. Nie chcieli, żeby było więcej wyjących duchów. - Starszy mężczyzna przesunął dłonią po starym murze, odszukał odpowiednią cegłę i pociągnął. Część ściany przesunęła się powoli, jak drzwi.

- Ale numer! - krzyknął Joe.

Finmere przypomniał sobie wazon, który otwierał przejście do ukrytego pokoju w Domu Telluriów, i szafę z książkami w Rookeries.

- Rycerzy kręcą sekretne przejścia - mruknął pod nosem.

Ted dosłyszał to i kiwnął głową.

- Niektóre rzeczy lepiej trzymać w ukryciu - zawiesił głos. - Na przykład to.

Przez wąski otwór widoczny był - całkiem dosłownie - inny świat. Kobiety w długich sukniach i mężczyźni w surdutach szli zatłoczoną ulicą, śmiejąc się i rozmawiając. Nie wybierali się na elegancki bal maskowy, uświadomił sobie Fin. To był zwykły dzień i codzienne stroje. Scena wydawała się płaska, dwuwymiarowa, jakby nieprawdziwa. Brakowało także kolorów.

- Jak na czarno-białym filmie - wyrzucił z siebie bez tchu.

- Wszystkie szczeliny i rozdarcia tak wyglądają, póki się nie przejdzie. Wrota też.

Kiedy chłopcy przyglądali się światu po drugiej stronie, Ted otworzył walizkę i wydobyl z niej obosieczny miecz, którym przebito pierś sędziego Browna. Był schowany w pochwie ze skórzanym pasem i Fin rozpoznał go tylko po lśniącej rękojeści.

- Załóż to. - Ted rozpiął klamrę pasa i podał miecz Finowi. - Będziesz go

potrzebował, żeby wrócić. Fowkes pokaże ci, jak go używać.

Fin zapiął pas na biodrach. Ciężar broni uciskał nogę, tak że musiał się przechylić, by zmienić punkt ciężkości ciała.

Teraz mógł chodzić z mieczem u boku, nawet o nim nie myśląc. Coś zastukało delikatnie w drzwi w jego głowie, ale zignorował to. Nie chciał wcale wiedzieć, co tam siedzi. Nie otworzy tych drzwi. Nigdy. Pukanie przerażało go i wołał nie rozumieć dlaczego. Tak było lepiej. Zamiast się nad tym zastanawiać, skupił uwagę na magii Nigdzieświata.

Joe gapił się przez otwór.

- Nie będziemy tam dziwnie wyglądać? Wszystko jest jakieś stare, jak z przeszłości.

Ted pokręcił głową.

- To nie nasz świat, synu. Mówiłem ci, że w Nigdzieświecie czas dziwnie się zachowuje. Są tam kawałki różnych czasów. Jedne takie jak w naszym świecie, a inne, jakby poszły swoją drogą. Większość miejscowych wybiera sobie czas, który najbardziej im odpowiada. Sami się przekonacie. Ale na widok dzinsów nie mrugną nawet okiem. Pamiętajcie, tam jest jak w naszym świecie, tylko zupełnie inaczej. Nie myślcie, że to wasz Londyn. Tamtego Londynu nie znacie. *

Chłopcy kiwnęli głowami. Ted wyciągnął z kieszeni kartkę.

- Tu macie adres pubu, w którym możecie zatrzymać się na noc, i list do właścicielki. Zna panią Baker, więc na pewno dobrze was przyjmie. - Zapуścił rękę do drugiej kieszeni i wydobyl kilka banknotów w dziwnych kolorach i jedną monetę.

- A to pieniądze. Na wszystko wam wystarczy.

Fin wsadził banknoty do kieszeni i spojrzal na monetę. Blysnela, jakby tez mu sie przygladala. Obrócił ją w palcach. Zazwyczaj na monetach twarz znajduje się po jednej stronie, na awersie. Tutaj męskie oblicza były po obu stronach: jedno patrzyło w prawo, drugie w lewo.

- To co innego. To nie są pieniądze - wyjaśnił szybko Ted.

- Od lat nikt nie używał tych wrót. Dawniej też były rzadko otwierane, zwłaszcza od kiedy wykuto miecze obosieczne. Ale mieliśmy tyle kłopotów z ludźmi, którzy dostawali się na drugą stronę przez przypadek, że postanowiliśmy postawić tam

odźwiernego. Nie wiem, czy ktoś jeszcze pilnuje, ale jeśli tak, daj mu to. To znaczy, że wiesz, po co przechodzisz, że należysz do Zakonu.

- Dobra. - Fin przełknął ślinę. To wszystko stawało się coraz bardziej rzeczywiste.
- Powinien ci ją oddać, na wypadek, gdybyś musiał wracać tą drogą. Pamiętaj o tym. - Ted spojrzał na Joego i Christophera. - Mam tylko jedną monetę. Jest ich więcej, ale nie wiem, gdzie są przechowywane. Jeśli się rozdzielicie, przemyślcie dobrze, który z was ją weźmie.

- A ta ściana? - Fin nie miał ochoty na bliskie spotkanie z ceglany murem.
- Otwiera się automatycznie, jeśli ktoś przechodzi z powrotem. Zostaniecie tutaj, póki po was nie przyjdę, ale będziecie bezpieczni. Będę tu zaglądał kilka razy dziennie, żeby sprawdzić, czy nie wróciliście.

Christopher wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Podaj mi swój numer, zadzwonię, jak wrócimy. Nie musisz niepotrzebnie przychodzić.

- A ja myślałem, że to zakazane - powiedział Fin.
- Fajna komora - skomentował Joe. Jego matka zabrała mu telefon w zeszłym tygodniu, kiedy zarobił uwagę od pani East. Miał go dostać z powrotem dopiero za tydzień.

Fin w ogóle nie miał komórki. Zdaniem sędziego Browna „zanim wynaleziono telefon komórkowy, na świecie i tak był za duży hałas”. Sędzia z pewnością nie zamierzał sprawić sobie komórki, a to znaczyło, że Finmere też może się bez niej obyć. Fin szanował tę decyzję, chociaż w każdej chwili mógłby kupić sobie w szkole jakiś tani zestaw. Jego opowieści - kłamstwa - stawały się jednak bardziej wiarygodne, jeśli przez rok, kiedy opuszczał jedną ze szkół, był nieosiągalny.

- Nie mam komórki, synu - oznajmił Ted.

Bardzo zdziwiony Christopher schował aparat do kieszeni.

- Dobra. - Fin zwrócił się do Teda. - Wchodzimy, znajdujemy ten pub, zostajemy tam na noc. Potem musimy znaleźć przyjaciela Baxtera, Fowkesa, i powiedzieć mu: „Coś złego stało się z Opowiadaczką”, i on już będzie wiedział, co robić.

- Mam nadzieję - powiedział Ted z przekonaniem.
- Gdzie mamy zacząć?

- Tak naprawdę to nie wiem. Fowkes... po śmierci Baxte-ra wystąpił z Zakonu, zaczął pić i zniknął gdzieś w Nigdzie-świecie. Może pomogą ci właściciele pubu - możliwe że wiedzą, gdzie teraz jest. Założę się, że znajdziecie go w jakiejś ponurej norze, wiesz, w takim miejscu, dokąd się idzie, kiedy ktoś się całkiem załamie i kiedy wszystko mu jedno, czy żyje. Tam, gdzie szybko się ginie albo umiera.

Fin zmarszczył czoło.

- To chyba nie najlepsze miejsca...

- Na pewno. - Starszy mężczyzna zmierzył go wzrokiem, - Mówiłem, że to będzie niebezpieczne. Fin. Nie musisz tam iść. Jeśli nie pójdziesz, nikt ci nie powie złego słowa.

Zawiesił głos.

- Ale ja naprawdę myślę, że jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Fin się uśmiechnął.

- Pójdę. Chcę tam iść: dla ciebie, dla sędziego, dla pani Baker, za to wszystko, co dla mnie zrobiliście. I chcę iść dla Baxtera - dodał ciszej. Uścisnął starego strażnika, wdychając zapach mydła, tytoniu i odległą woń lawendy. - Myślę, że tak właśnie muszę postąpić.

- Dobry z ciebie chłopak, Fin. Najlepszy.

Kiedy się odsunął, Fin miał wrażenie, że oczy starego mężczyzny trochę za bardzo błyszczą. Ale może to był tylko odbłask żarówki.

- To bierzmy się do roboty - rzucił cicho Joe.

Fin kiwnął głową.

- No, to już. - Spojrzał na swoich przyjaciół. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i tak dalej.

Uśmiechnął się ostatni raz do Teda, ścisnął monetę w dłoni, zamknął oczy i przekroczył próg Nigdzieświata.

Przez chwilę stali w ciszy. Fin spodziewał się, że podczas przejścia poczuje coś więcej, ale tak naprawdę nie zdarzyło się nic szczególnego: po prostu zrobił krok. Za to miejsce, w którym się znaleźli... było zupełnie niesamowite. Czerń i biel zniknęły jak zdmuchnięte, wokół zawrzały jaskrawe barwy.

- Widzę, że pada, ale czujecie, jak tu ciepło? - zapytał Joe cicho.
- Może jest lato - odezwał się Christopher.

Stali w czymś w rodzaju drewnianej szopy przylegającej do muru. Przed sobą mieli wysoką furtkę z desek, którą zamykał zardzewiały łańcuch. Kiedy Fin zerknął przez ramię, zobaczył otwarte wrota, a za nimi Teda.

Skinął głową, Ted odpowiedział tym samym, podniósł kciuk i uśmiechnął się szeroko. A potem odwrócił się i odszedł. Fin zrozumiał, że tak pewnie jest łatwiej.

Znów spojrzał na ulicę. Było ciepłe popołudnie. Z nieba lał się błotnisty deszcz, taki sam jak w ich Londynie - i tak samo dziwny w tym świecie, jeśli sądzić po minach osobliwie ubranych przechodniów.

- Co myślicie? Może po prostu przeskoczmy górą? - Christopher potrząsnął furtką. Fin rozglądał się po szopie.

- Czekaj - powstrzymał go, widząc nad głową przyjaciela mały mosiężny dzwonek. Pociągnął za sznurek i wszyscy aż się wzdrygnęli, kiedy rozległ się głośny, wibrujący dźwięk.

- Cholera jasna! - Joe podłubał palcem w ucho. - Takie małe coś i tak daje? Finmere wzruszył ramionami.

- Pamiętajcie, co mówił Ted. Tutaj jest inaczej niż u nas.

- Wspaniale. - Christopher uśmiechnął się szeroko. - Będzie niezła zabawa.

- Wypaśna, ziom. Tak się mówi f Poudniowem Łady-je - poprawił go Joe, przesadnie podkreślając swój akcent, i uśmiechnął się do nowego przyjaciela.

Fin miał nadzieję, że nie zdążyli już zapomnieć, jak poważnie wyglądał Ted, kiedy opowiadał im o niebezpieczeństwach tej misji.

Na nierówny bruk padł cień. Po drugiej stronie furtki pojawił się jakiś mężczyzna.

- A niech mnie - wymamrotał, zaglądając przez szczelinę między nierówno oheblowanymi deskami. Na rozległą łysinę spadła kropla czarnego deszczu. Mężczyzna wytarł dłonie w fartuch. - Nikt tędy nie wchodził, od kiedy ojciec zostawił mi sklep.

Zaskoczony Christopher rozejrzał się po szopie.

- Wiem, że tutaj jest inaczej, ale... w tej norze pan ma sklep?

- Tu obok. Mięso sprzedaję. - Mężczyzna zapuścił dłoń w kieszeń spodni i wydobył łańcuch z kilkoma staroświeckimi żelaznymi kluczami.

- A niech mnie. Co za historia - powtórzył, kręcąc z niedowierzaniem głową i szukając właściwego klucza. Znalazł go i uśmiechnął się, pokazując luki między popsutymi zębami. - Chyba macie mi coś dać?

- A, tak. - Fin podał mu dziwną monetę. Kiedy robił krok, miecz u jego boku zakołysał się lekko. Mężczyzna wbił wzrok w ozdobioną klejnotami rękojeść. Fin odruchowo zacisnął na niej drugą dłoń. - Pan pewnie jest strażnikiem?

- Nie inaczej, chłopcze. Jestem Jacob Megram - powiedział mężczyzna, obracając monetę w grubych palcach. - Zdaje się, że w porządku.

- Hm... Nie powinien mi jej pan oddać? - Fin wyciągnął rękę. Starał się wyglądać tak, jakby doskonale wiedział, co robi.

Megram zaśmiał się chrypliwie.

- A pewnie. Nie mam wprawy. - Wręczył Finowi monetę.

- Dziesięć lat temu staruszek powiedział, co robić, ale potem nie było żadnych Podróżników i trochę mi się zapomniało.

Otworzył furtkę. Chłopcy wyszli z szopy. Na dłoń Fina upadła czarna kropla. Była ciepła, tak samo jak powietrze.

- Panie Megram, czy deszcz w Nigdzieświecie zawsze jest czarny? - zapytał, ostrożnie chowając monetę w kieszeni.

Twarz rzeźnika pociemniała.

- Nie, nie. Nigdy takiego nie widziałem. No, od dawna. Może coś przywiało z drugiego brzegu. Albo z tego Futurum.

- Rozejrzał się. - Ludzie wygadują różne okropności. Przypominają stare prorocstwo. A myślałem, że z tym już koniec, od kiedy wypędziliśmy Magów. Ja tam zawsze wierzę, że jest logiczne wyjaśnienie. Ale żona? W życiu. Wszędzie widzi omeny i znaki. Wiecie, jakie są kobiety.

Zerknął w lewo. Przed masarnią stała już gromadka kobiet z koszykami.

- No, przynajmniej przestaje kropić.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Nie mieli doświadczenia w sztuce konwersacji z dorosłymi - nawet Christopher, którego rodzice trzymali się zasady „dzieci i ryby głosu nie mają”, mimo że syn skończył już szesnaście lat.

- Hm, no, to lepiej znajźmy ten pub - stwierdził Christopher i spojrział z nadzieją na strażnika wrót. - Eee... pewnie nie wie pan, gdzie jest Czerwony Lew?

Megram wziął podany kawałek papieru i się zamyślił.

- Po prawdzie to rzadko wychodzę ze sklepu. Jest taka ulica niedaleko katedry Świętego Pawła, o, w tamtą stronę. - Pokazał w lewo. - Tam bym poszukał.

- Dziękujemy, panie Megram. - Fin wyciągnął rękę.

- Bardzo proszę. - Rzeźnik ledwie dotknął palców chłopca. Potem klepnął rękami w uda. - No, to ja już pójdę do sklepu. A niech mnie.

Mamrocząc pod nosem, odwrócił się i odszedł.

- To dokąd idziemy? - zapytał Joe. Fin spojrział na kartkę od Teda.

- Nie znam tej ulicy, ale pan Megram mówił, żeby iść do Świętego Pawła.

Chodźmy tam i poszukajmy.

- No to już - zarządził Joe i ruszył pierwszy w wąską uliczkę.

St John Alexander Golden kopnął podwójne drzwi do Sali Tronowej i wkroczył pomiędzy małe grupki bladych, upudrowanych dam i panów, którzy chichotali, kryjąc usta za wachlarzami, i grali w karty. W ramionach niósł bezwładne ciało Perry'ego Longmana. Wejście było dramatyczne - tak jak zamierzał. Uśmiechnął się w duchu, słysząc falę ochów i achów nad tłumkiem dworzan.

Kiedy rozległ się huk gwałtownie otwartych drzwi, trzech muzyków, którzy starali się wydobyć z klawesynów jakąkolwiek rozpoznawalną melodię, przerwało nagle grę. St John odetchnął z ulgą: klawesyn był królewskim instrumentem. Jego dźwięk oznaczał, że w pomieszczeniu znajduje się co najmniej jeden z najbliższych krewnych władcy.

Stukot obcasów na wzorzystej marmurowej mozaice odbijał się echem pod wysokim rzeźbionym sufitem, kiedy St John szedł przez długą salę ku złotemu tronowi i siedzącej na nim drobnej postaci. Czarny, lakierowany pantofel kołysał się wraz z uniesioną wysoko nogą w białej pończosze, a ozdobna zapinka błyskała regularnie jak metronom.

St John złożył ciało na pokrytych czerwonym dywanem stopniach, przykląkł wdzięcznie na jedno kolano i skłonił głowę.

- Ależ wstań, wstań! - pisnął Książę Regent z irytacją i odwrócił się od okna. St John się wyprostował. - Zawsze jesteś taki melodramatyczny, St Johnie. - Regent machnął nad ciałem koronkową chusteczką. - Nie wiem doprawdy, czy to było konieczne.

Ostrożnie przełożył nogę nad podłokietnikiem tronu i usiadł prosto. Jego uróżowane policzki odznaczały się czerwonymi plamami na białym tle upudrowanej grubo twarzy i śnieżnych loków wysokiej peruki.

Komandor popatrzył na władcę. W falbaniastych kryzach, zdobionych klejnotami pantoflach i obcisłych jedwabnych spodenkach Książę Regent wyglądał jak dandys - ale St John nigdy nie dał się zwieść tym pozorom. Regent należał do ludzi, których nie wolno lekceważyć.

Książę wznosił dłoń i sala się opróżniła. Kilkudziesięciu dworaków umknęło w mgnieniu oka, żeby kontynuować swoje flirty i gry z dala od prześwieczonej obecności Regenta lub okropnej klawesynowej kakofonii. Książę odczekał, aż wspaniale złożone drzwi zamkną się za ostatnim z dworzan.

- Jak zginął twój Rycerz?

- Został zamordowany w Domu Prawd Rzeczywistych, wasza wysokość - wyjaśnił St John. - Znaleźliśmy go przebitego mieczem w pomieszczeniach Opowiadaczki.

Tylko lekkie skrzywienie pulchnych i różowych jak pąk róży ust Księcia zdradziło jego emocje.

- A Opowiadaczka? - zapytał opanowanym głosem.

St John zwiesił głowę.

- Zniknęła, wasza wysokość. Ktoś ją uprowadził.

Książę wstał i ostrożnie stawiając stopy, podszedł do wielkiego okna. W pałacu było mnóstwo okien i luster. W tej części miasta nie brakowało szkła.

- Ten czarny deszcz to zły znak - odezwał się tak cicho, że St John musiał wyteńczyć słuch, by odróżnić słowa. - Przesuwa się nad miastem, czasem pada tutaj, czasem tam. Z górnych pięter pałacu widać całkiem dużo: więcej niż ludzie się domyślają.

Dotknął szyby drobnymi, wąskimi palcami.

- Czasami myślę... myślę, że nadciąga burza. Taka, jak siedemnaście lat temu. A może jeszcze gorsza.

- Ktoś uprowadził Opowiadaczkę i zamordował Rycerza. To są problemy poważniejsze niż pogoda.

Książę uniósł wypielegnowaną brew. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w jego wzroku nie było poufałości i szacunku, do których przywykł St John, tylko lodowaty

chłód.

- Ostatnim razem, zanim rozpełtała się czarna burza, został zabity Rycerz. - Zacisnął usta. - Wtedy też miała z tym związek Opowiadaczka, o ile pamiętasz. A pamiętasz z pewnością.

- To co innego. - St John wciąż nie wyprostował karku. - Tym razem to nie sprawka rozjuszonego tłumu...

- Ludzie mieli prawo do gniewu! Opowiadaczka powinna być nietykalna. Przynajmniej w tym sensie! - zagrmiał Regent, niemal wypluwając ostatnie słowa.

- Ale zamordować Rycerza? To było niewybaczalne!

Oczy Księcia błysnęły gniewem.

- Niewybaczalne było to, co zrobił! Rycerze przysięgli strzec Opowiadaczki, a nie ją kochać!

- Nie dotknął jej. Przysięgała, że tak było. A Opowiadaczka nie kłamie.

Dwaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. W końcu Księżę podniósł dłonie.

- Prowadziliśmy te spory siedemnaście lat temu. Nie chcę tego powtarzać - westchnął i usiadł na swoim złotym tronie. - W tamtych mrocznych dniach król, mój ojciec, chciał skończyć z Zakonem. Chciał was wszystkich odesłać i zrobiłby to, gdyby nie Harlequin Brown. Przekonał mojego ojca o konieczności istnienia Zakonu, przypomniał mu, że dawniej ludzie nalegali na jego powstanie, chociaż teraz ich wiara już osłabła.

Przerwał.

- To Harlequin Brown - kontynuował po chwili, zniżając głos do szeptu - powiedział, że nie możemy osądzać wszystkich na podstawie czynów jednego człowieka, i to człowieka, który zapłacił za nie swoim życiem. Baxter zginął z powodu tego, co zrobił, i może sprawiedliwość już się dokonała.

Spojrzał na St Johna.

- Harlequin Brown jest mądrym i szlachetnym człowiekiem. Być może powinienem udać się do waszego Gdzieświata i spotkać się z nim. On także musi być bardzo zaniepokojony uprowadzeniem Opowiadaczki. Lepiej niż większość zrozumie, jakie to ma znaczenie dla nas wszystkich.

- Król nie powinien nigdy opuszczać swojego królestwa, wasza wysokość -

oznajmił St John. - Zwłaszcza w takim czasie.

Książę rozłożył szeroko ręce, nie spuszczać oczu z Rycerza.

- Ale ja nie jestem królem. Jestem za ledwie regentem.

St John niemal słyszał, jak pękają pozory i wali się fasada wzajemnego poważania.

Nie ustąpił jednak pola.

- Z całym szacunkiem chciałbym waszej wysokości przypomnieć, że jestem komandorem Rady Wewnętrznej Zakonu Rycerzy Nigdzieświata. Teraz ja przewodzę Rycerzom. Harlequin Brown przeszedł w stan spoczynku.

Książę wytwornie wzruszył ramionami, tak że gruby płaszcz z jedwabnego brokatu ledwo zafalował.

- Są przywódcy i przywódcy.

St John postanowił przełknąć tę obelgę. Musiał mieć Księcia Regenta po swojej stronie - przynajmniej na razie.

- Jeśli wasza wysokość naprawdę chce porozmawiać z Harlequinem Brownem, oczywiście mogę was przeprowadzić. Jednak wiecie, że mogą wystąpić... efekty uboczne. - Jeśli Książę przystanie na propozycję, St John będzie musiał zapomnieć o konsekwencjach i po prostu się go pozbyć.

Książę westchnął.

- Słyszałem o starzeniu. Ale nie jestem tchórzem, St Johnie Alexandrze Goldenie.

- Byłbym głupcem, sugerując coś podobnego. - St John patrzył na strużki brudnej wody ściekające po szybie. - Lecz jeśli rzeczywiście nadciąga czarna burza, wasi poddani będą was potrzebować tutaj, w Nigdzieświecie.

Zamilkli obaj. Cisza odbijała się echem od ścian długiej na trzydzieści metrów sali tronowej.

- Daję ci tydzień na jej odnalezienie. Ktoś z pewnością zażąda okupu. Masz go znaleźć. Za to, co zrobił, zawieszę na Smithfield. - Książę Regent znów spojrział w okno. - Włos nie może spaść jej z głowy.

Gdyby ktoś zobaczył w tej chwili jego twarz, zrozumiałby natychmiast, jak bardzo się boi... ale Regent nie chciał, żeby komandor Rycerzy Nigdzieświata o tym wiedział.

Stał emocje z twarzy i zwrócił się do St Johna:

- To niewyobrażalna zbrodnia. Tylko ktoś niespełna rozumu mógł się poważyć na

coś takiego. Pięć Odwiecznych Historii utrzymuje porządek światów. Kto byłby tak szalony, żeby próbować to zmienić? I w jakim celu? - westchnął. Cichy dźwięk zagubił się w rozległej sali.

- Ludzie powtarzają zabobony o tym, że nasze światy są powiązane, wasza wysokość. Mówią o prorocत्वie - rzucił gładko St John.

- To już zamierzchła przeszłość. - Oczy Księcia błysnęły twardo. - Nie wierzę i nie uwierzę, że w tych bajkach jest chociaż ziarno prawdy. Zapomnieliśmy o nich, tak samo jak o Magach.

Komandor miał wrażenie, że głęboko w wyzywających ciemnych oczach widzi strach. Oczywiście, że Regent nie chce wierzyć w prorocत्वo. Gdyby uznał je za prawdę, oznaczałoby to, że któregoś dnia spadnie na niego królewska klątwa. Ściągnął usta, żeby ukryć uśmiech. Tak właśnie działa przeznaczenie. „Mroczny mąż Mrocznym Wiekem przybędzie zawładnąć”. Te słowa wciąż dzwoniły mu w głowie.

- Żyjemy w szalonych czasach - odezwał się wreszcie. Zdaje się, że chłód, jaki między nimi na chwilę zapanował, już się ulotnił. St John pogratulował sobie w duszy: potrafił wymanewrować każdego człowieka na świecie. A nawet w obu światach.

Księżę uśmiechnął się zimno.

- Ale Magowie chyba wrócili - powiedział cicho. - Widziano jednego w mieście.

- Mag? - St John zadbał o nutę zaskoczenia w głosie. - Sądziłem, że zostali wygnani?

- Owszem. Ale jeśli doniesienia są prawdziwe, być może te zdarzenia mają związek.

St John patrzył na niego z kamienną twarzą, szydząc w duchu. Oczywiście, że te dwie sprawy mają związek - w końcu to on stoi za obiema. Irytowało go, że mimo tylu starań ktoś zauważył Maga, choć teraz nie było to już ważne.

- Moi ludzie go znajdują, panie - obiecał. - Jeśli w mieście naprawdę jest Mag i ma coś wspólnego z tą straszną sprawą, wkrótce się tego dowiemy.

Księżę Regent spojrział mu w oczy i skinął głową.

- Być może jesteśmy po tej samej stronie, St Johnie. Albo przynajmniej po dwóch stronach tej samej monety.

- Ależ jesteśmy, wasza wysokość. Zawsze byliśmy. - St John powstrzymał się,

żeby nie dodać: „Tak mówi proroctwo”.

Z uśmiechem na ustach wyszedł z pałacu. Tydzień to bardzo długo. Nim minie siedem dni, zdobędzie Odwieczne Historie, a Księżę Regent - ten wyfiokowany lalusz - będzie musiał poddać się jego rozkazom... o ile mu życie miłe. A St John przekonał się z biegiem lat, że większość ludzi niechętnie się z nim rozstaje. Księżę zrobi wszystko, co mu się powie. W najlepszym interesie ukochanych poddanych.

Pomyślał o uwięzionej w lustrze Opowiadaczce. Koniec z uprzejmościami. Czas wezwać Prawdomówców.

Pub Czerwony Lew znaleźli wreszcie u wylotu ruchliwej ulicy na tyłach katedry Świętego Pawła. Ich Londyn pachniał głównie dymem papierosowym i spalinami. Tutaj, w Nigdzieświecie, zapachy rozmaitych gorących potraw ze straganów mieszały się z ciężkim odorem rzeki. Widzieli ją po drodze: a raczej widzieli brzegi i grubą na metr warstwę mgły lub jakiegoś oparu, który unosił się nad jej powierzchnią. Gdzieś tam musiały też na pewno być łodzie, ale Fin nie mógł ich wypatrzeć. Bardzo się cieszył, że nie wiosłuje ani nie żegluje po tej rzece - zapach, jaki docierał na ulice, był wystarczająco okropny.

Ktoś zapukał do drzwi i Finmere się odwrócił.

- Już otwieram! - Christopher poderwał się z wąskiego pojedynczego łóżka, na którym siedział. Do pokoju weszła z pełną tacą gospodyni: Ida Harvey, jak im się przedstawiła, kiedy przeczytała kartkę od pani Baker.

- Proszę bardzo, chłopcy. - Postawiła tacę na komodzie i się uśmiechnęła. - Gorąca herbatka i mnóstwo tostów z masłem. Dałam też domowego dżemu z truskawek.

- Och, super! - Joe jednym skokiem znalazł się przy komodzie. - Umieram z głodu! Dziękujemy, pani Harvey.

Fin się uśmiechnął. Joe już smarował tost grubą warstwą dżemu.

- Ej, zostaw trochę dla nas, matolku!

Właścicielka pubu się rozpromieniła.

- Wcinaj. Jeśli zabraknie, dołożę. A za godzinę, dwie będzie obiad.

Pani Harvey miała na sobie sukienkę do kolan i grube ciemne rajstopy, a jej głowę otaczały sztywne loki. W szkole oglądali filmy dokumentalne o życiu w Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej... Fin nagle zrozumiał, dlaczego pani Baker słucha

wciąż piosenek z lat czterdziestych. Ona też ubierała się podobnie jak ich gospodyni, jakby wciąż żyła w tamtych czasach. Może stąd właśnie pochodzi? Niełatwo było to wszystko ogarnąć. Fin zaczynał zdawać sobie sprawę, ilu rzeczy w ciągu całego życia nie zauważał.

Jakby czytała w jego myślach, pani Harvey odsunęła się i oparła ręce na biodrach.

- Więc to tobą opiekuje się Maggie?

Dreszcz zakłopotania przebiegł Finowi po plecach. Przytaknął.

- Zawsze uważała cię za niezwykłego chłopca. Dużo pisała o tobie w listach - wyjaśniła pani Harvey i się uśmiechnęła. - Nasza Maggie po prostu za tobą szaleje.

Fin nie wiedział, jak zareagować. Po raz kolejny na myśl o osobach, które dbały o niego przez tyle lat, poczuł nerwowy skurcz żołądka. W ogóle ich nie doceniał. Obiecał sobie w duchu - po raz tysięczny tego dnia - że już nigdy nie będzie takim egoistą.

- Masz, Finmere. - Christopher podał mu tost, żując kęs białego chleba. -

Wspaniały ten dżem, pani Harvey. Przepyszny.

Gospodyni, krygując się, wygładziła sukienkę.

- Sekretny przepis mojej mamy, niech spoczywa w pokoju. - Podeszła do drzwi. - A teraz, chłopcy, spróbujcie się zdrzemnąć. Zawołam was na obiad.

Uśmiechnęła się do całej trójki.

- Witajcie w Londynie.

Pochłonawszy olbrzymią górę tostów, wyciągnęli się na łózkach i zaczęli cichym głosem rozmawiać o wszystkich dziwacznościach, które widzieli w drodze od wrót do pubu. Ile jeszcze zobaczą? To wszystko nie mieściło im się w głowach.

Leżąc z pełnym tostów brzuchem, Fin przymknął oczy i słuchał przyciszonej wymiany zdań między przyjaciółmi. Joe zastanawiał się właśnie, czy w Nigdzieświecie jest pierwsza liga piłki nożnej. Finmere zaśmiał się, ziewając jednocześnie. Zerknął na zegarek i potrząsnął nim. Chyba zatrzymał się tuż po północy - kiedy przeszli przez wrota do Nigdzieświata. Przez minutę Fin wpatrywał się w nieruchome fosforyzujące wskazówki. Może kiedy wróca do domu, zegarek zacznie znów chodzić. Christopher nie już nie mówił, nawet Joe umilkł i po chwili Fin usłyszał dwa równe oddechy. Zasnęli.

Nie minęło kilka sekund, a Fin spał także.

- Więc to tobą opiekuje się Maggie?

Dreszcz zakłopotania przebiegł Finowi po plecach. Przytaknął.

- Zawsze uważała cię za niezwykłego chłopca. Dużo pisała o tobie w listach - wyjaśniła pani Harvey i się uśmiechnęła. - Nasza Maggie po prostu za tobą szaleje.

Fin nie wiedział, jak zareagować. Po raz kolejny na myśl o osobach, które dbały o niego przez tyle lat, poczuł nerwowy skurcz żołądka. W ogóle ich nie doceniał. Obiecał sobie w duchu - po raz tysięczny tego dnia - że już nigdy nie będzie takim egoistą.

- Masz, Finmere. - Christopher podał mu tost, żując kęs białego chleba. -

Wspaniały ten dżem, pani Harvey. Przepyszny.

Gospodyni, krygując się, wygładziła sukienkę.

- Sekretny przepis mojej mamy, niech spoczywa w pokoju. - Podeszła do drzwi. - A teraz, chłopcy, spróbujcie się zdrzemnąć. Zawołam was na obiad.

Uśmiechnęła się do całej trójki.

- Witajcie w Londynie.

Pochłonawszy olbrzymią górę tostów, wyciągnęli się na łózkach i zaczęli cichym głosem rozmawiać o wszystkich dziwacznościach, które widzieli w drodze od wrót do pubu. Ile jeszcze zobaczą? To wszystko nie mieściło im się w głowach.

Leżąc z pełnym brzuchem, Fin przymknął oczy i słuchał przyciszonej wymiany zdań między przyjaciółmi. Joe zastanawiał się właśnie, czy w Nigdzieświecie jest pierwsza liga piłki nożnej. Finmere zaśmiał się, ziewając jednocześnie. Zerknął na zegarek i potrząsnął nim. Chyba zatrzymał się tuż po północy - kiedy przeszli przez wrota do Nigdzieświata. Przez minutę Fin wpatrywał się w nieruchome fosforyzujące wskazówki. Może kiedy wrócą do domu, zegarek zacznie znów chodzić. Christopher nic już nie mówił, nawet Joe umilkł i po chwili Fin usłyszał dwa równe oddechy. Zasnęli.

Nie minęło kilka sekund, a Fin spał także.

Sala barowa Czerwonego Lwa była zatłoczona, duszna i pełna gęstego dymu z papierosów i fajek. Oczy Fina zaszyły łzami, kiedy tylko zaczęli się przepychać między gośćmi. Mężczyźni i kobiety śmiali się głośno, wychylając kufle napoju, który wyglądałby jak mocne piwo, gdyby nie szara piana. Nie była biała, jak na guinnessie, i zdaniem Fina wyglądała dość nieapetycznie, najwyraźniej jednak - jeśli wziąć pod uwagę zarumienione twarze klientów - napój działał dokładnie tak jak zwyczajne piwo. Sądząc po gwarze, jaki tu panował, wszyscy doskonale się bawili.

- Zdaje się, że w Nigdzieświecie lubią się pośmiać - powiedział Joe, kiedy udało im się dopaść jednego z niewielu wolnych stolików i usiąść. - Ciekawe, od ilu lat można tu się legalnie napić? Chętnie spróbowałbym tego, co wszyscy.

- Na pewno, mój śmiałku! - Podskoczyli, kiedy pani Harvey wychynęła z tłumu, jakby przywołana słowami Joego, i postawiła na środku stołu dużą tacę. - Ale musisz poczekać do siedemnastki, jak każdy.

Na tacy stała misa parującego gulaszu, trzy rurhiane bułki i trzy duże szklanki jakiegoś czerwonego soku.

- No, jedzcie, chłopaki - nakazała pani Harvey, kładąc dłonie na wydatnych biodrach. - To dobry domowy gulasz. Cud, że udało mi się trochę dla was odłożyć, tyle dziś ludzi. Dziwne, że hałas wcześniej was nie zbudził. Chciałam wam dać jeszcze dziesięć minut, ale sami zeszlście.

Uśmiechnęła się promiennie.

Fin zauważył, że twarz ma zaczerwienioną z gorąca. Mężczyzna i dwie młodsze kobiety krzatali się za długim barem: bez przerwy napełniali kolejne kufle, myli brudne, a od czasu do czasu wybiegali na salę, żeby wytrzeć stoły i opróżnić popielniczki. Ciekawe, czy sami zdążyli coś zjeść. Fin poczuł wyrzuty sumienia, że pani Harvey obsługuje ich, zamiast zrobić sobie przerwę.

Christopher i Joe nie mieli takich oporów: obaj już napełniali żołądki, przypatrując się znad talerzy klientom pubu.

Większość kobiet nosiła włosy do ramion, skręcone w sztywne loki, i sukienki do kolan. Umalowane karminową szminką usta podkreślały bladość twarzy. Mężczyźni ubrani byli w garnitury i filcowe kapelusze. Poza trzema przyjaciółmi nikt nie miał na sobie dzinsów.

- Zupełnie jak w starym filmie o wojnie.

Możliwe, że Christopher mówił do siebie, ale Fin i tak kiwnął głową.

Największy hałas dobiegał od stolika przy drugim końcu baru. Finmere wychylił się na krzesło, żeby zobaczyć, kto rozmawia tak głośno.

Trzech mężczyzn - mniej więcej trzydziestoletnich, jak ocenił - siedziało wśród tłumu rozbawionych słuchaczy, którzy co chwila wybuchali śmiechem albo sapali z zaskoczenia. Przed każdym z tych klientów stały trzy albo cztery kufle, po jednym

trzymali w dłoniach. Na oczach Fina mężczyzna zza baru doniósł im jeszcze kolejkę, nieśmiało kiwając głową do najwyższego z trzech gości, którego barowa publiczność słuchała jak zaczarowana.

- Wyglądają inaczej niż reszta - powiedział Fin, marszcząc czoło. - Dlaczego są tak ubrani?

Siedzący naprzeciwko Joe przechylił krzesło i przyjrzał się nieznajomym.

- Są jacyś podejrzani. Jak agenci.

Fin od razu zrozumiał, o co chodzi przyjacielowi. Trzej mężczyźni nosili czarne golfy i mimo że w pubie było bardzo gorąco, żaden nie zdjął skórzanego płaszcza. Najwyższy, ten, który najwięcej mówił, miał ciemną, krótką brodę i zaczesane do tyłu włosy.

Wyglądał jak ktoś, kto spędza dużo czasu na siłowni.

Pani Harvey, która wróciła do nich z kolejną porcją bułek, zaśmiała się.

- Pewnie, że są inni, na miłość boską! To Przewoźnicy. Rzadko tu zagląдают, dlatego takie dzisiaj tłumy. Wszyscy chcą ich posłuchać. Zwłaszcza w takich czasach, kiedy mamy ten czarny deszcz. Musimy się jakoś rozweselić. - Jej twarz zachmurzyła się lekko. - O czarnych burzach krążą legendy. Żadna nie kończy się dobrze. Ja widziałam taką burzę tylko raz. Trwała dwanaście miesięcy. Mnóstwo ludzi skończyło wtedy w rzece.

Pani Harvey wzdrygnęła się, ale po chwili jej twarz rozjaśnił znajomy uśmiech.

- Ta załoga dopiero co wróciła, dziś po południu. - Spojrzała na nich błyszczącymi oczami. - Wyprawa na Południowy Brzeg i z powrotem. Wyobraźcie sobie tylko!

- A co to za wyczyn? - zdziwił się Joe.

- Jak to: co za wyczyn, kochany? - Pani Harvey zmierzyła go wzrokiem, marszcząc brwi. - Tylko Przewoźnicy mogą bezpiecznie przeprowiać się przez rzekę. A Przewoźnikiem trzeba się urodzić. Tamiza Czasu robi różne sztuczki, ale nie takie do śmiechu, o nie. Jeśli tylko ma okazję, ta rzeka wciągnie cię w mgnieniu oka. O ile nie połknie od razu całej łodzi, gubisz się we mgle i w końcu wolisz skoczyć za burtę, żeby nie umierać z głodu.

Popatrzyła każdemu z osobna w twarz.

- Idźcie na nabrzeże, a usłyszycie wołania o pomoc - dodała ponurym głosem. - Ale ci ludzie są sami sobie winni. Trzeba było odżałować trochę pieniędzy i zapłacić

Przewoźnikom, żeby załatwili ich sprawę albo ostatecznie zawieźli ich na Południowy Brzeg Nigdzieświata.

Wzruszyła ramionami.

- Ale cóż, rozumu do głowy nie należesz.

- I nie ma żadnych mostów? - Fin wciąż nie spuszczał oka z groźnie wyglądających mężczyzn. Nie wiedział, czy zaryzykowałby podróż łodzią z kimś takim.

- Mostów? O rety, kochany, ależ ty jesteś zielony. - Pani Harvey pokręciła głową. - W mieście jest tylko jeden: most Zachodniominsterski. I nikt nie wie, skąd się tam wziął. Po prostu jest, od zawsze.

Mężczyzna zza baru zaczął gorączkowo machać rękami, chcąc zwrócić uwagę pani Harvey - pewnie wzywał ją, żeby pomogła obsłużyć tłum żądających piwa gości. Finmere zauważył, że gospodyni bardzo starannie omija go wzrokiem.

- Oczywiście plotkuje się na ten temat. Większość ludzi mówi, że zbudowali go Magowie, dawno temu, kiedy wszystko się zaczęło. Ja bym na to stawiała, ale będzie więcej niż sto lat, jak Magów wygnano z miasta, więc chyba nigdy się na pewno nie dowiemy.

Przyjrzała im się po kolei, jakby chciała sprawdzić, czy słuchają.

- Jedyne, co mogę wam teraz powiedzieć, to że most Zachodniominsterski nie jest bezpieczny, więc niech wam nie wpadnie do głowy po nim przechodzić. Pod spodem płynie rzeka i fale mogą was wciągnąć. Mają swoje sposoby - dodała złowieszczo. - Podobno rzeka miesza w głowie. Ludzie stale próbują się przez nią przeprawiać, jeśli nie mają innego wyjścia, na przykład kiedy ktoś ich ściga. Albo tacy, którym się wydaje, że się jakoś wykręcą. Ale zawsze kończy się tak samo: dochodzą do połowy mostu, wspinają się na barierę i skaczą bez słowa. Jeśli chcesz przejść przez ten most, musisz być naprawdę w bardzo, bardzo dobrym nastroju. Inaczej rzeka cię dopadnie. Pamiętajcie, chłopcy. Zawsze płaćcie Przewoźnikom.

Fin kiwnął głową, ale w duszy był przerażony. Tytu rzeczy o Nigdzieświecie jeszcze nie wiedział. Dlaczego Ted posłał tu właśnie jego? Nie nadawał się do takiego ważnego zadania, przecież dopiero co skończył szesnaście lat. Był pewien, że zawiedzie tych wszystkich ludzi, którzy na niego liczą.

Pani Harvey uśmiechnęła się szeroko i atmosfera wokół stołu natychmiast się

poprawiła.

- Obiad czeka, chłopcy. Niedługo zrobi się tu spokojniej i wtedy sobie pogadamy. - Zechciała wreszcie zauważyć wysiłki spoconego mężczyzny za barem i poszła mu pomóc, po drodze zbierając ze stołów kilka szklanek.

Fin, Joe i Christopher wrócili do gulaszu. Jedząc, nadstawiali uszu, żeby wśród gwaru wyłapać głosy Przewoźników.

Po kilku minutach Fin nie wiedział już, czy czubek nosa pali go od pikantnej potrawy, czy od sprośnych historyjek o kobietach z Południowego Brzegu.

St John Alexander Golden, komandor Rady Wewnętrznej, przesunął pled, żeby odsłonić lustro, i nalał sobie szklanicę wina ze srebrnej cyzelowanej karafki, która czekała na okrągłym stoliku z orzechowego drewna. Gościa niczym nie poczęstował.

- Zdaje się, że kazałem ci się ukrywać. Widział cię jeden z informatorów Księcia. Jak to się stało?

Stojący przy drzwiach śniady mężczyzna wzruszył ramionami.

- Byłem ostrożny. Ale... - przerwał i spojrzał "na St Johna. - Wszyscy boją się tego czarnego deszczu i robią się podejrzliwi. Ja też.

St John westchnął. Ostatnim czego potrzebował - zwłaszcza na tym etapie - był roztrzęsiony Mag.

- To tylko deszcz. Przejdzie.

- To początek czarnej burzy - wymamrotał Mag. Mówił gardłowym głosem, z akcentem mieszkańca odległych krain, które leżą za Południowym Brzegiem. Kiedy zrobił krok w kierunku lustra, zabrzęczały srebrne kolczyki. - To my sprowadziliśmy burzę. Żałuję, że nie wiedziałem, jakie są twoje zamiary, kiedy zaczynaliśmy. Nie sądziłem, że ściągniesz nam na głowy ten mrok.

- Nie chciałeś wiedzieć. - St John patrzył na fioletowe szaty i złotą biżuterię Maga z ledwie skrywaną pogardą. Dlaczego nie ubrał się jak normalny człowiek? Albo przynajmniej na tyle normalnie, żeby przypominać mieszkańców Nigdzieświata. Dobrze, że przynajmniej wychodząc na ulicę, ukrywał obcy strój pod grubym płaszczem. Co prawda londyńczycy z Nigdzieświata bystrością nie ustępowali tym, których St John znał w Gdzieświecie. Zawsze umieli wyczuć, kto nie pasuje.

Komandor odwrócił się do lustra.

- To nie my sprowadziliśmy tę burzę - powiedział, wskazując w stronę zwierciadła.
- To ona. I jeśli szybko nie wyciągniemy z niej, czego nam trzeba, czarna burza będzie najmniejszym z kłopotów. Moich i twoich też.

Mag zerknął na drzwi gabinetu. Najwyraźniej czułby się bezpieczniejszy po drugiej stronie. St John rozpoznał ten wyraz twarzy. Tak wygląda ktoś, kto się zastanawia, jak, u licha, wpakował się w taką kabałę.

Uśmiechnął się.

- Teraz już nie ma odwrotu. Za kilka dni wszystko się skończy i nikt nie będzie wiedział, że miałeś z tym jakiś związek. Zresztą, nieważne, nawet jeśli się dowiedzą. - Chwył ramię Maga i zdziwił się jego krzepkością. Pod tymi jedwabnymi szatami kryły się mocne kości i silne mięśnie. - Pomyśl tylko... za kilka dni wrócisz do domu jako bohater, gotów poprowadzić Magów z powrotem do miasta, tam, gdzie ich miejsce. A w nowym świecie Magowie zdobędą prawdziwą władzę, obiecuję ci to.

- Tak. Tak. - Mag skinął głową. Oczy miał mętne i bez wyrazu.

St John spojrział na lustro.

- Dla wielkich zmian zawsze trzeba coś poświęcić. Musisz mi pokazać, jak wzywa się Prawdomówców. Nie możemy już zwlekać.

- Powiedz mi, St Johnnie Alexandrze Goldenie - odezwał się cicho Mag. - Skąd pewność, że zdołasz utrzymać Odwieczne Historie? Znasz proroctwo.

Zawiesił głos, nim wyszeptał słowa, które wciąż odbijały się echem w głowie St Johna.

- „Niegotowy historie posiadzie i masz rychle czarną burzę, szaleństwo i za króla bitwę” - przerwał. - Moim zdaniem twój umysł nie jest gotów.

- Skąd ta pewność? - Krzywy uśmiech przeciął twarz St Johna jak cios miecza. - I pamiętaj też, że Magowie nie znają wyniku proroctwa. Może Mroczny Wiek będzie czymś dobrym... a może proroctwo to tylko stara zagadka dla dzieci i nic nie znaczy. - W niskim głosie Rycerza zadźwięczała groźba. - Wy, Magowie, nie wiecie więcej niż reszta.

Był zmęczony rozmowami. Chociaż udawał, że się tym nie przejmuje, bez wątpienia nadciągała czarna burza i chciał rozwiązać sprawę, zanim spadnie na miasto. Niech Magowie trzęsą się ze strachu i żałują: St John nie może sobie na to pozwolić. Dawno

minął czas, w którym mógłby się jeszcze wycofać.

- A teraz ich sprowadź - zakończył cicho.

Mag uśmiechnął się z przymusem i zwrócił się do lustra. Jego czoło pokryły kropelki potu. Wziął głęboki oddech i zamknął oczy, szykując się, żeby przywołać magię niedostępną dla Rycerzy, Regenta, a nawet dla wszystkich królów ze wszystkich światów. To było prawdziwe przekleństwo Magów: rozumieli moce, których zwykli ludzie nie potrafili pojąć i które zawsze będą odrzucać.

Kiedy Mag rozpoczął rytuał, St John wrócił do swojej szklanicy. Słuchając śpiewnych zaklęć, nie mógł odpędzić myśli o tym, jak to właściwie się stało, że Magowie pozwolili, by odebrano im wszystko w jednej chwili. O tym nie rozmawiało się w Zakonie - Rycerze uważali, że to nie ich sprawa. Uśmiechnął się lekko. Już niedługo, cokolwiek się wydarzy w każdym ze światów, będzie sprawą Rycerzy.

- Są tutaj - wydyszał Mag. Odwracając się, St John zadał sobie jeszcze pytanie, czy nie należało uważniej słuchać zaklęć i zaśpiewów. Co prawda, nie zamierzał już zamykać lustrzanego więzienia: będzie bardzo użyteczne, zwłaszcza w początkach jego panowania. Trochę strachu doskonale działa na ogłupiałych ludzi.

Gdy zbliżył się do szarej powierzchni, wygnaniec zrobił krok do tyłu.

- Od teraz, jeśli chcesz ich wezwać, musisz zapukać trzy razy w środek ramy, na górze - wyszeptał. - Przybędą.

- To takie proste?

- Teraz już tak.

St John kiwnął głową, niemal natychmiast zapominając o Magu. Prawdomówcy! Są tutaj! Chociaż po tej stronie zwierciadła był bezpieczny, przez plecy przebiegło mu coś na kształt nerwowego dreszczu. Kiedy zajrzał w mroczną głębię, poczuł w głowie lekkie ukłucie bólu. Po drugiej stronie - jakby tuż za ramą, ale jednocześnie gdzieś bardzo daleko - stały dwie postacie. St John się wzdrygnął. Ich blade bezwłose czaszki obciągała napięta pożyłkowana skóra.

Nie mieli oczu: skóra opinała ciasno krawędzi wielkich pustych jam. A jednak - straszne uczucie! - wydawali się przewiercać go wzrokiem. Gdyby świat po drugiej stronie lustra miał kolory, tkanka na dnie oczodołów z pewnością byłaby jaskrawoczerwona i poszarpana jak świeży strup.

Mieli na sobie czarne spodnie, ale klatki piersiowe, zapadnięte i wychudzone, były nagie. Wzory, wyryte na ramie lustra, pokrywały także ich brzuchy; tak samo wily się i falowały, wspinając się na pochylone ramiona, znikając na barkach i pojawiając się znowu nad biodrami, żeby dołączyć do nieustannego wirowania cienkich linii.

St John nie mógł oderwać od nich wzroku.

- Jak to możliwe? Jak... chyba że - przerwał. - Chyba że są częścią więzienia-lustra czy jak się nazywa ta pułapka?

- Tak. - Mag oparł się plecami o wielki pulpit do pisania. - Dlatego są tacy skuteczni. Nie można ich przekupić skarbami wszystkich światów. Oni i więzienie to jedno.

- Bardzo interesujące. - St John nonszalancko podniósł do ust szklanicę z winem, udając, że nie widzi, jak drży mu dłoń.

Dwie istoty zbliżyły się identycznym ruchem. Rozwarły wargi i kłapnęły ostrymi, spiczastymi zębami, wciągając z sykiem powietrze, jakby próbowały wyczuć jego smak.

Istota po prawej pochyliła się, wyciągając szyję. Oblizła wargi i zakołysała głową.

- Chcesz wydobyć ukrywane prawdy? - Jej głos świstał jak suchy wiatr w opuszczonym tunelu. Nie było w nim ciepła ani życia. St John nie wyobrażał sobie, że taki głos mógłby się zaśmiać. Zresztą i tak nie spodziewałby się uśmiechu na tej okropnej twarzy.

- Tak. Tak, chcę. - Chwycił gwałtownie łańcuch i Opowiadaczka wysunęła się z mroku. Była bardziej wychudzona niż wczoraj, ale jej oczy wciąż płonęły. - Od niej.

Drugi ze stworów zaklekotał zębami i podrygując, okrążył Opowiadaczkę. Zignorowała go i wbiła spojrzenie w Maga, który kulił się za plecami St Johna. W jej wzroku błysnęła nieskrywana pogarda.

- Jakie prawdy ma wyjawić? - wysyczał Prawdomówca.

St John się uśmiechnął.

- Zna pięć historii: Odwiecznych Historii. Chcę, żeby mi je opowiedziała... tylko mnie.

Istota skłoniła pokrytą siatką niebieskich żył głowę, kłapnęła zębami i obnażyła w uśmiechu wąskie dziąsła i długi język.

- Będzie, jak sobie życzysz. Powrócimy tu.

Bez ostrzeżenia i pożegnania dwa stwory i Opowiadaczka zaczęli się zapadać, jakby wessała ich mętna głębia po drugiej stronie lustra. Po chwili byli już tylko trzema punktami na tle szarego owalu. I zniknęli. Łańcuch napiął się jak struna. St John miał nadzieję, że okaże się dość mocny.

Więzienie najwyraźniej było olbrzymie: niekończące się korytarze łączyły cele pełne bólu i wiecznego cierpienia. Mag sugerował, że może ono być osobnym światem. St John musiał jeszcze tylko wymyślić dobry sposób na przywoływanie więźniów. Jeśli łańcuch się zerwie, Opowiadaczka - i, co ważniejsze, jej historie - mogą przepaść na zawsze.

Ale łańcuch wytrzyma. St John był tego pewien. Coś tak błahego jak kilka żelaznych ogniw nie może mieć wpływu na jego przeznaczenie.

Mag chodził w kółko, załamując dłonie.

- Och, niedobrze! Niedobrze! Co ja zrobiłem? Uczyniłem wielkie, wielkie zło. - Spojrzał na St Johna. - Pomogłem ci w strasznym czynie. Gdybym wiedział... gdybym zdołał się wznieść nad własny gniew...

St John podał mu płaszcz.

- Nie martw się. Mam wszystko pod kontrolą. Skup się na tym, żeby nikt cię nie zauważył.

Lamenty Maga przerwało stukanie do drzwi. St John rzucił szorstkie: „Wejść”. Do gabinetu wkroczyli Kane i O'Regan.

- Panie, jakiś człowiek chce z tobą rozmawiać - powiedział Kane. - Mówi, że jest strażnikiem wrót.

- Przyślij go na górę - polecił St John i odwrócił się w stronę Maga. - I pokażcie temu jegomościowi drogę do drzwi.

Klepnął okryte płaszczem plecy mężczyzny.

Kiedy Kane wyprowadził Maga, St John przyciągnął O'Regana bliżej.

- Idź za nim, zabij go i przynieś mi ciało. Zaczyna mnie złościć jego skomlenie. Jeśli teraz z nim nie skończymy, zaraz pobiegnie do Księcia Regenta. Zrób to szybko i czysto. Musi wyglądać tak, jakby to on ciebie zaatakował.

- Bez problemu, panie. - Twarz O'Regana była nieruchoma.

St John patrzył, jak Rycerz wychodzi. Jego ciało składało się z samych mięśni. W Gdzieświecie, zanim wstąpił do Zakonu, służył w wojsku. Jako zabójca był wyjątkowo

skuteczny. A St John lubił żołnierzy. Byli dobrzy w wykonywaniu rozkazów.

Zanim strażnik wszedł na piętro, lustro zostało zakryte, a drzwi do gabinetu zamknięte. St John siedział przy stole obok Conrada Eyre'a.

Mężczyzna stanął przed nim, ściskając w dłoni płócienną czapkę i przestępując z nogi na nogę.

- Jacob Megram, panie. - Wyraźnie próbował opanować nerwowe drżenie głosu. Żeby wyglądać bardziej wyjściowo, na robocze ubranie narzucił wyświechtaną marynarkę.

Zerknął na ekran laptopa Conrada Eyre'a, oblizął wargi i czekał, aż St John się odezwie. Już się pocił.

- A więc jesteś strażnikiem? - Mimo niechlujnej powierzchowności Megrama St John był pod pewnym wrażeniem. W Nigdzieświecie opuszczenie swojej części miasta stanowiło nie lada wyzwanie. Mężczyzna odczuwał już zapewne męczące skutki wyprawy do innego miastka. - Obawiam się, że chyba się nie znamy.

- Nie, panie. Nie było takiej potrzeby, odkąd zmarło się mojemu ojcu. Bałem się, czy pana znajdę. Nie chciałem zadawać za wielu pytań... wie pan, o czym mówię. Ale potem w rzeczach ojca znalazłem ten adres i pana nazwisko.

Mówił szybko i nienaturalnie; St John podejrzewał, że od ciągłego kiwania głową w rytm słów czuje się jeszcze gorzej. Biedny skurczysyn.

- Więc znalazłeś mnie. - Uśmiechnął się, chociaż jego cierpliwość się wyczerpywała. To był naprawdę długi dzień. - Co tak pilnie musisz mi powiedzieć?

- No, na pewno już to wiecie, panie, ale żona, no, pomyślała, że i tak powinienem przyjść i powiedzieć, bo pada ten czarny deszcz i w ogóle, a żona, żona straciła ojca w tamtym szaleństwie, co to było za ostatniej burzy, więc mówi: „Lepiej na zimne dmuchać”. - Wciągnął ze świstem powietrze. - No bo... dzisiaj po południu przez wrota weszło trzech chłopaków, a od lat nikt tych wrót nie używał, więc myślę sobie, że to dziwne, panie...

Umilkł i sterczał żałośnie na środku komnaty, mnąc w dłoniach czapkę.

- Trzech chłopaków? - Powoli narastające uczucie nudy zniknęło jak zdmuchnięte. St John popatrzył na Conrada, który wychylił się z krzesła. - I wpuściłeś ich?

Gość rozejrzał się bezradnie, jakby szukał właściwej odpowiedzi.

- Wszystko było w porządku, panie, mieli monetę z dwiema głowami. Nawet wiedzieli, że mam ją oddać. I wiedzieli, gdzie są. W ogóle się nie dziwili.

- A jak wyglądali?

Megram się zastanowił.

- Młodzi, zdaje się. W dobrym wieku na czeladników u masarza... tak z piętnaście lat? Jeden był czarny. A jeden wysoki i szczupły, taki paniczyk. Rozumiecie, tak się jakoś wyrażał. A ten z monetą to był blondyn, trochę niższy od tamtych. Chyba wiedział więcej niż oni. Najwięcej gadał.

St John pomyślał o teczce, którą Conrad Eyre zabrał z gabinetu Harlequina Browna w Rookeries. Ni stąd, ni zowąd trzech nastolatków przechodzi przez wrota do Nigdzieświata... to raczej nie może być przypadek.

- Jeszcze coś, panie. - Głos Megrama przerwał myśli St Johna.

- Tak? - zapytał zimno.

Megram zbieleł na twarzy, ale dzielnie mówił dalej.

- Ten blondyn, panie, miał miecz, taki jak wasz. - Zerknął na Conrada. - I jak tego pana. I jak pana na dole.

Oczy St Johna się zwięzły.

- Jesteś pewien? To mogła być zwyczajna broń.

Megram pokręcił głową.

- Nie, panie, oczy u mnie dobre. Z innymi rzeczami może kiepsko, ale wzrok mam jak sokół. To był miecz Rycerza. Na rękojeści miał klejnoty, jak wasz. A chłopak nosił pierścień, jak wszyscy Rycerze. - Zmarszczył brwi, jakby coś nagle do niego dotarło. Spojrzał na St Johna, potem na Conrada i znów na St Johna. - Ale ten pierścień nie pasował do miecza, nie tak jak wasze.

Wbił wzrok w podłogę, jakby skończył wypowiedź, ale po chwili znów się odezwał:

- Aha, i szukali jakiegoś pubu, gdzieś koło katedry Świętego Pawła.

Serce St Johna uderzyło gniewnie. To musiał być ten przeklęty młodzik, ten Finmere Tingewick Smith. Najwyraźniej z jakiegoś powodu był ważny - czy ktoś wysłał go przeciwko Rycerzom? Kto mógł to zrobić? Zgrzytnął zębami. Ten stary drań Ted Merryweather, obrońca cholernego Gdzieświata? Tak, to musiał być on...

Warknął wściekle. Osobiście policzy się z tym przeklętym Tedem, kiedy załatwi

swoje sprawy tutaj. Od tak dawna nie odwiedzał swojego Londynu, że niemal zapomniał o istnieniu tego człowieka.

Kiedy podniósł oczy, Eyre i Megram patrzyli na niego.

- Czy dobrze zrobiłem, panie? Że przyszedłem z tym do was? - Strażnik wrót wydawał się nieco wystraszony.

St John, rozkoszując się poczuciem władzy, jakie dawał mu ten strach, pozwolił Megramowi drżeć jeszcze przez chwilę, zanim wstał. Rozpiął małą płócienną sakiewkę wiszącą u pasa i wydobyl garść złotych monet.

- Bardzo dobrze, Megram. Doskonale zrobiłeś. Zakon powinien docenić, jak wspaniałego ma w tobie strażnika. Weź to.

- Och nie, nie mogę, panie. - Oczy Megrama zaszkliły się na widok takiej szczodrości.

- Nalegam. - St John skinął głową.

Tym razem oszołomiony rzeźnik wziął pieniądze.

- Dziękuję, panie. Jesteście zbyt hojni...

- Jeszcze jedno, panie Megram. Nikt inny nie może wejść ani wyjść przez wrota.

Czy to jasne? Kiedy będę miał kogo posłać, każę jednemu z Rycerzy, aby pomógł ci pilnować przejścia. Ale do tego czasu ty i tylko ty będziesz za nie odpowiedzialny. Tak?

Megram wyprostował krępe ciało.

- Tak, panie. Może pan na mnie polegać.

- Dobry z ciebie człowiek. A teraz, jeśli pozwolisz... -St John nie musiał kończyć zdania: Jacob Megram już wycofywał się tyłem, bijąc pokłony, jak przed cesarzem albo królem.

Upewniwszy się, że mężczyzna zniknął, St John zmarszczył czoło.

- W co grają ci głupcy z Domu Telluriów? I dlaczego ten dzieciak jest aż tak ważny, że posyłają go przeciwko nam? -Kopnął gwałtownie swoje krzesło.

- Myślisz, że to ten chłopak, którego papiery były w teczce sędziego? - zapytał Conrad, utrzymując bezpieczną odległość.

- Finmere Tingewick Smith? - syknął St John szyderczo. - Nie wierzę w zbiegi okoliczności. To musi być on.

Zrobił kilka kroków i się zatrzymał.

- Chcę, żebyście go natychmiast znaleźli. Zajmiesz się tym.
- To nie powinno być trudne. Chcesz wszystkich trzech?
- Tak. Nie wiemy jeszcze, który z nich to Smith. Tego blondyna z mieczem chcę na pewno dostać żywego. Założę się, że to on.

- Zostawię Paula Kane'a i Malachiego O'Regana i wezmę pozostałą czwórkę. To zajmie nam chwilę.

Nagle do komnaty wszedł - tym razem bez pukania - zdyszany O'Regan. Zatrzymał się przed St Johnem i pochylił głowę.

St John popatrzył na jego puste ramiona.

- Gdzie jest Mag? - zapytał lodowatym głosem. - Zdaje się, że wydałem jasny rozkaz. Miałeś go przynieść martwego. A wcale go nie widzę, martwego czy nie.

- Miałem problemy, panie - wysapał O'Regan.

- A dokładnie jakie? - St John opanował przemożną chęć, żeby wydobyć miecz i zadźgać Rycerza na miejscu. Potrzebował jednak ludzi, a Perry'ego Longmana już poświęcił.

- Nie wiem, jak to się stało. Był w uliczce, kilka metrów przede mną, a potem skręcił za róg Tempie Chambers i nagle przepadł!

Oczy St Johna zapłonęły.

- Zgubiłeś go.

- Nie. - O'Regan podniósł głowę. - Nie, nie zgubiłem go. Zniknął. Patrzyłem, jak rozplywa się w powietrzu.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

W końcu milczenie przerwał Conrad Eyre:

- To jest właśnie problem z Magami. Świetnie znają się na czarach.

St John westchnął. Musiał uwierzyć O'Reganowi. Ten człowiek nie był kłamcą. Miał na to za mało wyobraźni. Przełknął złość i zawód i się uśmiechnął.

- Możemy znaleźć Maga, kiedy już znajdziecie chłopców.

- Chłopców?

- Potem ci wyjaśnię. - Conrad otworzył klapę laptopa i włączył go. Komputer zabrzączał. Rycerz uśmiechnął się z zadowoleniem. - System działa. Kiedy pójdziemy, na ekranie powinny zostać tylko trzy czerwone kropki: ty, Kane i O'Regan. Gdyby ktoś

się włamał, zobaczysz go od razu i będziesz mógł się spokojnie zastanowić, czy z nim walczyć, czy przeciąć się do Gdzieświata razem z lustrem.

- Dobrze. - Myśli St Johna pobiegły ku tajemnemu przejściu w gabinecie: przez tylne podwórze sąsiedniego domu można było tamtędy dostać się na ulicę. Wytnie drzwi do Gdzieświata, żeby schować lustro, ale nie zamierzał osobiście się tam wybierać. Ukryte schody wystarczą.

Zastanawiał się, co powiedzieliby Rycerze na wieść, że tak bardzo boi się Podróży. Chyba żaden nie zorientował się jeszcze, jak dawno nie był w domu - poza nieuniknionymi corocznymi zebraniem Rady w Sali Szeptów i odprawami w Domu Telluriów, które po nich następowały. Nie byłiby raczej zachwyceni. Z pewnością nie chcieliby już takiego przywódcy.

Często zgłaszał długie Podróże odbyte tylko w fantazji. Zakon nie prowadził rejestru, a żaden z Rycerzy nie śmiały zadawać mu pytań wprost, co gwarantowało, że jego fobia pozostanie niezauważona. Spokój na granicy między światami ułatwiał sprawę: o wiele prościej było realizować spisek. Zadrzał. Na własne oczy widział, jak starzenie spadło na Lucasa Blake'a. Za nic nie chciał, żeby spotkało go coś takiego. Kiedy przejmie historie, wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej. Kto wie ile władzy dzięki nim zdobędzie? Nigdy dotąd nie sprawdzano, jak wielką moc mają Opowiadaczki. Zamierzał być pierwszym, który się o tym przekona.

- Strażnik powiedział, że szukali pubu w pobliżu katedry - odezwał się do Conrada.
- Na pewno nie ma tam dużo lokali. Przeszukajcie wszystkie.

Conrad zdjął płaszcz z oparcia krzesła.

- I mówił o pubie, nie karczmie. Czyli że kierowali się raczej do któregoś z nowszych miastek. - Ruszył do drzwi.

- Bądźmy w kontakcie, Conradzie - powiedział St John i odwrócił się do okna. Mógł stąd oglądać zbudowaną w części z kamienia, a w części z drewna kopułę katedry Świętego Pawła, chociaż nie widział dziury, którą po drugiej stronie wybiła w niej bomba. Dziwny budynek, ta katedra. Może dlatego pierwotna Rada Wewnętrzna wybrała ją na miejsce spotkań? Możliwe że gdy wszystko będzie już gotowe, zwoła zebranie Rycerzy - ale nie w Sali Szeptów w katedrze Świętego Pawła w Gdzieświecie. Nie, jego zgromadzenie odbędzie się tutaj. Pora na zmiany. W przedziwnym szepcie wiatru słyszał

głosy Rycerzy, którzy dawno odeszli. Najwyższy czas odesłać duchy na wieczny spoczynek.

Uśmiechnął się. W nadciągającej ciemności miasto ożywało płomykami kolejnych lampek i świec. Zaskakujące zarysy Futurum lśniły na horyzoncie jak odległy księżyc. Zimny powiew liznął kark komandora. St John odwrócił się i spojrzął na zamknięte drzwi gabinetu. Prawdomówcy wrócili. Czuł to przez skórę. Pora zamknąć sprawę.

Wziął ze sobą niewielką pochodnię i zapalił trzy lampki na ścianie gabinetu, a potem przysunął sobie krzesło. W drżącym świetle ukazała się mętna, falująca powierzchnia zwierciadła. Dwie potworne istoty stały po obu stronach skulonej na ziemi Opowiadaczki.

- Już nie jesteś taka twarda, co? - syknął St John, czując w środku wzbierającą falę triumfu. Została złamana - to było jasne - a skoro tak, zdobędzie Odwieczne Historie. I stanie się to za kilka chwil. Zadrżał z niecierpliwości, próbując sobie wyobrazić, jak się poczuje, kiedy historie znajdą się już w nim... kiedy będzie najważniejszą osobą w dziejach wszystkich światów.

Uśmiechnął się.

- To trwało o wiele krócej, niż się spodziewałem.

Prawdomówca kilkakrotnie kłapnął szczękami, nim wydobył z siebie słowa.

- Krótko czy długo, tutaj to nic nie znaczy - mruknął głucho. - Chwila i wieczność są tym samym.

- Bardzo interesujące - orzekł St John, chociaż wcale go to nie interesowało. Sposób, w jaki działa więzienie, nie był dla niego ważny, o ile działało skutecznie: a musiało tak być, bo inaczej Prawdomówcy nie wróciliby tak szybko. Poczul, że do ust napływa mu ślina.

- Czy jest gotowa oddać mi historie? - zapytał, starając się zapanować nad drżącym z emocji głosem.

Wzory na bladej, wklęsłej piersi potwora zawirowały.

- Nie może. - Echo jego głosu wypełniło całą niewielką komnatę.

St John do tego stopnia nastawił się na „tak”, że dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że słyszy coś innego.

- Co? - Odchrząknął z trudem. - Co to znaczy: nie może? Dlaczego nie może mi ich

przekazać?

- Nie może ich przekazać, bo ich nie ma. Ukryła je.

St John patrzył na Prawdomówcę wściekły i całkowicie zbity z tropu. Gdyby powiedział mu to ktokolwiek inny, po prostu by nie uwierzył. Opowiadaczka, która nie ma dostępu do swoich historii? Nigdy nawet nie zastanawiał się, czy to możliwe - przecież jedynym obowiązkiem Opowiadaczki było chronienie Pięciu Odwiecznych Historii, noszenie ich w sobie, utrzymywanie przy życiu... tylko dzięki temu trwa równowaga światów!

Wbił wzrok w leżącą bezwładnie postać. W tej chwili jej nienawidził. Zawsze były z nią kłopoty - od samego początku. Najpierw ta okropna sprawa z Baxterem, chociaż musiał przyznać, że ostatecznie udało mu się wykorzystać ją do swoich celów. A teraz to. Zgrzytnął zębami i pomyślał o Rycerzach. Obiecał im sukces i wyszkolił ich w bezwzględności. Nie byłoby najlepiej, gdyby przestali w niego wierzyć. Zadrżał na myśl o tym, że jego cichy partner także nie byłby zachwycony. I oczywiście, pozostawała jego własna żarłoczna żądza władzy, którą miały mu dać historie: w tej kwestii nic się nie zmieniło...

- Gdzie je ukryła? I jak? - warknął, gotując się z gniewu.
- Nie pytaliśmy o to.

St John nie wytrzymał. Zerwał się i kopniakiem usunął krzesło z drogi.

- Więc, do cholery, ja o to pytam! - Jego czerwona wściekła twarz płonęła wśród jasnych włosów i brody.

- Przyniesiemy ci odpowiedź.

Opowiadaczka poruszyła się po raz pierwszy. Podniosła głowę, włosy osypały się na ramiona.

- Nie - szepnęła. Jej przepojony rozpaczą głos wciąż dźwięczał takim pięknem i mocą, że ciemność wydawała się ustępować przed nim. - Nie dostaniesz odpowiedzi.

St John patrzył z zaskoczeniem, jak opuszczając głowę i ukryta za zasłoną włosów zaczyna kołysać się gwałtownie na boki. Z jej gardła wyrzywały się zduszone jęki. W końcu wypluła coś na podłogę i z wilgotnym skowytym opadła jeszcze niżej, jakby poświęciła już resztkę sił. Z przesłoniętych włosami ust wydobyło się skomlenie śmiertelnego bólu.

St John przykucnął przed lustrem, czując, jak serce łomocze mu w piersi.

- Co ona robi? Co ona tam robi?

Prawdomówcy stali nieruchomo. Niemal przestali klekotać zębami.

- Skorzystała z Prawa do Milczenia - odezwał się wreszcie jeden.
- Z czego?! - krzyknął St John, wpatrując się w ohydne szkarłatne oczodoły.
- Skorzystała z Prawa do Milczenia - powtórzył potwór. - Może to zrobić każdy

więzień, choć niewielu miało dość siły, żeby wybrać tę drogę.

- Ale wy jesteście Prawdomówcami! - wyrzucił z siebie gwałtownie St John. - Wciąż możecie wydobyć z niej odpowiedź, prawda? Mag obiecał mi, że wyciągniecie wszystko, co zechcę.

Miał wrażenie, że jego plany zaczynają się chwiać niczym domek z kart. Tyle lat ostrożnych przygotowań, a teraz misterna konstrukcja w każdej chwili może runąć. Jak to możliwe?

- Obiecał mi!

Obaj Prawdomówcy zaczęli kłapać szczękami i posyki-wać, wysuwając języki spomiędzy ostrych zębów. Chociaż poczucie humoru było ostatnią rzeczą, o jaką by ich podejrzewał, St John miał paskudne wrażenie, że się z niego śmieją.

- Zmuszamy więźniów, żeby mówili prawdę - oświadczył w końcu ten, który już wcześniej zabierał głos. - Jeśli nie mogą mówić, nie możemy wydobyć informacji.

- Jak to: jeśli nie mogą mówić?

Opowiadaczka uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Jej oczy płonęły triumfalnie. St John zrozumiał, jak bardzo się mylił, sądząc, że złamał w niej ducha. Patrzył wstrząśnięty. Usta miała otwarte, jakby zamknięcie ich było zbyt bolesne; gęsta, ciemna krew spływała na podbródek i na szyję, plamiąc jasne, długie włosy. Nie odwracając oczu, splunęła na podłogę jaskrawoczerwoną cieczą.

- Nie może mówić bez języka.

Usta St Johna także się otworzyły. Nie wierzył w to, co słyszy.

- Odgryzła sobie język? - wyszeptał.
- Tylko tak można otrzymać Prawo do Milczenia. - Prawdomówcy odplywali w głąb lustra, znikając w szarości. Jeszcze przez chwilę widoczne były ich ruchome tatuaże, a potem wszystko zniknęło.

- Dokąd idziecie? - St John znów zerwał się na równe nogi. - Nie możecie odejść!
Mam pytania! Muszę poznać odpowiedzi!

- Nie możemy pytać. Skończyliśmy. - Po Prawdomówcach pozostało jedynie martwe echo słów.

Przez chwilę St John słyszał tylko szmer własnego oddechu. To się nie dzieje. To się nie może dziać! Nie tak miało to wyglądać.

Patrzyli na siebie, Opowiadaczka i on, oddaleni o kilka centymetrów i cały wszechświat.

Szczęka St Johna drżała, a wściekłość i nienawiść narastały i buzowały, wypełniając całe jego ciało.

Kiedy wreszcie wybuchły, rzucił się na oślep do swojego pulpitu i zaczął z furją kopać gruby drewniany kołek, który mocował owinięty wokół jednej z nóg mebla łańcuch. Wrzeszczący i spocony walił w drewno, aż zaczęło pękać. W końcu kołek puścił i łańcuch zaczął sunąć ze zgrzytem po podłodze, wciągany w otchłań lustra.

Dyszząc, St John patrzył, jak Opowiadaczka oddala się. Kiedy łańcuch przestał ją trzymać, zapadła się w szarą nicość, tonąc w mętym półmroku, coraz mniejsza i mniejsza.

- Miłego piekła, Opowiadaczko! - wrzasnął.

Ciemność zamknęła się wokół niej. Zniknęła.

W pubie zrobiło się wreszcie nieco ciszej. Przewoźnicy wyszli, potykając się co krok i zaśmiewając do rozpuku. Ich zachowanie było równie hałaśliwe, co na początku wieczoru, choć sposób mówienia o wiele mniej składny. Wielu klientów zamówiło jeszcze po jednym kuflu, żeby przez jakieś pół godziny wymieniać wrażenia ze spotkania z Przewoźnikami. Później w pubie zostali już tylko regularni goście, których były w stanie obsłużyć dwie barmanki.

Gulasz okazał się bardzo sycący. Kiedy pani Harvey dosiadła się do ich stolika, nawet Joe uznał, że już się najadł, chociaż w koszyku leżały jeszcze trzy kawałki pieczywa. Szczupły mężczyzna zza baru dołączył do towarzystwa.

- To mój mąż, Albert - przedstawiła go pani Harvey, biorąc jeden z dwóch kufla,

które przyniósł. - Dziękuję, kochany.

Fin nie mógł odpędzić wrażenia, że szara piana na powierzchni napitku wygląda jak woda w zlewku w kuchni St Martin's pod koniec zmywania. Z zaskoczeniem zauważył unoszącą się nad napojem chmurkę pary.

- Nogi mi zaraz odpadną. - Albert Harvey pociągnął łyk i się uśmiechnął. - Och, jak dobrze.

Z pewnej odległości pan Harvey - zwłaszcza kiedy uwijał się za barem - wydawał się całkiem młody. Teraz Fin przekonał się, że jest co najmniej w wieku żony, a może nawet nieco starszy. Jego włosy wciąż jeszcze były ciemne, lecz na ciemieniu jaśniała spora łysina. Miał obwisły podbródek i twarz poraną zmarszczkami, ale oczy skrzyły się humorem, podobnie jak u pani Harvey i pani Baker. Fin poczuł, że lubi tego-człowieka.

- No więc - zaczęła pani Harvey, kładąc na stole pulchne dłonie. - Maggie nie przysłałaby was tutaj bez powodu. Ale dziwię się, że przysłała chłopców, zwłaszcza że obraca się w zupełnie innym towarzystwie. Co prawda za dużo mi nie mówi ani ja nie chcę za dużo wiedzieć.

- Coś złego się stało albo zaczyna się dziać, prawda? - wszedł jej w słowo Albert Harvey.

- Tak - potwierdził Fin. - Chodzi o Rycerzy...

- Nie mów. - Pan Harvey podniósł rękę. - Zrobimy wszystko, co się da, żeby pomóc Maggie i Zakonowi, ale nie musimy znać szczegółów. Mówiąc szczerze, im mniej wiemy, tym lepiej. Dobrze pamiętam Wielką Wojnę...

- Pierwszą wojnę światową? - wtrącił się Christopher. - Ale to było strasznie dawno. - Zmarszczył brwi. - I w naszym świecie. Był pan tam?

Albert Harvey pokręcił głową.

- Nie. Nawet nie wiem za wiele o waszym świecie. Może Wielka Wojna wpełzła do nas przez jedną z tych szczelin między światami? To było ponad pięćdziesiąt lat temu. Mój ojciec walczył w tej wojnie. - Jego twarz pociemniała. - Pamiętam, jak mówił: „Możemy zdradzić tylko to, co znamy”. Mały byłem i tak dalej, więc wtedy tego nie rozumiałem, ale teraz już rozumiem. To znaczy, że jeśli nic nie wiesz, nie możesz nic powiedzieć.

Finmere spojrzał na Christophera i Joego. Obaj kiwnęli głowami. Ciekawe, czy oni

też zaczynają się czuć nieco zdenerwowani. To wszystko brzmiało tak poważnie - oczywiście, to było poważne, przecież wiedział... ale szkoda, że nie mogą traktować tego jak przygody i zapomnieć o jej mrocznych stronach. Może tak byłoby dla nich lepiej.

- A w Nigdzieświecie jest dużo wojen? - chciał wiedzieć Joe.

- Nie, to była ostatnia, dlatego nazywamy ją Wielką Wojną. To było straszne dla wszystkich. Zrozumieliśmy lekcję.

Fin pomyślał o wojnach, które szaleją w jego rodzinnym świecie.

Myśli Christophera najwyraźniej powędrowały w tę samą stronę.

- Nasza Wielka Wojna nazywa się teraz I wojną światową. Nic dodać, nic ująć, prawda? Zdaje się, że my tej lekcji nie zrozumieliśmy.

Pani Harvey skinęła głową.

- Słyszałam co nieco o Gdzieświecie. To złe miejsce.

- Nie, nie - zaprotestował Joe. - Nie zawsze. Tylko...

- Nie można ufać Rycerzom. - Fin przerwał mu, chociaż przyjaciel bronił ich świata. Jeśli chcą obronić swój dom, powinni zrobić to, po co przysłał ich Ted. Mimo to Joe spojrzał na niego spode łba. Finmere nie patrzył na przyjaciela. Mówił dalej. - Zostaliśmy przysłani, żeby znaleźć kogoś, kto się nazywa Fowkes, i przekazać mu wiadomość.

Starł się wyjawić jak najmniej, ale jednocześnie dość, żeby państwo Harveyowie mogli im pomóc.

- Nie można ufać Rycerzom? - powtórzyła pani Harvey z niedowierzaniem. - Jak to: żadnemu?

- Żadnemu z młodych - wyjaśnił Fin.

- Poza Fowkesem - uzupełnił Joe.

- Dlatego musimy go znaleźć - dokończył Christopher.

Wszyscy trzej popatrzyli na Harveyow.

- Fowkesa, mówicie? - Albert Harvey uśmiechnął się tęsknie. - Dawno nie słyszeliśmy tego nazwiska, co, Ido? Prawie już o nim zapomniałem.

Ida zarumieniła się lekko.

- Z Andrew Fowkesa był nie lada Rycerz. Ciekawe, ile człowiek potrafi zapomnieć. Życie pędzi, wspomnienia uciekają... - zawiesiła głos. - A to były złe czasy. Łatwiej je

zapomnieć niż pamiętać, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

Finmere nie był pewien, czy wie, ale przywykł" już do takich niezrozumiałych wtrętów w rozmowach z dorosłymi.

- Musimy go znaleźć, i to szybko. - Serce waliło mu w krtani. To wszystko nie wyglądało najlepiej.

- O rany, ale on przepadł dawno temu. - Pan Harvey parsknął jak koń. - Nie słyszałem o nim, będzie od piętnastu czy szesnastu lat.

Zerknął na żonę, a potem odezwali się jednocześnie, jakby to samo przyszło im do głowy.

- Savjani.

- Savjani? - powtórzył Fin. Nie był pewien, czy chodzi o miejsce, czy o osobę.

- Tak jest! - Pani Harvey się rozpromieniła. - Jeśli ktoś wie, gdzie szukać Fowkesa, to tylko Savjani.

- To też Rycerz? - zapytał Christopher.

- Nie. - Pan Harvey się zaśmiał. - Chociaż pewnie byłby Rycerzem, gdyby urodził się w Gdzieświecie. Ale jest stąd, a my, z Nigdzieświata, nie jesteśmy najlepsi w podróżowaniu.

Uśmiechnął się z tęsknotą i na chwilę najwyraźniej zatonał we wspomnieniach.

- Dawno temu kręcił się stale w pobliżu Fowkesa. I Baxtera - dodał ciszej.

Na dźwięk tego nazwiska żołądek Fina podskoczył i się zacisnął. Chłopak poczuł nagle ciężar pierścienia na palcu: pierścienia, który należał do nieżyjącego. A może do jego ojca.

- A gdzie jest Savjani teraz? - dopytywał się Christopher.

- To rzemieślnik. Krawiec - wyjaśniła pani Harvey. - Bardzo dobrze mu się powodzi. Każdy o nim słyszał. Ubiera ludzi z całego Londynu, ze wszystkich miastek. Mówił mi ktoś, że szyje nawet dla Księcia Regenta.

- Gdzie go znajdziemy? - Fin uśmiechnął się do Joego, a przyjaciel odpowiedział mu uśmiechem. Może jednak mieli jakieś szanse.

- Czekajcie. - Pan Harvey poszedł za bar, przez dłuższą chwilę przerzucał z hałasem jakieś przedmioty, po czym ukazał się znów z obszarpanym, złożonym w kilkoro papierem. - Macie tu plan Londynu. Nie wiem, na ile można mu wierzyć, ale

zawsze będziecie mieć jakieś ogólne wyobrażenie, dokąd iść.

Podał mapę Finowi, który podziękował i wepchnął ją do tylnej kieszeni spodni.

- Żeby dotrzeć do Savjaniego - mówił dalej pan Harvey - musicie minąć Ogród Klasztorny Convent Garden. Po prawej zobaczycie bramę w murze. Przejdźcie przez nią, a potem prosto aż do Circus. Savjani ma wielką pracownię przy skrzyżowaniu. W Nigdzieświecie bardzo się opłaca założyć interes przy skrzyżowaniu: wtedy masz klientów ze wszystkich miastek.

- Nie wiem, może to tylko ja mam problem - odezwał się Joe, dopijając sok - ale coraz mniej rozumiem, o co tu chodzi. Strasznie ten Nigdzieświat zagmatwany.

- Takie życie - stwierdził Albert Harvey. - Zagmatwane. I z wiekiem wcale się nie poprawia, tylko bardziej przywykasz. Tak czy inaczej, wam, z Gdzieświata, o wiele łatwiej poruszać się między miastkami. U nas niewielu może to robić bez szkody dla zdrowia.

Hałas panujący w pubie nagle przycichł. Fin podniósł oczy i zobaczył, jak jeden klient szepcze coś innemu do ucha. Kilku wychodzących odwróciło się od drzwi i spojrzało na ich stolik. Jakaś kobieta zmarszczyła czoło i pochyliła się do mężczyzny, który siedział obok niej. Kiedy jej wysłuchał, wstali oboje i opuścili lokal. Fin przyglądał się zdziwiony. Co się dzieje?

Nie musiał długo czekać na wyjaśnienie. Jedna z dwóch dziewczyn wyszła zza baru i przykucnęła przy stoliku.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie coś usłyszałam i chyba powinniście to wiedzieć - odezwała się cicho, rzucając za siebie nerwowe spojrzenia.

- Co takiego, Tildo? - zapytał pan Harvey spokojnie.

Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę.

- Ktoś powiedział, że grupa Rycerzy przeszukuje puby w okolicy. Pytają o trzech obcych. O trzech chłopców. - Rzuciła szybkie spojrzenie na Fina. - Właśnie byli w Zielonym Mężu. Mocno się rozbijają. Przestraszyli panią O'Connor, a to naprawdę sztuka.

Ściszyła głos jeszcze bardziej.

- Mówili, że przysłał ich Regent. Mieli miecze i wszystko. - Popatrzyła na Fina, Joego i Christophera. - Pomyślałam, że powinniście wiedzieć.

Pani Harvey poklepała dłoń barmanki.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Tildo. Idź teraz do domu. I powiedz Jane, żeby też poszła. Dzisiaj my z Albertem posprzątamy lokal.

Dziewczyna czmychnęła natychmiast. Po chwili obie z Jane zniknęły za drzwiami. Nie zatrzymały się nawet, żeby naciągnąć płaszcze.

Wesoły nastrój ulotnił się do reszty. W pubie zostało już tylko kilku gości. Nieustraszenie wznosili kufle, ale Fin podejrzewał, że są zbyt pijani, by zauważyć, że impreza się skończyła.

- Musicie stąd zmykać. - Albert Harvey poderwał się na równe nogi i zaczął ponaglać trzech przyjaciół, żeby wstali od stołu. - Tylnym wyjściem. Zielony Mąż jest tylko dwie ulice stąd.

Chłopcy pobiegli za bar i na zaplecze. Pani Harvey otworzyła drzwi i ostrożnie wyjrzała.

- Zdaje się, że nikogo nie ma - szepnęła. Ścisnęła każdego z chłopców za ramię i spieszenie wypchnęła ich w wilgotny mrok.

Gdzieś z prawej strony rozległa się chrapliwa, niezrozumiała komenda, wyszczekana męskim głosem, a zaraz potem ciężki tupot kilku par biegnących stóp. Serce podskoczyło Finowi do gardła. To byli Rycerze. Na pewno.

- Pospieszcie się! I uważajcie na siebie! - Pan Harvey zniknął za drzwiami.

Najwyraźniej pobiegł na spotkanie Rycerzom.

- Dziękujemy za wszystko - powiedział Fin.

- Dacie sobie państwo radę? - upewniał się Joe.

- Wszystko będzie dobrze, byle wam nic się nie stało. - Ida Harvey uśmiechnęła się, ale wszyscy widzieli strach w jej oczach. Fin znał już ten przerażony wzrok: tak spozrzała na niego i Teda pani Baker, kiedy znaleźli ją pobitą we własnej kuchni. Pani Harvey rzuciła im ostatni uśmiech, cofnęła się i zaryglowała drzwi.

Przez chwilę stali stłoczeni w miejscu.

- Tu nie jest bezpiecznie. I oni też mogą mieć przez nas kłopoty - wyszeptał Christopher. - Ruszmy się stąd, do cholery.

Lawirując między pustymi beczkami i skrzynkami zastawiającymi brukowane podwórze, dobiegli do sięgającego pasa murku, który oddzielał posesję od ulicy.

Zatrzymali się w cieniu pod stosem skrzyń i ukradkiem wyjrzeni nad murem.

Na chodniku nie było nikogo. Odetchnęli z ulgą i przeskoczyli po kolei górą, próbując trzymać się jak najbliżej ściany, jakby mogli wtopić się w cegły i ukryć przed ludzkim okiem. Wejście do Czerwonego Lwa znajdowało się zaraz za rogiem. Jeśli Rycerze posłali kogoś, żeby sprawdził okolice pubu, ten ktoś nie dotarł na tyły budynku. Na razie.

- Chodźmy tędy. - Finmere wskazał w lewo. - Oddalimy się trochę i wtedy spojrzemy na mapę.

Ruszył biegiem, z przyjaciółmi u boków. Noc była ciepła i mglista; w powietrzu wisiał gorący ciemny deszcz. Fin zatęsknił za rześkim chłodem swojego Londynu: to było coś, co znał i rozumiał, przynajmniej trochę. Zmarszczył brwi na myśl o tym, że - jeśli Ted ma rację - on, Fin, należy w takim samym stopniu do obu światów. Ale wcale tego nie czuł; jeszcze nie.

Chodnik pod ich stopami wydawał się coraz niższy, zbliżony poziomem do jezdni. Asfalt z kolei sprawiał wrażenie bardziej szorstkiego i ciemniejszego. Może dotarli już do granic miastka? Fin był ciekawy - i nie mógł tego ukryć - co zobaczą za rogiem.

- Myślisz, że naprawdę dadzą sobie radę? - zapytał Joe.

- Oczywiście - ni to wyszeptał, ni to wysapał Christopher. - Wiedzą, co robią.

Fin w milczeniu okrążył róg budynku i oparł się o nierówny mur, żeby złapać oddech. Wcale nie był pewien, czy Harveyowie wiedzą dokładnie, co robią. Przyszło mu właśnie do głowy, że może z wiekiem człowiek uczy się lepiej udawać, a to zupełnie inna sprawa.

Wyciągnął plan z kieszeni. Dobrze, że mieli przynajmniej cel. Musieli się dostać do Savjaniego. Co mówili państwo Harveyowie? Minąć Convent Garden i prosto aż do Circus. Rozprostowując płachtę grubego papieru, podniósł głowę i popatrzył na górujące nad nimi ciemne ściany.

- Widzicie gdzieś nazwę ulicy?

Joe, który zaglądał mu przez ramię, zaśmiał się.

- Patrzcie! - Wskazał palcem na niezwykłą mapę. Nie przypominała niczego, co dotąd widzieli. Kiedy Fin rozłożył papier, budynki ukazały się nad nim jak hologramy, nawet w mroku nocy półprzezroczyste niczym duchy prawdziwych domów. Finmere zrozumiał, że patrzy na dzielnice, prawdziwe dzielnice miasta. Kiedy zatrzymywał wzrok

na jakimś budynku, nad jego dachem pojawiała się na kilka chwil - jak komiksowy dymek - nazwa ulicy.

Fin spojrział w miejsce, które pokazywał Joe. Cała mapa utrzymana była w odcieniach sepii, jak stara fotografia, ale w jednym miejscu, nad wąską i krótką uliczką niedaleko rzeki, poruszał się w górę i w dół mały czerwony palec. Tuż przy nim rosła i kurczyła się bańka z pulsującym napisem: „Jesteś tutaj”. Finmere popatrzył na przyjaciół z szerokim uśmiechem.

- Przynajmniej będziemy wiedzieć, jeśli pójdziemy w złą stronę.

Pochylili się we trzech nad siatką ulic i znaleźli Convent Garden.

- Pilnuj kierunku. - Fin podał mapę Joemu.

Ruszyli przed siebie i zniknęli w mroku.

Conrad Eyre stanął przy barze, odrzuciwszy ciemny płaszcz z jednego ramienia, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć wysadzaną klejnotami rękojeść miecza. Przy prawym boku miał George'a Portera, a pozostali rozbiegli się po lokalu, kopiąc wszystko na swojej drodze. Stoły i krzesła łomotały o drewnianą podłogę. Dwaj ostatni klienci wzięli płaszcze i wyszli z pochylonymi głowami, zostawiając niedopite kufle.

Nikt tutaj nie wyglądał na zaskoczonego ich przybyciem. Conrad nie był zdziwiony: w wielkich miastach plotki szybko się rozchodzą.'

- Spokojna noc? - zagadnął szczupłego mężczyznę, który starannie wycierał blat baru. Kobieta, prawdopodobnie jego żona, zbierała szklanki.

- Wcześniej mieliśmy spory ruch. Przyszło kilku Przewoźników.

- Nie wiedzieliśmy, w co ręce włożyć. - Conrad zauważył błysk irytacji w spojrzeniu, które mężczyzna rzucił żonie. Chociaż w Czerwonym Lwie panował gorący zaduch, temperatura spadła o kilka stopni.

- Czym możemy służyć? - zapytał właściciel od niechcienia.

- Przychodzimy na polecenie Księcia Regenta. Poprosił nas o znalezienie trzech nastolatków. Sądzimy, że są w jakimś pubie w tej okolicy.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak mówiłem, mieliśmy spory ruch. Nie widziałem żadnych chłopaków. A jakbym widział, oczywiście bym ich nie obsłużył... - zawiesił głos. - Ale teraz dzieciaki tak szybko rosną. Czasem trudno odróżnić: chłopak czy mężczyzna.

Conrad patrzył na niego i zastanawiał się, czy chuder-lawy szynkarz celowo wypowiedział ostatnie zdanie tak, że zabrzmiało jak obelga. Nikt w Nigdzieświecie nie obraziłby przecież Rycerza? Rycerzy widywano tutaj rzadko, a poza tym, jako przybyszy nie-z-tego-świata, otaczała ich atmosfera niezwykłości. Większość mieszkańców Nigdzieświata odnosiła się do nich z niemałym szacunkiem. Afera z Baxterem została prawie zapomniana: siedemnaście lat to szmat czasu, nawet w Nigdzieświecie, gdzie czas potrafi płać figle.

- Jak się nazywasz? - zapytał chłodno.
- Albert Harvey, panie. A to moja żona, Ida.
- A pani? - Conrad zwrócił się do pulchnej kobiety o macierzyńskim wyglądzie. -

Widziała pani trzech chłopców? Mogli być dziwnie ubrani, może pytali o drogę?

Zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć, właściciel pubu wybuchnął drwiącym śmiechem.

- Ona? Cały dzień siedziała u swojej cholерnej przyjaciółki! Nawet nie pytałem, co tam robiła. Pewnie znowu wydawała moje ciężko zarobione pieniądze. A powinna mi tutaj pomagać.

Kobieta cisnęła mężowi wściekłe spojrzenie. Conrad uśmiechnął się drwiąco. Znał takie spojrzenia. Matka i ojciec wymieniali je nieraz w ciągu długich lat przed rozwodem. Takie spojrzenia zamieniły mu dzieciństwo w piekło. Gdyby nie St John Alexander Golden i Zakon, kto wie gdzie by teraz był.

George Porter pojawił się za plecami kobiety jak duch. Conrad zerknął na niego, po czym przeniósł wzrok na Alberta i Idę Harveyow.

- A więc żadne z was nie widziało tutaj tych chłopaków? - upewnił się cichym głosem.

Małżonkowie zgodnie pokręcili głowami.

Porter położył na samym środku barowego blatu stosik porządnie złożonych ubrań. Na samym wierzchu leżała ulubiona bluza z kapturem Fina. Ida Harvey otworzyła usta, ale mąż ją uprzedził.

- Wpuściłem ich, kiedy jej nie było - oznajmił pewnym głosem. - Kobiety, rozumiecie. Za cholerę nie utrzymają języka za zębami.

Conrad zrobił krok w stronę baru i stanął tuż przed szczupłym mężczyzną.

- Dokąd poszli?

Właściciel wzruszył ramionami.

- Nie powiedzieli.

Conrad czekał nieruchomo, patrząc mu prosto w oczy. W końcu doczekał się: Albert Harvey przełknął nerwowo ślinę, aż podskoczyła mu grdyka.

- Potrzebuję tej informacji - powiadomił Conrad uprzejmie.

Albert nie odpowiedział.

- Jak uważasz. - Conrad spojrzał na Archera. - Zamknij drzwi. I przynieś krzesło dla pani Harvey.

Mżyło, kiedy Fin, Joe i Christopher szli wzdłuż wysokiego muru, który według mapy nazywał się Long Acre. W ogrodzie Covent Garden, który znał Finmere, Long Acre wyglądało zupełnie inaczej: była to ruchliwa ulica z modnymi butikami i kawiarniami prowadząca do wspaniałego budynku Opery i do galerii handlowej Apple Market.

Tutaj zamiast ulicy wznosił się długi mur, na którym co kilka metrów wisiały tablice z napisem: „Znajdujesz się w ogrodzie klasztornym Convent Garden, siedzibie Akademii Opowiadaczek. Prosimy o ciszę. Nie zakłócaj naszej koncentracji”. Poniżej znajdował się dopisek mniejszymi literami, dodany jakby po namyśle: „I dbaj o czystość naszego miastka”.

Christopher zaczął się śmiać, a Fin i Joe dołączyli. Chichotali wspólnie przez minutę czy dwie, wędrując w mroku. Kiedy przeczytało się niezwykle słowa na tablicy, ostatnia linijka brzmiała tak prozaicznie, że wyglądało to na żart. A może po prostu musieli się pośmiać. Ale siąpiący deszcz szybko odebrał im humor. Ubrania, które dostali od pani Harvey, słabo chroniły przed ciężkimi kroplami, które - Finmere wiedział to mimo ciemności - były czarne jak węgiel. Po chwili wszyscy trzej ucichli i opuścili głowy, chociaż ciekawość kazałaby rozglądać się i chłonąć widoki nieznanego świata.

Wreszcie dotarli do końca Convent Garden i stanęli na ulicy z domami w niemal georgiańskim stylu. Christopher pociągnął nosem.

- Jak myślicie, która godzina?
- Nie wiem - odpowiedział Joe. - Koło jedenastej?
- Nie wydaje wam się, że jakoś dużo ludzi na ulicy, jak na tę porę?

Fin rozejrzał się, krzywiąc twarz pod uderzeniami czarnych kropeł deszczu. Mężczyzna w garniturze, który przeciskał się między przechodniami, pchnął go w bok; wyraźnie chciał jak najszybciej znaleźć się w ciepłym i suchym miejscu.

- Może i tak. Ale w Londynie zawsze jest ruch, no nie?

- A poza tym to nie nasz świat, chociaż trochę podobny - dodał Joe, patrząc na brązowe gargulce, które wydawały się dziwnie nie na miejscu na fasadach wysokich, białych georgiańskich budynków. - Ciągle coś jest nie tak.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Christopher. - Nie czujemy się tutaj u siebie.

- Patrzcie. - Fin uśmiechnął się, strząsając krople z twarzy. - Chyba jesteśmy przy Circus.

Skrzyżowanie przed nimi otwierało się na duży plac. Na środku stał - zdaje się - duży posąg, ale jego zarysy przesłaniał mrowiący się tłum sprzedawców i kupujących.

- O, cholera - szepnął Joe. Przez chwilę tylko patrzyli na ruchliwy rynek. Z daszków nad straganami zwisały latarnie i lampy, a pod nimi lśniło całe mnóstwo świec, lampek oliwnych i naftowych. Ich blask unosił się nad placem, na którym było jasno jak w biały dzień.

Pomimo deszczu straganiarze handlowali zaciekle, nawoływali i wabili klientki oraz klientów, obiecując wielkie promocje i jedyne w życiu okazje.

- Tak, dokładnie - powiedział cicho Christopher i gwizdnął. Gdzieś z drugiego końca placu, zza niekończących się stosów towarów egzotycznych i powszednich, dobiegały strzępy melodii, która przypominała nieco irlandzkie piosenki ludowe, chociaż trudno było to stwierdzić wśród gwaru i zgiełku.

- Nic dziwnego, że mówią na to „cyrk”. - Fin powiódł wzrokiem wzdłuż rzędu sklepów, które otaczały plac. - Tam!

Po lewej, nad przeszklonym frontem ogromnego narożnego sklepu, wisiał wielki szyld. Purpurowe, wijące się litery na złotym tle głosiły: „Savjani”.

- Świetnie. Schowajmy się przed tym deszczem. - Joe się skrzywił. - Ma jakiś dziwny smak.

Żeby nie zabłądzić w labiryncie straganów, poszli dłuższą drogą, chodnikiem obok domów. Fin zaciskał mocno wargi, ale deszcz lał teraz strugami i trochę jednak dostało mu się do ust. Joe miał rację: krople były błotniste i ohydnie słodkawe. W ogóle nie

smakowały jak deszczówka.

- Czarny deszcz tutaj, czarny deszcz w domu - wymamrotał Christopher, składając mapę. - Ciarki mnie przechodzą, tyle wam powiem.

- Mnie też - przytaknął Fin. „I jeszcze ta czarna dziura w głowie”, o mało nie wyrwało mu się z ust, ale na czas ugryzł się w język. Tego przyjaciele nie musieli wiedzieć: przynajmniej jeszcze nie teraz. A poza tym w tej chwili dziura nie próbowała się otworzyć. - No cóż, chyba dlatego tu jesteśmy - dodał. - Ten Fowkes będzie wiedział, jak zatrzymać deszcz.

- Miejmy nadzieję - zakończył cicho Joe.

Wnętrze sklepu Savjaniego wyglądało nieco inaczej, niż Finmere się spodziewał. Zamiast półek i wieszaków z gotowymi ubraniami zobaczyli mnóstwo odzianych w różnych stylach manekinów, grubych, chudych, wysokich i niskich, w każdym możliwym rozmiarze. Stały chaotycznie rozrzucone, bez ładu i składu, a od kakofonii kolorów i wymyślnych krojów Fin aż musiał zmrzyć oczy.

- Tu chyba nie sprzedają T-shirtów - szepnął Joe. Trzymając się razem, zagłębili się ostrożnie w tłum martwych, wystrojonych figur. W końcu stanęli przed długą białą ladą, za którą siedział pulchny mężczyzna w purpurowym turbanie, idealnie dopasowanym do odcienia liter na szyldzie. Mężczyzna pochylał się nad arkuszem papieru, szkicując coś zamaszystymi ruchami ołówka.

Nagle cmoknął ze zniecierpliwieniem i gwałtownie zsunął kartkę ze stołu; wylądowała na stosie zrzuconych wcześniej papierów.

- Nie, nie, nie - mruknął pod nosem i natychmiast zaczął rysować na następnym arkuszu. Nie podniósł wzroku na trzech przybyszów ociekających wodą, która tworzyła czarną kałużę na lśniącej czystością podłodze.

- Eee, co pan robi? - zapytał Joe wyraźnie zafascynowany precyzyjnym tańcem ołówka. Upierścieniona dłoń zamarła, a turban uniósł się, odsłaniając gładką ciemną twarz ozdobioną zawadiacko podkreconymi wąsami. W samym środku starannie utrzymanej, przyciętej w szpic brody lśnił purpurowy klejnot. Mężczyzna zmrzył oczy w kolorze nieba o północy - zdziwiony najwyraźniej nie obecnością chłopców, lecz absurdalnością pytania.

- Projektuję, oczywiście. A co innego mógłbym robić? -Wzruszył okrytymi

jedwabiem ramionami. - Jestem Savjani. Projektuję. Tworzę. Zmieniam zwykłe w niepowtarzalne.

Finmere rzucił okiem na Joego i Christophera. Christopher podniósł wzrok i wyglądał na bardzo skupionego; Finmere wiedział, że w tej chwili manieryczne gesty i ton głosu Savjaniego zostają zapisane w chłonnej pamięci przyjaciela do późniejszego wykorzystania. Christopher był doskonałym parodystą: potrafił tak rozśmieszyć wszystkich w pokoju, aż błagali o litość, żeby przestał. Inaczej groziło im, że się posiąją albo dostaną trwałego skurczu twarzy.

- Przysłali nas państwo Harveyowie z Czerwonego Lwa, panie Savjani - powiedział Fin powoli, modląc się, żeby mały człowieczek słuchał przynajmniej jednym uchem. Nie było to pewne: turban Savjaniego znów pochylał się nad arkuszem papieru, a "ołówek śmigał po białej płaszczyźnie. - Mówią, że może nam pan pomóc w znalezieniu pewnego człowieka. Nazywa się Fowkes.

Ołówek znieruchomiał.

Turban uniósł się powoli.

Wydawało się, że dopiero teraz Savjani naprawdę zauważył trzech stojących przed nim nastolatków.

- Deszcz pobrudził wam ubrania. - W jego głosie wciąż brzmiał wschodni akcent, ale przesadna wymowa gdzieś zniknęła.

- To czarny deszcz - poinformował Christopher. - Po naszej stronie też taki padał.

- Obrzydliwość i tyle. - Joe strząsnął krople z ramienia. -I jest coraz gorzej.

- Po waszej stronie? - Savjani przeniósł wzrok na miecz Finmerea. - Chyba jesteście nieco za młodzi, żeby nosić taką broń.

- To nie broń. - Fin miał wrażenie, że krawiec go sprawdza, i niewykluczone że tak właśnie było. Może doszły do niego wieści, że w obu światach dzieje się coś złego. - Ttym się nie zabija ludzi.

Savjani podkręcił czubek wąsa okrągłymi wypielęgowanymi palcami; z pierścieni i bransolet posypały się skry.

- Doskonale wiem, do czego służy ten miecz. Widziałem kilka podobnych. Ale nie w ostatnich czasach. Powiedzcie mi, proszę, dlaczego trzech chłopców - spojrzał na Joego i Christophera - którzy nie należą, jak mi się zdaje, do tego świata, szuka

człowieka, który został zapomniany, nim nauczyli się chodzić na własnych nogach?

- Mamy ważne powody. - Fin starannie dobierał słowa. - Ale chyba najlepiej, żebyśmy nie mówili za dużo.

Przypomniał sobie, co powiedział pan Harvey.

- Tylko tym, co wiemy, możemy zdradzić przyjaciół.

Savjani przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, po czym zaśmiał się nagle, klaszcząc w dłonie.

- Tak, tak! Doskonale! Bardzo dobrze! O, tak... - westchnął.

- Więc pomoże nam pan znaleźć Fowkesa? - Joe pociągnął nosem.

- No cóż, chciałbym, ale sam nie widziałem go od bardzo dawna. - Savjani pokręcił głową. - To porządny człowiek. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Najlepszymi. Może takimi jak wy. Trzech prawdziwych przyjaciół.

Podmuch wiatru uchylił drzwi wejściowe. Christopher podskoczył lekko i wszyscy trzej obejrżeli się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie wszedł.

Fin z ulgą stwierdził, że poza nimi w sklepie wciąż nikogo nie ma. Wrócił wzrokiem do Savjaniego, czując, jak serce wali mu w gardle.

- Czy przychodzi panu do głowy jakiś pomysł, gdzie powinniśmy go szukać? Mamy mapę. Gdyby podał nam pan adres, moglibyśmy od czegoś zacząć. Wie pan, możliwe, że ktoś nas śledzi, a jeśli nas złapią, nim zrobimy to, po co przyszliśmy, to... no... może być jeszcze gorzej.

Savjani podniósł dłoń, żeby mu przerwać.

- Zdaje się, że czarny deszcz przechodzi w burzę. A burza nigdy nie kłamie - odezwał się cicho, patrząc za ich plecami w stronę drzwi. - Światy straciły równowagę. Niewielu ludzi potrafi do tego doprowadzić.

Znów cmoknął i pociągnął za mały dzwonek wiszący na ścianie tuż za nim. Rozległ się wesoły brzęk, któremu jak echo zawtórowały kolejne, odzywające się zza drzwi do pracowni albo do mieszkania nad sklepem.

- Nie znam jego adresu. W miejscu, w którym się schronił, ludzi nie znajduje się po adresie. A najczęściej nie znajduje się w ogóle.

- Może nam pan dać jakieś ogólne wskazówki? - zapytał Joe.

- Będziecie potrzebowali czegoś więcej. - Savjani się uśmiechnął. - I dostaniecie ode mnie coś lepszego niż mapa.

Drzwi za jego plecami otworzyły się z rozmachem i w progu stanęła dziewczyna. Podpierała się pod boki i miała zdecydowanie zirytowaną minę.

- Co? - rzuciła, ignorując całkowicie obecność chłopców. - Na dzisiaj chyba koniec z przesyłkami? Jestem w środku bardzo dobrej książki. A poza tym ten deszcz zniszczy twoje ubrania.

Oczy Savjaniego błysnęły.

- To moja córka, Mona.

Mona przeniosła wzrok na chłopaków. Włosy miała gęste, koloru dojrzałej śliwki, a oczy dokładnie takie same jak ojciec. Bez śladu skrępowania przyjrzała się Finmere'owi, potem Joemu i Christopherowi. Wszyscy trzej zaczęli przestępować z nogi na nogę. Nagle poczuli się dziwnie zakłopotani.

- Jest chyba w waszym wieku. Ma czternaście lat.

- Prawie piętnaście - dodała Mona od progu. - Pewnie jestem od nich starsza.

Fin już otwierał usta, żeby zaprzeczyć, ale zmienił zdanie. Coś w Monie Savjani przypominało mu Kayleigh Trent: bezceremonialna pewność siebie. Sądząc ze spojrzeń, jakie im rzucała, chyba nie zrobili na niej najlepszego wrażenia. Nie było sensu pogarszać sytuacji.

- Świetnie - mruknął pod nosem Joe. - Tego nam brakowało. Pyskatej dziewczuchy.

- Słyszałam. - Mona złożyła ręce na piersiach i zerknęła niecierpliwie na ojca.

Savjani się roześmiał.

- Cała matka. Uparta jak rzadko.

- A skoro mowa o mamie - Mona odrzuciła włosy za ramiona, odsłaniając duże złote koła w uszach - to chciałaby wiedzieć, kiedy zamierzasz przyjść na górę.

Złote kolczyki i bransolety nie powinny zupełnie pasować do workowatych spodni w stylu sportowym i obcisłej, zapinanej na zamek koszulki, ale - nie wiadomo w jaki sposób - wszystko razem wyglądało dobrze. Do tego Mona Savjani sprawiała wrażenie dziewczyny z charakterem, zupełnie nie przypominała tych przesłodzonych idiotek, jakie niekiedy spotykał, co Fin odnotował z dużą ulgą. Chichotki w różowych falbankach całkiem zbijały go z tropu. Jednocześnie wyglądała dziewczęco i była niewątpliwie

ładna. Jednym słowem: twardy orzech do zgryzienia.

- Chyba rzeczywiście za późno na handlowanie - skomentował Christopher.

Najwyraźniej i on był pod wrażeniem urody Mony; ale dziewczyna posłała mu tylko jadowne spojrzenie.

- O czym ty mówisz? Nie jest późno, tylko tak wygląda.
- Zmarszczyła brwi. - Głupi jesteście czy jak?
- Mona! - rzucił gniewnie Savjani. - Nasi goście nie są z Londynu. Pochodzą z

daleka. Tak daleko nigdy nie byłaś. Zachowuj się. Albo będzie kara.

Mona wcale się nie wystraszyła, ale jednak umilkła.

Krawiec machnął rękami.

- Tutaj czas robi dziwne sztuczki. Przez ostatnie dwa tygodnie budziliśmy się i od razu było popołudnie. Popołudnie, wieczór, noc i znowu popołudnie. Nie było poranka.

- Co? - Joe otworzył szeroko oczy. - Nie było poranka? Ale to niemożliwe. To znaczy... przecież jest słońce, księżyc i tak dalej. Więc to nie może tak działać. Nie da się po prostu przeskoczyć poranka... Prawda?

- Może nasze poranki są teraz gdzie indziej. - Savjani się uśmiechnął. - Na pewno wrócą do nas, gdy będą gotowe.

- Takie rzeczy często się tutaj dzieją? - chciał wiedzieć Christopher.

- Na tyle często, żeby się tym nie przejmować.

- Inaczej niż tym deszczem. - Mona podeszła do ojca. Podobnie jak on była drobna, ale nie odziedziczyła po nim krągłych kształtów. - Wszędzie o tym gadają.

Savjani z dumą objął córkę ramieniem.

- Moja Mona jest inna niż wszystkie dzieci. Dzięki niej cała rodzina się wzbogaciła. Jest jedna na tysiąc. - Pochylił się ku chłopcom. - Miasto w ogóle na nią nie wpływa. Idzie sobie, dokąd chce, i wcale się nie męczy ani nie boli jej głowa. Jak szczur w kanałach!

Zachichotał.

- Tato!

- Ależ to prawda, córko! - Odwrócił się do chłopców. - Kiedy była mała, doprowadzała wszystkich do szaleństwa, bo stale gdzieś biegała. Ale teraz? Teraz mogę zagwarantować moim klientom z północnej części miasta dostawę zamówienia, i to w

najtańszej cenie! Nie muszę utrzymywać całej sieci posłańców w każdym miastku ani bać się, że nie dostarczą moich ubrań, bo będą woleli je ukraść! Dzięki niej powodzi mi się najlepiej ze wszystkich krawców w całym Londynie.

Mona popatrzyła na ojca wzrokiem pełnym dumy.

- Moim zdaniem to zasługa twojego talentu, tato. A nie moich nóg. - Uśmiechnęli się do siebie ciepło. Fin uświadomił sobie, że ani on, ani Christopher czy Joe nigdy nie doświadczyli chwili takiego porozumienia. Ojciec Joego dawno odszedł, Finmere nie znał swojego, a co do Christophera i pana Arnold-Ma-thera, pamiętał niezręczny uścisk dłoni, jakim się pożegnali.

Mona przytuliła się do ojca.

- No, to co mam zrobić?

- Chcę, żebyś zaprowadziła naszych gości w jedno miejsce. - Savjani pogładził włosy córki. - I masz być bardzo ostrożna.

- Dokąd muszą iść?

- Do Kanciarzy.

Oczy Mony błysnęły szelmowsko. Jej ojciec westchnął ciężko.

- Wiedziałem, że to ci się spodoba. Jak dorośniesz, z twoimi nogami i twoją odwagą będziesz doskonałą Przewoźniczką.

Mona zmarszczyła nos, ale Fin widział, że jest dumna z pochwały.

- Akurat mi się uśmiecha całe życie taplać w cuchnącej mgle. Fuj. - Przeniosła spojrzenie na przybyszów. - A czego właściwie szukacie u Kanciarzy?

Po raz pierwszy patrzyła na chłopców z lekkim zaciekawieniem, jakby mimo wszystko mogli się jednak okazać interesujący.

Szczupła twarz pana Harveya nabrzmiała od siniaków. Złany potem właściciel pubu osunął się bezwładnie na krzesło i ciężko dyszał. Conrad przysiadł naprzeciwko. Dlaczego ludzie są tacy uparci? Dlaczego nie mogą po prostu odpowiadać na pytania? Zwykli ludzie wcale nie muszą przechodzić przez coś takiego. Nie są przecież wmieszani. I tak powinno zostać.

- Potrzebuję tylko kilku prostych odpowiedzi. Po co ci chłopcy tu przyszli? Szukają czegoś? I najważniejsze: gdzie są teraz?

Pan Harvey z trudem uniósł opuchniętą czerwoną powiekę.

- Nic nie wiem. Powiedziałem im, żeby nic mi nie mówili. Wiedziałem, że tu przyjdziecie.

Conrad przyglądał mu się badawczo. Mógłby uwierzyć w słowa tego człowieka, który okazał się o wiele twardszy, niż się z pozoru wydawał.

- Musieli cię o coś pytać - zaczynał się niecierpliwić. Jeśli zostaną tutaj jeszcze dłużej, chłopcy się wymkną, a wtedy St John wypruje mu jelita i zrobi z nich szelki. A co więcej, będzie zawiedziony. Komandor był dla Conrada jak rodzina: nie miał nikogo bliższego. Na myśl o St Johnie Alexandrze Goldenie Conrad zawsze odczuwał skomplikowaną mieszankę miłości, podziwu i sporej dawki strachu.

Pochylił się nad panem Harveyem.

- Musisz mi to powiedzieć - wysyczał z gniewem i odwrócił się do Archera. - Przyrowadź żonę.

Patrzył zimno na zmasakrowaną twarz Alberta Harveya i nawet nie podniósł oczu, kiedy jego ludzie wciągnęli do baru Idę Harvey. Gdy zobaczyła męża, jej oburzone protesty przeszły w szloch.

Albert spojrział na żonę, a potem na Conrada. Rycerz wiedział, że nie musi mówić nic więcej. Albert Harvey zrozumiał. I Ida Harvey też.

- Albercie, nie waz się...

Przerwała w pół zdania, kiedy dłoń Archera zasłoniła jej usta.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek tego dożyję. - Głos skatowanego Alberta Harveya wciąż brzmiał pewnie. - Dzielni i szlachetni Rycerze Nigdzieświata grożą kobiecie.

Ostrożnie przesunął językiem po pękniętej wardze.

- Powinniście się wstydzić.

- Czasami cel uświęca środki. Potrafię z tym żyć. - Conrad nawet nie drgnął.

- Savjani - szepnął niemal niesłyszalnie Albert Harvey. - Chcieli iść do Savjaniego.

W korytarzu na trzecim piętrze Domu Telluriów Ted Merryweather podniósł stojący w niszy wazon i modlił się: niech tylko się uda. Ale nic się nie zdarzyło. Westchnął. Tak naprawdę spodziewał się tego. Pokoju tam nie było. Przeważnie go nie było. Prawdę mówiąc, Ted odwiedził go tylko raz w życiu, jako mały chłopiec pod koniec Wielkiej Wojny. Jego tata pocałował mamę na do widzenia, zostawił puszkę na tytoń na półce nad kominkiem, wyszedł i nigdy nie wrócił. Wtedy w pewnym sensie mu to pomogło -

dowiedział się, ile jest jeszcze do zobaczenia, przekonał się, że we wszechświecie istnieje prawdziwa magia i że czasem warto o nią walczyć i dla niej umrzeć. Było to dawno temu, ale miał nadzieję, że ten pokój znów mu pomoże. Że da mu trochę siły. Naprawdę będzie jej potrzebował.

Mięśnie karku i ramion miał napięte jak stalowe druty. Marzył o jednym: żeby zza rogu białego, cichego korytarza wyszedł teraz sędzia Harlequin Brown i skarcił go za te głupie mrzonki. Tęsknił za przyjacielem, ale także go potrzebował. Potrzebowali teraz przywódcy. Stary niezgrabny Ted nie nadawał się do tej roli - i dzisiaj ta świadomość była szczególnie bolesna.

W korytarzu, kuśtykając ciężko o lasce, pojawił się Freddie Wise.

- Tu jesteś, Ted. Co robisz w naszej kostnicy? - Czułym wzrokiem omiółł niszę. - Ach, tak. Podejrzewam, że pokoju nie ma?

Ted pokręcił głową.

- I nie nazywaj sypialni kostnicą. Oni nie są martwi, Freddie.
- Nie, nie są. - Głos Freddiego był suchy jak zimowy chrust. - Ale równie dobrze mogliby nie żyć.

Podniósł rękę z wysoką, wąską puszką.

- Co za obrzydlistwo dałeś nam do picia?

Chociaż serce ciążyło mu w piersi, Ted się uśmiechnął.

- Podobno dodaje skrzydeł.

Freddie pociągnął długi łyk naładowanego kofeiną napoju i się skrzywił.

- Smakuje paskudnie, prawie jak guma do żucia. Ale działa. Już mnie otrzeźwiło.
- Dobrze. Pij dalej. A jak inni?

Freddie oparł się o ścianę i wzruszył ramionami.

- Są młodszy niż my.

Ted się zaśmiał.

- Ty wcale nie jesteś taki stary, Freddie Wise. Ile masz lat, czterdzieści pięć?
- Pięćdziesiąt. Dość dużo. I dosyć, żeby zmądrzeć - zawiesił głos. - Harper Jones i Cardrew Cutler robią wszystko, żeby jak najwięcej z nas było na chodzie. Lukas Blake pracuje nad strategią walki.

Pokręcił głową.

- Walka starych Rycerzy przeciwko młodym. Kto by się spodziewał? - Uśmiechnął się lekko.

Przez chwilę stali w milczeniu; obaj myśleli o tym, co już się zdarzyło, i o tym, co ich jeszcze czeka. Freddie odezwał się pierwszy.

- Dobra robota, Ted - powiedział rzeczowo. - Harlequin byłby z ciebie dumny.

Westchnął. Przez chwilę znowu zawisła między nimi cisza.

- W każdej prognozie pogody mówią o czarnym deszczu. Na razie pada tylko w Londynie. Uważają, że to ma coś wspólnego z zanieczyszczeniami... - zawiesił głos, spojrzał na Teda i mówił dalej szeptem: - Zdarzyły się już pierwsze incydenty. Wczoraj w nocy kierownik schroniska dla bezdomnych wziął siekierę i zarąbał czworo biedaków. Mówili o tym w wiadomościach. Nie wie, dlaczego to zrobił. Kilkoro ludzi twierdzi, że widzieli szczeliny w niebie. Na razie wszyscy uznali, że to jacyś nawiedzeni fani UFO. Na szczęście w Londynie roi się od wariatów. Nauczyliśmy się nie traktować ich poważnie.

Ted patrzył na białą ścianę. Nie musieli mówić głośno, czego się boją. Obaj wiedzieli, że jeśli na Gdzieświat spadnie szaleństwo czarnej burzy, może to oznaczać koniec cywilizacji. Za wiele było w tym świecie gniewu i zagrożeń: bomb atomowych, broni biologicznej, nie mówiąc nawet o raketach, czołgach, granatach, karabinach i nożach. A jeśli w ludziach wybuchną wściekłość i nienawiść... Dzisiaj padało tylko w Londynie, lecz kiedy deszcz zmieni się w burzę, Bóg jeden wie, jak wielkie obszary może objąć. Nawet w tamtych ciężkich czasach, kilkanaście lat temu, czarny deszcz nie przedostał się do Gdzieświata.

Pomyślał o młodym Finmerze i jego dwóch przyjaciółach. Nie zdążył ich porządnie przygotować na to, z czym - być może - przyjdzie im się zmierzyć. Powinien był zrobić coś więcej, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Nawet w tak krótkim czasie.

Zacisnął szczęki.

- Golden przyśle ludzi, żeby nas załatwili. A my będziemy bezbronni.

Freddie skinął głową.

- Prawda. Ale to nieważne. Ważne, że stanienjy i będziemy walczyć. - Pociągnął jeszcze haust napoju. - Kto wie, może nasz młody Finmere Tingewick Smith i Fowkes wymyślą coś razem.

Klepnął Teda w plecy; rzadko zdarzały mu się przebłyśki tak dobrego humoru.

- Nie takie cuda się już zdarzały.

Gogusiowaty mężczyzna w purpurowym turbanie nie przypadł Conradowi do gustu. Szczególnie nie spodobało mu się, że ledwie podniósł głowę znad swoich szkiców, kiedy Rycerz wszedł do jego sklepu.

- Trzech młodzieńców, mówisz? Chłopców? - mamrotał długo Savjani. W końcu pokręcił głową, zgniótł arkusz i rzucił go na podłogę.

- Tak właśnie powiedziałem. - Conrad wziął głęboki oddech, żeby opanować narastający gniew. -1 to już trzeci raz.

Za jego plecami Maxwell i Archer przechadzali się między rzędami manekinów, ale Conrad nie miał złudzeń. Ich groźne miny nie zrobiły na małym grubym krawcu najmniejszego wrażenia.

- Przychodzimy na polecenie Księcia Regenta - powtórzył głośno. Niemal sam zaczynał już w to wierzyć.

- Trzech chłopców. - Krawiec podniósł wreszcie wzrok i chwycił w palce czubek wąsa. - Tak, widziałem trzech chłopców. Przyszli, zapytali o pracę, odesłałem ich.

Wypracowanym gestem wzruszył ramionami, aż zadzwoniły wszystkie naszyjniki.

- Dużo chłopaków pyta o robotę. Codziennie pięciu albo nawet sześciu.

- Pytali o pracę? - Conrad wbił wzrok w okrągłą twarz. Oczywiście nie uwierzył. Coś w tym szczerym spojrzeniu mówiło mu, że Savjani łąze w żywe oczy. - Nie, ci chłopcy nie pytali o pracę.

- Więc może to nie ich szukasz.

Conrad oparł się o ladę, starannie umieszczając mokry od deszczu rękaw płaszcza na stosie rysunków.

- Jeden z nich miał miecz, taki jak ja.

- Miecza sobie nie przypominam. W ogóle ich sobie nie przypominam. Nie zwracałem na nich uwagi. Właśnie tworzę coś wyjątkowego dla najważniejszego z moich klientów.

- Kłamiesz - warknął Conrad, zgrzytając zębami. - Widziałeś tych chłopców. Doskonale wiesz, o kogo mi chodzi. Słuchaj no...

- ...mówisz, że jesteś tu na polecenie Regenta? - Savjani strzepnął z kosztownego

papieru krople czarnej wody. - Cóż, jutro będę się z nim widział. Osobiście doręczam mu nowy surdut.

Machnął pulchnym palcem w stronę lśniąco białego stroju na jednym ze stojących najbliżej manekinów. Na głowie figury wznosiła się komicznie wysoka, mocno upudrowana peruka. Savjani się uśmiechnął.

- To jeden z moich najlepszych klientów. Można powiedzieć, że jesteśmy niemal przyjaciółmi. Jeśli przypomnę sobie coś, czego teraz nie pamiętam, powiem mu to sam.

Conrad przełknął gniew. Doskonale zrozumiał subtelną sugestię. Savjani jest protegowanym Księcia Regenta. Conrad siłą wycisnął informacje ze zwykłego właściciela pubu, ale nie może zadzierać z jednym z najbardziej wpływowych przedsiębiorców w Londynie. Savjani coś wiedział - to pewne - ale nic nie uda się z niego wydobyć.

- Koniecznie. - Zmarszczył brwi. - I pamiętaj, mój mały krawcze, że czasami władcy szybko się zmieniają.

- To prawda - zgodził się Savjani. Już się nie uśmiechał. - Choć nie tak szybko, jak się niektórym wydaje.

Conrad nie miał czasu ani ochoty wdawać się w słowną przepychankę z tym irytującym człowieczkiem. Odwrócił się gwałtownie i wybiegł w mokrą ciemność, zastanawiając się, co na to wszystko powie St John Golden.

Stojąc na środku zrujnowanego mieszkania Opowiadacz-ki, komandor z furią wypluwał przekleństwa, coraz szybciej i gwałtowniej, aż zaczął się dławić bełkotliwą falą słów zmieszanych ze śliną. Wreszcie umilkł i dysząc, odzyskiwał oddech. Żyła na skroni pulsowała mu szaleńczo.

To nie tak miało być. Historie powinny już być jego. Ten świat powinien do niego należeć. Mroczny Wiek powinien nadejść, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało.

Zamiast tego mógł tylko miotać się po jej pokojach jak obłąkany, niszcząc wszystko, co do niej należało, i nie próbując nawet szukać. Archiwiści krążyli spokojnie po budynku Old Bailey, nieświadomi, jaka wściekłość szaleje tuż nad ich głowami.

Przepadła, zniknęła w głębinach więzienia i nigdy nie wróci.

A on nic nie znalazł. Nie wiedział nawet, czego szuka. Pierwszy raz słyszał, żeby

Opowiadaczka i jej historie zostały rozdzielone. Według jego wiedzy Opowiadaczka nosi historie w sobie, póki nie staną się dla niej zbyt wielkim ciężarem, i wtedy przekazuje je następczyni. Jeśli Odwieczne Historie nie są już w Opowiadaczce, to gdzie mogą być?

Ostry sztylet bólu wbił mu się w mózg tuż za lewym okiem. St John opadł ciężko na brzeg łóżka i opuścił ramiona. O Boże, ależ tęsknił za porządnym porankiem. Rano najlepiej mu się myślało. Kiedy budził się i widział słońce wysoko na niebie, miał wrażenie, że zabrano mu coś ważnego, a nie chciał tego czuć. Zwłaszcza teraz.

Wyjrzał przez okno, w gęstą noc. Deszcz bębnił w szybę zwieńczonego łukiem okna. Czy był poranek, czy popołudnie, nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie zobaczą słońce. Nadciągała czarna burza - chyba że St Johnowi uda się ją powstrzymać. Zadrżał. Mimo całej swojej brawury pamiętał, że z czarną burzą przychodzi szaleństwo; słyszał historie o ostatnim zbiorowym obłędzie po śmierci Baxtera. Podczas czarnej burzy wszystko może się zdarzyć.

Na kręconych schodach zadudniły ciężkie kroki; wyczułone ucho komandora odróżniło w ich rytmie brzęk, jaki wydaje okryty pochwą miecz, uderzając o ludzką nogę.

- Tu jestem, Conradzie - odezwał się zmęczonym głosem. Zaczekał, aż młody Rycerz stanie przed nim. - A więc? Znalazłeś ich?

Conrad Eyre nie zwrócił uwagi na rozrzucone i porozbijane przedmioty. Przygryzł wargę.

- Byli w pubie Czerwony Lew, a stamtąd poszli do Savjaniego, przy Circus. - Zatrzymał się, żeby strząsnąć z płaszcza kilka ciemnych kropel.

Siedząc wśród zniszczonej własności Opowiadaczki, St John poczuł zapach deszczu: nieco podobny do odoru rzeki, ale gorszy: błotnisty i obrzydliwie słodki, z nutą zgnilizny.

- Savjani nie chciał powiedzieć, dokąd poszli. Nie mogłem go zmusić w żaden sposób. Zasugerował mi bardzo wyraźnie, że jest przyjacielem Księcia Regenta - dokończył Conrad.

Umysł St Johna wypchnął na powierzchnię wspomnienia dawnych czasów. Lewa stopa Rycerza kilkakrotnie uderzyła w dywan. Savjani... dlaczego chłopak, którego Harlequin tak chronił, poszedł do Savjaniego? Imię krawca kojarzyło się z czymś ważnym. Ktoś miał z nim coś wspólnego... ktoś...

- Fowkes! - Nazwisko wyskoczyło nagle z ust St Johna, przerywając bieg jego myśli. - Szukają Fowkesa.

- Kogo? - zapytał zaskoczony Conrad. Oślepiiony gniewem St John ledwie go widział. Jak mógł zapomnieć o Fowke-sie?! Poczł, że krew zalewa mu twarz, i spróbował się opanować. Conrad nie powinien widzieć, jak jego zwierzchnik traci nad sobą kontrolę. Dosyć już tego.

- Fowkes był Rycerzem, zanim wstąpił do Zakonu. Był najlepszym przyjacielem Baxtera.

- Baxtera? - szepnął Conrad. - Czy to nie ten...?

St John uśmiechnął się posepnie.

- Zginął tutaj, w tym budynku, u podnóża schodów. Zamordował go rozjuszony tłum. Baxter popełnił straszliwy grzech: zakochał się w Opowiadaczce. Przekroczył granicę. - Spojrzał na Conrada. - Chociaż Opowiadaczka oznajmiła w Domu Prawd Rzeczywistych, że nigdy jej nie tknął.

- O Jezu.

- Tak. - St John uniósł brew. - Biedny Baxter nie miał szczęścia. A cała ta sprawa o mało nie doprowadziła do rozwiązania Zakonu. Savjani uwielbiał ich obu, Baxtera i Fowkesa. Na pewno dlatego chłopcy do niego poszli. Szukają Fowkesa.

- Nigdy o nim nie słyzałem.

- Wszyscy pamiętają Baxtera, ale zapomnieliśmy o Fow-kesie. Zabawne. Był dobrym Rycerzem. Gdyby nie zniknął, mógłby rywalizować ze mną o godność komandora.

St John uśmiechnął się niemal tęsknie. Kiedy zniknął Fowkes, Conrad był chłopcem. Fowkes i Baxter należeli do innego gatunku Rycerzy. Uśmiech na ustach St Johna stwardniał. I dlatego on i jego ludzie wygraą. Ich gatunek jest silniejszy.

- Kanciarze - powiedział nagle. Jego oczy znów miały kolor stalowego ostrza. - Stawiam wszystkie pieniądze, że jest u Kanciarzy. Kiedy go znajdziesz, zabij.

Zawiesił głos.

- I zabij tych cholernych gówniarzy. Chcę to wreszcie załatwić.

Conrad zniknął równie nagle, jak się pojawił, zostawiając St Johna samego w całym oceanie bieli. Fowkes. Powinien był od razu o nim pomyśleć. Wyciągnął z kieszeni

wytłaczaną srebrną papierośnicę, wydobyl francuskiego papierosa i zapalił.

Wdychał głęboko dym i patrzył na srebrną kasetkę. Wpadła przez cięcie między światami, jakie wykonał przed tygodniem. Zapomniał oddać ją swojemu nieuchwytnemu partnerowi z Gdzieświata. Co powie, kiedy usłyszy, że ich plany się załamały? St John zerknął jeszcze raz na kosztowną papierośnicę z wizerunkiem orła na wierzchu i rzucił ją na podłogę. Wylądowała wśród pogniecionej pościeli, którą zdarł wcześniej z łóżka. Z miejsca poczuł się lepiej, jakby zrzucił z serca przynajmniej jeden mały ciężar.

Od mdłego dymu zakręciło mu się w głowie, a płuca zaczęły palić. Powinien rzucić palenie. Palenie to oznaka słabości; jawny dowód, że St John jest zestresowany. Ale siedząc tutaj, wśród chaosu, który przypominał, że być może nie wszystko zaplanował tak doskonale, co mogło sugerować, że to jednak nie on jest mrocznym mężem, przyszłym władcą Mrocznego Wieku, St John nie mógł się jakoś zmusić, żeby zgasić papierosa.

Mona poprowadziła ich do katedry Świętego Pawła inną drogą, przez Embankment, a potem ciemną ulicą wzdłuż rzeki. Chociaż deszcz padał nieprzerwanie, cuchnący opar wspinał się na nabrzeże i wyciągał długie macki, które wydawały się szukać żywego ciała, żeby je owinać, uchwycić i spętać. W gęstej, ohydnej masie mgły niemal słyszało się obłąkany śmiech i zawroźnienie.

- Śmierdzi obrzydliwie - szepnął Fin, sam nie wiedząc, dlaczego ścisza głos; w pobliżu nikogo nie było. Nadrzeczne okolice zionęły pustką.

- Powinniśmy nałapać trochę do butelki - odezwał się w atramentowym mroku za plecami Fina głos Joego. - Można by zabrać do Eastfields i sprzedać ósmakom. Nasze smrodo-bomby mogą się schować.

- Podobno kiedy Przewoźnicy wracają z rzeki, muszą się myć cały dzień. - Mona kroczyła na czele niewielkiej grupki jak dumna hinduska księżniczka. - Czasem nawet palą ubrania, tak cuchnie ta mgła. Ludzie aż uciekają, gdy tylko poczną ten zapach. A poza tym od mgły można oszaleć. Wszyscy wolą trzymać się jak najdalej od rzeki.

Chłopcy odsunęli się od obmurowanego nabrzeża.

- To co my tu, do licha, robimy? - mruknął Christopher.
- Staramy się nie wpaść na tych ludzi, którzy was śledzą. Nikt nie chodzi

bulwarami, chyba że naprawę musi. - Mona uśmiechnęła się do niego.

Fin przyglądał się w ponurej zadumie, jak Christopher odpowiada jej szerokim uśmiechem. Było ciemno, ale przysięgłby, że przyjaciel się rumieni. Popatrzył sobie jeszcze chwilę, po czym odwrócił się ku przerażającej, fascynującej rzece. Czasami czuł się niezręcznie w obecności dziewczyn - to niezaprzeczalny fakt - ale przyzwyczyił się do nich podczas lat nauki w Easfields. Niestety, w St Martin's nie było dziewczyn.

Zachowanie Christophera w towarzystwie Mony przypominało Finowi, co się działo w dziewiątej klasie, kiedy różnice między dziewczynami a chłopakami zaczęły się robić naprawdę widoczne. Fin pamiętał, jak większość chłopaków zalewała się krwawym rumieńcem, kiedy taka na przykład Sophie Becks siedziała przy nich o chwilę za długo.

- Już prawie doszliśmy. - Mona przeniosła wzrok na drogę i Finmere nieco odetchnął. Będzie ciężko, jeśli Christopher zmieni się teraz w nieprzytomną z miłości kukielkę. - Tędy jest szybciej.

Idąc za nią, oddalili się od rzeki i zapuścili w labirynt ulic i uliczek. Zalana deszczem ziemia zamieniła się w błoto, a chodniki zniknęły. Gdzieś z krzywego okna zwisała lampka oliwna, dzieciaki w łachmanach siedziały na schodkach przed domami, próbując schować się choć trochę przed deszczem, i gapiły się na przechodzącą czwórkę nastolatków. Większość dzieci miała stopy okręcone szmatami, a matowe włosy dziewczynek, najwyraźniej rzadko czesane, zwisały w kołtuniastych strąkach. Z wnętrza jednej z ruder dobiegł gniewny kobiecy głos, krzyczący coś o „złodziejskim bachorze”, a zaraz potem głośny wrzask.

- To jakieś getto czy co? - Joe trzymał się blisko Fina.
- To Biedota - wyjaśniła Mona. - Stąd tylko krok do Kanciarzy. Pilnujcie się, jeśli macie coś cennego. I nie wyglądajcie na przestraszonych!

Finmere pomyślał, że to najlepsze, co można komuś powiedzieć, jeśli się chce, żeby zaczął wyglądać na przestraszonego, ale zachował to dla siebie.

- Spoko - stwierdził Joe. - Po prostu idziemy przez dziel-nię. Patrzcie na mistrza.

Wyprostował się i ruszył miękkim, rozkołysanym krokiem członka ulicznego gangu. Fina zawsze to nieco śmieszyło, ale musiał przyznać, że Joe naprawdę nie wygląda na

przestraszonego. A to już było coś.

Christopher nie naśladował ruchów Joego, za to podniósł wysoko głowę i patrzył wprost przed siebie.

- Może nie jestem z dzielni, ale każdy czasem musi być twardy - mruknął. - Tylko trochę inaczej.

Finmere, idąc między przyjaciółmi, chwycił rękojeść miecza i sprawdził, czy pieniądze, które dał im Ted, nadal leżą bezpiecznie w kieszeni. Jeśli chodzi o granie twardziela, zostawiał to tamtej trójce - robili to znacznie lepiej, niż on mógł marzyć.

- To tutaj - powiedziała Mona, kiedy skręcili za róg. Finmere się rozejrzył. Ulicę przed nimi przegradzała ściana ze zbitych dość niechlujnie kawałków drewna, sięgająca Christopherowi do czubka głowy. Tu i ówdzie ziały w niej dziury, przez które mógłby przejść kot lub pies, a pośrodku widniała półotwarta furtka. Za parkanem wznosiło się kilka dużych kamienic, a za nimi prawdopodobnie znajdowały się kolejne, chociaż nie sposób było tego stwierdzić. Budynki stały tak ciasno, że bez trudu można by przechodzić między nimi przez okna.

- Mam coś z oczami czy ten dom przechyla się w lewo? -zapytał Christopher zaskoczony.

- Pewnie tak. Te budynki powinny być wyburzone, ale Książę nie może tego nakazać, jeśli w środku są ludzie. Nawet jeśli to tylko mieszkańcy Kanciarzy.

- Zaraz, o co chodzi? - chciał wiedzieć Joe. - Ludzie nie zawsze mogą poradzić coś na to, że są biedni.

- Pewnie, że nie. Ale w Kanciarzach nie mieszkają biedacy, no nie? - Głos Mony brzmiał rzeczowo, jakby mówiła o czymś, co wszyscy wiedzą. - W Kanciarzach mieszkają kanciarze. No i oczywiście złodzieje i mordercy. I kobiety lekkich obyczajów.

Fin przeczytał słowa, wycięte nierówno w poprzek parkanu: „Azyl Nędzarzy, Sanktuarium Bezprawia”. Tutaj mieli znaleźć pomoc? Chwycił mocniej miecz, aż złoty pierścień uderzył o złotą rękojeść, i pomyślał o Tedzie, pani Baker, Harveyach i Savjanim. Przecież nie mogli wszyscy pomylić się co do Fowkesa, prawda? A poza tym, czy ktoś może aż tak bardzo się zmienić w ciągu siedemnastu lat?

Wciąż nie czuł się przekonany. Siedemnaście lat to cholernie długo: o rok dłużej niż on sam żył. Westchnął ciężko.

- Idźcie za mną. - Mona zniknęła w wąskiej szczelinie uchylonej furtki. Po drugiej stronie parkanu, pod płóciennym daszkiem, huczało wielkie ognisko. Mimo deszczu, którego strugi zmieniły noc w mętne, posępne bajoro, płomienie wspinały się wysoko, wyrzucając pęki iskier. Przy ogniu siedziało dwóch mężczyzn; grzebali w jutowych workach i oglądali jakieś metalowe, połyskujące w mroku przedmioty. Jeden podniósł głowę. Twarz miał brudną i pokrytą bliznami.

- Ej, wy! - Wymierzył w nich brudny paluch. - Czego tu szukacie, do cholery?

Drugi z mężczyzn także wbił w nich wzrok. Przypominali dwa rottweilery: dzikie, rozjuszone i gotowe do skoku.

- Szukam Jacka Ditcha. - Mona wytarła nos grzbietem dłoni. Żaden z chłopców nie zauważył, kiedy zdjęła wszystkie swoje klejnoty. Nadal była ładna, ale wyglądała jak zwykła dziewczyna. - Mam dla niego fanty.

Jej akcent też się zmienił. Teraz mówiła cockneyem, prawdziwą londyńską gwarą.

Pierwszy mężczyzna prychnął.

- Jack i jego cholerne bachory. Tam jest, u Mary. - Machnął ręką gdzieś za plecami. - Cztery przecznice w lewo, po drugiej stronie ulicy, drugie piętro. A powiedzcie mu, że jak następnym razem zobaczę jego pieprzone dzieciaki w tej dzielnicy, poderżnę im gardziółka. Do Kanciarzy nie przychodzi się w gości.

Kiwnął głową w kierunku Mony.

- Słyszałaś? Powiedz mu, co powiedział Stary Ringrose.

Mona uśmiechnęła się do niego, a po chwili śniady mężczyzna wybuchł ochryplym śmiechem.

- Powiesz mu, na pewno powiesz.

Mona przemknęła obok nich, a chłopcy ruszyli biegiem, żeby dotrzymać jej kroku.

Z walących się domów, które mijali, płynęła ogłuszająca kakofonia dźwięków.

Oszołomiony Fin słuchał, jak płacze dziecko, nad którego głową toczy się wrzaskliwa partia kart; dalej, nad wysypaną popiołem ścieżką, która tutaj pełniła funkcję ulicy, z okna na trzecim piętrze zwiślała kobieta, wyrzucając z siebie belkotliwą, pozbawioną melodii piosenkę. Kiedy ze środka wyłoniły się jakieś ręce i wciągnęły ją do pokoju, zniknęła z piskiem i śmiechem. Wszędzie dokoła jazgotały, charczały i ryczały ludzkie głosy.

Chłopak poczuł się całkiem zagubiony. Znajdowali się w londyńskich slumsach z jakiejś nieokreślonej przeszłości; czytał, co prawda, o takich rzeczach na lekcjach historii i widział w telewizji filmy na podstawie powieści Dickensa, ale nigdy nie wyobrażał sobie, że gdzieś może być aż tak brudno, niebezpiecznie, żałośnie...

Sam nie wiedział, czego się właściwie spodziewał.

Policzył budynki i wskazał na drzwi z nierównych desek.

- Drugie piętro, tak? - Z trudem pchnął drzwi zapierające się o spaczoną futrynę. Mona weszła do środka. W budynku śmierdziało alkoholem, starym potem, łożowymi świecami i milionem innych rzeczy, których zapachu nos Fina nie był w stanie odróżnić. Ale przynajmniej byli pod dachem, a nie włożyli się w cuchnącym deszczu.

Joe trącił go łokciem i pokazał coś palcem. W ciemnym rogu korytarza całowali się mężczyzna i kobieta, oboje dobrze ponad czterdzistkę. Nie zwracali uwagi na przybyszy. Sukienka kobiety była szeroko rozchylna na górze, a mężczyzna pieścił wylewające się z dekoltu, ciężkie piersi.

- Jak to w Kanciarzach - szepnęła Mona, widząc, że chłopcy wymieniają zaszokowane i zawstydzone spojrzenia. - Przyzwyczajajcie się.

Ruszyła w górę schodami.

Jeśli na parterze było im gorąco, u Mary natychmiast poczuli się jak w rozpalonym piecu. Drzwi z korytarza prowadziły do dużego pomieszczenia z byle jak zbitym barem w rogu. Ogień buzował w wielkim kominku, zajmującym niemal całą ścianę, a przy każdym z kilku upchniętych ciasno drewnianych stołów siedziało pięciu albo sześciu ludzi. W wąskich przejściach między stołami również stali albo kucali klienci. Wszyscy gadali bez ustanku, podczas gdy kobiety w wydekoltowanych sukienkach sprawnie przeciskały się przez tłum, donosząc metalowe kufle - prawdopodobnie pełne miejscowego piwa.

Za barem tłusta kobieta z górą rozczochranych rudych loków i wysmarowanymi szminką ustami rechotała wraz z grupką otaczających ją mężczyzn, chociaż jej czujne oczy nieustannie omiatały całą salę. Fin natychmiast domyślił się, że to musi być Mary.

- Zaczekajcie. - Mona wspięła się na palce i zaczęła rozglądać. - Znajdę Jacka i podpytam, gdzie jest ten cały Fowkes. Jack wie o wszystkim, co dzieje się w Kanciarzach.

Fina kusiło, żeby zapytać, skąd taka dziewczyna jak ona zna kogoś takiego jak Jack, ale nagle uświadomił sobie, że cokolwiek Mona odpowie, niewiele już go zdziwi. Patrzył, jak znika w zbitym tłumie. Wszyscy trzej usunęli się na bok i oparli o filar, próbując nie rzucać się w oczy. Co trzeźwiejsi z klientów już posyłali w ich stronę dziwne i bynajmniej nie życzliwe spojrzenia. Kilka stolików dalej zobaczyli, jak Mona przysiadła obok łysego mężczyzny z rozplatanym uchem. Jack Ditch - Fin uznał, że to na pewno on - ubrany był w jakiś rodzaj mundur. Finmere dostrzegł krótki błysk, Jack pochylił się do Mony i szepnął jej coś do ucha, po czym poklepał ją po plecach i odwrócił się z kuflem do towarzyszy o równie przerażającym wyglądzie.

Mona podbiegła do nich z promiennym uśmiechem.

- To było łatwe!

Kiedy ruszyli do wyjścia, Fin złapał ją za ramię.

- Dałaś mu coś ze swojej biżuterii?

- Tylko bransoletkę. - Mona wzruszyła ramionami. - Nic za darmo. Zwłaszcza tutaj.

Finmere poczuł się kiepsko. Bransolety i naszyjniki Mony wyglądały na kosztowne.

- Ale ja mam trochę pieniędzy. Mogłaś je wziąć.

- Jack myśli, że ukradłam tę bransoletkę. Gdybym dała mu pieniądze, chciałby wiedzieć, skąd je mam, i zacząłby zadawać za dużo pytań. - Zerknęła za siebie. - A tak pewnie już zapomniał, że tu byliśmy.

Zanurzyła się w tłum i zaczęła przeciskać do drzwi.

- W takim razie weź pieniądze. Tak będzie w porządku. - Fin zaczął grzebać w kieszeni, ale Mona chwyciła go za rękę.

- Nie wygłupiaj się. Ojciec by mnie zabił. Jeśli mówisz, że komuś pomożesz, to pomagasz. Koszty nieważne, to sprawa honorowa. I nigdy nie wyciągaj pieniędzy w takim miejscu, bo kłopoty gotowe!

Wyszli na nieco tylko chłodniejszy korytarz i czekali na Joego i Christophera.

- Czy twój tata wie, że znasz takich ludzi jak Jack Ditch?

- Pewnie, że nie. - Mona uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Ale czego nie widzi, to go nie martwi, prawda? To znaczy: jaki pożytek z tego, że jestem w stanie ęhodzić po całym mieście, jeśli nie mogłabym tego wykorzystać? Myślisz, że doręczam paczki tylko

dla taty? To żadna zabawa!

Puściła do Fina oko i położyła palec na ustach. Joe i Christopher stanęli obok nich.

- To gdzie jest Fowkes? - Mimo wszystko Fin czuł się okropnie przez to zamieszanie z bransoletką. Kupi Monie nową, jak tylko będzie mógł. To sprawa honorowa.

- Niedaleko, o dwa domy stąd. Na ostatnim piętrze jest szulernia. Fowkes jest wysoki i ma ciemne włosy. Ditch mówi, że dopiero co chciał stawiać, więc pewnie jeszcze tam siedzi.

Christopher obejrzał się na rozchwiane schody.

- Na ostatnim piętrze, mówisz? Jeśli tamten dom jest w takim stanie jak ten, to przynajmniej nie zginiemy pod gruzami. Zawsze jakaś pociecha.

Budynek, do którego szli, okazał się najwyższy w całych slumsach: dziewięć i pół piętra. W miarę, jak wspinali się po schodach, hałas cichł - chociaż wcale nie była to najszcześniejsza okoliczność. Na dole zza zamkniętych drzwi słyszeli głosy wielu kobiet i śmiech pijanych mężczyzn. Kolejne piętra robiły coraz bardziej przerażające wrażenie. Zanim doszli do ósmego, mieli przegląd wszelkiej maści złoczyńców: jedni handlowali skradzionymi najwyraźniej przedmiotami, inni je kupowali, jeszcze inni - z zimnymi oczami i mnóstwem broni - wyglądali na goryli albo nawet na płatnych zabójców. Dogadujący się szeptem kryminaliści odprowadzali ich uważnymi spojrzeniami, pilnując, żeby nie usłyszeli tajnych ustaleń. Fin nie miał złudzeń: ci ludzie bez wahania poderznąliby im gardła albo po prostu wrzuciliby ich na zatracenie do rzeki w bulgoczącą, zdradziecką mgłę.

Na ósmym piętrze także unosił się jakiś opar: wydobywał się z otwartych drzwi i miał słodki zapach.

- A to co? - zapytał Fin.

- Palacze kwiatów. - Mona zmarszczyła nos. - Wstrzymajcie oddech, póki nie wejdziemy wyżej. Od dymu z kwiatów miesza się w głowie. Człowiek robi się taki... bezwładny. Nie macie "tego u was?"

Szczupły, blady mężczyzna w przyciasnej marynarce wyszedł chwiejnym krokiem na korytarz i oparł się o ścianę. Wyglądał, jakby okropnie go mdliło. Kiedy zobaczył ich na schodach, uniósł brwi, jakby nie do końca wierzył własnym oczom. Poruszenie

mięśniami twarzy okazało się tak wielkim wysiłkiem, że kolana powoli złożyły się pod nim, aż wylądował ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, wciąż wodząc błędnym wzrokiem wokół ich czwórki.

Fin przyjrzał mu się krótko.

- Chyba są u nas podobne narkotyki - powiedział i ruszył w górę. - Policja ich nie aresztuje czy coś?

- Nawet nie próbuje. Kanciarze to ziemia niczyja. Może mogliby się tutaj dostać Rycerze, ale oni nie są policją i nie interesuje ich, co się tutaj dzieje.

Fin zamilkł. W jego Londynie były okolice, które niewiele różniły się od Kanciarzy. Wielu chłopaków z Brickman Estate powinno siedzieć, ale policja nigdy się tam nie zapuszczała. Skręcając za róg, usłyszał, jak mężczyzna z ósmego piętra wymiotuje. Oby udało mu się wycelować w podłogę. Nie wyglądał na kogoś, kto ma aż dwie marynarki.

W końcu doszli na dziewiąte piętro. Schody biegły jeszcze wyżej, ale Mona zatrzymała ich przed półotwartymi drzwiami. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk, nawet szept. Panowała całkowita cisza. Spojrzeli po sobie.

- Przynajmniej nie musimy się przepychać przez tłum -mruknął Fin i zajrzał do środka. Po chwili otworzył drzwi na oścież. Stanęli w progu.

- To ten gość, co ma nam pomóc? - Joe popatrzył na Fina. - Chyba wpadliśmy w gównno po uszy.

Finmere nie mógł zaprzeczyć. Podeszedł do stołu, na którym wciąż leżały rozrzucone karty. Cztery kufle były puste, podobnie jak wywrócony dzbanek. Tuż obok dzbanka na stole spoczywała para dużych stóp w przetartych skarpetach, które kiedyś mogły być białe.

- A gdzie jego buty? - Mona skrzywiła się z niesmakiem.

- Przynajmniej resztę ubrania ma na sobie – stwierdził Joe.

- Tak, prawdziwy powód do dumy - rzucił ironicznie Christopher.

Fin usłyszał w ich głosach nutę zawodu. Sam też czuł się podobnie. Czy Ted naprawdę nie wpadł na nic lepszego? Ten człowiek miał pokonać Rycerzy, zatrzymać czarny deszcz i przywrócić porządek w obu światach?

Patrzył na nieprzytomnego mężczyznę, który leżał z nogami na stole. Ręce opadały bezwładnie, głowa zwisała za oparcie krzesła, usta miał otwarte. Finmere wątpił, czy jest

zdolny do czegokolwiek: nawet do tego, żeby nazajutrz obudzić się bez kaca. Z daleka śmierdziało od niego alkoholem.

Chrząknął przez sen i to popchnęło Fina do działania.

- No dobra. Ale zdziwię się, jak to coś da. - Delikatnie potrząsnął ramieniem śpiącego. Kiedy to nic nie dało, spróbował mocniej. Mężczyzna drgnął i burknął coś głośniejsz, ale nie otworzył oczu.

Finmere poczuł nagły gniew. Potrzebują tego człowieka -wszyscy go potrzebują - i to po prostu jest nie w porządku wobec sędziego, pani Baker czy pani Harvey i w ogóle każdego.

Wezbrane emocje przelały się wreszcie. Fin pchnął śpiącego z całej siły i zrzucił go z krzesła na ziemię.

To poskutkowało.

- Co do...? - Mężczyzna wylądował z hukiem na brudnych deskach i otworzył wreszcie oczy.

- Sukces! - Christopher wykrzywił usta w uśmiechu.

Mężczyzna powiódł mętными oczami po ich twarzach, po czym z nie mniejszym zaskoczeniem przeniósł spojrzenie na swoje skarpety.

- Jesteś Fowkes? Andrew Fowkes? - zapytał szybko Fin.

Mężczyzna podciągnął kolana pod brodę, oparł na nich ręce i wreszcie udało mu się skupić wzrok na twarzy Finme-re'a. Wzrok nie był przyjazny.

- A kto pyta? - rzucił chrapliwie.

- Nazywam się Finmere Tigewick Smith, ale nie znamy się - zaczął Fin, połykając sylaby. - Ted kazał mi cię znaleźć, jeśli to ty jesteś Fowkes.

- Ted? - Na dźwięk tego imienia oczy mężczyzny błysnęły. Wzruszył jednak ramionami. - Nigdy o nim nie słyszałem. Szukacie innego Fowkesa.

- Tak, bo tu się po prostu roi od Fowkesów - wymamrotał Joe.

Mężczyzna złapał się za głowę i przeczesał palcami ciemne, falujące włosy, próbując się dobudzić. Wyglądał teraz jeszcze bardziej niechlujnie. Wstał z trudem, postawił krzesło i ciężko na nie opadł. Popatrzył po sobie i wcisnął w czarne spodnie połą zeszmaczonej koszuli.

- Nie wierzę, że zastawiłem buty - mruknął pod nosem. - Kochałem te cholerne

buty.

Fin zauważył, że przy pasie ma niewielki sztylet, ale nigdzie nie widział rycerskiego miecza.

- Posłuchaj. Rycerze zeszli na złą drogę. Zamordowali sędziego Harlequina Browna, pobili moją gospodynię i nie wiem, czy to ciebie szukamy, ale...

Mężczyzna podniósł rękę.

- Jestem Fowkes - powiedział wreszcie. - Ten Fowkes. A raczej kiedyś nim byłem.

Spojrzał na Monę i pozostałych chłopaków, po czym wbił wzrok w miecz u biodra Finmere'a. Powoli, ze zmęczeniem pokręcił głową.

Fin przyglądał mu się uważnie. Było coś znajomego w tym ciemnowłosym mężczyźnie - tylko co? Nie przypominał żadnej z osób, które Fin znał: z pewnością żadnego z nauczycieli z obu szkół. Poza nauczycielami Finmere nie spotykał wielu dorosłych. Więc skąd może znać tego człowieka?

- Przykro mi słyszeć o Harlequinie. Naprawdę. - Mężczyzna potarł zarośniętą brodę. - Ale to nie moja walka, chłopcze. Już nie. Od dawna nie mam nic wspólnego z Rycerzami. Przykro mi.

Joe rzucił mu złe spojrzenie.

- Przez nich pada czarny deszcz. W twoim świecie też. - Fin pomyślał, że przyjaciel jest tak samo zdesperowany jak on sam. Po raz pierwszy ucieszył się, że Joe widział panią Baker po pobiciu i miecz pokryty krwią sędziego Browna. Miał szansę lepiej niż Christopher zrozumieć, w jak rozpaczliwej są sytuacji.

Fowkes zaśmiał się krótko i westchnął.

- Nawet nie wiedziałem, że pada. - Pokręcił głową i opuścił wzrok na swoje stopy. - Jak mówiłem, nie mogę wam pomóc. Szukacie człowieka, którego już nie ma.

- Nie wierzę ci. - Finmere nie ruszył się z miejsca, ale zacisnął pięści. - Ludzie aż tak się nie zmieniają. Nie w środku.

- A skąd ty o tym możesz wiedzieć? Pewnie uważasz się za dorosłego, ale dzieciak z ciebie i tyle.

- Nie wiem, kim jesteś, ale oni wszyscy w ciebie wierzą! Ted, pani Baker, Harveyowie, Savjani... - Fin czepiał się resztek nadziei, ale się nie poddawał. Jeszcze nie teraz. - Nie mogą się wszyscy mylić, prawda?

Serce waliło mu jak młotem. A może się mylą? Spodziewali się kogoś innego: nie pijanego mężczyzny w samych skarpetkach.

- I my też w ciebie wierzyliśmy - dodał Christopher z gorzkim zawodem w głosie.

Nagle w głowie Fina zapaliła się żarówka. Przypomniał sobie coś.

- Ach, jeszcze jedno. Właściwie to jest najważniejsze. Ted kazał powiedzieć ci, że zrobili coś Opowiadacze.

Spojrzenie Fowkesa wreszcie się wyostriżyło.

- Towie?

Fin wzruszył ramionami.

- Nie wyjawiał nam jej imienia. - Coś pukało głośno w zamknięte drzwi w jego głowie, ale wściekły, postanowił to zignorować. - Powiedział tylko, że skrzywdzili Opowiadaczkę i że ty będziesz wiedział, co robić.

- Jeśli nie łżesz...

- Nie, przysię... - Przerwał mu łomot szybkich kroków na schodach. Ktoś biegł na górę. Po chwili do pokoju wpadł niski, obszarpany mężczyzna. Dysząc, odnalazł wzrokiem Monę.

- Ja od Jacka Ditcha. Mam ci powiedzieć, że nie tylko wy szukacie tego faceta. Do Mary przyszli jacyś goście, co pytają o niego i o trzech chłopaków. Znaczą, to są Rycerze. Jack mówi, że jesteś mu winna przysługę. - Ledwie dokończył ostatnie słowo i czmychnął jak oparzony.

Mona, Christopher i Joe spojrzeli na Fina, a potem wszyscy czworo odwrócili się do Fowkesa. Mężczyzna wciąż patrzył na Finmere'a, jakby nadal się zastanawiał, czy może mu wierzyć.

Gdzieś z dołu dobiegł nagle męski głos:

- Hej, wy! Co tam robicie na górze? Widziałem, jak wychodziliście od Mary!

- Rycerze! - Serce Fina znów zabiło jak szalone. - Musimy stąd wiać...

- Ale jak? - Joe rozejrzał się po pokoju. Nie było w nim okna.

- Nie rozumiem - odezwała się Mona. - Mój ojciec na pewno nie powiedział. Na pewno.

Fin jej wierzył.

- Może ktoś nas widział. Albo domyślił się, że nie mamy do kogo pójść poza

Fowkesem.

- Hm, teraz to nie jest takie ważne. - Christopher wyjrzał na korytarz. - Jacyś ludzie biegną po schodach. I to szybko.

Fowkes jęknął i wstał.

- Dobra. Chodźcie za mną. I trzymajcie się blisko.

Fin się uśmiechnął.

- Pomożesz nam?

- Najpierw wydostańmy się stąd. Potem pogadamy o reszcie.

Wybiegli za nim na korytarz i w górę schodami, które wydawały się prowadzić donikąd. Ale okazało się, że za załomem ściany są małe, osadzone wprost w murze drzwiczki.

- Jezu, co mnie podkusiło, żeby zastawić te buty? -mruknął Fowkes, kopiąc w drzwi stopą w skarpecie. Schylił się i złożył wpoł, żeby precyzyjnie się na zewnątrz, prosto w londyńską noc. - No, chodźcie.

Pociągnął za sobą Monę, potem chłopaków. Finmere szedł ostatni i miał wrażenie, że ścigający ich mężczyźni dyszą tuż za jego plecami.

- Uważajcie. - Fowkes zmrużył oczy, kiedy strugi deszczu zaczęły zalewać mu twarz. - Tam na górze jest ślisko.

Fin zamknął drzwi i założył zasuwę. Ciekawe, jak długo wytrzyma ten kawałek metalu, kiedy zajmą się nim zdeterminowani Rycerze Nigdzieświata... Wdrapali się za Fowkesem krótką drabiną na stromy dach, a potem weszli na wąską kładkę, która biegła wzdłuż rynny. Deszcz był ciepły, ale wiał mocny wiatr. Fin widział przed sobą Monę: włosy łopotały jej wokół głowy jak skrzydła, lecz poruszała się ze swobodą niczym akrobatka z chińskiego cyrku albo gimnastyczka na olimpiadzie. Sam bardzo chciałby iść tak pewnie.

- Co to za przejścia? - zapytał. Mostek z cienkich listewek zakotłosał się pod jego ciężarem, aż musiał chwycić się drewnianej poręczy. Nie bał się tak bardzo wysokości, raczej samego spadania.

- Mieszkańcy Kanciarzy potrzebują dróg szybkiej ucieczki - odezwał się gdzieś z przodu Fowkes. - Jak my teraz. Gdybyś był stąd, wiedziałbyś, że kładki łączą domy.

Przerwał na chwilę.

- Uważajcie na tym mostku. Brakuje trzeciej deski, więc miejcie oczy otwarte i nie stracie głowy.

Za ich plecami rozległo się jakieś łomotanie, potem rumor i trzask wyważonych drzwiczek. Fin obejrzał się: mężczyzna w falującym płaszczu wy dostał się zreźnie na dach. Ich oczy spotkały się na moment. Zaraz potem tamten pochylił się do otworu drzwi i zawołał coś.

- Idą! - wrzasnął Fin i skoczył naprzód, niemal wpadając na Christophera. Ruszyli biegiem. Bardziej bali się pościgu niż ucieczki po śliskich kładkach i belkach.

- Pamiętajcie o mostku! - krzyknął Fowkes, zanim zniknął za rogiem następnego budynku. Fin ze spuszczoną głową zbliżył się do kładki wiszącej w powietrzu między dwoma kamienicami. Zmrużył oczy. Ulica w dole była ciemna. Jeśli w Kanciarzach ktoś miał światło, najwyraźniej trzymał je w domu. Wszedł na mostek tuż za Christopherem. Wyczuli stopami pierwszą deskę, potem drugą, a potem, biorąc głęboki oddech, zrobili duży krok nad pustką w miejscu trzeciej deski.

- Szybciej! - syknął Christopher. Fin nie musiał się odwracać: słyszał za sobą ciężkie, głośnie kroki ścigających. Byli straszliwie blisko. Stał na dachu, splunął czarną wodą i pobiegł dalej.

Był już przy rogu, kiedy usłyszał za plecami zaskoczony, wściekły okrzyk. Zatrzymał się na moment i zerknął przez ramię. Pierwszy z mężczyzn, ten w płaszczu, wpadł w lukę między deskami mostku i tkwił teraz zaklinowany, z nogą unieruchomioną aż do biodra i dyndającą w powietrzu. Klął i rzucał się jak szalony, a pozostali dwaj próbowali go wydobyć.

- Za nimi! Za nimi! - wrzeszczał, ale jego długi tors blokował przejście. Fin nie ościągł się więcej, uśmiechnął się tylko: może jednak szczęście ich nie opuściło.

Teraz mieli przewagę. Fowkes poprowadził ich przez labirynt kładek, które oplatały budynki jak pajęczna sieć. Kiedy dotarli do ostatniego domu, okazało się, że znajdują się nie więcej niż cztery piętra nad ziemią. Ze skraj dachu zwisała lina. Fowkes podciągnął się na niej aż do szczytu i usiadł na kalenicy. Mona była druga: natychmiast zniknęła po drugiej stronie dachu. Joe i Christopher poszli jej śladem.

Kiedy przyszła jego kolej, Finmere chwycił mocno szorstki sznur i zaczął się wspinać, odchylając się do tyłu i szukając oparcia dla stóp wśród mokrych dachówek. Na

krawędzi dachu zatrzymał się na moment.

Nawet z tej niezbyt dużej wysokości widok był niewiarygodny. Mgła nad rzeką jarzyła się niepewnym błękitem, wśród którego błyskały drobne światełka: być może lampy na łodziach płynących powoli przez zdradzieckie wody. Fin widział przed sobą budynki wszelkich kształtów i rozmiarów, dumnie opierające się wiatrom. Ich sylwetki rysowały się ostro na ciemnym tle nocy. Pochłonięty tym magicznym obrazem zapomniał na chwilę, że stoi obok niego Fowkes.

- Daj znać, jak będziesz gotów - odezwał się cicho mężczyzna.
- Piękne, prawda? - Fin się uśmiechnął.

Fowkes pociągnął nosem.

- Owszem, zdarza się. A teraz złaź, zanim nas dogonią. -Kiwnął głową w stronę, z której przyszli. Fin mógł już odróżnić dwa ciemne, poruszające się kształty. Tamci przemieszczali się o wiele wolniej, a poza tym, nie widząc przed sobą chłopców, chyba nie do końca wiedzieli, dokąd iść.

Z zadowolonym uśmiechem Fin złapał linę i zsunął się na błotnistą ziemię.

Znaleźli się przed kolejnym wysokim parkanem, podobnym do tego, przez który weszli do Kanciarzy. Fowkes pchnął furtkę. Finmere z zaskoczeniem zorientował się, że rozpoznaje układ ulic.

- Hej. - Stanął i popatrzył na średniowieczne budynki. -Jesteśmy w Clerkenwell?
 - To Stare Miasto. Zgadza się, gdybyś był po swojej stronie, to byłoby Clerkenwell.
- Fowkes się nie zatrzymał. - Ale nie jesteś po swojej stronie, a ja naprawdę muszę zdobyć jakieś buty. I coś na ten cholerny ból głowy. Najlepiej jeszcze jednego drinka.

Skręcili w pochyłą, niemal całkiem opustoszałą uliczkę. Wyglądało na to, że deszcz zmusił wreszcie mieszkańców, by schowali się w domach.

- Patrzcie. - Christopher wyciągnął rękę. - Stara studnia!

Podbiegł do niej i zajrzał w głąb, przechylając się nad kamienną cembrowiną. Finmere dołączył do niego, chociaż było za ciemno, żeby zobaczyć wodę.

- To Clerke's Well. Studnia Clerke'a, wiecie?! - zawołała Mona. Stali z Joem po przeciwległej stronie ulicy i zagłądali przez okno do jakiegoś sklepu. - Studnia życzeń. Jest...

Nie zdołała skończyć zdania.

- A więc to ty, Fowkes.

Fin poderwał głowę. W odległości metra przed nimi pojawił się nagle mężczyzna.

- Rycerz, który uciekł - dodał nieznajomy z szyderstwem w głosie. - Nie tak sobie ciebie wyobrażałem.

Fin pociągnął Christophera w dół i obaj ukryli się za obmurowaniem studni. Ale mężczyzna wcale na nich nie patrzył. Nie spuszczał oczu z Fowkesa, który stał nieco dalej i próbował mozolnie ściągnąć zabłoconą skarpetkę. Teraz wyprostował się z wolna, chwiejąc się nieporadnie.

- Obawiam się, że masz nade mną przewagę. Nie mam pojęcia, kim jesteś.

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

- Dlatego że za długo cię tutaj nie było.

Kiedy się zbliżył, Fin przekonał się, że jest o wiele młodszy od Fowkesa. Miał gładką twarz bez jednej zmarszczki i chociaż był wysoki, ramiona wąskie jak chłopak.

- Nazywam się George Porter. Jestem jednym z najbardziej zaufanych Rycerzy St Johna Alexandra Goldena.

Jeśli w ogóle zauważył chłopców, najwyraźniej go nie interesowali. Jego buty lśniły nawet w ciemności, a kiedy odrzucił płaszcz z jednego ramienia, odsłonił nieskazitelnie białą koszulę. Pomimo padającego deszczu i błota zalegającego chodniki prezentował się tak, jakby dopiero co wyszedł od krawca. Fin odsunął się nieco od studni i spojrzał na Fowkesa, który wyglądał wyjątkowo niechlujnie i ledwie trzymał się na nogach.

- St John Golden i zaufanie? - sarknął Fowkes. - Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

Porter wy dobył miecz. Metal zaśpiewał na wysokiej nucie.

- Przynosisz wstyd Zakonowi. Zabić cię to będzie przyjemność. Już zresztą prawie nie żyjesz.

Fowkes wyciągnął mały sztylet.

Porter zaśmiał się w głos.

- Tylko na tyle cię stać?

- Rozmiar to nie wszystko - odpowiedział Fowkes.

Finmere popatrzył na porządnie obutego Rycerza z lśniącym mieczem, a potem na skacowanego Fowkesa z żalonym nożykiem w rękę i poczuł, jak przerażenie podchodzi

mu do gardła. Starszy z dwóch mężczyzn nie miał żadnych szans. To było widoczne na pierwszy rzut oka. Ręce zaswędziały go od potu. Wymienił spojrzenia z Joem i przeniósł wzrok na zaprawione na boisku stopy przyjaciela. Porter ledwie zarejestrował obecność chłopców. Puls Fina przyspieszył, myśli zakłębiły się w głowie. Może jednak coś mogą zrobić... Coś, co Joe mnóstwo razy robił na boisku.

Pokazał przyjacielowi na migi, o co mu chodzi. Roześmiany Joe puścił oko.

- Przygotuj się, musisz popchnąć - szepnął Fin do Christophera.
- Co? - Christopher nie miał pojęcia, o czym mówi Finmere. - Dobra, na twój znak.

Rycerz przesunął się w kierunku Fowkesa, który w ogóle nie mógł się ruszać, bo przy każdym kroku jego bosa stopy grzęzły w błocie do kostek. Zamiast tego wyrzucił z siebie strumień bełkotliwych przekleństw. Finmere wycofał się spod studni i przemknął w cieniu budynków aż za plecy Portera, który całą uwagę skupił na Fowkesie.

Nagle, kiedy Rycerz znalazł się na wysokości studni, z ciemności wypadł jak strzała Joe i sprawnym ruchem stopy podciął mu nogi. Zaskoczony Porter stracił równowagę; w tym momencie Fin i Joe zabiegli go z obu stron i pchnęli na kamienne obmurowanie.

- Do studni! - krzyknął Fin do pozostałych.

Musieli działać szybko, zanim Porter odzyska równowagę i zimną krew - ale ich było czworo, a on tylko jeden. Przechylali już ciało Rycerza przez cembrowinę, kiedy Fowkes krzyknął:

- Buty! Zabierzcie mu buty!

Oczy Portera zbieleły z przerażenia, kiedy zorientował się, co się dzieje.

- Nie! - wrzasnął. - Nie, nie...

Upuszczony miecz zniknął w czarnej otchłani, a Porter rozpaczliwym gestem schwycił powietrze. Mona odsunęła się, chłopcy pchnęli ostatni raz, nie pozwalając Rycerzowi odzyskać równowagi. Fin i Joe złapali tylko jeszcze buty, których właściciel w tej samej chwili runął do studni i przepadł w mroku.

Jego krzyk obijał się echem przez kilka długich sekund. Wreszcie ucichł. Ale nie usłyszeli plusku.

- Chyba nie jest aż taka głęboka? - wysapał Christopher.

Fowkes podszedł do nich i wziął buty.

- Dobra robota. - Przyjrzał się podeszwom. - I nawet mój rozmiar.

Finmere zerknął w głąb studni. Trochę go mldiło.

- Dlaczego nie słycać, jak uderza o wodę?

- O wodę? - zdziwiła się Mona.

- No tak, o wodę. W studniach zwykle jest woda. - Joe też wyglądał na zdenerwowanego. Co oni właściwie zrobili temu Rycerzowi?

- Nie w Clerke's Well. Dlatego to studnia życzeń. Nie ma dna.

- Nie ma dna? - zapytał Christopher. - Jak studnia może nie mieć dna? Albo cokolwiek innego? Coś może być bardzo głębokie, ale...

- Chodzi o to, że tu nikt dna nie znalazł.

- Gdzieś się pokaże. - Fowkes mocował się z butem. - Wszystko w końcu wychodzi na jaw.

- Dziwna ta studnia życzeń. - Fin pomyślał o Rycerzu, który będzie spadał i spadał bez końca. Miał wlecieć do wody, stanąć na dnie i zacząć wołać o pomoc. Taki był plan. Ale stało się coś trochę bardziej... ostatecznego.

Fowkes się zaśmiał.

- Pewnie Porter życzy sobie teraz, żeby banda łobuzów nie wepchnęła go do środka!

- Cóż, ty nie mogłeś się nim zająć. Jesteś pijany. Prawdopodobnie uratowaliśmy ci życie - stwierdził Christopher takim tonem, jakby powątpiewał, czy dobrze zrobili.

- To kwestia perspektywy. - Fowkes włożył wreszcie buty Portera i odszedł od studni. - Byłem pijany przez ponad piętnaście lat, więc to już dla mnie normalny stan. Kto wie jak beznadziejnie walczyłbym na trzeźwo.

Zatrzymał się u wylotu ulicy i rozejrzał.

- A może przynajmniej spróbujemy się przekonać? - Idąc za Fowkesem, Fin pożałował, że nie ma z nimi Teda. Ted na pewno wiedziałby, co zrobić, inaczej niż on; wiedziałby, jak poradzić sobie z tym pokręconym człowiekiem. - W każdym razie Christopher ma rację. Uratowaliśmy ci życie. To chyba znaczy, że jesteś nam coś winien.

Całą odpowiedzią Fowkesa było miażdżące spojrzenie.

- Hm, Fin... - zaczął Joe. - Gdyby nie my, nic by mu nie groziło.

- Przynajmniej twój kumpel ma trochę oleju w głowie - mruknął Fowkes.

Fin się zezłościł.

- Jesteś nam coś winien za nowe buty.

Christopher i Joe ryknęli śmiechem, nawet Mona się uśmiechnęła. Fowkes uparcie ignorował Fina. Wreszcie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

- Zaczekajcie - powiedział. - Wracam za pięć minut.

Zanim którekolwiek zdążyło zareagować, zniknął w ciemnym wnętrzu, zostawiając ich na ulicy. Po chwili w oknie nad ich głowami zapaliło się światło.

- Myślicie, że wróci? - zapytał Christopher po minucie czy dwóch. Fin i Joe zastanawiali się nad tym samym.

- Tak. - Mona patrzyła na cienie poruszające się za szybą. - Może pije, ale to człowiek honoru. Inaczej mój ojciec tak by się nim nie zachwycał.

Fin sam nie był tego pewien, ale kiwnął głową: musiał zaufać tym wszystkim ludziom, którzy wierzyli w Fowkesa.

- Mam nadzieję, że się pospieszy - odezwał się, kiedy upłynęło jeszcze kilka minut.
- Miło byłoby dla odmiany nie moknąć.

Dziesięć długich minut później drzwi znów skrzypnęły.

Wszyscy czworo aż otworzyli usta.

Fowkes nie tylko się umył, ale nawet ogolił. Był teraz ubrany podobnie jak Porter: śnieżnobiałą koszulę okrył ciemnym płaszczem z dużą złotą zapinką pod szyją. Pod połą płaszcza Finmere zauważył wysadzaną klejnotami rękojeść miecza. Jego roztrzepotane serce uspokoiło się wreszcie. Uśmiechnął się.

- Dobra, a teraz wynosimy się stąd. I to szybko. - Fowkes wypchnął ich na środek ulicy.

- Czy tam są Rycerze? - Fin poczuł, że nogi się pod nim uginają.

- Nie, gorzej...

Nad ich głowami z piskiem otworzyło się okno i ktoś wylał pełen kubek ciemnej cieczy, która plasnęła o chodnik dokładnie w tym miejscu, gdzie przed chwilą stali. Fin wolał nie myśleć, co było w kubku.

- I żebyś mi się tu więcej nie pokazywał, do cholery! -W oknie pojawiła się kobieca głowa z długimi jasnymi włosami. - Dość mam takiego traktowania!

Okno zamknęło się z trzaskiem.

- Kobiety - mruknął pod nosem Fowkes.

Joe się zaśmiał.

- Ale pomysł, w tym deszczu wylewać na kogoś wodę! Przecież i tak zmokniesz.
- W tej części miasta nie ma kanalizacji. To nie była woda.

Fin ucieszył się, że się nie zatrzymał, by pomyśleć o kubie.

- Och - jęknął Joe, kiedy zrozumiał, i skrzywił się z obrzydzeniem. - Fuj, to wstrętne!

Spojrzał w górę, żeby się upewnić, czy nie grozi im kolejny pocisk.

Zanim dotarli do tajnego miejsca, w które prowadził ich Fowkes, niebo zaczęło szarzeć. Nadchodził ranek, a właściwie popołudnie. Tak czy inaczej, wciąż padało. Kiedy zrobiło się jaśniej, mogli się przekonać, że gęste chmury okrywają całe niebo, nie odsłaniając najmniejszego skrawka błękitu. Finmere nigdy nie oglądał czegoś podobnego, a widok nappełniał go niezrozumiałym przerażeniem.

Po drodze próbował rozmawiać z Rycerzem, ale ten puszczał mimo uszu większość pytań, czasami tylko wydając z siebie burkliwe „tak” lub „nie”.

W końcu Fin poddał się i zamilkł. Maszerował z pochyloną głową; chociaż deszcz był ciepły, jego nieustanne zjadliwe ataki przejmowały drżeniem do szpiku kości. Na twarzach pozostałych widział, że cierpią te same męki.

Wreszcie u wylotu ulicy, którą szli, pokazał się rozległy plac. Wypolerowane do błysku białe schody wiodły do wielkiego, pięknego budynku.

- Co to? Klepsydra? - Christopher przyglądał się rzeźbie wieńczącej dach.
- To naczynie prawdy - wyjaśniła Mona zmęczonym głosem. Pewnie też nie może już znieść tego deszczu, pomyślał Fin. - Tutaj mieszka Opowiadaczka. I nie tylko. To Old Bailey, Dom Prawd Rzeczywistych.

Fin zamarł.

- Old Bailey? - szepnął.
- Tak - powiedział cicho Fowkes. - Uważajcie. W środku pewnie są Rycerze. Nie rozdzielać się.

Finmere nie mógł oderwać oczu od budowli. Old Bailey, Dom Prawd Rzeczywistych. Poza naczyniem prawdy, które zastępowało posąg Temidy, budynek wyglądał niemal identycznie z sądem Old Bailey w jego Londynie.

Fowkes się odwrócił.

- Mówiłem, żeby się nie rozdzielać - syknął. - Co z tobą?
- Fina znaleźli na schodach Old Bailey, po naszej stronie, jak był całkiem mały - odezwał się Joe. - Pewnie trochę go to ruszyło. Ten budynek jest taki sam, poza tym czymś na górze.

- Przepraszam. - Finmere oderwał wzrok od domu i dogonił towarzyszy Fowkes przyglądał mu się tak długo, że Fin poczuł się niezręcznie.

- Jak mówię, że macie się nie rozdzielać, to się nie rozdzielacie - burknął mężczyzna i wreszcie się odwrócił.

Gdy wchodzili na schody, Fin nawet nie spojrzał na drugi stopień. To nie jest jego Old Bailey - musi o tym pamiętać.

Okazało się to o wiele łatwiejsze, kiedy tylko Fowkes pchnął ciężkie skrzydła dębowych drzwi i wprowadził ich do wnętrza.

- Czemu nie zamykają? - wyszeptał Christopher.

- Dom Prawd Rzeczywistych jest zawsze otwarty. Chociaż mało ludzi tu zagłąda - wyjaśniła Mona.

Stojąc w owalnym holu wyłożonym marmurem w odcieniach różu i bieli, Fin zauważył przed sobą kolejne podwójne drzwi. Były lekko uchylone. Zbliżył się, zajrzał przez szparę i zachwył odebrał mu dech.

- Hej, patrzcie na to! Niesamowite! - Zafascynowany patrzył na ściany sali, które od podłogi do sufitu pokryte były niezwykłymi naczyniami mieniącymi się milionem kolorów jak ocean tęczowego piękna. Między rzędami poruszali się bezszelestnie mężczyźni w czarnych szatach. Fin wyciągnął głowę, żeby lepiej widzieć.

Ale kiedy jego podbródek przesunął się za próg, wszystko się zmieniło. Czarno odziani mężczyźni zatrzymali się w tej samej sekundzie i odwrócili w stronę chłopca świdrujące różowe źrenice. Dziwna rzecz: co do jednego byli albinosami, a kiedy zamarli jak posągi, usta każdego zaokrąglił taki sam wyraz zadziwienia. Piękne kolory zniknęły z naczyń, które wypełniły się złotym światłem, tak bogatym i zachwycającym, że szklane ścianki wydawały się drżeć od tej wspaniałości.

Fin także otworzył usta i poczuł nagle straszliwą próżnię w zlodowaciałym brzuchu. To była pustka: pustka w jego głowie uchylała wrota. W tej chwili nie istniało nic prócz złotego blasku i ciszy.

Prawda. Zbliża się moja prawda i nic nie mogę na to poradzić, przemknęło mu przez myśl.

Jakaś dłoń złapała go brutalnie za kołnierz i wciągnęła do holu. Kopnięte drzwi się zatrzasnęły.

- To nie jest szkolna wycieczka - warknął Fowkes.

- Przepraszam, ja... - Mózg Fina wirował w czasie. Co się stało? Coś przejęło nad nim kontrolę, coś próbowało wyważyć drzwi w jego głowie. Straszne uczucie zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło, niczym zły sen rozplywający się po przebudzeniu. Finmere drżał jeszcze przez chwilę.

- Nie wchodź tam. Nigdy tam nie wchodź. - Twarz Fowkesa była tak blisko, że Fin czuł na policzkach gorący z gniewu oddech. - W ogóle wchodź tylko tam, gdzie ci powiem, słyszysz?

Fin kiwnął głową.

- Przepraszam - wybełkotał drugi raz, cały czerwony.

Rycerz cisnął mu jeszcze jedno mordercze spojrzenie i odwrócił się do reszty.

- Was też to dotyczy, do cholery.

Kiedy opuściły go resztki dziwnego uczucia, Fin bezwolnie poszedł za Fowkesem, który otworzył mniejsze drzwi. Łączyły hol z wąskim korytarzem, który biegł gdzieś w głąb budynku. Na jego końcu znajdował się kolejny duży hol, od góry do dołu wyłożony białym marmurem. Strome schody okręcały się spiralą wokół fontanny ze złotą rybką na jednej ze ścian; strumień wody spadał do zbiornika z cichym, spokojnym szmerem.

Fowkes zatrzymał się u stóp schodów z dłonią na poręczy. Twarz mu pociemniała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Finmere.

Po dłuższej chwili Fowkes skinął głową.

- Tak. Po prostu minęło dużo czasu. - Nie patrzył na Fina. - O Boże, muszę się napić.

Ruszył w górę, przeskakując pierwszy stopień. Fin odruchowo zrobił to samo.

Stanęli w progu i patrzyli na białe wnętrza, które wyglądało, jakby przeszedł przez nie tajfun.

- Jak moja sypialnia w najlepszej formie - szepnął Joe.

Fin odpowiedział słabym uśmiechem, chociaż wcale nie było mu wesoło. Wiedział,

że przyjaciel próbuje rozładować napięcie.

Fowkes zrobił wreszcie krok do środka. Poszli za nim. To, co Fin zobaczył przez półotwarte drzwi do sali na dole, było cudowne. Tutaj, w nieskazitelnie białych pokojach Opowiadaczki, panowała niemal uduchowiona atmosfera, którą wyczuwali nawet chłopcy z Gdzieświata. I nic dziwnego, pomyślał Fin, ostrożnie stawiając stopy, żeby nie narobić więcej szkód, Ted mówił, że ona utrzymuje w równowadze oba światy. Dusza zadrżała w nim na widok ruiny domu Opowiadaczki.

- To bardzo, bardzo źle - powiedziała cicho Mona, przypatrując się zniszczeniom.
- Tova? Tova? - Fowkes zaglądał do kolejnych pokojów Ale białe ściany milczały.

Gdy zniknął na dłużej w pomieszczeniu po lewej stronie od drzwi wejściowych, Finnere poszedł za nim.

Fowkes siedział ciężko na skraju łóżka, wśród poszarpanych materacy, poduszek i pierza.

- Porwali ją Rycerze? - zapytał Christopher, stając w progu.

Fowkes kiwnął głową.

- Tak. Tak, porwali ją. - Twarz miał groźną, ale głos cichy i smutny. - Tylko nie rozumiem, czego tu szukali. Dlaczego to zrobili?

- Może chcieli coś udowodnić. - Fin usłyszał, że Joe i Mona zaczęli sprzątać w salonie. Może powinien im pomóc? Był zupełnie zagubiony. Nie potrafił sobie wyobrazić, co zamierzają Rycerze. Nie dorósł do tego: ma dopiero szesnaście lat! Jak właściwie miałby ich powstrzymać?

- Ktoś inny: może i tak. Ale to nie w stylu St Johna Goldena. - Fowkes potarł świeżo ogoloną brodę. - Golden to zimny typ. Nic go nie rusza.

Christopher podszedł po łóżka. Pochylił i wyjął coś z fałd zmiętej pościeli i kap i obrócił w rękach, marszcząc czoło.

- Co to? - Fowkes podniósł oczy.

Zamiast odpowiedzi Christopher otworzył płaskie pudełko. Błyszczało srebrno.

Wszystkie inne przedmioty w tym mieszkaniu były białe.

- Christopher? - odezwał się Fin.

Przyjaciel drgnął i spojrzał na niego.

- Przepraszam. - Podniósł rękę. - To srebrna papierośnica.

Rzucił ją Fowkesowi, schylił się znów i zaczął zbierać z podłogi kołdry i poduszki.

Finmere usiadł na łóżku obok Fowkesa i obaj przyjrzeni się kasetce.

- W środku są francuskie papierosy - stwierdził Fowkes. - Musiał to zostawić któryś z Rycerzy.

- Może St John Golden? - Papierośnica była ciężka i wyglądała na drogą.

- Możliwe. Ale wątpię. Z tego, co słyszałem - odwrócił się do Fina - niby stale jestem pijany, ale nie wszystko udaje mi się puścić mimo uszu... Tak czy inaczej, słyszałem, że St John w ostatnich czasach mało podróżuje.

Nagle zatrzymał wzrok na ręce Fina i zmarszczył brwi.

- Skąd to masz? - Chwycił go za nadgarstek i zbliżył jego dłoń do oczu, żeby lepiej przyjrzeć się pierścieniowi na środkowym palcu.

- To moje - powiedział Fin szybko. - Dał mi sędzia Brown. Mówił, że to było ze mną w pudełku i...

- Z tobą w pudełku?

- W tym, w którym Ted mnie znalazł, kiedy byłem mały. Na drugim stopniu schodów Old Bailey. - Fin wyrwał rękę. - To moje. Nie możesz mi zabrać. Nic poza tym nie mam, tylko ten kocyk, w który byłem zawinięty, i miecz sędziego, ale on tak naprawdę nie jest mój.

W pośpiechu połykał słowa. Pewnie gada jak dzieciak, ale trudno - czuł, że musi wyrzucić z siebie to wszystko.

- To jest pierścień Baxtera. - Fowkes nie spuszczał uważnego spojrzenia z twarzy Fina, który poczuł, że płoną mu policzki, chociaż nie wiedział właściwie dlaczego.

- Wiem. Sędzia Brown mi powiedział - zawiesił głos. - Może Baxter był moim ojcem. Tak myśli Ted. I sędzia też. Myśleli, że może przeniosła mnie do Gdzieświata moja matka i zostawiła tu, to znaczy: tam. Mówili, że to było jakiś rok po śmierci Baxtera.

Patrzył na Fowkesa z nadzieją, że zobaczy w jego oczach błysk rozpoznania - wspomnienie kobiety, którą kochał jego przyjaciel i z którą mógł mieć dziecko. Kobiety - matki - która może jeszcze żyje... Serce Fina ścisnęło się tak boleśnie, że nie mógł nawet o tym myśleć.

Ale zamiast błysku rozpoznania w oczach Fowkesa pojawiło się niezrozumienie. Wydawał się wstrząśnięty.

- Przecież...

- No, bardzo to wszystko wzruszające - przerwał zimnym głosem Christopher, krzyżując ręce na piersi - ale chyba powinniśmy szukać Opowiadaczki? Burza się wzmaga.

Fin spojrzał na niego zszokowany. Nie poznawał przyjaciela.

- To ona wywołała tę burzę. - Fowkes nie dokończył poprzedniego zdania. - Ostatnią też. Przynajmniej mamy dowód, że żyje.

Zawiesił głos.

- Tova zawsze była wyjątkowa. To najpotężniejsza z Opowiadaczek w dziejach. Dziewczeta z Akademii mówiły, że ma w sobie krew Magów. Pewnie mówiły tak z zazdrości, bo wszystkie wiedziały, że to ona będzie wybrana, ale nie zdziwiłbym się, gdyby było w tym ziarno prawdy.

Wstał, podniósł kilka poduszek i rzucił je na łóżko.

- Mówią, że poprzednią burzę sprowadziła jej rozpacz. - Westchnął głęboko. - Opowiadaczki muszą pozbyć się wszystkich osobistych uczuć, rozumiesz? Muszą-być puste. Inaczej historie układają się na ich korzyść, a Opowiadaczki powinny je tylko przechowywać.

Pokręcił głową.

- Nigdy tego do końca nie rozumiałem. Z czarnymi burzami jest ten problem, że zyskują jakby własną wolę, a kiedy tak się stanie... cóż, wątpię, czy nawet ona zdoła opanować tę burzę. Zwłaszcza jeśli... - przerwał na chwilę i wbił wzrok w swoje buty, po czym dokończył cicho: - ...zwłaszcza jeśli ją skrzywdzili.

- To co robimy? - Christopher patrzył, jak czarne strugi deszczu rozpryskują się na szybie.

- Pójdziemy do Księcia Regenta. Ale wcześniej powinniście trochę odpocząć, dzieciaki. Zdaje się, że to będzie bardzo długi dzień.

- A nie możemy iść od razu? - zapytał Christopher bezbarwnym głosem. - Załatwmy, co mamy załatwić, i wracajmy do domu.

Fowkes rzucił mu zirytowane spojrzenie.

- Owszem, możemy iść od razu. Tylko że Księżę nie wstanie z łóżka wcześniej niż za dwie albo trzy godziny, czyli że do tego czasu będziemy czekać na deszczu, zmęczymy się jeszcze bardziej i będziemy mieć wszystkiego dość. Więc lepiej rób, co mówię. - Wielkimi krokami wyszedł do salonu.

- W porządku? - Fin przyjrzał się Christopherowi.

Christopher odwrócił się od okna, podszedł do wypatroszonego łóżka i wyciągnął się na wznak. Jakiś czas patrzył w milczeniu na sufit.

- Tak - odezwał się w końcu. - Przepraszam, że byłem nieprzyjemny. To przez ten czarny deszcz. Stale myślę, że u nas też pada. Jeśli tam zacznie się dziać coś okropnego... Chciałbym być z moimi rodzicami, to wszystko.

- Nie dojdzie do tego. - Fin położył się obok niego. Miał nadzieję, że jego głos brzmi pewniej, niż on sam się czuje. -Zrobimy porządek i już.

- Jasne, że zrobimy! - Christopher chyba dochodził do siebie. - Jeden pijak i czworo nastolatków, w tym jedna dziewczyna. Jak może nam się nie udać?

Wyszczrzył zęby, a Finmere odpowiedział mu pełnym ulgi uśmiechem.

- Dzięki, że ze mną poszedłeś, Christopher. To dla mnie ważne.

Kumpel uśmiechnął się szeroko.

- Od tego są przyjaciele.

Do sypialni weszli Mona i Joe. Joe natychmiast zwałił się na łóżko, zajmując resztę wolnego miejsca.

- Ha, to dla ciebie! Łap! - Rzucił w Monę poduszką, którą ledwie zdołała schwytać.

- Zdawało mi się, że to mężczyźni powinni spać na podłodze, a łóżko oddać damie.

- Była wyraźnie poirytowana.

- Może w twoim świecie, ale u nas jest na odwrót - wyjaśnił Joe najzupełniej serio.

- Naprawdę? - Po raz pierwszy, od kiedy się spotkali, Mona straciła nieco ze swej pewności siebie.

Fin oparł się na łokciach.

- O, tak. W autobusach i w ogóle wszędzie. Kobiety zawsze ustępują miejsca mężczyznom. Tak każe uprzejmość.

- I honor - dodał Christopher, ziewając - Oczywiście nie ma takiego prawa, ale chodzi o szacunek. Tak robią ludzie, którzy szanują honor swojej rodziny i tak dalej. No,

ale możesz zrobić po swojemu, jak uważasz.

- Nie, nie. - Mona ułożyła sobie posłanie z rozrzuconych po dywanie poduszek. - Na podłodze będzie mi świetnie.

Finmere zaczął się cicho śmiać; obok Joe też trząsał się z tłumionego chichotu. Przez chwilę czuł się niemal spokojny. Jest szczęściarzem, że ma takich wspaniałych przyjaciół. I poznał Monę, i razem znaleźli Fowkesa. Ted będzie z nich dumny. Na pewno.

Oczy zamknęły mu się same. A kiedy zasnął, przyśniła mu się lodowata pustka, która próbowała go wessać w mroczną, cichą otchłań.

Podeszli całą grupą, z pochylonymi głowami. Księżę Regent stał przy tronie. Serce Fina uderzało gorączkowo. Jego najbliższe jak dotąd spotkanie z kimś z królewskiego rodu miało miejsce, kiedy kuzyn królowej przybył otworzyć nowe skrzydło w St Martin's. Wtedy Fin tłoczył się z innymi w trzecim rzędzie i po prostu wiwatował, jak reszta wstępniaków. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej. Był w pałacu. I zaraz miał spotkać - oko w oko - prawdziwego księcia.

Od chwili, kiedy weszli do pałacu i zostali zaprowadzeni do urzędzonego z przepychem holu, Joe nie odezwał się ani słowem. Nawet Christopher wydawał się lekko onieśmielony podczas trwającej pięć minut wędrówki niewiarygodnie przeladowanym ozdobami korytarzem, który wiódł do sali tronowej.

Mona od razu zawiadomiła upudrowanego dworzanina, który po nich przyszedł, że jej ojciec uszył większość szat Regenta i że Księżę jest właściwie przyjacielem jej rodziny, ale szybko się zaniknęła, widząc jego chłodny uśmiešek i protekcyjnalne spojrzenie. Podobnie jak chłopcy, za każdym kolejnym portretem dawno zmarłego władcy lub kosztownym meblem, jaki mijali, Mona wyglądała na coraz bardziej spłoszoną.

Wreszcie dotarli do końca sali tronowej. Fowkes przykląkł zgrabnie na jedno kolano. Finmere, Joe i Christopher zrobili to samo z o wiele mniejszym wdziękiem. Mona złożyła głęboki ukłon.

- Wasza królewska mość - odezwał się Fowkes, nie podnosząc głowy.

Fin pozwolił sobie na ukradkowe zerknięcie. Księżę Regent - inaczej niż Finmere się

spodziewał - był bardzo niski. Gdyby nie olbrzymia peruka o liliowym odcieniu, nie sięgałby Finowi do ramienia, a on, jak na swój wiek, nie należał do szczególnie wyrosniętych. Jednak pomimo drobnej postury Regent prezentował się dość imponująco. W wycięciu surduta w kolorze kości słoniowej, migoczącego od drobnych diamentów, pieniały się fryzowane falbany żabotu. Twarz Księcia była biała jak śnieg, a usta uróżowane, ale spod peruki patrzyły oczy ciemniejsze niż Fowkesa.

Kolano zaczęło go pobolewać od klęczenia na twardej marmurowej posadzce. Odetchnął z ulgą, widząc lekki ruch dłoni Regenta. Fowkes wstał.

Księżę patrzył na niego w milczeniu.

- Cóż za zabawny przypadek. - Kiedy wreszcie się odezwał, w jego wysokim głosie nie było cienia wesołości. - Przez całe lata nie widzę ani jednego Rycerza, a teraz w ciągu dwóch dni przychodzi już drugi. Ach, byłbym zapomniał. Ty przecież nie jesteś już Rycerzem, Andrew Fowkesie?

Uważne spojrzenie wędrowało po całej sylwetce Fowkesa.

- Chociaż, jak widzę, wciąż nosisz miecz. Podobnie jak jeden z twoich młodych przyjaciół. Przyznam, że jestem zaskoczony.

Usiadł ostrożnie na tronie, delikatnymi palcami wygładziwszy najpierw poły surduta.

- A więc co was do mnie sprowadza? Ostatni raz widzieliśmy się tuż przed czarną burzą, która szalała przez cały rok i sprowadziła na moich poddanych oblęd i rozpacz.

Mam nadzieję, że nie przynosisz mi wieści o kolejnej burzy?

- To prawda, wasza wysokość. Nie jestem już Rycerzem.

- Fowkes stał pod lustrującym go wzrokiem Księcia z podniesioną głową. - W tej chwili szczerze się z tego cieszę. Inaczej musiałbym pożegnać się z resztkami dumy.

- Nie masz godności, tak jak twój przyjaciel Baxter. Nie miał honoru i zginął jak zwykły przestępca z rąk moich poddanych. A ty? Uciekłeś i zapijasz się na śmierć w Kanciarzach, zamiast bronić pamięci przyjaciela. - Zmarszczył brwi.

- Pod wieloma względami jesteś gorszy od niego.

Twarz Fina płonęła. Baxter nie był taki - nie mógł taki być! Przecież Ted powiedziałby mu, gdyby Baxter był takim okropnym człowiekiem?

- Tak, jestem gorszy. - W zdławionym głosie Fowkesa nie było gniewu, tylko gorzycz. - Jestem gorszy od niego, i to tak, że nawet nie potraficie sobie wyobrazić, panie.

Ale w tej chwili jestem najszlachetniejszym z Rycerzy, przynajmniej spośród młodych.

Książę zmierzył go wzrokiem.

- Wczoraj przyszedł tutaj St John Golden. Przyniósł ze sobą ciało Rycerza, który strzegł mieszkania Opowiadaczki. To ty go zabiłeś?

Fowkes pokręcił głową.

- Nie, wasza wysokość, zapewniam, że nie. Sądzę, że St John sam to zrobił. To on porwał Opowiadaczkę. Uprowadził Tovę.

Mimo grubej maski makijażu na twarzy Księcia odmalował się wstrząs.

- Kłamiesz - wyszeptał.

- Chciałbym, ale nie - powiedział Fowkes ochryłym głosem. - Nie. Mieszkanie Opowiadaczki jest splądrowane, a jej samej w nim nie ma. Golden na pewno chce odebrać jej historię. To jedyne wyjaśnienie. Pragnie władzy i ma za sobą Rycerzy Rady Wewnętrznej. Myślę, że oszalał.

Zamilkł na chwilę.

- Myślę, że uwierzył w prorocstwo - dokończył.

Książę podniósł się z tronu.

- Prorocstwo to tylko legenda. Zwykła bajka. - Spojrzał na Fowkesa i zniżył głos. - A może zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego powinienem ci uwierzyć? Skąd mam wiedzieć, że to St John Golden porwał Opowiadaczkę, a nie ty? A może to ciebie opętała żądza władzy?

Po raz pierwszy w głosie Księcia Fin usłyszał nutę prawdziwej emocji.

Regent podszedł do okna i gwałtownie machnął ręką.

- Spójrz na to! - syknął z gniewem. - Nie potrzebuję starych legend ani intruzów z innego świata, by zrozumieć, że dzieje się coś złego. Tylko Tova byłaby zdolna sprowadzić taką burzę.

Przeniósł wzrok na Fowkesa.

- Nienawidzę ciebie i twoich Rycerzy. Wciąż stwarzacie problemy. Nie ma między wami jednego szlachetnego człowieka. Byliśmy głupcami, że tak długo wam wierzyliśmy. Ja byłem głupcem!

- Nie! - krzyknął Fin; dźwięk własnego głosu, który odbił się echem w wielkiej sali, zaskoczył go tak samo jak wszystkich. - Nie - powtórzył już ciszej. Książę patrzył na

niego zaszokowany. Fin zrobił krok naprzód i stanął obok Fowkesa. - Pan się myli. - W uszach słyszał huk własnego serca.

- A kimże ty jesteś? Tylko chłopcem.

Fin przełknął ślinę. Teraz albo nigdy.

- Jestem Finmere Tingewick Smith. Zostałem przysłany z Gdzieświata, żeby znaleźć Fowkesa i spróbować wszystko naprawić. A to moi przyjaciele, Joe i Christopher. Pomagają mi, chociaż nie mają z tą sprawą nic wspólnego.

- A ja jestem Mona, córka Savjaniego, i też pomagam. -Jeśli Mona spodziewała się że kogoś to zainteresuje, srodze się zawiodła.

Regent nie spuszczał oczu z Fina.

- Przysłali kogoś, kto jeszcze długo nie będzie mężczyzną? To tak dbają o nasz świat? - Zaśmiał się szyderczo. -Gdyby Harlequin Brown był choć w połowie takim człowiekiem, za jakiego uważał go mój nieszczęsny omamiony ojciec, przybyłby tutaj sam!

- Nie może. - Gorące ostrze przeszło wnętrzości Fina. - Nie żyje! Zabili go, a ja go znalazłem! Został przebity własnym mieczem!

Wiedział, że krzyczy, ale było mu wszystko jedno.

- I nie wolno panu tak o nim mówić! Nie wiem, co to za prorocstwo, ale Ted robi, co może, a oni pobili panią Baker i panią Harvey pewnie też, i innych ludzi, ja zaś zostałem przysłany tylko dlatego, że wszyscy prawdziwi Rycerze są starzy i śpią na wózkach, a to przez to, że przechodzili do waszego świata i z powrotem, ale wierzyli, że warto, i wciąż kochają Zakon, i poświęcą życie, żeby chronić Nigdzieświat!

Fin nie mógł się zatrzymać; nie zamilkłby, nawet gdyby wałnął w niego rozpędzony londyński piętrus.

- Więc niech pan nie mówi, że nie mają honoru! Niech pan nie waży się tak mówić! - Odgłos jego zdyszanego oddechu wypełniał teraz całą salę. W końcu udało mu się opanować i trochę uspokoić. Nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, że wszyscy na niego patrzą. Spojrzenia paliły jego skórę żywym ogniem. - Przepraszam - odezwał się cicho. - Ale nie może pan oskarżać wszystkich, jeśli winnych jest tylko kilku. To niesprawiedliwe. Dorośli zawsze o tym zapominają.

- I

- Nie przepraszaaj, miody człowieku. - Książę zszedł stopień niżej; głos miał już całkowicie opanowany. - Nie przepraszaaj nigdy za to, że mówiłeś z pasją. W takich emocjach jest szczerłość.

Długo mierzył wzrokiem Fowkesa, nim znów się odezwał:

- Zdaje się, że nie mam wyboru. Muszę wam uwierzyć.

Fowkes wypuścił powietrze z płuc; najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Muszę wiedzieć, gdzie mieści się siedziba Rady Wewnętrznej, wasza wysokość. Siedemnaście lat to bardzo długo, a kiedy St John przejął władzę, na pewno przeniósł siedzibę w nowe miejsce. Wasi szpiedzy pewnie je wytropili.

- Jest w Starym Mieście. Na Charter's Lane.

Fowkes uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście.

- Zdaje się, że to największy z budynków, z frontem od południa.

- Wierti. Dokładnie w tym samym miejscu w Gdzieświe-cie stoi Dom Telluriów.

Książę Regent wrócił na swój tron.

- Musicie przywrócić honor Zakonu i odbić Opowia-daczkę. Udowodnijcie, że proroctwo kłamie.

Fowkes kiwnął głową.

- Przynajmniej co do tego się zgadzamy, wasza wysokość.

- Jeszcze jedno. To może cię zainteresować. - Książę skrzyżował nogi i rozsiadł się wygodnie na wielkim złotym tronie. - W mieście jest Mag. Tyle razy mi o tym donoszono, że musi to być prawda.

- Nie wiem, co Mag może mieć wspólnego z tą spra... -Ryk gromu przerwał Fowkesowi w pół słowa. Wszyscy odwrócili się do okna.

- Magowie potrafią cofać starzenie - powiedział Książę po dłuższej chwili. - Jeśli uda wam się odnaleźć tego Maga, może będziecie mieć jakieś szanse.

Finmere stracił oddech. Cofać starzenie...? Ted nic o tym nie wspominał. Fowkes wydawał się ogłuszony. Najwyraźniej dla niego też była to nowina.

Książę westchnął ciężko.

- Najważniejsze jest teraz bezpieczeństwo Pięciu Odwiecznych Historii. To

najwyższy priorytet. Póki są bezpieczne, żaden Mag nie zagrozi naszym światom. -
Przyjrzał się po kolei całej ich piątce. - Nic nie może być ważniejsze od historii. Nawet
sama Tova.

Pochylił się i nieoczekiwanie męskim gestem oparł ręce na kolanach.

- Ja też ją kochałem, wiesz? Bardzo dawno temu. Ale inaczej niż Baxter,
postąpiłem tak, jak musiałem. Ukryłem moją miłość w sercu. - Odwrócił głowę w stronę
okna, za którym szalał żywioł. - A teraz odejdźcie.

Póki nie przebrzmiało echo kroków, Regent trwał w tej samej pozycji i z tym samym
wyrazem twarzy. Dopiero kiedy drzwi zamknęły się z hukiem i został całkiem sam,
ściągnął z głowy ciężką perukę i rzucił ją na podłogę. Skóra pod krótko przyciętymi
kręconymi włosami swędziała, ale nie zwracał na to uwagi. Opuścił głowę i oparł ją na
rękach. Z oczu popłynęły bezgłośnie wielkie łzy, złościąc w warstwie białego makijażu
bruzdy, w których ukazała się skóra w kolorze czekolady.

Po chwili rozprostował wytworne ciało, podniósł głowę i popatrzył na witrażowe
okna pod sufitem. Nikt o nich nie pamiętał - poza tymi nieszczęśnikami, którzy co noc,
kiedy cały dwór spał, musieli wspinać się tak wysoko i myć kolorowe szybki. Westchnął;
żałował, że łzy nie zmyły mu wzroku, by nie widział tak wyraźnie historii, którą
opowiadały witraże. Zresztą - nie musiał widzieć; patrzył na nią przez tyle lat, że zdążyła
wypalić się na dnie oczu. Nosił ją tam i mógł przywołać w każdej chwili: historię Wieku
Oświecenia, w którym wygnano Magów, historię klątwy rzuconej na króla, który kazał
powiesić Maga na Smithfield tylko dlatego, że chciał zająć jego dom.

Zamyślił się na chwilę nad ogromem niesprawiedliwości, jaką jego przodkowie
wyrządzili Magowi, i nad tym, że trzeba za nią płacić do dziś. Od stu lat na jego rodzimym
ciąży klątwa, a za dwa lata upomni się o niego samego. „Szaleństwo królów”. Gdzieś w
odległym skrzydle pałacu ojciec Regenta tańczył, śpiewał i toczył pianę z ust - jak
przystało na obłąkańca, którym stał się w dniu czterdziestych urodzin. Tak jak wcześniej
jego ojciec i ojciec jego ojca...

Szkoło jarzyło się jaskrawymi kolorami, jakby chciało zmusić go, by odwrócił wzrok.
Ale Regent patrzył uparcie. Czy naprawdę na to zasłużyli? Czy to w ogóle jest klątwa?
Miał nadzieję, że jeśli nie spłodzi dzieci, uda mu się wyrwać z mocy pradawnej magii.
Ale w tym momencie, kiedy stał niski i kruchy w wielkiej sali, z głową rozpaloną od

ciężaru peruki, którą musiał nosić, decyzja z młodości wydawała się nierozsądna. Jeśli naprawdę nadchodzą mroczne czasy, Nigdzieświat będzie potrzebował silnego króla albo przynajmniej silnego regenta. Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu ośmiu lat życia Księżę usłyszał tykanie zegara w swoim ciele. Brzmiało jak bomba zegarowa.

Niemal biegli przez pałacowe korytarze, chcąc dotrzymać kroku Fowkesowi.

- To co robimy? - rzucił Fin bez tchu. - Idziemy do siedziby Rycerzy?

- Właśnie się zastanawiam. Czas jest przeciwko nam. Musimy tam iść, jeśli mamy uratować Tovę, ale nie mamy szans pokonać St Johna i całej Rady bez pomocy Maga, więc jego też trzeba poszukać.

Finmere znalazł tylko jedną odpowiedź.

- Musimy się rozdzielić. W ten sposób zrobimy jedno i drugie.

- Nie. Nie mogę się na to zgodzić. - Fowkes patrzył w ziemię. - Nie pozwolę wam płątać się samym po Londynie. To szaleństwo, przecież Golden i jego opryszki już was szukają. A wy nigdy nie znajdziecie tutaj tego Maga.

- Ale ja nie jestem z Gdzieświata - odezwała się Mona. Fowkes się zatrzymał. - Znam Londyn jak własną kieszeń. I wiem co nieco o Magach. Ojciec opowiadał mi o nich, gdy byłam mała. Prawie tak często, jak mówił o tobie i o Baxterze.

- Jeśli Fin da mi dwustronną monetę - włączył się Christopher - mogę iść z Moną. Kiedy znajdziemy Maga, wrócę do naszego świata przez wrota i zaniosę lek do Domu Telluriów.

Fowkes patrzył to na niego, to na Monę.

- A jeśli go nie znajdziecie?

Christopher wzruszył ramionami. Był wciąż dziwnie poważny i przez cały ranek niemal się nie odzywał, zupełnie jak nie on.

- Jeśli go nie znajdziemy, to siedzimy po uszy w gównie. Księżę ma rację, najważniejsze to zabezpieczyć historię.

- A poza tym - Mona podparła się pod boki - znajdziemy tego Maga. W całym Londynie jest tylko jedno miejsce, w którym może schronić się Mag, zwłaszcza kiedy zaczyna się coś tak rzadkiego i dziwnego, jak czarna burza.

Spojrzeli na nią wszyscy, nawet Fowkes. Mona przewróciła oczami.

- No, chyba to oczywiste?

- Jasne. - Fowkes odetchnął po chwili.
- Opactwo Zachodniominsterskie - powiedzieli z Moną jednym głosem.

Finmere dał Christopherowi monetę i część pieniędzy, a potem stanął obok Joego i Fowkesa pod osłoną wielkiego kamiennego portalu u wejścia do pałacu i patrzył, jak Christopher i Mona wybiegają przez wysoką kutą bramę. Deszcz lał z nieba strugami, rozpryskiwał się na powierzchni wielkich kałuż i bębnił w ziemię.

- Dadzą sobie radę? - zapytał Joe.

Fin nie odpowiedział. Dziwnie było tak się nagle rozłączyć. Znów przypomniał sobie, jak poważna jest sytuacja, i po raz kolejny ujrzał przed oczami twarz umierającego sędziego.

Czy jeszcze kiedyś zobaczą Christophera i Monę? Serce podeszło mu do gardła. Nie wolno tak myśleć: po pierwsze, to w ogóle niewyobrażalne, a po drugie... takie myśli na pewno nie pomogą.

Kiedy przyjaciele zniknęli za rogiem, w duszy życzył im powodzenia.

Odwrócił się do Fowkesa.

- My chyba też powinniśmy iść.

Fowkes się uśmiechnął.

- Pójdziemy krótszą drogą.
- To znaczy? - chciał wiedzieć Joe.

Mężczyzna popatrzył na Fina.

- Czas, żebyś nauczył się posługiwać swoim mieczem.
- Ale to jest miecz sędziego i... - zaczął Fin, czując, że coś kłębi mu się w żołądku.
- Już nie. Teraz jest twój. Nie dostałbyś miecza, gdyby Ted nie chciał, żebyś go używał. A poza tym musisz to wszystko opanować, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Fin wolał nie myśleć o takiej możliwości, ale musiał przyznać mu rację.

- Dobrze - zgodził się po chwili.
- Dorosły mężczyzna potrzebuje zwykle kilku tygodni, żeby dojść do wprawy, więc nie podniecaj się za bardzo, bo może nic z tego nie wyjść.

- Fin sobie poradzi - oświadczył Joe. - Wszystko mu się zawsze udaje.

Finmere chciałby czuć się chociaż w połowie tak pewny siebie. Wydobył miecz z pochwy; złote ostrze zaśniło jak słońce na tle ciemnej ściany deszczu. Kolejny grom

przetoczył się nad ich głowami.

- I co teraz?

Rycerz pociągnął obu chłopców w kąć sklepionej bramy, gdzie nie mogli ich zobaczyć strażnicy, którzy pomimo pogarszającej się pogody dzielnie próbowali ćwiczyć niezadowolone konie.

- Trzymaj miecz w gotowości, o tak. Obiema rękami, przynajmniej na początek. - Pokazał, popychając ręce Fina, żeby ustawił miecz prosto, równoległe do ziemi. - A teraz musisz pomyśleć o jakimś miejscu w Gdzieświecie. Takim, do którego bezpiecznie możesz się przeciąć.

- Na przykład o Domu Telluriów?

- Nie, o nim akurat nie. Wygląda na to, że St John Golden już posłał tam swoich zbirów. Pomyśl o innym miejscu: takim, gdzie nikt nas nie zobaczy. To najważniejsza reguła podróży: mieć to miejsce w głowie. Musisz je wyraźnie widzieć, nie tylko zobaczyć. Musisz znać jego dźwięki i zapachy.

Pochylił się i spojrzał Finowi w oczy.

- Jeśli nie będziesz miał tego miejsca w głowie, szczelina może się otworzyć gdziekolwiek, a to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba. Więc namyśl się, zanim wybierzesz, dobrze?

- A czy to nie wszystko jedno, gdzie się zrobi ta szczelina, póki to będzie w Londynie? - Joe oparł się o ścianę.

- A jeśli otworzy się na pasie szybkiego ruchu obwodnicy? Albo w tunelu metra, tuż przez pociąg? Po pierwsze, coś nas może rozjechać, a po drugie, to nie byłoby dobre dla żadnego ze światów.

Serce podskoczyło Finowi do gardła.

- Przestań! Teraz nie mogę sobie wyobrazić nic poza Piccadilly Circus!

- Spróbuj zamknąć oczy.

W ciemności Fin uspokoił się nieco i zaczął gwałtownie szukać pomysłu w opustoszałej nagle głowie. Na pewno zna jakieś bezpieczne miejsce. Zgrzytnął zębami. Dom pani Baker odpadał: Rycerze już o nim wiedzieli. W St Martin's nie było żadnych odosobnionych ani spokojnych pomieszczeń, może poza toaletami - ale od razu wyobraził sobie, co by się działo, gdyby wszyscy trzej pojawili się w kabinie, w której

przypadkiem ktoś siedzi.

Kiedy już zaczął być na siebie porządnie zły, coś nagle przyszło mu do głowy.

- Mam. - Nie otworzył oczu, żeby nie stracić koncentracji. - Tylne rzędy półek w księgozbiornym podręcznym w bibliotece w Eastfields.

- W porządku. Teraz wyobraź sobie, że tam jesteś - polecił Fowkes. - Musisz się poczuć, jakbyś naprawdę tam był.

Fin mocniej zacisnął powieki. Widział grzbiety książek, a na nich małe kwadraciki papieru z sygnaturami przyklejone dwa centymetry od brzegu. To było ciche i spokojne miejsce; przychodził tam, kiedy Joe siedział w kozie albo kiedy chciał pobyć sam, zwłaszcza w pierwszym roku nauki w Eastfields. Siadał wtedy na wykładzinie, która pachniała dziwną mieszanką kurzu i płynu do czyszczenia, i na drogocenne pół godziny pogrążał się w lekturze.

- Jestem tam - szepnął.

- A teraz najtrudniejsze. - Oddech Fowkesa łaskotał go w ucho. - Musisz zostać w tym miejscu, ale jednocześnie wyczuć prąd w mieczu.

- Prąd?

- Nie wiem, jak inaczej to opisać. Miecz dostosowuje się w jakiś sposób do wibracji w warstwach światów. Musisz je wyczuć, a wtedy przejście samo się otworzy.

Fin tak mocno ścisnął rękojeść spoconymi dłońmi, że zaczynały go już boleć mięśnie ramion. Może nie da rady. Może nie będzie potrafił. Odpędził wątpliwości, pomyślał o bibliotece i wzmocnił uchwyt. Równocześnie wyobrażał sobie miecz obosieczny jako część swojego ciała, przedłużenie rąk, a jego szpic jak opuszki własnych palców. Starał się zobaczyć, jak nerwy się wydłużają, jak oplatają ostrze... mijały minuty...

- Czuję - szepnął nagle bez tchu. Poczował falę mrowiącego gorąca na skórze, a potem głęboko w kościach i uśmiechnął się. Łaskotało. Zapominając o obecności Fowkesa i Joego, zatracił się w tym wrażeniu. Przebiegało przez głowę, narastało, wibrowało w zębach, spłynęło do stóp, ciepłe i ciekawskie, jakby go badało. Przed oczami miał ściany czytelnicy.

- Powiedziałem, że czuję - powtórzył. Odpowiedziało mu milczenie.

- Wiemy - odezwał się wreszcie Joe i Finmere otworzył oczy.

- Szybko się uczysz. - Fowkes znów patrzył na niego dziwnym wzrokiem, tak jak

w białym pokoju Opowiadaczki, ale Fin niemal nie zwrócił na to uwagi. Otworzył usta.

- Zrobiłem to.

Tuż przed nim widniał czarno-biały, ziarnisty jak fotografia obraz: regał z książkami. Rozpoznał kilka tomów; leżały nieczytane od lat. Był to - ni mniej, ni więcej- ostatni rząd półek w czytelni biblioteki szkoły Eastfields.

- Ale czad. - Joe błysnął zębami.

Fin również odpowiedział mu uśmiechem.

- Nawet nie wiedziałem, że mi się udało.

- Chyba nikogo nie ma w pobliżu. - Fowkes zajrzał w szczelinę. - Chodźcie szybko, Fin może nie utrzymać przejścia.

Łaskoczące wrażenie przepływało teraz falą lekkich wstrząsów od czubka miecza do ciała Fina i z powrotem. Wydawało się całkiem mocne. Gdzieś głęboko w środku wiedział, że jeśli będzie trzeba, potrafi utrzymać szczelinę otwartą przez całe wieki. Nie czuł już nawet ciężaru miecza i zdjął jedną dłoń z rękojeści.

- Jesteście gotowi? - zapytał.

Joe zrobił krok naprzód.

- Jak tu wejść, to mogę wyjść po drugiej stronie jako dziadek, tak?

- Takie jest ryzyko. Nie będę udawał, że nic nam nie grozi. Ale... - uśmiechnął się szeroko - przynajmniej człowiek czuje, że żyje.

Spochmurniał.

- Kto jak kto, ale ja coś o tym wiem. Od lat czuję się trupem.

Joe spojrzał na Fina.

- Dobra, mogę zaczynać.

Fin nie był zaskoczony. Joe nigdy nie rezygnował.

Fowkes podszedł do szczeliny.

- Co będzie, to będzie - powiedział Finmere cicho. Mężczyzna gwałtownie odwrócił głowę.

- Co ty...

Reszta zdania przepadła w szczelinie. W tej samej chwili Fowkes pojawił się po drugiej stronie.

Fin i Joe spojrzeli na siebie, wzięli głęboki oddech i razem przeszli ze świata do

świata.

Dziwnie było znaleźć się znów w Eastfields po czasie spędzonym w pełnym dziwów Nigdzieświecie. A jeszcze dziwniejszy był widok ociekającego czarnym deszczem Fowkesa wśród obszarpanych książek o zoologii. Obosieczny miecz też wydawał się nie na miejscu. W bibliotece panował mrok, jedyne światło dochodziło z wyjścia ewakuacyjnego. A więc w Gdzieświecie była teraz noc. Fin rozejrzał się po znajomym pomieszczeniu, które wyglądało tak obco. Od podróży między światami Rycerzom rozregulowuje się chyba rytm dnia, jak po locie między strefami czasowymi: nie wiadomo, czy pora iść spać, czy wstawać? Zegarek Fina znów wesoło tykał. Wskazywał kwadrans po trzeciej - na pewno w nocy - ale która to noc? Ta sama, w której wyruszyli do Nigdzieświata, czy inna? Jeśli inna, to ile nocy minęło? Ciekawe, czy kiedykolwiek się w tym połapie.

Joe skończył oglądać dłonie w poszukiwaniu plam i zmarszczek.

- Dobra, udało się - szepnął. - A co teraz?

Fowkes nie spuszczał wzroku z Fina.

- Zanim przeszliśmy, powiedziałeś: „Co będzie, to będzie”?

Finmere zdążył o tym zapomnieć.

- To tylko takie powiedzenie. Pewnie gdzieś to przeczytałem. - Pamiętał, że te słowa pojawiły się w jego głowie, kiedy ostatni raz był u pani Baker i szukał butów pod łóżkiem, a jego ręka na chwilę zrobiła się jakaś dziwna. Pod spojrzeniem Fowkesa czuł się niezręcznie i nie wiedział, co powiedzieć. „To wylazło z takiej czarnej dziury, którą mam w głowie, ale spoko, już ją zamknąłem”. Nikt by tego nie zrozumiał.

Przecież nawet on sam nie miał pojęcia, o co w tym chodzi. Czas zmienić temat. Obejrzał się na szczelinę. - No właśnie, co teraz?

Rycerz milczał przez chwilę.

- Zamknąć przejście jest łatwiej niż otworzyć, chociaż z otwarciem też nie miałeś problemów. Wystarczy je odmyśleć.

- Odmyśleć? - zdziwił się Joe.

Fin wiedział doskonale, o co chodzi Fowkesowi. Wiedział też, że to jeszcze prostsze: musi tylko przerwać połączenie z mieczem. Wziął głęboki oddech i wypchnął uczucie laskotania z czubków palców w metal. Po chwili rękojeść i spocona dłoń się rozdzieliły.

Potrząsnął ręką, żeby pozbyć się resztek mrowienia. Szczelina zamknęła się, jakby ktoś niewidzialny zasunął zamek błyskawiczny.

- Ale faaaajnie - westchnął Joe. - Ja też tak chcę!

- Wszystko w swoim czasie - mruknął Fowkes. - Nie zgodziłbym się, żeby Fin się tego uczył, gdyby nie miał już miecza. Można być jeszcze za młodym.

- Mówisz? A ja myślałem, że za starym.

Fowkes zaśmiał się głośno, ciepłym, gardłowym śmiechem. Fin był zaskoczony. Wcześniej nigdy mu się to nie zdarzało. Jak dotąd głównie zrzędził i patrzył spode łba.

- Może i masz rację, Joe. - Wyciągnął własny miecz. -A teraz zobaczymy, czy jeszcze to potrafisz.

- Hm - odezwał się Joe. - A dlaczego od razu nie przenieśliśmy się do tamtego domu, skoro wiesz, gdzie to jest? Przecież wystarczy ciachnąć?

- Musiałem się przekonać, że będziecie umieli wrócić. -Fowkes patrzył na swój miecz. - I musiałem się upewnić, że cokolwiek się stanie, Zakon przetrwa.

Fin spojrzał na ciemną, ściągniętą niepokojem twarz.

- Skoro tak bardzo zależy ci na Zakonie, to czemu odszedłeś? Dlaczego zniknąłeś? Mężczyzna westchnął.

- Czasem może zależeć za bardzo.

- To bez sensu.

- Dla mnie nie. - Fowkes wzruszył ramionami. Kiedy podniósł ostrze, purpurowy klejnot zaślnął tajemniczo w mroku zwyczajnego wnętrza biblioteki. - Zresztą, z tym już koniec. Wszystko się już skończyło.

Jego oczy zamgliły się i straciły blask. Wciągnął głośno powietrze i jednym ruchem miecza przeciął granicę między światami. W ziejącej jak rana szczelinie pojawił się bezkrwisty kawałek Nigdzieświata.

- Chodźcie, zanim ktoś nas zauważy.

Żaden z nich nie obejrzał się na ostatni rząd półek w czytelnicy biblioteki Eastfields. Fowkes poprowadził ich z powrotem ku wielkiej przygodzie.

Ciepłe strugi smagnęły twarz Fina jak bicze, aż na chwilę stracił oddech. Deszcz wzmógł się wyraźnie, chociaż nie było ich tylko kilka minut. Nie musieli czekać na prognozę pogody: wszystko wskazywało na to, że nadciąga burza.

Kiedy tylko Joe przelożył stopę przez szczelinę, Fowkes zamknął przejście. Sekundę później przemknęła obok nich przysadzista kobieta w przemoczonym bawełnianym czepku i mokrej szarej sukni. Niosła w ramionach wielki kłęb upranych ubrań i mamrotała coś pod nosem.

- To tam. - Fowkes pokazał budynek po drugiej stronie ulicy. Fin osłonił oczy przed błotnistym deszczem, żeby lepiej się przyjrzeć. Dom, duży i solidny, wyróżniał się wśród wąskich, krzywawych kamieniczek. Front pokrywała siatka ciemnych belek różnych wielkości i kształtów, zupełnie jakby budowniczy z czasów Tudorów nie wiedział, kiedy przestać. Okna na parterze były ciemne; Fin miał wrażenie, że wypełniono je błotem.

- Wygląda, jakby stał pusty - stwierdził. - A ten parter? Co się stało?

- Nic. W tej części miasta nie ma normalnych okien - wyjaśnił Fowkes. - Szkło znika, więc ludzie przestali wprawiać szyby. Zamiast tego zamurują okna, żeby nie dostali się włamywacze.

Pokiwał głową.

- Chociaż w tym miastku włamywacze też nie mają szyb w oknach, więc zazwyczaj jest rozejm.

Po raz kolejny Finmere zamyślił się nad zagadkami Nigdzieświata. W pałacu było mnóstwo szyb - tutaj żadnej. Gdzie w tym logika? Joe westchnął. Pewnie on też nie może tego ogarnąć.

Przebiegli przez błotnistą ulicę i zatrzymali się pod pokrytą szorstkim tynkiem ścianą. Fowkes podniósł głowę.

- Musimy się dostać na drugie piętro. Oby nikogo tam nie było. - Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, dlaczego nie ma straży. Spodziewałem się przynajmniej jednego Rycerza przy drzwiach.

Fin zastanowił się, co by wtedy zrobili. Pomyślał o tamtym Rycerzu, o George'u Porterze, i o tym, jak wrzucili go do bezdennej studni. Ciekawe, czy wciąż jeszcze spada...

- Może wszyscy wyszli, bo nas szukają - powiedział, chociaż nie brzmiało to szczególnie pocieszająco. Podobnie jak odpowiedź Fowkesa.

- Albo trzymają Opowiadaczkę gdzie indziej.

- A dlaczego nie przeciąłeś się od razu do środka? - zapytał Joe. - Przecież tak byłoby łatwiej. I bardziej sucho.

Fowkes podciągnął się na belce i zaczął wspinać.

- Nigdy nie byłem w środku, więc nie mogę sobie tego wyobrazić. No, chodźcie - burknął. - Nawet w Nigdzieświecie ludzie robią się podejrzliwi, jak widzą trzech gości włączających do domu po ścianie.

Finmere, o dobrych kilka centymetrów niższy od Fowkesa i Joego, musiał stawać na czubkach palców, żeby dosięgnąć kolejnych belek. Na szczęście belek nie brakowało. Chaotycznie rozrzucone, oplatały cały budynek jak treliaż wykonany przez szalonego ogrodnika.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Fowkes przekłada już nogę nad parapetem okna i ostrożnie odsuwa zasłonę czy cokolwiek, co chroniło wnętrze komnaty przed deszczem. Zniknął im z oczu; obaj chłopcy wstrzymali oddech.

- Szybko! - syknął, wychylając się po chwili.

Finmere pokonał kilka ostatnich metrów dzielących go od okna. Rycerz wciągnął go do środka, a po chwili bezpiecznie dołączył do nich Joe. Rozejrzeli się, wciąż jeszcze zadyszani. W ściennych uchwytych płonęły świece, nierówną podłogę zamiast dywanu pokrywały łodygi jakichś roślin.

- Aha, więc to są trzciny - mruknął Fin do Joego. - Może wezmę kilka i zaniosę Settle'owi zamiast wypracowania.

Przy jednej ze ścian stało drewniane łóże z baldachimem. Grube zasłony były rozsunięte.

Na dole huknęły drzwi i rozległ się tupot nóg na schodach. Fowkes pociągnął chłopców za wiszącą przy oknie tkaninę, ale kroki minęły drzwi do komnaty i się oddaliły. Ktoś pobiegł wyżej.

- Nieźle to wyliczyliśmy - wymamrotał mężczyzna. Słuchali z podniesionymi głowami, jak ktoś w ciężkich

butach wchodzi do pomieszczenia nad ich głowami i się zatrzymuje. Skrzypnęło odsuwane krzesło.

- No, przynajmniej wiemy, gdzie są - powiedział ściszym głosem Fowkes. - Zaskoczmy ich, co wy na to?

Nie jesteś wybitnie rozmowny, co? - Mona zerknęła na Christophera spod swojej połowy parasola. Zignorował ją i dalej patrzył wprost przed siebie.

- Trochę to dziwne, skoro sam się zgłosiłeś, że chcesz szukać Maga. Powinieneś bardziej się cieszyć. Mnie to kręci. Nigdy nie widziałam prawdziwego Maga. - Uśmiechnęła się do niego. Mimo posępnego nastroju, który towarzyszył mu przez cały dzień, Christopher poczuł ciekawość.

- Magowie są niebezpieczni?

Mona pociągnęła rączkę parasola; skręcili w boczną uliczkę.

- To zależy, co przez to rozumiesz. Potrafią czarować, a to chyba może być niebezpieczne. Dlatego przede wszystkim ich wygnano: bo umieli robić rzeczy, których nikt inny nie potrafił.

- Nie wierzę w czary - mruknął Christopher. Nad ulicami, którymi szli, wisiała niesamowita cisza, zupełnie jakby większość londyńczyków postanowiła nie wychodzić dzisiaj z domu. - To tylko triki i złudzenia.

Mona zmierzyła go wzrokiem.

- Może w waszym świecie. U nas nie - zawiesiła głos. -Przynajmniej mam nadzieję. Jestem pewna, że ludzie, którzy umieją oszukiwać w ten sposób, są o wiele bardziej niebezpieczni niż czarownicy.

Na długo przedtem, nim zbliżyli się do rzeki, Christopher czuł już w powietrzu jej zastały odór. Kiedy zaczęli iść wzdłuż nabrzeża, smród okrywającej wodę mgły był już nie do zniesienia. Chłopak zmarszczył nos i próbował oddychać przez usta.

- Jestem pewien, że cuchnie gorzej niż wczoraj.

- Pewnie tak. Przez ten deszcz mgła nie może się unieść, więc gęstnieje.

- I robi się jeszcze obrzydliwsza. - Przez jego głowę przemknęła myśl o skoku w mętne głębiny, w ziejącą zgnilizną pustkę. To pewnie najlepsze dla niego miejsce. Czuł się do niczego. Beznadziejny. Czy ktokolwiek zauważyłby jego brak? Czy jego zniknięcie wypłynęłoby na ich plany? A może już jest za późno? Zacisnął szczęki. Nie, nie zniknie. To byłoby za duże ułatwienie dla...

- Magowie zostali wygnani ponad sto lat temu. - Radosny głos Mony przerwał jego

gorzkie myśli. - I wiedzą, że powrót do miasta oznacza wyrok śmierci. Jeśli takiego złapią, natychmiast trafi na Smithfield.

Szli szybkim krokiem wzdłuż nabrzeża, żeby jak najprędzej być w Zachodnim Minsterze i uciec od odoru rzeki.

- Za co ich wygnali?

- Magowie byli jedną z najbardziej szanowanych grup w Londynie. Ludzie niemal ich czcili. Od zawsze należeli do Rady Królewskiej. Mieli siedzibę w opactwie Zachodniominsterskim, a dokładnie należało do nich całe miastko Zachodni Minster. Tam mieszkali ze swoimi rodzinami. Tuż nad brzegiem rzeki, bo Magowie nie boją się Tamizy Czasu. Tak jak Przewoźnicy. Podobno Przewoźnicy mają w żyłach krew Magów.

- Wyprostowała się dumnie pod parasolem. - Musieli być też w mojej rodzinie, skoro mogę bez trudu poruszać się po mieście.

Christopher pomyślał, że chociaż Magowie zostali wygnani, taka możliwość całkiem jej się podoba.

- Dlaczego Magowie tak bardzo różnią się od innych?

Mona wzruszyła ramionami.

- Nikt tego nie wie. Mój tata mówi, że byli tutaj pierwsi, na długo przed nami. Powiedział, że są aucho... - Zmarszczyła czoło, próbując przypomnieć sobie słowo.

- Autochtonami Nigdzieświata? - dokończył za nią Christopher. - Wiem, co to znaczy: że są rdzennymi mieszkańcami, tak jak Indianie w Ameryce.

Mona wyglądała na zdezorientowaną.

- Może i tak. W każdym razie tata twierdzi, że Magowie byli tu od zawsze, a reszta, to znaczy my, nie.

- A skąd się wzięła reszta ludności?

- Kto to wie? - Pociągnęła nosem i wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Może spoza miasta. Ale tak daleko nikt się nie zapuszcza poza Przewoźnikami, a oni też rzadko bywają dalej niż na Południowym Brzegu. Może wszyscy przyszliśmy przez wrota, jak wy.

- To znaczy, że pochodzicie z naszego świata? - Christopher otworzył szeroko oczy.

- Niekoniecznie. Jest więcej światów. Nigdzieświat jest najmocniej połączony z

waszym, ale z innych też coś do nas trafia. Pewnie mamy po trochu z każdego. Może dlatego my sami jesteśmy kiepscy w podróżowaniu.

- Bardzo amerykańskie - rzucił kpiąco.
- Bardzo jakie? - zdziwiła się Mona.
- Nieważne. Głupi żart.

Nagle pociemniałe złowieszczo niebo przeciął czarny piorun. Zatrzymali się przerażeni.

- Nigdy nie widziałem czarnej błyskawicy - powiedział bez tchu Christopher.
- Ja też - szepnęła Mona.

Nad ich podniesionymi głowami przetoczył się grom. Zadrżeli i przysunęli się bliżej do siebie. W miejscu, w którym piorun rozerwał niebo, otworzyła się szara próżnia. Christopher pomyślał, że gdyby popatrzył w nią dłużej, pewnie zaraz skreśliłby w stronę rzeki...

I nagle szara pustka zniknęła.

- Już prawie doszliśmy - odezwała się cicho Mona. -Opuszczone miastko Zachodni Minster jest za tamtym zakrętem.

Przyspieszyli, próbując uciec przed wszechobecnym deszczem.

- Dokończ mówić o Magach - odezwał się Christopher, chcąc wypełnić czymś ciszę.

- Przez jakiś czas było wszystko w porządku. Rodzina królewska i Magowie rządzą razem. Królowie cieszyli się, że mają Magów pod ręką, bo... no, bo umieli czarować i często się przydawali, i byli dobrymi ministrami. Ale potem pojawili się Rycerze, razem z historiami o rewolucjach, egzekucjach zdrajców, a nawet o mordowaniu królów, co oczywiście nie tłumaczyło tych odciętych głów czy bezgłowych ciał, które pojawiały się tu i ówdzie w dawnych czasach. Znaczący: jesteśmy przyzwyczajeni, że pojawiają się u nas dziwne rzeczy, ale jednak części ciała... to już jakby wstrząs. - Zrobiła pełną obrzydzenia minę. - Dobrze, że to się już nie zdarza.

Christopher się skrzywił.

- Do rzeczy, Mona.

Ulica, którą szli, zaczynała zakręcać.

- Dobra, dobra! - zirytowała się. - Nie bądź taki humo-rzasty, bo nic więcej ci nie

powiem!

- Przepraszam - wymamrotał.

- Wybaczam. - Mona uśmiechnęła się szeroko. - O czym to ja mówiłam? Aha. No więc pierwsi Rycerze opowiadali te wszystkie historie, i o paleniu czarownic też, i o tym, jak ludzie umierali za wiarę w jakąś istotę, której nawet nie widać, co mi zawsze pachniało czarami, i dlatego nie mogłam zrozumieć, czemu ci wierzący zawsze byli tacy cięci na czarownice. Ojciec próbował mi to wyjaśnić za każdym razem, kiedy opowiadał tę historię, tyle że on chyba też tego za bardzo nie ogarnia. No, ale w Gdzieświecie jest znacznie więcej przemocy niż tutaj, to pewnie dlatego ludziom trochę odbija.

Christopher patrzył na nią bez słowa. Rzeczywiście, religia opisana w taki sposób, jak zrobiła to Mona, wydawała się czymś dość dziwnym. Ale ludzie muszą przecież w coś wierzyć? Inaczej czują się... cóż, pewnie tak, jak on w tej chwili. Wiarołomny. Pusty. Żaden.

Mona, która nie miała pojęcia, w jakim nastroju jest Christopher, ciągnęła dalej:

- Po kilkuset latach królowie przestali ufać Magom i w końcu wygnali ich na Południe. Powiedzieli im, że w Nigdzieświecie nie ma już miejsca na magię i przesady.

- I nikt się nie sprzeciwił?

Mona pokręciła głową.

- Rodzina królewska wszędzie ma szpiegów, teraz też. Donoszą Księżciu Regentowi o wszystkim, co się dzieje w mieście. Są w każdym miastku, tylko nikt nie wie, kto jest szpiegiem. Król Joshua IV kazał szpiegom rozpuszczać plotki na temat Magów. Kiedy zostali wygnani, nikt w Nigdzieświecie ich nie żałował.

Christopher zastanawiał się, czy dorośli w ogóle mogą być przyzwoitymi ludźmi. Może tylko młodzi są uczciwi.

- To chyba nie był dobry król? - wymamrotał.

- Raczej nie - przyznała Mona. - Ale wiesz, jak to jest. Mój ojciec mówi, że tak właśnie rodzi się w ludziach nienawiść.

Zaczynają nienawidzić tego, czemu nie ufali ich rodzice. Z rodziną królewską pewnie jest tak samo.

Zamilkła na chwilę.

- Zdaje mi się, że kiedy w mieście istniała Magia, było tu o wiele zabawniej niż

teraz, w tym naszym wieku Oświecenia. Szkoda, że tego nie widziałam.

- A może ta rodzina królewska nie była zabawowa? - zasugerował Christopher.
- Może. Od stu lat ciąży na niej klątwa Magów, więc teraz już na pewno nie jest.

Skręcili za róg. Stopy Christophera zatrzymały się same. Widok zatkał mu dech w piersi. Sądził, że w Nigdzieświecie nic więcej go nie zaskoczy. W tej chwili zdał sobie sprawę, że od kiedy tu się znalazł, jest w stanie ciągłego zdziwienia. A to, co zobaczył teraz, przerosło wszystko.

Mona zatrzymała się także.

- Co jest?

Christopher wzruszył ramionami. Nie umiał znaleźć słów. Rząd szarych budynków urywał się wraz z ulicą. Tylko niewielki stos gruzu oddzielał domy od ugoru, który rozciągał się po prawej stronie.

- Po prostu... - Nie wiedział, co powiedzieć. - Tak nagle się zmienia...

Bruk pod jego stopami był ciemny, ze sporych, mocno startych kocich łbów. Z daleka wydawały się jedną płaszczyzną, ale z miejsca, w którym stali z Moną, wyraźnie mogli dostrzec poszczególne kamienie trzymające się uparcie ziemi mimo atakujących zewsząd chwastów i traw. Niektóre z bujnych, wyciągających się ku mrocznemu niebu roślin sięgały Monie i Christopherowi do kolan, a nawet wyżej.

Po lewej stronie Christopher zobaczył most, który wznosił się nad brzegiem, by natychmiast zniknąć w gęstej mgle jak samolot, kiedy nurkuje w chmurze. Chłopak zadygotał.

Teraz zrozumiał, dlaczego ludzie po wejściu na ten most wspinają się na barierę i skaczą do rzeki... Dusza zadrżała w nim na samą myśl, że mógłby znaleźć się na okrytym mgłą moście, iść nad falami, słyszeć szarpiącą nerwy melodię, jaką deszcz wygrywa na powierzchni. Nie wiedział, czego się boi. Może tak zaczyna się obłęd, o którym wspominała pani Harvey, szaleństwo, które przynosi mgła snująca się jak potworne macki nad opuszczoną częścią miasta? Może mgła dostrzegła w nim mrok i wzywa go do siebie? Odwrócił się od rzeki. Tak było bezpieczniej.

- Nikt nie chodzi do Zachodniego Minsteru. - Mona podniosła wzrok na wielki kamienny budynek, który, choć zniszczony, stał dumnie na zarośniętej chwastami ziemi, wznosząc w górę cztery spiczaste wieże; nadal imponujący pomimo wybitych okien i

wyrwanych z zawiasów drzwi. Jej głos nabrał dziwnej miękkości, jakby po raz pierwszy naprawdę przyjrzała się temu miejscu, zamiast jak zwykle pobiec gdzieś dalej, gdzie działy się rzeczy bardziej ekscytujące. Jakby ją samą ogarnął zmieszany z lękiem podziw.

- Dlaczego? - odezwał się po dłuższej chwili Christopher.

Mona wzruszyła ramionami.

- A po co? Większość ludzi nie podróżuje, nawet do sąsiednich miastek, bo za bardzo ich to męczy... - zamilkła; zrobili ledwie kilka kroków w głąb ugoru, a deszcz zaczął walić z nieba ze zdwojoną siłą. A może chodziło o martwość tego miejsca... -1 zdaje się, że...

Zawahala się lekko. Christopher miał wrażenie, że słyszy w jej głosie cień strachu.

- Większość myśli, że to przeklęte miejsce, że Magowie, odchodząc, otoczyli je jakimś czarem.

- Po tym, co mi powiedziałaś, wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak zrobili. - Starł z twarzy krople deszczu niesione przez wiatr. - A dlaczego nie przejęli go Przewoźnicy? Dla nich to byłoby chyba idealne miejsce.

Ruszył, ostrożnie stawiając stopy w mokrych butach między śliskimi pędami roślin.

- Przewoźnicy nie lubią mieszkać nad rzeką. Potrafią się przez nią przepawić, ale nie lubią tego zapachu. I chyba czują respekt przed Magami. Kto wie? Może spotykają ich na drugim brzegu, kiedy zapuszczają się za granice Południowego Londynu.

Jakiś cień przemknął między łodygami i zniknął w przerośniętym żywopłocie otaczającym obszar, który kiedyś był pewnie trawnikiem, ale teraz przypominał raczej dżunglę. W jej ostępach ukrywały się żyjące teraz w Zachodnim Minsterze stworzenia... takie jak to, które mogłoby być żukiem, gdyby nie fakt, że miało rozmiary małego kota. Christopher wbił wzrok w ziemię. Zbliżali się do otwartych drzwi wielkiej świątyni.

- To jaką klątwę rzucili Magowie na rodzinę królewską? - zapytał.

- Klątwę szaleństwa.

Nie zdawało mu się: Mona naprawdę przysunęła się bliżej. Rękaw jej kurtki muskał jego łokieć. I nie mówiła już tak głośno, tylko szeptała. Jeśli wcześniej była podekscytowana perspektywą spotkania z prawdziwym, żywym Magiem, teraz, kiedy już przybyli na miejsce, straciła zapał. Christopherowi to nie przeszkadzało. Nawet w tym ponurym nastroju nie miał nic przeciwko temu, że niemal się dotykają. W obecności

Mony nie czuł się swobodnie, jak Fin czy Joe. W środowisku naturalnym St Martin's dziewczęta nie występowały. Zaczynał tego żałować.

Zatrzymał się na najniższym stopniu schodów, których wspaniałość musiała niegdyś zapierać dech w piersiach. Ściany budowli wznosiły się na wysokość piętnastu metrów; znad wielkich płaszczyzn kamienia i szkła patrzyły w dół pokryte mchem, podejrzliwe oczy gargulców. Zmarszczył brwi. Wrota u szczytu schodów ziejące sterzącymi kawałami drewna przypominały gigantyczną czarną paszczę pełną połamanych kłów.

- Ten człowiek, u którego byliśmy w pałacu, to Księżę Regent, tak? Nie król.

- Aha. - Mona weszła krok wyżej, na kolejny nierówny, podziurawiony stopień, tak że była teraz niemal wzrostu Christophera. - Od czasu wygnania Magów wszyscy królowie popadają w obłąd, kiedy tylko skończą czterdzieści lat.

Wspięła się na sam szczyt schodów i zatrzymała w progu wrót. Christopher dołączył do niej, otrząsając i zamykając parasol.

- Ludzie pamiętali, kim kiedyś byli Magowie i co się potem z nimi stało. Wydaje się całkiem sensowne, że mogli rzucić klątwę na króla. Kto wie, może naprawdę rzucili. W jakimś sensie królowie są przeklęci, a tylko Magowie umieją czarować.

Odwrócili się oboje i wkroczyli w ciemność. Po obu stronach portalu stały dwa wielkie kamienne kandelabry sięgające Christopherowi do pasa. Na kamieniu wyryte były osobliwe znaki, jakby obce pismo, nieco już zatarte przez deszcze i wiatry.

- Więc wszyscy zostali wygnani z miasta, chociaż nie zrobili nic złego, tylko dobrze służyli królowi? - Metr przed nimi znajdowały się kolejne rozbite drzwi pod kamiennym łukiem. Christopher ucieszył się, kiedy do nich doszli. Bardzo chciał wreszcie odetchnąć czymś innym niż duszne, gęste powietrze o zapachu czarnego deszczu.

- Wszyscy poza jednym, który odmówił. Został stracony na Smithfield. Potem zniszczono wszystko, co należało do Magów: domy, w których mieszkali, i tę świątynię. Była symbolem ich potęgi.

- Zdawało mi się, że tutejsi nie mogą poruszać się po mieście? - Christopher pochylił się i wygiął, żeby przejść przez drugie wrota. Część drewnianych drzwi nie wiadomo jakim cudem trzymała się jeszcze zawiasów.

- Mogą, mogą - powiedziała z roztargnieniem Mona. Przedostała się do środka i

wyprostowała. - Tylko to dla nich bardzo nieprzyjemne, więc raczej tego unikają. Bardzo rzadko, kiedy stanie się coś naprawdę wyjątkowego, więcej ludzi wychodzi na ulice, jak wtedy w tej sprawie z Baxterem.

Gwizdnęła cicho.

- O rany, patrz!

Chociaż ściany pokrywały pędy bluszczu i innych roślin, które wpełzały do wnętrza przez powybijane okna, opactwo Zachodniominsterskie robiło o wiele większe wrażenie niż pałac Księcia Regenta, który odwiedzili dzisiaj rano. Może przez tę atmosferę ruiny, rozpadu i opuszczenia.

Christopher ostrożnie zapuścił się w głąb głównej nawy. Szerokie balkony z ozdobnie kutymi poręczami biegly w trzech rzędach wzdłuż ścian, podkreślając królewską rozległość niewiarygodnie wysokiego sklepienia. Gdzieś hen, nad ich głowami zatrzepotał spłoszony wejściem intruzów ptak.

Pod stopami rozciągała się jak olbrzymia szachownica posadzka z wielkich czarnych i białych płyt. W ścianach z kamiennych bloków osadzone były okrągłe metalowe tarcze z osobliwymi symbolami, które znali już z kandelabrow przy wejściu. Połamane szczątki zdobionych bogato stołów i krzeseł zaścielały całe wnętrze.

Christopher podszedł do jednej z metalowych tablic, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Nigdy wcześniej nie widział takiego metalu: mienił się jak macica perłowa, wszystkimi odcieniami błękitu, fioleto i bieli naraz. W skroni poczuł ból, w ustach smak miedzi. Odwrócił się od ściany.

Po przeciwnej stronie nawy Mona ze smutkiem na twarzy ustawiała krzesło.

- Mówiłaś chyba, że to u nas jest tyle przemocy. - Christopher mówił cicho, ale jego głos niósł się huczącym echem, jakby świątynia cieszyła się, że znów rozlegają się w niej dźwięki. Zatoczył krąg dłonią. - A to? Przecież to straszne.

Mona westchnęła.

- Nie mówiłam, że jesteście doskonali. - Spojrzała w górę. - W waszym świecie pewnie zabilibyście Magów. My ich tylko wygnaliśmy. Przynajmniej tyle.

- Aha, i to ma być w porządku? - Naprawdę wątpił, czy ludzie są zdolni czynić dobro. Nawet miłość nie zawsze jest dobra. Pomyślał o ojcu i poczuł skurcz w żołądku. Czy ojciec w ogóle go kocha? Dotąd sądził, że tak, mimo niezręczności, jaka między

nimi panowała, ale teraz nie był już taki pewien. Krew uderzyła mu do głowy. - Spójrz tylko! Jak ktoś mógł to zrobić?

Mona wzruszyła ramionami. Straciła całą pewność siebie. Christopher zastanawiał się, czy przypadkiem jej nie przeraził tą czerwoną rozpaloną twarzą. Nie potrafił powstrzymać słów, które wzbierały mu w gardle; musiał coś z siebie wypuścić, na przykład trochę złości.

- Patrz! - krzyknął. - To było wyjątkowe miejsce! I piękne! A ci, którzy je zniszczyli, nawet niczego stąd nie zabrali, jakby to wszystko było nic niewarte! Jesteście tak samo podli jak my! Magowie nie zrobili nic złego, a wy ich wykopaliście z miasta. Byli tutaj pierwsi: to wszystko należało do nich!

Mona nie patrzyła mu w oczy. Stała bez słowa, z rękami wbitymi w kieszenie.

Christopher nie wiedział, dlaczego właściwie na nią wrzeszczy. Przecież to nie ona zrobiła. Lubił Monę. Nie była królem, tłumem ani nawet jego ojcem. Wypuścił powietrze, rozluźnił ramiona i spojrzał dokoła, na ściany, posadzkę i wszechobecne rośliny.

- Dlaczego nie walczyli, Mona? - zapytał cicho. - Dlaczego oni nie walczyli?

- Sam się nad tym zastanawiam.

Głęboki głos o dziwnym, egzotycznym akcencie spłynął z góry, z jednego z balkonów. Wzdrygnęli się i podnieśli głowy. Z balkonu patrzył na nich mężczyzna w szerokiej purpurowej szacie, obwieszony srebrną i złotą biżuterią. W jego uszach wisały wielkie koliste kolczyki.

- Magowie mieli tak wielką moc i nie użyli jej. Pokornie przyjęli wyrok i odeszli. Postanowiłem pomścić tę krzywdę. To stało się moją obsesją. - Opuścił głowę. - Ale z zemsty nie może wynikać prawdziwe dobro.

Mona z trudem poruszyła otwartymi z zaskoczenia ustami.

- Czy jesteś Magiem? - wykrztusiła wreszcie.

Mężczyzna powoli skinął głową i pochylił się, ściskając dłońmi poręcz balkonu.

- Potrzebujemy twojej pomocy. - Christopher miał nadzieję, że kuta krata jest w lepszym stanie niż reszta budynku. Nie byłoby dobrze, gdyby Mag spadł teraz i roztrzaskał się na posadzce.

Ciemne, świdrujące oczy przyglądały im się jeszcze przez chwilę. Potem Mag zrobił

krok do tyłu i zniknął. Mona i Christopher czekali z łomotem serca, póki nie pojawił się na dole. Pojawił się... dosłownie - wyszedł ze kamiennej ściany kilka metrów przed nimi. Otworzyli oczy jeszcze szerzej.

- Widziałeś to? - szepnęła Mona bez tchu. - On naprawdę przeszedł przez ścianę? Christopher nie wiedział, co powiedzieć.

- Niemożliwe. - Nigdzieświat zaskakiwał go na każdym kroku, ale nawet po tym wszystkim Christopher nie potrafił uwierzyć w coś, co po prostu nie mogło się stać. To była kamienna ściana. Nikt nie może przejść przez blok kamienia. Z matematyki i fizyki był najlepszy: niezależnie od tego, co mu się wydawało, nie zamierzał zważyć w prawdziwość podstawowych zasad. - To jakaś sztuczka. To nie jest możliwe. - Nie spuszczał wzroku z ciemnej, pomarszczonej twarzy mężczyzny, który zatrzymał się przed nimi. - Jak to zrobiłeś?

- Może to magia. - Mona cofnęła się odrobinę. - On jest Magiem.

- Nikt nie potrafi przejść przez lity kamień. Po prostu nie.

Białe zęby Maga błysnęły w uśmiechu siatce zmarszczek.

- Możliwe że w tym przypadku masz rację, młody człowieku. - Machnął dłonią, na której nosił zbyt wiele pierścieni, żeby mogło to być wygodne. Fragment ściany, z którego się wyłonił, zniknął, a na jego miejscu pojawiło się sklepienie przejście prowadzące do kręconych schodów. Poruszył nadgarstkiem jeszcze raz i znów ukazały się kamienne bloki.

- To zakłęcie iluzji. Ta ściana nie istnieje. - Uśmiechnął się. - Jest tylko w waszych głowach.

- Świetne. - Mona była wyraźnie pod wrażeniem. - Może mnie tego nauczysz?

Ludzie mówią, że mam w żyłach krew Magów, bo umiem...

- Książę Regent powiedział, że potrafisz cofać starzenie -powiedział szybko

Christopher, przerywając Monie, nim zdążyła się rozpędzić.

Uśmiech Maga zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- A czemu chcecie odwracać starzenie? Czy Rycerzom brakuje mocy?

- Rycerze się zbuntowali. Porwali Opowiadaczkę. Musimy odmłodzić kilku starych Rycerzy w Gdzieświecie, żeby mogli z nimi walczyć. Inaczej... - zamilkł i przełknął głośno ślinę. - No, inaczej nie wiem, co się może stać. Na pewno coś bardzo złego. W

naszym świecie też pada ten czarny deszcz.

- W twoim świecie - sprostowała Mona. - Za przeproszeniem, ale ja jestem z Nigdzieświata. - Popatrzyła na Maga i zmarszczyła brwi. - A co ty w ogóle robisz w mieście?

Mag pochylił się i zgarbił, jakby opuściły go siły, i usiadł ciężko na szczątkach wyrzeźbionego z jednego kawałka drewna stołu, który kiedyś musiał być przepięknym meblem. Teraz, już od stu lat - odkąd ktoś wyłamał mu nogę - leżał bezwładnie na boku.

- Byłem głupcem - stwierdził wreszcie Mag głosem bez wyrazu.

Christopher i Mona wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się ani słowem.

- Przez całe życie słuchałem opowieści o Londynie, o mieście nad rzeką, które kiedyś było nasze. Przez całe życie słuchałem o ludziach, którzy nam je odebrali. Starsi mówili o nich z litością, ale ja się nad nimi nie litowałem. - Mag bezwiednym gestem wydobył z kieszeni sznurek lśniących paciorków i zaczął przesuwac je w palcach. - Chciałem, by cierpieli za to, że skrzywdzili i upokorzyli Magów. - Uśmiechnął się lekko. - Ale nie mogłem dokonać tego sam. Brakowało mi odwagi. I nagle, pewnego dnia, w naszej pustynnej cytadeli pojawił się posłaniec. Powiedział, że na Południowym Brzegu jakiś człowiek pyta o Magów. I jakby zadziałało Przeznaczenie, Starsi poslali mnie, żebym zbadał sprawę.

- Co mówił tamten człowiek? - Christopher przysiadł na stole obok Maga, który nawet nie odwrócił głowy zatopiony we wspomnieniach.

- Oczywiście powiedział wszystko, co chciałem usłyszeć. - Mężczyzna wydał z siebie krótki, cyniczny śmiech. - Obiecał, że się zemszczę. Obiecał, że Magowie wrócą do miasta potężniejsi niż kiedykolwiek. W zamian chciał tylko jednej rzeczy, jednej małej rzeczy.

- Co to miało być?

Smutne oczy mężczyzny wreszcie spotkały się ze spojrzeniem Christophera.

- Lustro. Nie zwykłe zwierciadło, tylko Inkarcerator, w którym żyją Prawdomówcy.

- To bez sensu - wtrąciła się Mona.

- Być może dla ciebie. Szczegóły nie są ważne. - Potarł podbródek. - Ważne jest to, że nareszcie przejrzałem na oczy. Uczyniłem straszną rzecz i muszę ją teraz naprawić.

Serce Christophera zaczęło walić jak młotem.

- Powiesz nam, jak cofnąć starzenie?
- Wyjaśnię, jak to zrobić. A potem może tego dokonamy.
- Świetnie. - Mona się uśmiechnęła.

Mag przyglądał mu się nieruchomym wzrokiem, od którego uśmiech na twarzy Christophera zamarł, nim zdążył się pojawić. Patrząc mu w oczy, chłopak czuł się, jakby zanurzał się coraz głębiej w czarnym, bezdennym oceanie duszy Maga. Mężczyzna nawet nie mrugnął.

- Twoja przyjaciółka musi poczekać na zewnątrz - odezwał się wreszcie. - To, co powiem, nie jest przeznaczone dla jej uszu.

Christopher skinął głową.

- Zaraz, zaraz...!
- Zrób to, Mona. Proszę - powiedział cicho i zdecydowanie.

Dziewczyna zawahała się, po czym cofnęła się o krok.

- No dobrze, skoro jesteś pewien. Ale będę tuż za drzwiami. Jakbyś mnie potrzebował, tylko krzyknij.

- W porządku.
- Trzydzieści minut - stwierdził Mag. - Tyle potrzebujemy. Oczywiście o ile postanowimy to zrobić.

Christopher usłyszał oddalające się kroki Mony. Zanim wyszła, na pewno się na niego obejrzała, ale nie odwrócił głowy. Całą uwagę skupił na Magu. Mężczyzna patrzył na niego poważnie, jak na dorosłego; Christopher domyślał się, co to znaczy.

- Cofnięcie starzenia ma swoją cenę, prawda?

Mag ze smutkiem pokręcił głową.

- Tak, mój przyjacielu. Jak każda rzecz, która jest coś warta.

Christopher usiadł przed nim ze skrzyżowanymi nogami.

- Więc mów. Jaka to cena?

Gdzie są Kane i O'Regan? - Conrad zdjął przemoczony płaszcz. Zza okna dobiegł huk gromu. - Zostawiłem ich tutaj. St John spiorunował go wzrokiem. - A gdzie jest reszta Rycerzy, których wzięłeś ze sobą? - Musiał przypomnieć Conradowi Eyre'owi, kto tutaj

dowodzi. Odwrócił się i gwałtownie wszedł do mniejszego pomieszczenia, nie zaszczycając nawet spojrzeniem bezużytecznego lustra. Przynajmniej w jego osobistej komnacie napalono w kominku.

Stanął tuż przy ogniu. Rozpaczliwie potrzebował czegoś, co przegnałoby to straszne uczucie zimna, które się w nim zagnieździło.

- Robią to, co im kazałeś. - Conrad pojawił się w komnacie z laptopem w rękach. - Rozszarpują to miasto na strzępy, żeby znaleźć Fowkesa i tych chłopaków.

- Posłałem Kane'a i O'Regana po Savjaniego. Mają go tu sprowadzić.

Conrad zamarł z palcami nad klawiaturą brzęczącego komputera.

- Księżciu Regentowi to się nie spodoba - powiedział cicho, nie podnosząc oczu znad ekranu.

St John potarł brodę. Czas ją przyciąć. Jeszcze dzień i zacznie wyglądać nieporządnie. Omal nie roześmiał się w głos. Gdzie spojrzął, coś było nie w porządku.

- Podobnie jak wiele innych rzeczy. - Przygryzł wewnątrz policzka. Księżę Regent to teraz najmniejsze z ich zmartwień.

- Ci się stało z łańcuchem?

St John czuł na plecach wzrok Conrada. Potrzebował chwili, żeby odzyskać swoje stalowe opanowanie: Ci ludzie należeli do niego od dawna, ich lojalność przetrwa. Zwłaszcza Conrada może być pewien. Wyprostował się, odwrócił i stanął oko w oko z młodym mężczyzną.

- Ukryła gdzieś swoje historie.

Cisza. Conrad odzyskał dech.

- Co takiego?! Myślałem, że...

- Nie ma ich w sobie. I nie jest już w stanie powiedzieć, gdzie są, więc pozwoliłem, żeby zgniła w więzieniu.

Nalał sobie puchar wina i wypił. Musiał oddać Conradowi sprawiedliwość, że nie odezwał się już, choć St John dobrze wiedział, o czym teraz myśli: że niezależnie od tego, gdzie są historie, nie powinni wypuszczać Opowiadaczki z rąk. Co gorsza, miał rację. Jak St John mógł do tego stopnia stracić kontrolę nad sobą? Wino było ciepłe.

Ależ jest głupi. Opowiadaczka to symbol - ludzie ją kochają. Mógł jej użyć, żeby zapewnić sobie pozycję przywódcy, kiedy już znajdzie miejsce ukrycia Odwiecznych

Historii. A znajdzie je na pewno. Musi je znaleźć. Wciąż czuł, jak w jego dłoniach rozplatają się losy świata. Teraz potrzebował bezpiecznego miejsca, w którym razem z Rycerzami przeczekają burzę. W grę wchodził jedynie Dom Telluriów.

- Musisz zebrać wszystkich - odezwał się cicho.
- Rozeszli się po całym Londynie! Nie zameldują się wcześniej niż za godzinę.
- W takim razie w ciągu tej godziny ściągnij Kane'a, O'Regana i Christiana

France'a. Jest przy wrotach, ze strażnikiem.

- Nie powinniśmy sobie darować...?

Ton wątpliwości w jego głosie zirytował St Johna. Może Conrad nie ufa już jego ocenie sytuacji... a może St John popada w paranoję. Rozkazy. Działanie. Tego trzeba, żeby Conrad zapomniał o swoich wątpliwościach. Kocha St Johna - na pewno. Będzie mu wierny, ale kilku innych lepiej się strzec. W końcu St John sam nauczył ich bezwzględności.

- Musimy odbić Dom Telluriów - zawiesił głos dla lepszego efektu. Potrzebowali spokojnej przystani, to jedno, ale, co równie ważne, ten plan uszczęśliwi jego Rycerzy. Już od pewnego czasu chcieli przejąć kontrolę nad Domem Telluriów, lecz odkładał to, aż będą mieć w rękach Opowiadaczkę i historie. Nie chciał, żeby do tego czasu padł na niego cień podejrzania. Poczł nagły skurcz żołądka i się przeraził. Sama myśl, że mógłby zawieść... Odpędził ją natychmiast. - Dzięki temu zyskamy więcej czasu, żeby znaleźć historie. - Z zadowoleniem przekonał się, że jego głos brzmi pewnie.

Conrad pokiwał głową.

- Nasi się ucieszą. - Coś zamigotało na ekranie laptopa. Zmarszczył czoło. - Mamy towarzystwo. Trzech ludzi.

Spochmurniał nagle.

- To niemożliwe.
- Co takiego? - St John nie chciał żadnych więcej niespodzianek. Ciało miał tak spięte, aż bolały go wszystkie mięśnie.

Conrad wskazał ekran.

- Idą po schodach. Jeden niezidentyfikowany, ale dwóch program rozpoznał na podstawie informacji o pierścieniach, które ukradłem z Domu Telluriów. Pierwszy to Fowkes...

- Doskonale. - St John się uśmiechnął. Wreszcie coś szło po jego myśli.
- Ale program mówi, że drugi to Baxter.

St John spojrział na trzy punkty na ekranie. Baxter nie żyje - wiedział to na pewno, chociaż nigdy nie odnaleziono ciała. Widział na własne oczy, jak tłum atakuje Rycerza na schodach. Zaczął przedzierać się do niego, żeby pomóc, ale natychmiast uświadomił sobie, jakie korzyści przyniesie mu śmierć Baxtera. Wrócił do swojego mieszkania w Gdzieświecie i przeczekał zamieszanie. Większość członków Rady wierzyła, że chciał ratować towarzysza; poparli go w wyborach, dzięki czemu został komandorem. Wątpił, czy nawet gdyby próbował, mógłby zrobić coś dla Baxtera. Atakowało go zbyt wielu rozwścieczonych ludzi.

Pojawiły się plotki, że to Opowiadaczka zabrała ciało i pochowała je w tajemnicy, żeby nikt nie mógł go zbezczęścić. Czarna burza, która nadeszła później i przez cały rok nękała Nigdzieświat, była wyrazem jej żalu i rozpacz. Tak mówiono w karczmach i kawiarniach, kiedy niebo zasnuwały chmury, a ludzie przypominali sobie o mrocznych czasach. Opowieści, bajki, legendy - tym żyje świat.

- Ktoś nosi pierścień Baxtera - powiedział wreszcie. - Interesujące.

Spojrział w kierunku drzwi. Pierścień Baxtera zaginął razem z ciałem. W jaki sposób Zakon go odzyskał?

- Przygotujmy się na powitanie gości.

Conrad ustawił się przy drzwiach i uniósł miecz. St John nie musiał patrzeć na ekran laptopa, żeby wiedzieć, gdzie są intruzi. Chociaż starali się iść cicho, stare deski podłogowe w sąsiednim pomieszczeniu skrzypiały przy każdym kroku.

Drzwi otworzyły się z rozmachem. St John się uśmiechnął.

Nad dachem wiekowego budynku przetoczył się grom. Gnieźdzące się pod okapem ptaki z trzepotem schroniły się głębiej między belkami. Gdzieś w mieście uderzyła czarna błyskawica. Christopher zastanawiał się, co się dzieje, kiedy w kogoś trafi: człowiek umiera na miejscu? Dusza mu czernieje? A może robi się cały odrętwiały, jak on teraz.

Siedzieli naprzeciwko siebie, obaj ze skrzyżowanymi nogami. Christopher błędził spojrzeniem po czarnych i białych płytach posadzki, czując na sobie pełen namysłu wzrok Maga. Ale nie chciał jeszcze rozmawiać. Musiał się zastanowić.

Skąd się tutaj wziął? Dotąd uważał, że to tylko przypadek - jest przyjacielem Finmere'a Tingewicka Smitha, i tyle. Możliwe że to był jeden z powodów, jednak im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wątpił, że cokolwiek stało się przypadkiem. Nie wiedzieli o tym, ale ktoś popchnął ich ku sobie tak, że się zbliżyli i stali przyjaciółmi.

Piekące łzy wypełniły oczy Christophera. Wszystko było kłamstwem. Wszystko. Został wykorzystany. To bolało.

Mag zauważył, co się z nim dzieje, ale nie zrozumiał.

- Masz wybór - odezwał się. - Nie można tyle oczekiwać od kogoś, kto dopiero zaczyna dorosłe życie. Prawdopodobnie nawet nie rozumiesz, o co tak naprawdę chodzi.

- Nie. - Christopher pociągnął nosem, opanował się i podniósł oczy. Mag powiedział, że z zemsty nie wynika nic dobrego, ale to, co zamierzał zrobić, nie było właściwie zemstą, raczej czymś odwrotnym. Próbował naprawić zło. Nie on je uczynił, ale wiedział, że jest jego częścią. Pragnął być taki jak Ted i dobrzy Rycerze. Pragnął mieć honor. Nie chciał, żeby, kiedy to wszystko się skończy, ktokolwiek wątpił, po czyjej stał stronie. To byłoby nie do zniesienia.

- Co się stanie, jeśli tego nie zrobimy?

Kolejny grzmot wybuchł tuż nad ich głowami, ale ani Mag, ani Christopher nawet nie mrugnęli. Zupełnie jakby na chwilę znaleźli się poza tą rzeczywistością.

Mag westchnął. Tym razem on opuścił wzrok na posadzkę.

- Kto wie? Może wszystko się skończy. A może nic się nie zdarzy. Ale ta burza... - zawiesił głos, jakby szalejący nad Nigdzieświatem wiatr porwał słowa. - Ta burza to zły omen.

Klasnął językiem o zęby; zabrzmiało to jak przedziwny, od wieków zapomniany język.

- Przed nami kłopoty.

„Przed nami”. To określenie nabrało nowego znaczenia. Christopher musiał się nad tym zastanowić. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie myślał o przyszłości. Horyzont czasu wyznaczały dla niego wakacje lub egzamin z łaciny. Nie myślał o latach życia - swojego życia - i o tym, że kiedyś się skończą. Miał ich tylko szesnaście. Żył chwilą. Miesiąc czy całe wieki - jeśli chodzi o przyszłość, nie widział różnicy.

- Gdybym mógł oddać własne, zrobiłbym to. - Mag pochylił się i zgarbił jeszcze

bardziej. - Oddam wszystko, co mam.

Christopher spojrział mu w oczy. W ich ciemnej toni zobaczył poczucie winy i wstyd, które kazały mu pomyśleć o tym, co widział w mieszkaniu Opowiadaczki, i znów zalała go czarna fala, a za nią wypłynęły na wierzch bunt, złość i ból, wymieszane razem. Czy tamto może być jeszcze gorsze? Nie może chyba czuć się gorzej niż teraz. Zdaje się, że Mag myślał to samo.

Poczuł się dziwnie bliski temu obcemu człowiekowi z innego świata. Miał wrażenie, że połączyła ich więź, jakiej nigdy nie odczuwał w kontaktach z własną rodziną. Spróbował się uśmiechnąć.

- Kto wie? Może i tak w czterdzieste piąte urodziny przejechałby mnie autobus. A trzydzieści dziewięć lat to całkiem sporo.

- Daj mi rękę.

Christopher z wahaniem posłuchał. W dotyku skóra Maga wydawała się sucha i popękana jak pustynna ziemia. Mężczyzna przesunął palcami wzdłuż linii na bladej, lekko spoconej dłoni chłopca.

- Musisz oddawać świadomie - szepnął.

- Co? Co widzisz? - Usta Christophera wyschły, serce skakało jak szalone.

- Żyłbyś długo. Osiemdziesiąt cztery lata. Osiemdziesiąt cztery. Kolejnych sześćdziesiąt osiem lat.

Zakręciło mu się w głowie. Nie umiał wyobrazić sobie, że ma dwadzieścia lat ani że ma pracę, żonę i w ogóle, nie mówiąc o zmarszczkach, skrzypiących stawach czy wnukach. Osiemdziesiąt cztery lata. Szmata życia.

- A jeśli to zrobię, umrę w wieku trzydziestu dziewięciu lat?

- W trzydziestym dziewiątym roku życia, tak. Christopher wzruszył ramionami.

- To całkiem sporo - powtórzył.

- Kwestia perspektywy. - Mag puścił jego dłoń. Dwadzieścia trzy lata życia - to wydawało się jednocześnie bardzo długo i naprawdę niewiele. Zemdliło go, ale podjął już decyzję.

- Ilu będziemy w stanie cofnąć? - Patrzył na twarz Maga i myślał o głębokich zmarszczkach, które ją pokrywały. Nagle dotarło do niego, że sam ich nie doczeka.

Dziwne uczucie - ale nie tak straszne jak ohydny wstyd, który wypalał mu wnętrza.

- Trzech.

- Och.

- Trzech wystarczy. - Mag uśmiechnął się i wydobyl spomiędzy fałd jedwabnej szaty szklaną flaszkę w futerale ze srebrnego filigranu. Wyjął korek i ostrożnie postawił butelkę między sobą a Christopherem na czarnej kamiennej płycie. Z innego zakamarka odzieży wyciągnął niewielką brązową sakiewkę, rozwiązał sznurek i wysypał garść metalicznie lśniących woskowych świec w dziwnych kolorach. Były krótkie i grube, ale każda innej wielkości.

Christopher przełknął ślinę.

- Będzie bolało?

- Nie. Nie będzie. - Mag podniósł oczy. - Wprowadzę cię w trans. Kiedy się ockniesz, flaszka będzie pełna. Zatkaj ją mocno i szybko zanieś tam, dokąd masz pójść. Zawartość rozdziel równo między wszystkich trzech. Rozumiesz?

- Tak. - Christopher był zaskoczony. - Ale dlaczego teraz mi o tym mówisz?

Mag pochylił się i ścisnął jego dłoń.

- Bo potem już mnie nie będzie. Będę martwy. - Uśmiechnął się znowu. - Daję wszystko, co mam.

Christopher stracił oddech. Mag wspominał o tym wcześniej, ale wtedy go nie zrozumiał: myślał, że... stanie się po prostu starszy.

- Jesteś pewien? Nie możesz...?

- Cśśś, młody człowieku. Muszę to zrobić, żehy odpokutować za moje straszne błędy i za to, że przeze mnie ty też musisz płacić.

Christopher znów poczuł, że pod powiekami zbierają się łzy. Nie przypuszczał, że wypadki tak się potoczą. To powinna być głupia przygoda, ale wszystko się zmieniło. Pomyślał o papierośnicy i zacisnął zęby. Nie, tak naprawdę nic się nie zmieniło. Po prostu wreszcie otworzyły mu się oczy.

- Zaczynajmy.

Gdzieś wysoko zadudnił grom i Christopher zamknął oczy

Kiedy wpadli do komnaty, wszystko potoczyło się bardzo szybko i chaotycznie. Fin zorientował się, że ktoś trzyma miecz przy gardle Fowkesa, dopiero gdy sam, zbity z nóg

przez drugiego Rycerza, poturlał się po podłodze i zatrzymał przy czymś, co wyglądało jak staroświecka oprawa obrazu. Podniósł się, opierając na metalowej ramie, a kiedy Rycerz, który trzymał Fowkesa, przesunął się wraz z nim, Finmere zobaczył Joego. Przyjaciel z szeroko otwartymi oczami wciąż stał w progu. Przez moment patrzyli na siebie. Nie tak miało być.

- Witajcie. - Mężczyzna, który posłał Fina na podłogę, podszedł do pulpitu, zamknął ostrożnie klapę laptopa i się uśmiechnął. Był wysoki i blady, ze złotą brodą. Skóra wokół jego oczu i na czole zaczynała się już marszczyć. - Zdaje się, że nasz skomputeryzowany system bezpieczeństwa działa doskonale, Conradzie. Gratuluję.

Serce Fina zabiło gwałtownie. To on: St John Golden. Na pewno. I to on złapał ich, nie oni jego.

- A ty chyba straciłeś wyczucie, Andrew Fowkesie. - St John podniósł puchar i pociągnął niewielki łyk.

- Za foty chyba straciłeś rozum, St Johnie Alexandrze Goldenie - warknął Fowkes, choć ostrze klinga miecza dotykała jego gardła. - W co ty grasz, do cholery?

- Wszystko w swoim czasie.

Akurat kiedy Fin uznał, że zapomniał o nim i o Joem, mężczyzna się odwrócił. Stojąc oko w oko z komandorem Rycerzy, Fin postanowił przynajmniej wyglądać dzielnie. Podniósł wysoko brodę i spiorunował St Johna wyzywającym (miał nadzieję) wzrokiem, chociaż kolana się pod nim ugiwały.

Ale St John nie patrzył wcale na jego twarz, tylko na dłoń, którą Finmere osłaniał rękojeść miecza.

- A to musi być Finmere Tingewick Smith. Tajemniczy chłopiec, którym tak bardzo interesował się stary Harlequin Brown. - Uniósł brwi i spojrzał na Fowkesa. - W dodatku nosi pierścień Baxtera. Czyżby więź rodzinna? To dzieciak Baxtera?

- Baxter nie miał dzieci. Nie wiem, do cholery, kto to jest - rzucił krótko Fowkes, nawet nie oglądając się na Fina, który mocniej chwycił rzeźbiony metal. Finmere czuł, że boli go głowa, ale uznał, że to lepsze niż czuć się tak, jakby go w ogóle nie było, jak gdyby na powrót stał się niczym.

„Baxter nie miał dzieci”. Odepchnął od siebie te słowa. Może Fowkes nie wie wszystkiego. Między nim a Baxterem musi być jakiś związek. Wyczuwał to od chwili, w

której po raz pierwszy usłyszał to nazwisko. A poza tym czuł się naprawdę dziwnie, odkąd zobaczył miecz obosieczny: to musiało czegoś dowodzić.

Conrad trzymał go mocno, ale Fowkes nie ustępował.

- Co zrobiłeś z Tową? To ona wywołała czarną burzę, dlaczego?

W każdej chwili mógł skończyć z podejrzanym gardłem; teraz Fin nie wątpił już w jego odwagę. Nagle wydał mu się kimś zupełnie innym niż pijak bez butów, którego znaleźli w Kanciarzach.

St John Golden zaśmiał się zgrzytliwie i zimno.

- Ach, tak, twoja drogocenna Opowiadaczka. - Odszedł od pulpitu i zbliżył się do Fowkesa. Fin zerknął na Joego, który stał zapomniany w drzwiach, i kiwnął głową, dając znak, by powoli się wycofał i uciekł. To głupota, żeby obaj tu utknęli; a w dodatku przyjaciel nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Joe spojrział tylko ponuro i się nie ruszył. Fin jeszcze raz spróbował odpędzić go wzrokiem, ale bez skutku.

- Przepadła w lustrze - wymruczał St John w stronę Fowkesa.

- W czym?

Golden wskazał w kierunku Fina.

- Jest w środku?!

Fin zajrzał za purpurowobrązową metalową ramę, która rozgrzała się pod jego dłonią. Powierzchnia lustra niczego nie odbijała: przypominała błotnistą wodę.

- To Inkarcerator. Dostałem go od Maga. - St John Golden odwrócił się tyłem do Fowkesa i sięgnął po wino. - To wyjątkowe, straszne więzienie; nie ma końca. Zmusza człowieka, żeby wydał wszystkie sekrety. Miałem nadzieję, że nie będę musiał go użyć.

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Niestety, przepadła w nim. I nigdy nie znajdzie drogi z powrotem. - Podniósł puchar i uśmiechnął się triumfalnie.

- Na zdrowie.

Fowkes zmrużył oczy, a po chwili wyrzucił z siebie szczeknięcie, które, jak się Fin domyślił, było odpowiedzią na śmiech St Johna.

- Ale nie wydała ich, tak, St Johnie? Inaczej nie zrujnowałbyś jej mieszkania. - Zaśmiał się znowu, a w jego śmiechu zazgrzytała drwina. - Nie wiesz, gdzie są Odwieczne Historie, prawda? Wszystko zrobiłeś na próżno.

Fin niemal się uśmiechnął, widząc, jak twarz St Johna tężeje.

- Wiesz coś o tym, gdzie je ukryła?
- Więcej niż sobie wyobrażasz.

Finnere spojrzał na powierzchnię lustra. Po drugiej stronie rozciągała się zimna i ciemna pustka. Tam przepadła Opowiadaczka. Na zawsze. Przesunął dłonią po osobliwej metalowej ramie, a wtedy szara płaszczyzna skłębiła się jak chmury na niebie.

Opowiadaczka była kluczem do wszystkiego. To ona wywołała burzę. W ustach mu zaschło, palce swędziały i mrowiły. Nie mogła zniknąć na zawsze. Po prostu nie mogła.

Potężny grom huknął tuż nad ich głowami, aż wszyscy się wzdrygnęli. Burza się wznosiła. W migoczącym blasku świec Fowkes i St John mierzyli się wzrokiem, jakby zapomnieli o pozostałych.

- To nie Baxtera kochała - powiedział łagodnie Fowkes.
- Kochała mnie.

Nawet Rycerz, który trzymał miecz przy jego gardle, drgnął i głośno wciągnął powietrze. Finnere oderwał się od lustrzanego więzienia i spojrzał na Fowkesa. St John także nie spuszczał z niego oczu.

- Kiedy pojawił się tłum, Baxter czekał na dole. Zatrzymał ich, chociaż wiedział, że to, co robimy, jest złe. To mnie powinni zabić. On był niewinny.

Fin słyszał już tylko rytmiczny huk własnego pulsu. Opowiadaczka. Baxter. Fowkes... Miał wrażenie, że oplątuje go jakaś sieć. Jeśli jego ojcem nie jest Baxter, może jest nim Fowkes, ale dlaczego znaleziono go z pierścieniem Baxtera? I dlaczego w Gdzieświecie, skoro Fowkes żył w Nigdzieświecie? Był tak oszołomiony, że przestał się nawet bać. Wydawało mu się, że coraz bardziej zbliża się do odpowiedzi, ale teraz czuł się dalej od prawdy niż kiedykolwiek. Był przekonany, że istnieje jakiś związek między nim a Baxterem -wyczuwał, że kryje się gdzieś za tymi zamkniętymi drzwiami w głowie. Czy to możliwe, że własny mózg od początku go oszukiwał?

Zanurzył palce w szarą toń zwierciadła. Było tam zimno -nie tak, jak w zimnej wodzie czy na zimnym wietrze - ta zimna pustka próbowała go wciągnąć. Wydobył dłoń i przyjrzał się palcom, z których mroźna fala płynęła już żyłami do serca.

- No, no, no - odezwał się wreszcie St John. - A więc to tak wygląda twój honor.

Finnere nie miał ochoty się odwracać; zdania docierały do niego przez szum

splątanych myśli. Musiał się zastanowić. Opowiadaczka nie mogła tam zostać: to ona wywołała burzę, a burzę trzeba powstrzymać. Głowa mu pękała.

- Nie o to chodzi, St Johnie. - Fowkes był spokojny.
- A o co? - Komandor wytwornym gestem podniósł puchar do ust.
- O to, że wiem, gdzie ukryła historie.

Zapadła śmiertelna cisza. Nawet burza przycichła, jakby ona też wstrzymała oddech. Finmere zmarszczył czoło. Czas wracać do rzeczywistości. Chmura, która oblepiła jego mózg, zaczęła się rozplýwać. Znow włożył dłoń w śliską błonę lustra. Zadrzał. Tam gdzieś jest Opowiadaczka. I ktoś musi ją wydostać.

- Powiedz mi gdzie. - Głos Goldena był równie zimny, jak dotyk przedziwnego więzienia. Ostrożnie, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi, Finmere podniósł stopę i wszedł w rzeźbioną ramę lustra. Był teraz w połowie tutaj i w połowie tam. Wstrząśnięty, zagryzł wargę, żeby nie krzyknąć.

- Załatwmy sprawę honorowo, jak przystało na Rycerzy, którymi kiedyś byliśmy - powiedział Fowkes. - Proponuję pojedynek. Puść chłopców i spotkajmy się w katedrze Świętego Pawła.

St John się roześmiał.

- Katedra? Co, może w Komnacie Szeptów? Jakie to romantyczne.
- Nie w Gdzieświecie. W katedrze: tutaj.

Fin chwycił ramę i podniósł drugą nogę. Szczękał zębami, ale posłał przyjacielowi uśmiech. Tym razem Joe kiwnął głową i zniknął. Fin patrzył za nim, póki nie upewnił się, że Joe wyszedł z sąsiedniego pomieszczenia i jest na schodach. Uśmiechnął się jeszcze szerzej: Joe nie uciekł dlatego, że się bał. Wiedział, że Fowkesowi nie uda się ściągnąć Goldena tam, gdzie chce, jeśli komandor weźmie któregoś z chłopców jako zakładnika.

Słyszając skrzypienie schodów pod butami Joego, Rycerz podniósł głowę. Ale szybko zapomniał o uciekinierze, kiedy zobaczył, co robi Finmere.

- Fin! Nie! - Po raz pierwszy w głosie Fowkesa był strach.
- Nie rób tego, chłopcze - warknął Golden i zrobił krok naprzód. - Chcę odpowiedzi...
- Ktoś musi ją sprowadzić z powrotem. - Fin z trudem poruszał sinymi z zimna

ustami. Spojrzał w przerażone oczy Fowkesa i w tej samej chwili, gdy Golden wyciągnął rękę, puścił ramę i zanurzył się w lustrze.

Dłoń St Johna Alexandra Goldena chwyciła pustkę. Fimmere zniknęła.

Joe nie uciekł daleko. Najważniejsze, by pomyśleli, że zwiął - a poza tym i tak nie miał dokąd uciekać. Dziwaczną monetę, potrzebną, żeby wrócić, wziął Christopher, który był gdzieś z Magiem, a Fin... cóż, wyglądało na to, że Fin przepadł w tym lustrzanym czymś.

Zatrzasnął głośno drzwi wejściowe do budynku, po czym zaczął znowu wspinać się po fasadzie. Deszcz padał coraz gęściej i Joe z trudem czepiał się śliskich drewnianych belek. Mimo to z determinacją, jaką zwykle czuł tylko podczas finałowych meczów o mistrzostwo szkół średnich, wdrapał się wyżej, niż dotarli poprzednio, aż na trzecie piętro.

Zbliżał się zachód słońca; szare niebo zaczęło granatowieć. Joe miał wrażenie, że noc połyka cały świat. Skrzywił się, czując ohydny smak deszczu w ustach, i splunął, a potem bezgłośnie podciągnął się, żeby odpocząć na kamiennym gzymsie. Odchylił się ostrożnie i rozluźnił mięśnie, uważając, żeby nie spojrzeć w dół. Trzy piętra to jednak dość wysoko.

Od mężczyzn w pokoju oddzielała go gruba kotara, ale od czasu do czasu udawało mu się wychwycić fragment rozmowy.

- Spotkajmy... katedrze Świętego Pawła... za godzinę...

Nastąpiła chwila milczenia, a potem słyszał już tylko dwa obce głosy. Fowkes pewnie wyciął przejście i opuścił komnatę.

- Zwycięzę... łatwo... Fowkes stracił formę... sprowadź Rycerzy... Dom Telluriów...

Joe nie musiał być geniuszem, żeby zorientować się, co zamierzają: chcieli zabić Fowkesa i pokonać starców z Domu Telluriów, i było im wszystko jedno, czy zdobędą historie, czy nie.

W pokoju zapadła cisza. Po kilku chwilach odległe drzwi na parterze się otworzyły. Zaryzykował i wyrzwał: dwie okryte płaszczami postacie opuściły dom i rozeszły się w różne strony, znikając w mroku. Przełożył nogę przez parapet i znów był w znanej już

komnacie.

Dziwnie się czuł - sam w Nigdzieświecie. Pomyślał o tej niesamowitej mapie, którą wciąż nosił w kieszeni, i przez moment zastanawiał się, czy powinien poszukać Christophera. A może bez monety przedostać się do własnego świata i ostrzec Teda i innych? Wtedy przypomniał sobie o Finie. Popatrzył na lustro. Miało piękną, czerwonobrazową ramę z przedziwnymi wzorami, ale było w nim coś... mroźnego duszę. A Finmere wszedł do jego wnętrza.

Nie zwracając uwagi na karafkę z winem i laptop, podszedł do lustrzanego więzienia i usiadł przed nim ze skrzyżowanymi nogami. Jeśli Golden mówił prawdę i Opowiadaczka naprawdę zaginęła gdzieś w środku, to w jaki sposób Fin znajdzie powrotną drogę? Przesunął palcami po krótkich, kręconych włosach i zamarł.

Opuścił rękę i poruszył nią kilkakrotnie, nie spuszczając z niej wzroku. Nagle zrozumiał, co trzeba zrobić. Zanurzył ramię w lustrze i zaklął z zimna, ale nie wyjął ręki. Jeśli Fin się zgubił, wystarczy, że sięgnie po jego dłoń, a wtedy on go wyciągnie. Lodowaty chłód wlewał się w jego żyły, ale Joe się nie poruszył. Czekał.

Stojąc w wylocie mroczniejącej uliczki, Christopher patrzył na wrota; deszcz bębnił w ziemię i przesłaniał czarnym woalem wiszące nisko nocne niebo. Ukryty w cieniu, patrzył, jak Jacob Megram chodzi w tę i z powrotem i mamrocze coś pod nosem. Włożył rękę do kieszeni, żeby ostatni raz ścisnąć butelkę, i zaczął szukać monety.

- Co robimy? - szepnęła Mona. Odezwała się po raz pierwszy od chwili, w której, lekceważąc polecenie Maga, na palcach wróciła do nawy i zobaczyła, jak Christopher z płaczem okrywa purpurowymi szatami pustą wyschniętą lupinę - wszystko, co zostało z mężczyzny. Nie odpowiedział na jej pytania i starannie zatkał flaszkę korkiem.

Żałował, że nie może wyjawić Monie, czego dowiedział się od Maga i na czym polega sekret leku przeciw starzeniu. Nie to, że nie chciał jej powiedzieć. Po prostu było dla niej lepiej, żeby nie wiedziała. Ale najwyraźniej mózgi dziewczyn działają w inny sposób. Dziewczyny zawsze chcą wszystko „obgadać”. A chłopaki... chłopaki po prostu odpuszczają - i to zwykle jest najlepsze rozwiązanie.

Kiedy przypominał sobie ostatnią godzinę, wydawała się nierealna, zupełnie jakby się wcale nie zdarzyła. Deszcz ściekał mu po twarzy; Christopher otworzył usta i

wyzywająco nadstawił język. Mdląco słodkawy, zgniły smak wymieszał się z goryczą, która paliła jego gardło. Tych sześćdziesiąt minut zdarzyło się naprawdę. Teraz musiał sprawić, żeby ofiara z tylu lat życia nie okazała się daremna.

Wynurzył się z cienia.

- Panie Megram! - zawołał.

Mona biegła tuż za nim.

Rzeźnik podskoczył i się odwrócił.

- Rycerz tu był. Pomagał mi pilnować. - Cofnął się nieco, mierząc ich nieufnym wzrokiem. - Powiedział, że mam was nie przepuszczać.

Christopher pokręcił głową.

- Proszę, niech mnie pan posłucha. To Rycerze są źli, nie my.

- Zrobili coś Opowiadacze. - Mona złapała strażnika za ramię. - Porwali ją.

Jacob wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie weszłaś tu z nimi. Gdzie tamten chłopak? Ten z mieczem Rycerza?

- Nie wiem. - Christopher z trudem panował nad nerwami. - Proszę, panie Megram, tak trudno było się tutaj dostać, a burza...

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego. - Megram z obawą spojrział na niebo. - Od lat. Może i żona ma rację. Idą złe czasy. Mówiła, że zbiera się na czarną burzę.

- Bo tak jest! - krzyknął Christopher. - I to wszystko przez Rycerzy! - Próbował osłonić oczy przed strugami deszczu. - Naprawdę, musi nam pan uwierzyć! Trzeba ich powstrzymać! Dlatego nie chcą pozwolić, żebym wrócił...

- Och, nie wiem. - Megram się zatrzymał. - Sam już nie wiem...

- On mówi prawdę. - Mona wyszła spod parasola i stanęła tuż przed masarzem. - Nie jestem jedną z nich, jestem stąd, jak pan. Może mi pan wierzyć.

Megram przenosił wzrok z twarzy Mony na twarz Christophera. W końcu wypuścił powietrze z płuc i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

- No tak, zostawili mnie tu samego, a ty masz monetę... - Spojrział na Christophera. - Masz tę monetę, synu, prawda?

Christopher wyciągnął dłoń z monetą.

Megram najwyraźniej podjął decyzję.

- Jestem strażnikiem wrót, więc powinienem przepuszczać ludzi, którzy mają

monetę, jak trzeba, a ty masz monetę, więc cię przepuszczę. - Chwilę manipulował przy kłódce, zanim wreszcie otworzył drzwi szopy. -I niech się niebo zlituje nade mną, jeśli robię źle.

Christopher ścisnął dłoń strażnika i potrząsnął nią energicznie.

- Dobrze pan robi. Dziękujemy. Bardzo dziękujemy.

Weszli wszyscy troje do drewnianej szopy i stanęli przed ciemną szczeliną.

- Mam iść z tobą? - zapytała cicho Mona.

- Nie, dam sobie radę. Wy z panem Megramem idźcie do Księcia Regenta, wyjaśnijcie mu, co się dzieje. Niech się przygotuje. Kto wie co Rycerze teraz wymyślą?

Mona przygryzła wargę.

- Uważaj na siebie, Christopher.

- Będę uważał. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Przez chwilę czuł, jaka jest ciepła i miękka, aż coś zatrzepotało mu w brzuchu i odsunął się zawstydzony. Z zaskoczeniem zauważył, że dziewczyna ma w oczach łzy.

- Bo tak jest! - krzyknął Christopher. - I to wszystko przez Rycerzy! - Próbował osłonić oczy przed strugami deszczu. - Naprawdę, musi nam pan uwierzyć! Trzeba ich powstrzymać! Dlatego nie chcę pozwolić, żebym wrócił...

- Och, nie wiem. - Megram się zatrzymał. - Sam już nie wiem...

- On mówi prawdę. - Mona wyszła spod parasola i stanęła tuż przed masarzem. - Nie jestem jedną z nich, jestem stąd, jak pan. Może mi pan wierzyć.

Megram przerosił wzrok z twarzy Mony na twarz Christophera. W końcu wypuścił powietrze z płuc i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

- No tak, zostawili mnie tu samego, a ty masz monetę... - Spojrzał na Christophera. - Masz tę monetę, synu, prawda?

Christopher wyciągnął dłoń z monetą.

Megram najwyraźniej podjął decyzję.

- Jestem strażnikiem wrót, więc powinienem przepuszczać ludzi, którzy mają monetę, jak trzeba, a ty masz monetę, więc cię przepuszczę. - Chwilę manipulował przy kłódce, zanim wreszcie otworzył drzwi szopy. -I niech się niebo zlituje nade mną, jeśli robię źle.

Christopher ścisnął dłoń strażnika i potrząsnął nią energicznie.

- Dobrze pan robi. Dziękujemy Bardzo dziękujemy.

Weszli wszyscy troje do drewnianej szopy i stanęli przed ciemną szczeliną.

- Mam iść z tobą? - zapytała cicho Mona.

- Nie, dam sobie radę. Wy z panem Megramem idźcie do Księcia Regenta, wyjaśnijcie mu, co się dzieje. Niech się przygotuje. Kto wie co Rycerze teraz wymyślą?

Mona przygryzła wargę.

- Uważaj na siebie, Christopher.

- Będę uważał. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Przez chwilę czuł, jaka jest ciepła i miękka, aż coś zatrzepotało mu w brzuchu i odsunął się zawstydzony. Z zaskoczeniem zauważył, że dziewczyna ma w oczach łzy.

- Bo tak jest! - krzyknął Christopher. - I to wszystko przez Rycerzy! - Próbował osłonić oczy przed strugami deszczu. - Naprawdę, musi nam pan uwierzyć! Trzeba ich powstrzymać! Dlatego nie chcą pozwolić, żebym wrócił...

- Och, nie wiem. - Megram się zatrzymał. - Sam już nie wiem...

- On mówi prawdę. - Mona wyszła spod parasola i stanęła tuż przed masarzem. - Nie jestem jedną z nich, jestem stąd, jak pan. Może mi pan wierzyć.

Megram przenosił wzrok z twarzy Mony na twarz Christophera. W końcu wypuścił powietrze z płuc i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kluczy.

- No tak, zostawili mnie tu samego, a ty masz monetę... - Spojrzał na Christophera. - Masz tę monetę, synu, prawda?

Christopher wyciągnął dłoń z monetą.

Megram najwyraźniej podjął decyzję.

- Jestem strażnikiem wrót, więc powinienem przepuszczać ludzi, którzy mają monetę, jak trzeba, a ty masz monetę, więc cię przepuszczę. - Chwilę manipulował przy kłódce, zanim wreszcie otworzył drzwi szopy. - Niech się niebo zlituje nade mną, jeśli robię źle.

Christopher ścisnął dłoń strażnika i potrząsnął nią energicznie.

- Dobrze pan robi. Dziękujemy. Bardzo dziękujemy.

Weszli wszyscy troje do drewnianej szopy i stanęli przed ciemną szczeliną.

- Mam iść z tobą? - zapytała cicho Mona.

- Nie, dam sobie radę. Wy z panem Megramem idźcie do Księcia Regenta,

wyjaśnijcie mu, co się dzieje. Niech się przygotuje. Kto wie co Rycerze teraz wymyślą?

Mona przygryzła wargę.

- Uważaj na siebie, Christopher.

- Będę uważał. - Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Przez chwilę czuł, jaka jest ciepła i miękka, aż coś zatrzepotało mu w brzuchu i odsunął się zawstydzony. Z

zaskoczeniem zauważył, że dziewczyna ma w oczach łzy.

- W porządku?

- Ta. - Pociągnęła nosem. - To tylko ten deszcz. Idź już.

Zacisnął palce na schowanej w kieszeni flaszcze i odwrócił

się do nich plecami. Zajrzał w głęboką szczelinę. No cóż, jeśli teraz zestarzeje się podczas przejścia, przynajmniej będzie mógł odzyskać to, co zostało mu jeszcze z życia. Wziął głęboki oddech i zrobił krok do Gdzieświata.

Świat we wnętrzu lustra był szary - a raczej wydawał się szary. Finmere nigdy nie widział podobnego koloru: była to szarość całkowicie pozbawiona barwy, szara przez nieobecność.

Spojrzał na moment za siebie i po drugiej stronie, za drgającą, falującą przesłoną, zobaczył twarz Fowkesa z ustami otwartymi w rozpaczliwym „Nie” i wyciągającą się w jego stronę dłoń St Johna Goldena. Obraz był niewyraźny, jakby między dwoma mężczyznami a Finem rozciągał się cały wszechświat pustki, a nie tylko cienka warstwa szkła.

Odwrócił się i zachwiał; nogi ugięły się pod nim, a serce podskoczyło. Stał na grubym kamiennym gzymsie o szerokości niecałych dwóch metrów. Lustro tkwiło w ścianie za jego plecami jak rama okna. Obok była taka sama kamienna półka i znowu lustro, i jeszcze jedno, i jeszcze jedno - biegły szeregiem wokół wielkiej, cylindrycznej sali. Poniżej i powyżej ciągnęły się kolejne kręgi gzymsów i luster...

Wyrzwał ostrożnie za skraj półki. Kamienna posadzka majaczyła daleko w dole - był co najmniej trzydzieści metrów nad nią. Nie potrafił policzyć, ile dzieli go od niej rzędów luster i gzymsów. Zakręciło mu się w głowie, a żołądek ścisnął się boleśnie. Jak, do cholery, dostanie się na dół? Ma za słabe ręce: nie utrzyma się na krawędzi, żeby opuścić się niżej. A jeśli spadnie...

W tej samej chwili, kiedy myśl o upadku pojawiła się w jego głowie, poczuł, że jakaś

siła unosi go w górę i pcha, jak wiatr, ku brzegowi półki. Machając rozpaczliwie nogami, zawisł w powietrzu.

Chwilę później stał w środku kamiennego kręgu na samym dole sali, zupełnie jakby postawiła go tam czyjaś ostrożna dłoń. Wciąż jeszcze roztrzęsiony, wziął trzy głębokie oddechy, próbując się uspokoić i wyrównać szalejący puls. Chociaż powietrze było lodowate, przed twarzą nie tworzyła się chmurka pary. Dziwne: zupełnie jakby wcale nie oddychał.

Spojrzał w górę, na rzędy półek, które wydawały się wznosić w nieskończoność, i serce w nim zamarło. Skąd ma wiedzieć, na którą półkę wyszedł? Chyba w połowie wysokości sali... a może nie?

Skoncentrował się, żeby odtworzyć w głowie swój lot na dół. Po chwili zatrzymał wzrok na jednym z gzymsów. To ten - był tego pewien. Chciał odetchnąć z ulgą, ale nie zdążył. Coś się działo. Przez budynek przebiegło drżenie, wszystkie kamienne bloki zajęczały; serce podskoczyło Finowi do gardła. Co to takiego?

Wśród trzasku ścian lustra i półki zaczęły się przesuwać i zamieniać miejscami. Finmere próbował śledzić wzrokiem tamten gzyms i przez chwilę nawet mu się to udawało, ale zaraz potem wszystko zaczęło się ruszać tak szybko, że stracił swoją półkę z oczu. Zniknęła w zamazanym wirze przemieszczających się kształtów. W końcu wszystkie się zatrzymały.

Z szeroko otwartymi oczami Fin obrócił się wkoło. Wszędzie były lustra: setki, nie, tysiące... albo jeszcze więcej. Zaschło mu w ustach. Golden miał rację. Opowiadaczka zaginęła tu na zawsze. Bez właściwego zwierciadła znalezienie drogi powrotnej było niemożliwe.

Chwycił miecz, ale metal był zimny. Nie ożywił się, nie odpowiedział ciepłem. Najwyraźniej nie można się stąd wydostać tak prosto, jak przeciąć do biblioteki w szkole Eastfields. Poczul falę paniki. Co on sobie właściwie myślał? Jak mógł zostawić tamtych i wejść w lustro? Co niby zamierzał zrobić? Ściany zaczęły się nad nim zamykać. Stracił oddech.

Zacisnął szczęki. Panika na nic się nie zda. Paniką nie pomści śmierci sędziego Harlequina Browna, nie pomoże Fowkesowi, Tedowi ani Opowiadaczce. Wypuścił powietrze z płuc i odczekał, aż oddech wróci do normy.

Znaleźć Opowiadaczkę. Po to tylko tutaj przyszedł - ponieważ to ona była kluczem do wszystkiego, ona jedna mogła wszystko uporządkować. Czy dlatego wszedł w lustro: żeby uratować świat dla innych? Czy może gdzieś głęboko w środku miał nadzieję, że Opowiadaczka rozwiąże zagadki jego życia? A może... może nawet jest jego matką? Po raz pierwszy pozwolił sobie na taką myśl; ale skoro Fowkes i Opowiadaczka kochali się, możliwe że Fowkes jest jego ojcem, a Opowiadaczka matką. I może to krew Opowiadaczki w jego żyłach sprawiała, że coś dziwnego dzieje mu się z głową. Matka. Ojciec. Właściwie nie potrafił sobie tego nawet wyobrazić, lecz nie mógł się powstrzymać, żeby nie obracać tych słów w głowie. Może jednak ma rodziców: oboje rodziców. Był już niemal dorosły, ale ta dziecinna tęsknota ani myślała ustąpić.

Jeszcze raz rozejrzał się po sali i w końcu po prawej stronie wypatrzył niewielkie łukowate przejście. Podbiegł do niego. Po lekcji z lustrami nie zdecydował się od razu skoczyć na drugą stronę, tylko ostrożnie przełożył głowę za próg. Po drugiej stronie rozciągał się labirynt niskich kamiennych korytarzy, które wypełniały jęki i skowyty. Krzyki unosiły się w zimnej przestrzeni jak duchy. Wszystkie korytarze były identyczne, co do cegły.

Finmere przygryzł wargę. Dość, że stracił z oczu swoje lustro. Jeśli nie będzie w stanie znaleźć drogi powrotnej do tej sali, nic im już nie pomoże. Koniec nadziei. Musiał zostawić za sobą jakiś ślad. Przeszukał kieszenie i wydobyl pieniądze, które dał mu Ted. Oprócz banknotów miał około dwudziestu monet. Na ile to wystarczy? Najwyżej na kilkaset metrów, i to jeśli będzie układał drobniki bardzo oszczędnie.

W tym strasznym więzieniu monety straciły kolor i blask. Były teraz szare, jak wszystko dokoła. Serce Fina zatrzepotało. Nie tylko nie dotrze z nimi daleko - w dodatku ledwo będzie je widział. Z głębi któregoś z korytarzy przyplłynął żalony krzyk. Finmere zadrzał. Kogo właściwie zamknięto w tym więzieniu? Nie mógł się zgubić. To jasne, że pobyt tutaj przyprawia o szaleństwo. W tym krzyku dzwięczał obłęd.

Wkładając monety z powrotem do kieszeni, musnął dłonią rękojeść obosiecznego miecza. Znieruchomiał: coś przyszło mu do głowy. Wyciągnął klingę z pochwy. Straciła swoje ciepło, ale blask miecza wciąż wygrywał z mrokiem więzienia. Ostrza rzucały skry. Fin odwrócił wolną rękę wnętrzem do góry i przyjrzał się uważnie gładkiej skórze. Tak. Nie miał nic innego, czym mógłby oznaczyć drogę.

Zacisnął powieki i przyłożył ostrze do otwartej dłoni. Ból odebrał mu dech. Po całym ciele rozeszła się fala mdłej słabości. Załamionymi oczami Fin spojrzął na czerwone cięcie tuż przy kciuku. Było głębsze, niż oczekiwał; w lepszym świetle na pewno zobaczyłby odsłoniętą kość na dnie rany. Ale czego mógł się spodziewać po ostrzu, które potrafi przecinać granicę między światami i odebrało życie komuś tak silnemu, jak sędzia Harlequin Brown? Niezgrabnie wytarł miecz w spodnie i wsunął go do pochwy. Krew - inaczej niż monety - świeciła na tle bezbarwnej tkaniny jak ogień. Jaskrawa plama wyglądała jak pierwsze pociągnięcie pędzlem na szarym płótnie: nie na miejscu, z innego świata.

Finmere stulił dłoń i zaczekał chwilę, ale krew wciąż lśniła żywą czerwienią. Opuścił ramię i pozwolił, żeby gęsta kropla spadła "w miejsce, w którym komnata otwierała się na korytarze, i ruszył przed siebie.

Ściana po drugiej stronie przejścia musiała się otworzyć, kiedy tylko Christopher zrobił pierwszy krok w szczelinę. Gdy znalazł się w Starym Areszcie, ze zdziwieniem zauważył, że palą się wszystkie światła: nie tylko żarówka w celi, ale także lampy w korytarzu.

Ściana zamknęła się za nim z hukiem. Spojrzął na swoje dłonie. Wyglądały normalnie - żadnych sinych żył ani brązowych plam. Przynajmniej to jedno poszło dobrze. Teraz musiał tylko wydostać się z budynku więzienia i dotrzeć do tego domu na Charterhouse Square, gdzie czeka Ted.

Upewnił się, że pełna flaszka nadal kołysze się ciężko w kieszeni. Znalazł klatkę schodową i zaczął się wspinać na wyższe piętro. Powyżej na schodach pojawił się jakiś cień i zaraz zniknął, zupełnie jakby był tam ktoś jeszcze. Może Ted: może Christopherowi poszczęściło się i przekroczył wrota dokładnie w momencie, kiedy Ted przyszedł sprawdzić, czy nie wrócili.

- Ted?! - zawołał ściszym głosem, ale odpowiedziało mu milczenie. Wyrzał ostrożnie zza rogu. Stopnie wznosiły się w stronę parteru. Możliwe że Ted nie usłyszał. Jeśli go nie dogoni, zostanie tu zamknięty na wiele godzin, a kiedy wreszcie wyjdzie, będzie już po wszystkim, w ten czy w inny sposób.

Pobiegł w górę, przeskakując po dwa stopnie.

- Ted! - krzyknął. - Ted, zaczekaj! Jestem!

Znajoma postać, którą zobaczył w perspektywie korytarza, zatrzymała się i odwróciła. Ale to nie był Ted. Przez sekundę Christopher patrzył bez słowa. Potem zrobił krok na-' przód, by upewnić się, że oczy go nie mylą.

- Ojczy? - odezwał się wreszcie. - Co ty tutaj robisz?

- Och, dzięki Bogu - powiedział Justin Arnold-Mather. Christopher powoli zbliżył się w jego stronę. - Twój nauczyciel miał odnieść klucze dzisiaj rano, ale się nie pokazał. Martwiłem się o ciebie.

W tym bladym, żółtawym świetle Christopherowi wydało się, że pod czarnymi brwiami ojca zamiast oczu zieją dwie puste jamy.

- Nic nam nie jest.

- Próbowałem zadzwonić do szkoły, ale przez tę przeklętą burzę nie działają telefony. - Pan Arnold-Mather spojrzał za plecy syna. - Gdzie się podział twój nauczyciel? I twój przyjaciel, Finmere?

- I Joe. Byłem z dwoma przyjaciółmi.

- Pamiętam, Christopherze. Gdzie oni są?

- Na zewnątrz. Wydawało mi się, że zostawiłem zapalone światło. - Christopher ruszył w kierunku wyjścia.

- Naprawdę? - Idący obok ojciec zmarszczył brwi. - To ciekawe. Jestem tutaj przynajmniej od dwudziestu minut. Dziwne, że cię nie zauważyłem. A drzwi były zamknięte.

Zatrzymali się i przez chwilę patrzyli na siebie uważnie, z twarzami bez wyrazu. W końcu Christopher pchnął drzwi wejściowe.

- To pewnie jakiś dowcip Joego i Fina. Zamknęli mnie.

- Pewnie tak. Ale ja byłem na dole i wcale cię nie widziałem - powtórzył pan Arnold-Mather.

Christopher wzruszył ramionami i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- No, ale już jestem.

Wyszli prosto w ulewę. Chociaż był już przemoczony, Christopher wdrygnął się, kiedy uderzyły w niego niesione silnym wiatrem krople. Burza nie szalała tak, jak nad

Nigdzieświatem, ale z pewnością nasiliła się, od kiedy opuścili swój Londyn. Ojciec zamykał drzwi, a Christophera zaczęły mrowić stopy. Musiał jak najszybciej biec do Domu Telluriów.

Przy chodniku dyszała złowieszczo czarna taksówka. Pan Arnold-Mather odwrócił się i uśmiechnął.

- Wskakuj, synu. Podrzucę cię do przyjaciół.

Christopher pokręcił głową i zrobił krok w tył.

- Nie trzeba. Zaraz ich dogonię. Pewnie poszli przodem.

- I nie zamknęli drzwi? A gdzie w ogóle są klucze? - Ojciec zmarszczył brwi.

Christopher czuł, że jego naciągana historyjka pęka.

- Wiesz co, muszę iść. - Zaczął się wycofywać. W samą porę: z taksówki wyszedł ktoś jeszcze. Ten wielki lokaj, czy bramkarz, z klubu Grey. Co on tutaj robi? - zdziwił się w duchu.

Ojciec wyciągnął rękę w jego stronę, próbując go zatrzymać, ale Christopher zrobił unik i rzucił się do ucieczki. Musi przebiec obok taksówki, nim napakowany facet zdoła go złapać. Z trudem utrzymując równowagę na śliskim chodniku, popędził do rogu i wypadł na główną ulicę. Płuca paliły go z wysiłku.

- Wracaj tu!

Miał nad nimi za dużą przewagę, żeby zdołali go dogonić, ale nie zwolnił. Ani się nie obejrzał.

- Christopher, wracaj! - krzyknął ojciec. - Wracaj, cholerny gówniarzu!

Ostatnie słowa odbiły się echem w głowie Christophera. Przyspieszył, żeby zniknąć, zanim zawrócą do taksówki i pojedą za nim. „Cholerny gówniarzu”. Po raz pierwszy w życiu udało mu się wzbudzić w ojcu jakiegokolwiek emocje - i to właśnie usłyszał. Nie „kocham cię”, tylko „cholerny gówniarzu”. Zaciśnął zęby. Wszystkiego najlepszego, cholerny tatusiu. Po raz pierwszy poczuł gorycz na myśl o butelce w kieszeni i o tym, ile kosztowało go jej napełnienie. Cholerny tatusiu.

Finmere miał wrażenie, że idzie tak już całe godziny. Ręka pulsowała boleśnie. Krew przestała płynąć obfitym strumieniem; jeśli chciał zostawić wyraźny ślad, musiał od czasu do czasu ścisnąć brzegi rany, żeby na posadzkę kapnęła duża kropla.

- Tova? - odezwał się cicho. - Opowiadaczko?

Powietrze pochłonęło słowa i wyssało z nich energię. Głos zabrzmiał słabo i bezdźwięcznie - inaczej niż wrzaski dochodzące z cel po obu stronach korytarza. Z początku wołał jej imię, ale więźniowie odpowiadali zbyt wielkim poruszeniem: niektórzy odpędzali go krzykiem, inni powtarzali jego słowa, głównie jednak wyrzaskiwali bezsensowne zdania w językach, których Fin nie rozumiał, ale których charczące dźwięki go przerażały.

W oddali zamajaczyło kolejne rozwidlenie. Z trudem powłókł w jego stronę zmęczone stopy. To było beznadziejne: kamienne lochy ciągnęły się w nieskończoność. W dodatku robiło się coraz zimniej. Na całym ciele miał gęsią skórkę, a mokre ubrania sztywniały i lodowaciały, zamiast wysychać.

- Opowiadaczko?! - zawołał w głąb korytarza. - Opowiadaczko?
- Ssssłodka krew...

Finmere podskoczył ze strachu. Ze szpary pod drzwiami do najbliższej celi po lewej stronie wypełzły cienkie, brudne palce.

- Mmm, słodka, niewinna krew... - zasyczał zduszony głos. - Podwójna krew! Mmm, podwójna krew... - Obok palców pojawił się długi język. Rozwinął się jak dwunastocenty-metrowa macka, szukając kropli krwi, która spadła na okrągłe kamienie. Finmere patrzył z obrzydzeniem, jak koniuszek języka rozpaczliwie wyciąga się ku szkarłatnej plamie, która znajdowała się o centymetr poza jego zasięgiem. Stworzenie po drugiej stronie drzwi wydało żaloszny jęk zawodu.

Fin miał ochotę nadepnąć na ten ohydny jęzor, ale brzydził się go dotknąć. Ruszył w głąb kolejnego korytarza.

- Nakarm mnie! - zawył za nim więzień. - Krew! Potrzebuję krwi! Nakarm mnie!

Finmere zaczął biec. Żałował, że nie może zasłonić uszu, żeby nie słyszeć tego syczącego głosu. Serce przyspieszyło i zaczęło szybciej pompować krew przez żyły; z rozciętej dłoni trysnęły szkarłatne bryzgi. Wyobraził sobie, że wstrętny język i kościste paluchy suną jego śladem, coraz silniejsze z każdą pęczartą kroplą krwi, i w końcu wyrrywają się na wolność z szarej celi.

Biegł w równym tempie, czując huk oddechu w głowie. Po kilkuset metrach odważył się obejrzeć. Mroczny korytarz był pusty: nie ściagał go żaden skomlący o krew stwór. Może i Fin zachowywał się dziecinnie i głupio, ale w tym okropnym miejscu wszystko

wydawało się możliwe.

Na szczęście więźniowie byli pozamykani. Uśmiechnął się z ulgą. Wszyscy siedzieli zamknięci w celach. Spojrzał pod nogi i zmarszczył czoło. Zobaczył krwawe plamy na ziemi -przed sobą. Były ciemniejsze niż te, które zostawił, pewnie dlatego, że zdążyły wyschnąć. Rozejrzał się. Na drzwiach jednej z cel zauważył rozmazane ślady palców. Ktoś ranny szedł tym korytarzem - i to całkiem niedawno.

Podniósł zdrową dłoń i porównał z wielkością odcisku. Okazały się niemal takie same. Fin drgnął, jakby przebiegł go prąd, a zmęczenie nagle wyparowało. Osoba, która zostawiła te ślady, nie była wysoka i nie miała dużych dłoni. Uśmiechnął się do siebie. To były odciski kobiety. Na pewno.

- Tova?! - zawołał głośniejsz, nie zwracając uwagi na chór jęków i wrzasków, który mu zawtórował. - Opowiadaczko? Jesteś tu?

Krwawy ślad, jaki niechcący mu zostawiła, poprowadził Fina za róg, potem za jeszcze jeden i za kolejny. I tam ją zobaczył: siedziała skulona pod ścianą, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jej głowa kołysała się bezwładnie, a złote włosy lśniły, jakby walcząc z szarą pustką wokół. Z pokaleczonej kostki zwiisał długi łańcuch.

Finmere zwolnił, nagle onieśmielony. To ona. Znalazł ją.

- Przepraszam - szepnął, kucając w pewnej odległości od niej. - Czy jesteś Opowiadaczką?

Drżąca wąska dłoń uniosła się i odgarnęła do tyłu pasmo długich włosów. Dolną część twarzy nadal przesłaniało ramię, znad którego spojrzęły na Fina oczy, najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Nawet w tym okropnym szarym wnętrzu mógł dostrzec błękitne, brązowe i fioletowe plamki na źrenicach.

- Jestem Finmere Tingewick Smith. Przyszedłem, żeby cię stąd wyciągnąć. Zostawiłem ślad, po którym wrócimy. -Nie wspomniał o niewielkim problemie, jaki czekał ich w sali z lustrami. Kobieta wydawała się wyczerpana; jej powieki opadały na oczy, jakby z największym trudem zmuszała się, żeby nie zasnąć.

Zastanowi się, jak ich stąd wydostać, kiedy będą już w sali luster.

- Pomogę ci wstać. - Wyciągnął zdrową rękę. Oczy kobiety rozszerzyły się, kiedy zobaczyła pierścień. Powoli wyciągnęła poplamione krwią palce i dotknęła go. Fin drgnął. Czuł się niezręcznie. Wiedział, że nie może jeszcze prosić jej o odpowiedzi, na

które tak czekał: wyglądała na zbyt wyczerpaną.

- Znalaziono go przy mnie, kiedy byłem mały - wyjaśnił.

Kiedy spojrzała mu w oczy, podnosząc głowę, Finmere

krzyknął cicho. Natychmiast zasłoniła usta, pokryte czarnymi skrzepami krwi. Co oni jej zrobili? W porównaniu z tym bolesna rana na dłoni wydała mu się nagle drobiazgiem.

Zawstydzony własną reakcją poruszył się nerwowo.

- W porządku?

Przytaknęła i próbowała się uśmiechnąć, ale jej twarz wykrzywił bolesny grymas.

Język, uświadomił sobie z przerażeniem Fin. Coś stało się z jej językiem.

- Możesz iść? To zajmie około godziny. Wytrzymasz?

Znów kiwnęła głową. Miał wrażenie, że minęła godzina, ale możliwe że droga powrotna potrwa dłużej. Jego zegarek nie chodził, a Fin był pewien, że w tym miejscu czas płynie we własnym rytmie, tak jak w Nigdzieświecie.

Powoli i ostrożnie pomógł jej wstać. Okazała się niższa od niego tylko o kilka centymetrów. Była wiotka i szczupła jak młode drzewko. I piękna, nawet z tymi okropnymi krwawymi skrzepami wokół zranionych ust. Ledwie trzymała się na nogach. Finmere przewiesił sobie ciężki łańcuch przez plecy i ujął jej ramię.

- Jeśli chcesz, możesz się na mnie oprzeć - powiedział cicho.

Chciała.

Mitesh Savjani przedostał się przez otwór, który bomba wyrwała w ścianie katedry Świętego Pawła, rozpiął płaszcz i strząsnął z niego krople deszczu. Od stóp do głów odziany był w czarny jedwab; jego obecność zdradzał jedynie purpurowy klejnot w brodzie, który od czasu do czasu pobłyskiwał wśród cieni. Nawet pochwa miecza przypięta do pasa była ciemna jak niebo o północy.

Savjani westchnął i spróbował otrząsnąć się z wszechogarniającego zmęczenia. Chociaż poruszał się po mieście z większą łatwością niż niektórzy, wędrowniki wyczerpywały go; gdyby nie krążąca w żyłach adrenalina, zasnąłby w mgnieniu oka. A to nie byłoby najlepsze powitanie przyjaciela, którego nie widział od tylu lat.

Siedząc na najniższym stopniu kamiennych kręconych schodów w jednej z kilku klatek, które wspinały się ku sklepieniu, Savjani pożałował, że nigdy nie zobaczy katedry

Świętego Pawła w tamtym drugim Londynie. W młodości opowiadali mu o niej przyjaciele, Fowkes i Baxter. Może gdyby znał tamtą świątynię, rozumiałby, dlaczego tak zachwycają się tą w Nigdzieświecie. A tak - był nieco zdezorientowany.

Podniósł wzrok na drewniane rusztowania, które biegły w różnych kierunkach nad jego głową; wzniesli je tutaj jacyś optymiści, którym się wydawało, że będą w stanie wyremontować tę osobiwą budowlę, co oczywiście nigdy się nie udało. Katedra, podobnie jak wszystkie budynki w Londynie, które nie zostały stworzone ludzkimi rękami, była wyjątkowo oporna i sprawiała same kłopoty.

Większość domów - te wymurowane z cegieł przez ludzi - zachowywała się przyzwoicie. Jednak niektóre budowle, takie jak ta świątynia czy dziwaczne Futurum, po prostu pojawiały się znikąd. Katedra Świętego Pawła była z nich najdziwniejsza: najpierw wyłoniła się jej niewielka część, w dodatku w płomieniach, co ogromnie poruszyło londyńczyków; jednak ogień nie rozprzestrzenił się, więc przestano się nim martwić. Podobnie jak kilka co bardziej interesujących miejsc w Nigdzieświecie, katedra wyrosła na przecięciu granic kilku miastek - inaczej jednak niż w pozostałych przypadkach, cechy sąsiednich miastek nie wymuszały się w niej, lecz pozostały wyraźnie widoczne i rozdzielone.

Nad głową Savjaniego w kopule świątyni ziała wielka dziura, przez którą wlewał się do środka czarny deszcz. W tym Londynie katedra Świętego Pawła miała tylko jedną funkcję: służyła jako punkt orientacyjny. Ludzie próbowali wymyślić dla niej jakieś zastosowanie, ale nigdy nie mogli się zgodzić na jeden pomysł; z dziurami w ścianach i wielką wyrwą w kopule nie nadawała się nawet na miejsce zabaw dla dzieci. O ile Savjani wiedział, znaczenie przypisywali jej jedynie Rycerze. A wszyscy mieszkańcy Nigdzieświata wiedzieli, że ci Podróżnicy są naprawdę dziwni.

Czekał i nasłuchiwał, odpędzając wątpliwości, czy aby na pewno jest we właściwym miejscu. Znał swojego przyjaciela. Wiedział, że przyjdzie.

I nie mylił się.

Po dwudziestu minutach w powietrzu otworzyła się szczelina. Mężczyzna, który się w niej pojawił, natychmiast zamknął za sobą przejście.

Savjani poderwał się na równe nogi i z uśmiechem wyszedł z cienia.

- Andrew Fowkes.

Słyszając szmer, Rycerz podniósł miecz; kiedy zobaczył przed sobą ludzką sylwetkę, znieruchomiał. W następnej sekundzie rozpoznał, kto przed nim stoi.

- Mitesh Savjani?

Krawiec wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że przyda ci się pomoc.

Uśmiechnęli się obaj.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział Fowkes. - Widzę, że twoja córeczka jest już zupełnie dorosła.

- O, tak. Wiedziałem, że cię znajdzie.

Patrząc w zmęczoną twarz starego przyjaciela, Savjani pomyślał z żalem, że powinni w tej chwili pójść do jego mieszkania nad sklepem, żeby jeść, rozmawiać i wspominać, a może przy okazji wyleczyć jakieś stare rany. Ale teraz nie było na to czasu.

- Na kogo czekamy? - zapytał.

- Na St Johna Goldeną. Myśli, że wiem, gdzie Tova ukryła historie. Obiecałem, że powiem mu to, jeśli przyjdzie tutaj i mnie pokona.

Savjani skręcił w palcach koniuszek wąsa.

- I uwierzył?

- Właściwie nie miał wyboru. Posłał swoich ludzi, żeby zabili starych Rycerzy w Domu Telluriów. Byłem tam dopiero co, żeby ich ostrzec. Jeśli chłopcy znaleźli Maga, może mamy jakieś szanse.

- Maga? - Zaciekawiony Savjani zatrzepotał palcami. - Ach, nie. Nieważne.

Powiesz mi później. Kiedy zwyciężymy.

Oczy mu zabłyśły. Fowkes odpowiedział uśmiechem. Twarz miał ściągniętą i twardy wzrok, ale Savjani z radością zauważył, że nie stracił resztek ducha. Pamiętał, jak załamany był przyjaciel, kiedy rozmawiali ostatni raz. Może jednak czas leczy rany. Czas i okazja, by naprawić kilka spraw.

- Mamy małe szanse, Savjani. Krawiec wy dobył miecz z pochwy.

- I dzięki temu jest interesująco. Szykujmy się! Fowkes skinął głową i dotknął swoim mieczem czubka miecza Savjaniego.

- Szykujmy się.

Doskonale sobie poradziłeś, młody Christopherze. Naprawdę doskonale.

Idąc za Tedem przez jasne, eleganckie wnętrza Domu Telluriów, Christopher zostawiał na nieskazitelnych dywanach błotniste odciski stóp. Kiedy znaleźli się przy schodach, z pobliskiego korytarza wyłonił się bezszelestnie mężczyzna w odprasowanej liberii lokaja i białych rękawiczkach.

- Sprowadź wszystkich do Sali Owalnej, Jarvis - poprosił Ted. - Chłopak ma dla nas nowiny. I możesz mu załatwić coś do przebrania? Przynajmniej ciepły sweter.

Objął ramiona Christophera; jego ręka wydawała się pierwszą od wieków suchą rzeczą, jakiej chłopiec dotykał.

- Zaraz się rozgrzejesz.

Ted miał rację. Gorąco, panujące w Domu Telluriów, przejmowało Christophera do szpiku zlodowaciałych kości.

- Rycerze tu przyjdą - odezwał się szybko, nie chcąc czekać ani chwili dłużej. Ile mają czasu? A jeśli Rycerze pojawią się, zanim oni zdążą odwrócić starzenie?

- Wiem - odpowiedział ponuro Ted. - Fowkes dopiero co przeciął się do Nigdzieświata, żeby się spotkać z Goldenem. Spodziewaliśmy się, że spróbują wszystkiego, i zaczęliśmy się szykować. Kto wie? Wygląda to niewesoło, ale może mamy jakąś szansę?

- Ja coś przyniosłem. - Wciąż drząc mimo cudownego ciepła, jakie panowało w budynku, Christopher wydobył z kieszeni flaszkę. - Przyda się nam. Dostałem to od Maga.

Dwadzieścia minut później nieliczni Rycerze, którzy byli w stanie się poruszać, siedzieli wokół długiego stołu w Sali Owalnej.

- Proszę, kochany. - Maggie Baker postawiła przed Christopherem kolejną filiżankę herbaty. Popatrzył na siniaki i skaleczenia na jej twarzy. Musiały boleć, chociaż nie dawała tego po sobie poznać. Z trudem uświadamiał sobie, że to, co przytrafiło mu się w Nigdzieświecie, jest równie realne jak to, co dzieje się tutaj. Przygryzł wnętrze policzka. Zdaje się, że tamte wydarzenia mają większy związek z jego życiem, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał.

„Cholerny gówniarzu”.

Słowa wróciły do niego jak echo. Wypił łyk herbaty tak gorącej, aż parzyła usta, i

odpędził czarne myśli.

Jedno było dobre: przynajmniej zaczął się rozgrzewać. Sweter, który dostał od Jarvisa, cienki, ale wykonany z najlepszego kaszmiru, zatrzymywał ciepło jego ciała. Christopher zastanawiał się przez chwilę, do którego z pogrążonych w śpiączce starców należy. Spojrzał znad parującego kubka na starych Rycerzy, którzy ssali mocne miętówki i popijali na zmianę kawę oraz red bulla. Nietknięte ciastka leżały na środku stołu. Trudno było uwierzyć, że niektórzy z tych ludzi są w rzeczywistości młodzi, a część nie przekroczyła nawet trzydziestki. Christopher zadrżał - wcale nie z zimna.

Dopiero kiedy Maggie usiadła, mężczyźni zaczęli się odzywać. Wychudzony starzec oparł dłonie na lasce i pochylił się, żeby przyjrzeć się malej szklance i srebrnej butelce, które Christopher postawił na stole.

- Jeśli to kolejny z tych ohydnych płynów z kofeiną, które wmusza w nas Ted, obawiam się, że muszę odmówić - stwierdził sucho.

- I ja także, Freddie. - Staruszek w okularach z dwuogniskowymi szklami zaśmiał się cicho. - Nigdy nie przepadałem za red bullem. Napilem się go, kiedy pokazał się na rynku, i nie spałem przez tydzień.

Spowaźniał nagle.

- Jak ten świat się zmienia.

- To coś innego. - Ted stał wciąż przy krześle Christophera. - Panowie, chciałbym wam przedstawić Christophera Arnolda-Mathera, jednego z przyjaciół naszego Fina. Właśnie wrócił z Nigdzieświata, gdzie pomagał Finmere'owi i Fowkesowi.

Christopher się zaczerwienił.

- Bardzo mi miło panów poznać - powiedział cicho.

Mężczyźni siedzący wokół stołu skinęli głowami i zaczęli podawać swoje nazwiska, a on starał się skojarzyć je z twarzami: Simeon Soames, Lucas Blake, Freddie Wise, Harper Jones, Cardrew Cutler. Uśmiechał się do wszystkich po kolei. Kiedy wstana, pewnie pozapomina, jak się nazywają: wszyscy starzy ludzie wyglądali dla niego tak samo.

- A więc co to jest, Christopherze? - Oczy Harpera Jonesa załśniły wśród fałd pomarszczonej twarzy. - Co takiego przeszmuglowałeś z Nigdzieświata?

Christopher wziął głęboki oddech.

- To odwraca starzenie. Wystarczy dla trzech z was. Tylko dla trzech.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Christopher poczuł, że pałą go policzki. Spodziewał się, że przynajmniej jeden ze starców rzuci się na butelkę i spróbuje wypić wszystko. Z dziwnym uczuciem w żołądku przekonał się, że żaden nie wstaje. Ted nie kłamał: to byli ludzie honoru, prawdziwi Rycerze Nigdzieświata, zupełnie inni niż ci, którzy polowali na Fina, Joego i na niego.

Freddie Wise odchylił się na krześle.

- Lek na starzenie? No, no, no. A to ciekawe.
- Musimy wybrać trzech z was - powtórzył Christopher. - Jest mało czasu.

Cardrew Cutler popatrzył Christopherowi w oczy.

- Skąd to wzięłeś?
- Teraz nie pora na to, Cardrew - wtrącił się Ted. - Zaraz będzie tutaj cała Rada.

Christopher odetchnął z ulgą. Nie chciał kłamać, a bał się, że jeśli dowiedzą się, co zrobił, każą mu wypić eliksir. Chociaż pragnęła tego tylko mała, wystraszona część jego duszy, wolał nie narażać się na taką pokusę.

Lucas Blake odezwał się pierwszy.

- Moim zdaniem powinni go wypić Freddie, Simeon i Cardrew. Potrzebujemy twojej głowy, Freddie. Poza tym wy trzej jesteście najdłużej Starzy. - Spojrzał na Harpera Jonesa. - Wybacz, chłopie.

Harper pokręcił głową.

- Nie przepraszaj. - Uśmiechnął się. - Gdybym był młodszy, zaraz dostałbyś w nos, ale wiecie... nie te lata.

Dziwnie było słuchać tych starców; Lucas Blake i Harper Jones wyglądali na tak zgrzybiałych, a jednak w ich piskliwych, słabych głosach dźwięczała młodość.

Freddie Wise prychnął z wesołą miną.

- O arogancjo młodości. Obawiam się, że to nie twoja decyzja, Lucasie.
- A dlaczego nie, u licha? - Lucas Blake spiorunował go wzrokiem.
- A to dlatego, młody człowieku, że decyzje tego rodzaju podejmują najstarsi z Rycerzy w stanie spoczynku, a zatwierdza Ted, jako nasz Obrońca. - Freddie uniósł brew
- O ile dobrze pamiętam, a pamiętam!, ty nie należysz do tego grona.
- Ale...

- On ma rację. - Ted zerknął na Freddiego i kiwnął głową. - Kogo rekomendujesz, Freddie? Ty znasz wszystkich najlepiej i wiesz, co nas czeka. Harlequin chciałby, żebym pozwolił tobie wybierać.

Christopher przyglądał się, jak starzec popija kawę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Tego jednego na pewno się nie spodziewał: każdy z Rycerzy starał się przekonać towarzysza, że to właśnie tamten powinien dostać lek.

- Moim zdaniem nie ma nad czym debatować - odezwał się Freddie Wise jasnym, dźwięcznym głosem. - Lek powinni wziąć Lucas Blake i Harper Jones.

Podniósł dłoń, uciszając protesty.

- Jeśli cofniemy starzenie u mnie, i tak będę za stary, żeby przydać się w walce. Wy obaj służyliście pod Goldenem, należeliście do jego Rady Wewnętrznej, znacie jego ludzi. A oni znają was. Jeśli zobaczą, że znów jesteście młodzi, na pewno się mocno zdziwią.

- Dobrze gadasz - stwierdził Cardrew Cutler, wyjmując mocną miętówkę z puszki. Wrzucił ją do ust i zaczął ssać. -I obaj aż rwą się do bitki.

Spojrzał na Blake'a i Jonesa.

- Pamiętam, jak kiedyś wpakowaliście się w niezłą chryję i musiałem wpłacić za was kaucję, a Harlequin...

- Nie teraz, Cardrew.

- Oczywiście. - Cardrew opadł na krzesło. - Przepraszam, Freddie.

- A kto trzeci? - zapytał Ted.

- Simeon Soames czy Cardrew Cutler? Obawiam się, panowie, że musimy rzucić monetą. Nie potrafię wybrać między dwoma tak znamienitymi Rycerzami.

- Niech to będzie Simeon i po sprawie - wtrącił się wesoło Cardrew, uśmiechając się bezzębными dziąsłami do siedzącego naprzeciwko towarzysza. - Oddam wszystko, żebyś wreszcie przestał narzekać na ten cholerny wózek.

- Nie możemy w ten sposób decydować! - wybuchł Simeon.

- Sposób jak każdy inny - odparował Cardrew. - A poza tym my się już przyzwyczailiśmy, że takie z nas próchna.

Spojrzał na Freddiego Wise'a.

- Służyłem z tobą, kiedy obaj należeliśmy do Rady Wewnętrznej. Wytrzymam

jeszcze trochę.

Zapadła długa cisza.

- A więc postanowione - odezwał się w końcu Freddie. - Jarvis, bądź tak dobry, weź tę butelkę i pomóż Lucasowi, Harperowi i Simeonowi. Idźcie do któregoś z pokojów. To chyba jedna z tych rzeczy, którą dżentelmeni powinni robić na osobności.

Kiedy Lucas Blake, Harper Jones i Simeon Soames wyszli, Christopher miał wrażenie, że Sala Owalna opustoszała. Chociaż trzymali się dzielnie, w oczach Cardrew Cutlera i Freddiego Wise'a zobaczył cień zawodu. Tykający zegar odmierzał kolejne minuty; jedną, dwie, trzy, cztery, pięć. Minęło dziesięć minut, w ciągu których nikt się nie odezwał. Zamiast patrzeć starcom w oczy, Christopher wbił wzrok w stół. Po raz pierwszy zauważył wyryte na jego powierzchni wyrazy. Zmarszczył czoło.

- To jest prorocstwo, o którym wszyscy mówią?

- Tak - potwierdził Ted. - Stań przy tamtym końcu, a przeczytasz całe.

Christopher śledził wzrokiem kształty liter, nie próbując zrozumieć znaczenia słów.

- Nieważne. Ja chyba dostałem od Maga własne prorocstwo - mruknął pod nosem.

Ted przyglądał mu się z namysłem.

- Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Nawet prorocstwo dla każdego znaczy coś innego. Przeznaczenie to kawał drania. Potrafi się zmieniać.

Christopher uśmiechnął się lekko, nie podnosząc głowy. I tak za dużo już powiedział. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w tej chwili, było przesłuchanie. Ci wcale-nie-tacy--starzy--starcy byli o wiele sprytniejsi, niż wyglądali. Czekał na lawinę pytań, ale nikt nie otworzył ust. Po kilku minutach Christopher poczuł się jeszcze gorzej.

Chwycił ciastko i ugryzł kawałek, chociaż mdliło go na samą myśl o jedzeniu. Musiał jakoś przerwać tę okropną ciszę.

- Czekoladowe ciastka z otrębami. - Cardrew mrugnął do niego. - Właśnie tego mi trzeba. Podaj, chłopcze.

Christopher popchnął talerz po lśniącym blacie stołu. Zaczęli chrupać obaj. Już nie było tak straszliwie cicho.

- Jak idą przygotowania? - zwrócił się Ted do pani Baker.

- Chyba zrobiliśmy już wszystko, co wymyślił Lucas. - Pani Baker wzięła z talerza ciastko i ostrożnie odgryzła kęs, uważając, żeby nie rozerwać gojącej się rany na wardze.

- Prawie w każdej sypialni zawiesiliśmy coś ciężkiego nad drzwiami. Jeśli ktoś wejdzie, spadnie mu na głowę. Przeprowadziliśmy sznurki od klamek do dzwonek na służbę w kuchni. A te pokoje, w których nie ma pułapek, zamkniemy.

Opuściła wzrok na ciastko.

- Było za mało czasu, żeby zabezpieczyć wszystkie - dodała cicho.
- Dobra robota. My będziemy pilnować tej sali... jeśli czujesz się na siłach, Maggie.
- Masz dla mnie miecz?

Ted wcisnął jakiś guzik i część blatu przesunęła się, odsłaniając mahoniową kasetkę, na której leżało pięć lśniących srebrnych mieczy. Wydobył jeden, ocenił wzrokiem ostrość klingi i podał pani Baker.

- Uważaj z tym, Maggie.

Uśmiechnęła się do niego z czułością..

- Lepiej sam uważaj, staruszk.
- A co ze mną? - zapytał Christopher. - Ja też dostanę?

Ted uśmiechnął się z przymusem.

- Nie mogę dawać mieczy młodzikom, chłopie. Wiem, że masz szesnaście lat, ale to jeszcze za mało. To nie byłoby w porządku - westchnął. - Trzeba ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Przede wszystkim: nie w tym domu.

Christopher pokręcił głową. Nie zamierzał uciekać. Nie po to zrobił to wszystko, żeby w decydującym momencie dać się wepchnąć do jakiejś komórki jak zawadzający mebel.

- Nigdzie nie idę. Ja...

Głos zamarł mu w gardle. Drzwi do Sali Owalnej otworzyły się z rozmachem. W progu, z dłońmi na rękojeściach mieczy, stało trzech obcych młodych mężczyzn. U dwóch wyższych krótko przycięte blond włosy otaczały jasną ramą wyraziste twarze o mocnych rysach. Stojący między nimi brunet miał nastroszoną modnie fryzurę, muskularną pierś i szerokie barki. W ciemnych spodniach i białej koszuli wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać Rycerz. Uśmiechnął się szeroko i rzucił na stół parę okularów o podwójnych szklach.

- Nie wiem, jak wy, ale ja zupełnie zapomniałem, jaki jestem przystojny - powiedział Lucas Blake.

Nie tylko Christopher patrzył na ich trójkę z otwartymi ustami.

- A niech mnie - odezwał się wreszcie Freddie. - Może jednak mamy jakieś szanse.

Opowiadaczka oderwała kawałek sukienki, żeby obwiązać ranę na dłoni Fina, a potem powlekli się śladem szkarłatnych plam, które jarzyły się na tle brudnej szarości. Długie korytarze zakręcały i rozwidlały się przed nimi bez końca.

Po półgodzinie ramię Finmere'a rwało boleśnie od ciężaru łańcucha i ciała Opowiadaczki, którą wciąż podtrzymywał. Nie zwracał na to uwagi; przez całą drogę mówił do niej o wszystkim, co zdarzyło się od dnia jego szesnastych urodzin. Nie był pewien, czy w ogóle słyszy jego cichy głos - kiedy zerkał na nią od czasu do czasu, widział, że przymyka powieki. Mimo to nie przestawał, bo wszystko wydawało mu się lepsze niż słuchanie rozpaczliwego wycia więźniów.

W końcu, kiedy czuł już, że ręka zaraz mu odpadnie, zobaczył na wprost przed sobą łukowate przejście.

- Udało się - szepnął. - Wróciliśmy do sali. Patrz!

Sam nie wiedział, dlaczego tak się cieszy. Nie miał przecież pojęcia, które lustro prowadzi do Nigdzieświata, ale przynajmniej będzie w stanie wyciągnąć stąd Opowiadaczkę. Przez którekolwiek lustro wyjdą, na pewno trafią w miejsce lepsze od tego koszmarnego więzienia.

Kiedy znaleźli się w cylindrycznej sali, kobieta podniosła głowę i uśmiechnęła się słabo.

- Teraz muszę sobie tylko przypomnieć, którędy tu wszedłem - wymamrotał Finmere, zatrzymując się na środku wielkiego pomieszczenia. Beznadzieja i bezradność, to właśnie czuł w tej chwili. Ciało Tovy płonęło: miała gorączkę i musiał jak najszybciej ją stąd wydobyć. Zacisnął szczęki. Nawet jeśli uda mu się rozpoznać właściwe lustro, jak się do niego wespną? Podniósł głowę i wyteżył wzrok. Musi być jakiś sposób. Przecież ludzie się stąd wydostają. Przyglądał się kolejnym rzędom półek, obracając się powoli. Dłoń wciąż mu dokuczała, ramiona pękały z bólu i ledwie trzymał się na nogach; oby tylko Opowiadaczka się nie przewróciła, bo jeśli upadnie, to - chociaż jest taka drobna - może jej nie podnieść.

Jego wzrok natrafił na coś dziwnego w jednym z luster cztery poziomy wyżej.

Finmere zmrużył oczy... i się uśmiechnął. Czy to naprawdę...? Tak!

- To Joe - wyszeptał i zaśmiał się na głos. - Zobacz, to ręka Joego! Patrz, tam!

Nagle całe zmęczenie i ból gdzieś się rozwiały. Tova spojrzała w miejsce, które jej wskazywał, i niespodziewania ziemia uciekła im spod stóp. Fin podtrzymał zdezorientowaną Opowiadaczkę, polecieli w górę, a po chwili już lądowali na kamiennym gzymsie. Szczęśliwy, że znów stoi na własnych nogach, Finmere wypuścił powietrze z płuc. Nie obejrzał się nawet za siebie ani nie zastanowił nad tym przedziwnym zjawiskiem. Popatrzył na Tovę: była okropnie blada, a splątane złote włosy wisiały bezładnie wokół jej poranionej twarzy, ale i tak czuł, że to najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu.

Patrzyła na szczupłe ramię Joego, wystające z lustra. Pasma matowych włosów zasłaniały jej twarz.

- Arh... an... - wybełkotała, nie patrząc na Fina.

Finmere nie zrozumiał. Ścisnął jej ramię. Cokolwiek chce mu przekazać, może poczekać, aż będą bezpieczni.

- Chodź - powiedział i złapał dłoń Joego.

Wypadli na drugą stronę, Fin przewrócił się na Joego, Opowiadaczka zatrzymała się tuż obok. Z drewnianej podłogi podniósł się obłok pyłu. Finmere zmrużył powieki, tak raził go żółtawy poblask świec; oczy odzwyczyły się od światła w szarej pustce więzienia. Powietrze było ciepłe i bogate. Wciągnął je gwałtownie do płuc - miało słodki smak.

- Cholercia. - Joe usiadł, plując kurzem i łodygami trzciny. - Nie myślałem, że tak szybko wrócicie.

- Szybko? - Fin zmarszczył czoło. - Nie było mnie kilka godzin.

- A skąd. Fowkes i Golden dopiero co poszli się bić do katedry. Tej tutaj, nie do naszej. - Joe rzucił okiem na drzwi. - Musimy stąd zmykać. Zaraz będzie tu ten drugi gość. Zbiera resztę, zaatakują Dom Telluriów.

Opowiadaczka zdołała usiąść. Joe przypatrywał się jej z otwartymi ustami. Przestraszony, że powie coś o jej języku, Fin rzucił mu groźne spojrzenie. Wargi przyjaciela zadrżały; zaczął mówić o czymś innym.

- Co robimy, Fin? Burza jest coraz silniejsza.

Finmere ujął smukłą dłoń Opowiadaczki.

- Musisz odzyskać swoje historie. Musisz powstrzymać tę burzę.

Popatrzyła na niego swoimi niezwykle wielobarwnymi oczami, przeniosła badawczy wzrok na Joego i po dłuższej chwili wróciła spojrzeniem do Fina. Kiwnęła głową i chciała coś powiedzieć, ale z jej gardła wydobył się tylko bolesny charkot.

Finmere rozejrzył się rozpaczliwie po komnacie.

- Jest tu coś do pisania?

Joe skoczył na równe nogi i zaczął szperać wśród przedmiotów leżących na pulpicie.

- Mam ołówek! - Pomachał nim w powietrzu. - O, i teczkę.

Zamilkł nagle.

- Fin? Na niej jest twoje nazwisko.

- Nieważne. Daj ją szybciej.

Powieki Opowiadaczki znów opadły. Fin przestraszył się, że zemdleje. Joe kucnął przy nich i podał jej ołówek. Ścisnęła go drżącymi palcami, osuwając się bezwładnie.

Była bardzo słaba. Skupiona, zaczęła stawiać litery. Fin patrzył w napięciu.

„Gdzieświat”. Dłoń Opowiadaczki się zatrzymała. Finmere spojrzał jej w twarz.

- Ukryłaś historie w Gdzieświecie?

Skinęła głową.

- Musimy wracać - powiedział Fin do Joego. - Zabierzemy ją do Domu Telluriów.

- Zniesie podróż? - zaniepokoił się Joe. - Zdaje się, że ludzie z Nigdzieświata od tego chorują.

- Nie mamy wyboru. Poza tym, skoro ukryła historie w Gdzieświecie, musiała już tam być.

- Dobra. - Joe delikatnie wziął Opowiadaczkę pod drugie ramię i pomógł Finowi postawić ją na nogi. - To rób, co trzeba.

Fin wyciągnął obosieczny miecz z pochwy. Broń natychmiast zaczęła wibrować. Drżenie objęło dłoń, rękę, całe ramię, w końcu dotarło do serca. Miecz aż buzował mocą, jak wypuszczony ze stajni wyścigowy koń, który rwie się do galopu. Finmere zamknął oczy i wyobraził sobie śnieżnobiały dywan na podłodze Domu Telluriów. Widział wyraźnie korytarz prowadzący do klatki schodowej, zupełnie jakby już tam był. Uśmiechnął się.

- Co będzie, to będzie.

Dwadzieścia minut później Conrad Eyre wrócił do pustej komnaty i zmarszczył brwi, widząc na środku podłogi ołówek i teczkę. Odczytał napisany na niej wyraz:

„Gdzieświat”, spojrział na lustro i znów na teczkę. Wreszcie podniósł ją i rzucił z powrotem na pulpit. Niebawem pozna odpowiedzi na wszystkie pytania

Odwrócił się do Rycerzy, którzy szli po schodach tuż za nim. Przez chwilę stali w ciszy. Wydobył broń.

- Szykujmy się - powiedział.

Metal szczęknął. Rycerze podnieśli miecze.

- Szykujmy się - powtórzyli jednym głosem.

Xed i pani Baker zabrali Opowiadaczkę do kuchni i posadzili ją przy ogniu. Maggie znalazła w jednej z wielkich szuflad opakowanie środków przeciwbólowych, podała Towie szklanekę z wodą i kazała przełknąć kilka proszków.

- Niedobrze z nią.

- Kiedy będzie po wszystkim, Jarvis się nią zajmie. Zrób, co możesz - poprosił Ted.

- A co z Salą Owalną? - Pani Baker delikatnie otarła twarz Opowiadaczki, tak samo, jak Ted ocierał jej twarz, kiedy znaleźli ją pobitą we własnej kuchni.

- Ona jest teraz ważniejsza. Zajmę się nimi, nie martw się. - Ted zmarszczył brwi. - Ale powinniśmy ją zabrać w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Opowiadaczka zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Finmere powstrzymał uśmiech. To wszystko jej nie złamało: wciąż była silna i chciała walczyć. Tak jak on sam.

- Wy zostaniecie tutaj, chłopcy. - Ted odwrócił się do Fina. - Bitwa to nie zabawa. A pani Baker przyda się pomoc.

Finmere popatrzył na Joego i Christophera; przyjaciele unieśli brwi.

- Bez dyskusji - warknął Ted. - Będziemy mieć dość do roboty, nie musimy się dodatkowo martwić o trzech nastolatków. Siedźcie tutaj, w porządku?

- Dobra. - Fin zrobiłby wszystko, żeby pomóc, ale nie chciał przeszkadzać w walce. -1 powodzenia.

- Przyda się nam wszystkim. - Ted zwichrzył mu włosy. -Stary Harlequin byłby z ciebie dumny, Fin.

Finmere miał ochotę uściskać starego strażnika, ale się opanował. Gdyby to zrobił, przyznałby się, że boi się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy - to znaczy, czy wygrają bitwę. Musiał odpędzić tę myśl, żeby nie kusiła złego losu.

Coś zatrzeszczało; Ted sięgnął do pasa, podniósł do ust krótkofalówkę i powiedział coś cicho do nadajnika. Odwrócił się.

- Już tu są - oznajmił i szybko wyszedł z kuchni.

Serce skoczyło Finowi do gardła, a dłonie zwilgotniały od potu. Przez chwilę trwała cisza. Potem dwa z długiego rzędu dzwonek na ścianie zaczęły brzęczeć, a gdzieś z góry dobiegł wrzask bólu i wściekłości.

Pani Baker podniosła głowę.

- Zdaje się, że ktoś właśnie dostał w głowę żeliwną formą do babki.

- A my naprawdę będziemy tutaj siedzieć? I nic nie zrobimy? - zapytał Christopher.

Fin popatrzył na przyjaciela. Od kiedy wrócił z Nigdzieświata, nie miał nawet czasu się z nim przywitać, a co dopiero dowiedzieć się, jak potoczyła się przygoda z Magiem. Czuł jednak, że Christopher się zmienił... ale co właściwie było inaczej? Nie potrafił odgadnąć.

- Ted powiedział... - urwał nagle. Ted powiedział to, co musiał, i postąpił tak, jak kazał mu honor. Nie mógł poprosić ich, żeby stanęli do walki: są za młodzi i nieprzygotowani. Fin uświadomił sobie, że jeśli Ted i starzy Rycerze mają wygrać, przyda im się każde wsparcie.

- W tych drzwiach jest zamek? - odezwał się Joe. - Wyglądają solidnie. Jeśli zamkniemy je na klucz, powinny zatrzymać Rycerzy.

- Chyba że się przetną - stwierdził Fin.

- Rycerze nie schodzą do kuchni - powiedziała pani Baker, przyglądając im się uważnie. - Jarvis się nie zgadza. Suterena i piwnice nie są dla Rycerzy. Pod tym względem jest bardzo staroświecki.

Trzej chłopcy popatrzyli po sobie.

- No to mamy plan. Jeśli zamkniemy za sobą drzwi, Opowiadaczka i pani Baker powinny być bezpieczne. Rycerze nie mogą się przeciąć do miejsca, którego nie widzieli. - Fin rozejrzał się wokoło. - Musimy tylko znaleźć tu jakąś broń.

Fowkes stał na nierównej posadzce katedry Świętego Pawła i patrzył w mrok.

Wszystkie jego nerwy mrowiły; obnażył miecz. Broń drżała jak podłączona do prądu, jakby nawet metal wyczuwał napięcie w nocnym powietrzu. W połowie schodów gdzieś za plecami Fowkesa krył się Savjani z mieczem w gotowości. Dobrze było znów mieć kogoś przy sobie, chociaż tym boleśniej zatęsknił za Baxterem. Oby Savjani dał sobie radę z tym, o co Fowkes go poprosił.

- Podejdz, St Johnie - odezwał się cicho. - Słyszę, że tam jesteś.

Wysoka postać wyszła na otwartą przestrzeń, odpięła płaszcz i pozwoliła mu opaść na ziemię. Białe zęby błysnęły w uśmiechu.

- Widzę, że alkohol nie stępił ci wszystkich zmysłów. - St John Golden wysunął broń z pochwy.

- Będziesz zaskoczony. - Fowkes podniósł swój miecz i zrobił krok do przodu, ku najniższemu stopniowi schodów. Uśmiechnął się także. - Chociaż może to nie być miłe zaskoczenie.

- Przeceniasz się, Fowkes. Zawsze się przeceniałeś. - St John również postąpił naprzód. - W tej chwili Conrad wykańcza Rycerzy w stanie spoczynku. Wkrótce Dom Telluriów będzie nasz. Opowiadaczka przepadła. Księżę Regent jest bezwolną marionetką. - Wzruszył ramionami. - Rozumiesz, co to znaczy? Dlaczego od razu się nie poddasz?

Fowkes uśmiechnął się groźnie i stanął tuż przy schodach.

- Ale nie masz historii, prawda? Ani pojęcia, gdzie są. Jak długo twoi ludzie pozostaną ci wierni, bez Odwiecznych Historii?

Twarz St Johna pociemniała.

- Zdobędę je - rzucił się w stronę Fowkesa, który odskoczył na pierwszy stopień schodów. - Ale ty już tego nie zobaczysz!

Obosieczne miecze zwały się ze szczękiem.

Mona, która nagle przestała się bać Księcia Regenta, spiorunowała władcę wzrokiem. Za jej plecami, ściskając czapkę w grubych palcach, przysypiał na krześle Jacob Megram; wędrownica do pałacu całkowicie wyczerpała jego siły. Wysoko w niebie przewalały się błyskawice i grzmoty.

- Na pewno coś możecie zrobić! Dlaczego na przykład nie pošlecie szpiegów do siedziby Rycerzy? - Z trudem słyszała własne słowa w kakofonii dźwięków, które

wydobywał ze swego instrumentu niezłomny klawikordzista. - Musimy się dowiedzieć, gdzie są Finmere, Fowkes i inni!

Ciemne oczy Księcia Regenta patrzyły na nią beznamiętnie, ale jego delikatne palce wybijały nerwowy rytm na obitym jedwabiem podłokietniku tronu. Machnął dłonią; muzycy przestali grać i z wdzięcznością umknęli z sali przez jedne z bocznych drzwi.

- Wielkie dzięki - mruknęła pod nosem Mona. Szalejąca na zewnątrz burza atakowała zaciekle wielkie okna sali tronowej; kiedy umilkła okropna muzyka, jej wycie wydawało się jeszcze bardziej przerażające.

- Ci Rycerze - odezwał się wreszcie Książę Regent. - Zawsze narobią szkód. To ich problem. Niech sami go naprawią.

Zirytowana Mona przestąpiła z nogi na nogę. Sprawa wyglądała beznadziejnie.

- Ale to nasz świat! A co, jeśli nie są w stanie tego naprawić? A co z waszymi poddanymi? - zawiesiła głos. - A jeżeli właśnie ziszcza się proroctwo? Będziecie siedzieć na tyłku i niech się dzieje, co chce?

Książę Regent uniósł brew

- Twoje zachowanie jest oburzające.

Mona podparła się pod boki.

- A twoje, panie, wkurzające.

Finmere nie spodziewał się aż takiego chaosu, jakim okazała się walka w zamkniętej przestrzeni. Wykradli się z kuchni i, schyleni jak najniżej, zaczęli wchodzić po schodach na parter. Z góry dobiegał szczęk broni i łomot podkutych butów, którego nie mogły stłumić nawet grube dywany.

Coś roztrzaskało się z hukiem.

- Christianie Fransie! Sprawdź na dole!

Fin podskoczył. Serce stanęło mu w piersi.

- Ktoś idzie - wymamrotał. Między tralkami balustrady pojawił się ruchomy cień.

Joe przebiegł w poprzek schodów, rozwijając kłębek szpagatu, - który znaleźli w jednej z kuchennych szuflad, i okręcając resztę wokół dłoni. Nieco niżej to samo robił Christopher.

Finmere rozpląszczył się na ścianie i czekał. Szpagat był niewidoczny na tle białego dywanu, ale czy wisi dość wysoko...? Kroki zbliżyły się i Fin wstrzymał oddech.

- Co to, k...?
- Ta jest! - wrzasnął Joe, kiedy Rycerz runął głową w dół na schody.
- Brać go! - zawołał Christopher i wszyscy trzej skoczyli na wściekłego,

zdezorientowanego mężczyznę.

- Złóżcie ze mnie, cholerne łobuzy!

Finmere prysnął mu w oczy chlorowym płynem do czyszczenia kuchni i zamiast przekleństw rozległ się krzyk. Podczas gdy Joe i Christopher przytrzymywali Rycerza, Fin szczerze nalał mu płynu do ust. Niemal zrobiło mu się żal mężczyzny, który wił się i kasłał, walcząc o oddech.

- Jeden leży! - Odebrał mu miecz. - Przynajmniej ten nigdzie się już nie wybiera.
 - Cholercia, dobrzy jesteście - wydyszał Joe i przycisnął Rycerza jeszcze mocniej.
- Fin spojrzał w górę schodów.

- Dacie radę go związać?

Christopher z uśmiechem wydobył z tylnej kieszeni spodni rolkę brązowej taśmy.

- Dlaczego po prostu nie dziabnąłeś go mieczem? - Joe wykręcił ręce mężczyzny do tyłu, a Christopher okręcił mu nadgarstki taśmą. - To znaczy... wiem, że to by nie było fajne, ale...

- Miecze obosieczne nie zostały stworzone do zabijania. - Fin uśmiechnął się lekko.
- Użyję go tylko, jeśli naprawdę będę musiał.

- Brzmi sensownie. A poza tym, tak kogoś dziabnąć, i ta krew, i w ogóle? - Joe wykrzywił twarz w grymasie. - Ohyda.

Na drugim piętrze Conrad Eyre zgrzytnął zębami i kopnął kolejne białe drzwi. Tuż za progiem, na miejsce, gdzie by stał, gdyby wszedł do środka, zwałił się z góry stos książek. Rycerz zmarszczył brwi. Te pułapki były śmiechu warte: i pewnie śmiałyby się z nich, gdyby w Domu Telluriów zastali - tak jak się spodziewał - tylko Teda, Jarvisa i kilku starców. To miała być łatwa akcja. W tej chwili wszyscy powinni już być martwi.

Dlaczego St John Golden nie wiedział, że będą musieli walczyć? Czy to możliwe, że ich przywódca nie był tak doskonale przygotowany, jak twierdził? Najpierw klęska z Opowiadaczką, a teraz to. Wątpliwości rosły w jego głowie jak złośliwy nowotwór.

Drżąc z gniewu i strachu, którego nie dopuszczał do świadomości, przekroczył rozsypane książki i podszedł do wózka inwalidzkiego. W Domu Telluriów byli młodzi

Rycerze - nie nowicjusze czy amatorzy, ale młodzi, wyszkoleni Rycerze, między którymi zauważył Lucasa Blake'a. Widział go na pewno, ale to nie mogła być prawda: starzenie dopadło Lucasa pięć lat temu i Conrad wiedziałby, gdyby się cofnęło: takie rzeczy zdarzały się bardzo rzadko.

Staął twarzą w twarz z starcem o pokrytych bielmem, osłupiałych oczach i poczuł falę wstrętu. To, co robił, było chyba humanitarne - sam chciałby tak skończyć. A niezależnie od tego, czy zawiódł się w swojej wierze w St Johna, teraz nie mógł już zawrócić.

- Czas umierać - mruknął i podniósł zakrwawiony miecz. Coś uderzyło go w tył głowy. Odwrócił się, mrużąc oczy.

- Raczej nie - powiedział sucho starszy mężczyzna, opuszczając laskę i podnosząc miecz. - Powinieneś się wstydzić, Conradzie Eyrze. Mieliśmy co do ciebie wielkie nadzieje.

- Freddie Wise? - Conrad się zaśmiał. Potylicą pulsowała boleśnie, ale cios był tak słaby, że nawet go nie oszołomił. - Doskonale. Zabiję ciebie, a potem jego. Czas zrobić miejsce dla nowego Zakonu.

- Po moim trupie.

- Skoro nalegasz. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Ich miecze zderzyły się z trzaskiem. Freddie zaczął się chwiejnie cofać i wyszedł na korytarz. Conrad czuł, jak bardzo jest słaby: z trudem utrzymywał miecz w górze i ledwie nim władał. Minęli drzwi do sypialni, które Conrad już wyłamał. Zdyszany Freddie z politowaniem pokręcił głową.

- Tak sobie to wyobrażałeś, Conradzie? Kiedy St John opowiadał ci o władzy - wyrzeźbił. - Myślałeś, że będziesz mordował dzielnych mężczyzn? Dzielnych i bezbronnych?

Conrad się roześmiał.

- To środek do celu. - Naparł na Freddiego, który potknął się o stopień schodów i wypuścił miecz. Conrad stanął nad starcem i się uśmiechnął. - A dla niektórych z was to miłosierdzie. Pożegnaj się, Freddie Wisie.

- Nie tak szybko, Conradzie Eyrze.

Conrad podniósł głowę i zamarł w pół ruchu. To niemożliwe... przemknęło mu przez

myśl.

- Nie spieszyłeś się - mruknął Freddie, wyslizgując się spod ostrza.

Wstrząśnięty Conrad zapomniał o starcu.

- Lucas Blake - wypluł.

Ciemnowłosa mężczyzna na schodach uśmiechnął się szeroko.

- Zaskoczony? Na górze czeka jeszcze kilku znajomych.

- Przeniósł wzrok na Freddiego. - Zdaje się, że w ciągu ostatnich pięciu lat zboczyłeś z dobrej drogi, Conradzie. - Cmoknął z dezaprobatą. - Doprawdy: żeby walczyć ze starcami?

- Wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go. - Dlaczego nie wybierzesz kogoś w swoim wieku?

Frustracja i gniew podeszły Conradowi do gardła. Odwrócił się.

- Z przyjemnością.

Zwarli miecze.

Mokry od potu Fowkes zaciekle nacierał i parował ciosy St Johna. Przechwałki przechwałkami, ale w bolących mięśniach i drżących kościach czuł lata zaniedbywania ćwiczeń. Owszem, odpierał ataki, ale to St John kierował tą walką. Broniąc się, Fowkes grał na czas - teraz musiał odzyskać dawną pewność siebie. W walce zawsze był lepszy od St Johna. Goldenowi brakowało instynktu. Jeśli tylko uda mu się wyczuć dawny rytm, może go pokonać.

Wygiął ciało i odskoczył, ledwie unikając ostrza. Oczy St Johna zalśniły.

- Wciąż jesteś taki pewny siebie, Fowkes? A może tchórzysz, jak wtedy, kiedy pozwoliłeś, by Baxter zginął za ciebie?

Wściekłość przesłoniła Fowkesowi oczy; opanował się z trudem. Musiał zachować spokój. Musiał pozostać prawdziwym Rycerzem, jeśli miał wygrać tę walkę - nie tylko dla siebie, ale także dla Baxtera. Pomyślał o przyjacielu, który tak często się śmiał, odwrócił się błyskawicznie i z impetem opuścił miecz. Triumfalny uśmiech Golden zbladł. A więc stara magia wciąż działa.

- Nie mów „hop”, Golden. - Fowkes przykucnął, z łatwością uchylając się przed ciosem. Za plecami czuł obecność

Savjaniego, który szykował się, żeby wkroczyć do walki. - Nigdy nie patrzyłeś, gdzie

skaczesz.

Zaczął wyobrażać sobie Salę Ovalną Domu Telluriów. Uśmiechnął się i odsunął, a Savjani natychmiast zajął jego miejsce.

- Przytrzymaj go! - Fowkes ciął powietrze. Kiedy otworzyła się szczelina, nie czekał, żeby zobaczyć szok na twarzy komandora; usłyszał jeszcze tylko śmiech Savjaniego i szczęk zwierających się mieczy. Skacząc w przejście, nie martwił się, że St John Golden spróbuje go ścigać. Tym razem widział w jego oczach strach. Golden śmiertelnie bał się starzenia, bał się podróżować. Gdyby było inaczej, walczyłyby u boku swoich ludzi w Domu Telluriów.

Klucząc między ścierającymi się mężczyznami, Finmere wbiegł po schodach. Na półpiętrze, przy szeregu wózków inwalidzkich, stał Cardrew Cutler. Fałdy obwisłej skóry pod brodą zatrzęsły się, kiedy z uśmiechem pokręcił głową.

- Myślałem, że Ted kazał wam siedzieć w jakimś bezpiecznym miejscu. - Popchnął metalowy wózek, jakby wioził niewidzialnego pasażera. - O mało nie zwałem ci tego na głowę. Dobrze, że mam okulary.

Fin zerknął w dół; między tralkami zobaczył leżący na półpiętrze wrak rozbitego wózka.

- Rzucasz w ludzi wózkami?

- Dawno się tak dobrze nie bawiłem. - Cardrew wyszczerzył zęby. - A teraz sio.

Fin zostawił staruszkę na straży schodów i dotarł do Sali Ovalnej na końcu długiego korytarza. Kiedy wszedł do środka, serce uderzyło mu mocniej, niemal się zatrzymało, a wreszcie zaczęło walić jak szalone. W Sali Ovalnej rozmawiał z Tedem Fowkes. Na czole miał grube krople potu. Niezauważony Fin słuchał, o czym mówią.

- Zatrzymał go Mitesh Savjani. A jak tutaj?

Ted chodził tam i z powrotem, ściskając w dłoni krótkofalówkę.

- Lepiej niż mogłem się spodziewać. Gdyby nie ten lek, który przyniósł kumpel Fina, byłoby po nas, ale dajemy radę. Chociaż straciliśmy kilku staruszków. - Spojrzał na Fowkesa. - Tylko żebyś nie zabił Goldena. To poniżej twojego poziomu.

Fowkes ponuro kiwnął głową.

- Trudno będzie się powstrzymać. - Uśmiechnął się krzywo. - Oczywiście, o ile to nie on mnie zabije.

- Jego i Eyre'a musimy mieć żywcem. Bez nich reszta się podda.
- Mamy towarzystwo! - zawołał z drugiego końca korytarza Cardrew Cutler.

Chwilę później rozległ się brzęk metalowego wózka obijającego się o balustradę schodów. Ted i Fowkes obejrzelili się w tym samym momencie i zauważyli Fina, który znieruchomiał przy drzwiach.

- Finmere? Co ty, do chole... - zaczął Ted. - A, nieważne. Nie ma czasu.

Klepnął Fowkesa w plecy, chwycił leżący na stole długi stalowy pręt i wybiegł na korytarz.

Na blacie stołu coś zaczęło się dziać. Wryte w drewnie wyrazy zaślniły złotym blaskiem, a potem strumienie światła wytrysnęły z liter, rysując ich kształt w powietrzu nad stołem. Słowa zabrzmiały w głowie Fina, jakby znał je już od dawna. Z otwartymi ustami spojrzał na widocznego za linijkami Fowkesa, który wydawał się nie widzieć pięknego wiersza, jaki zawisł między nim a chłopcem. Jak to możliwe?

Kiedy życie i śmierć połączą się w jedno,

Równowaga wszystkiego rozpadnie się pewno.

Wersy w środku świeciły mocniej niż pozostałe. Patrząc na nie, Fin poczuł ten sam strach, który sparaliżował go, kiedy po raz pierwszy dotknął miecza. Drzwi w jego głowie próbowały się uchylić, jakby złote słowa chciały wdrzeć się do środka. Nie może ich otworzyć. Nie może. Cokolwiek się tam kryje, za bardzo go przerażało. To jest złe, wiedział na pewno: złe.

Fowkes podszedł do Fina i chwycił go za ramię, rozbijając lewitujące wyrazy w chmurę kolorowych płatków, które opadły z powrotem na drewniany blat.

- Przestań się gapić na ten stół, lepiej się pod nim ukryj. - Fowkes rzucił Finowi złe spojrzenie i jednym cięciem otworzył szczelinę do Nigdzieświata. Zaskoczony Fin spojrzał na otwór, na blat i znów na otwór, a potem zanim uświadomił sobie, co właściwie robi, zacisnął powieki i zanurzył się w szczelinę tuż za Rycerzem.

Wytoczył się z niej niezgrabnie, uderzając w mokrą, zimną ziemię, aż na chwilę stracił oddech. Zlekceważył ból w piersi i natychmiast poderwał się na równe nogi. Stał u boku Fowkesa, dysząc jeszcze, ale uniósł miecz, choć ręce jeszcze mu drżały.

Fowkes popatrzył na niego z ukosa. Finmere podniósł głowę, żeby przyjrzeć się zrujnowanemu sklepieniu tej dziwnej katedry z Nigdzieświata; strugi deszczu waliły w

posadzkę z mrocznego nieba. Z wyższego poziomu dobiegały odgłosy walki. Savjani ledwie utrzymywał równowagę na chybotałej kładce. Jedno z jego ramion wisiało bezwładnie, siejąc czerwone krople krwi.

Ranny krawiec z trudem odparowywał ataki zręcznego St Johna Goldena, który wirował wokół niego z gracją, w rytmie, którego Savjani nie był w stanie utrzymać.

Finmere podniósł miecz i uśmiechnął się do Fowkesa. Skąd pojawiły się słowa, nie miał pojęcia: po prostu wyskoczyły z jego otwartych ust, w tej samej chwili, kiedy wypowiedział je też Rycerz.

- Szykujemy się. - Fin dotknął szpicem miecza broni Fowkesa; ostrza zadźwięczały śpiewnie.

- Szykujemy się - szepnął Fowkes i obaj, zgranym ruchem, wbiegli na schody, przeskakując po dwa stopnie. Na górze Rycerz skręcił w prawo i płynnie wśliznął się na pozycję Savjaniego, wsuwając potężny złoty miecz w miejsce, gdzie przed chwilą była wątlejsza broń krawca. W tej samej chwili Savjani osunął się kilka stopni niżej i opadł na ścianę. Poblądł tak, aż Fin przestraszył się, że zemdleje i spadnie na sam dół albo zleci z rusztowania, które nie miało żadnej bariery ani poręczy. Zbiegł za nim.

- W porządku? - Przytrzymał cięższego od siebie mężczyznę i popchnął go, pomagając mu usiąść stabilnie na kamiennym schodku.

Krawiec mrugnął okiem i się uśmiechnął.

- To tylko zadrapanie. Na szczęście u mnie jest co drapać.

Fin przyjrzał się ranie na jego ramieniu, z której wylewała się równymi falami gęsta, lśniąca ciecz.

- Musimy to opatrzyć, traci pan za dużo krwi. - W porównaniu z tym cięciem ranka na jego dłoni była ledwie draśnięciem.

Oderwał kawał koszuli, zwinął materiał w kulę i przycisnął ją mocno do otwartej rany. Za plecami usłyszał przekleństwa Fowkesa i śmiech St Johna Goldena; z trudem zwalczył chęć, by skoczyć tam i pomóc. Miecz, chociaż Finmere wsunął go do pochwy, wibrował od bojowego zapалу; chłopak czuł, jak podskakuje gorliwie, objijając się o jego biodro.

Krew przesiąkała przez zwiniętą tkaninę o wiele za szybko. Krawiec zbieleł jak chusta. Niedobrze to wyglądało.

- Ma pan pasek? - zapytał Fin.

Savjani kiwnął głową.

- Chyba musisz rozpiąć. Ręce mi zdrętwiały.

Trzęsącymi się palcami Fin odsunął fałdy wierzchniego okrycia i znalazł klamrę ciężkiego skózanego pasa. Skóra krawca wydawała się gorąca w dotyku: jakby zaczął gorączkować albo jeszcze coś gorszego.

- Może powinienem przeciąć dla pana szczelinę do sklepu. - Pociągnął koniec pasa.

- Powinien pan być w jakimś bezpiecznym miejscu.

Dłonie mu drżały, kiedy przekładał pas na plecy mężczyzny i zaciskał nad raną. Aż się wzdrygnął, kiedy Savjani krzyknął z bólu.

- Przepraszam - wybełkotał. - Musi być mocno, żeby zatamować krwawienie.

Krawiec pogłaskał go po głowie.

- Nie bój się o mnie, Finmere. Trochę bólu i mały krwotok... przeżyję to jakoś.

- Ale jednak powinniśmy zabrać pana gdzieś, gdzie jest bezpieczniej. - Fin sięgnął po tańczący w znajomym rytmie miecz, lecz Savjani powstrzymał go mokrą od potu dłonią.

- Tu jest moje miejsce. Daj mi chwilę, zaraz będę mógł znowu walczyć. Nie zostawię Fowkesa.

Finmere wciąż nie był pewien, czy to dobry pomysł, ale skinął głową. Wiedział doskonale, jak czuje się krawiec. On sam też nie zostawiłby Fowkesa - cokolwiek by się działo.

Walczący mężczyźni stanęli na schodach. Fin podniósł wzrok i z zaskoczeniem zorientował się, że teraz Fowkes jest górą. Spychał St Johna coraz niżej. Ostrza wirowały jak srebrne tornada.

Wciąż kucając przy Savjanim, Finmere chwycił rękojeść miecza. Jak pomóc Fowkesowi, żeby mu nie przeszkadzać? Całe ciało, podobnie jak broń, wołało, że powinien włączyć się do walki, ale mózg przypominał, że będzie większą zawadą niż wsparciem. Przecież nie miał pojęcia, jak używać miecza.

- George Porter! - zawołał nagle Fowkes.

- Porter? - Chociaż St John musiał się wycofywać, był, sądząc po głosie, o wiele mniej zdyszany niż przeciwnik. - Co z Porterem?

Oczy Fina rozszerzyły się, a serce załomotało mu w piersi. Wyprostował się powolutku. Rozumiał doskonale, o co chodzi Fowkesowi. Nie zwracał się do Goldena, tylko do niego!

Zostawiając Savjaniego na schodach, przycisnął się do ściany i wszedł trzy stopnie wyżej. Stał teraz tak blisko walczących, że czuł na twarzy podmuch ciętego ze świstem powietrza. George Porter.

Z głośnym stęknieniem Fowkes natarł na komandora - być może nie tak elegancko, jak Golden, ale nie mniej skutecznie. St John zrobił krok do tyłu, pewnie opuszczając nogę na niższy stopień.

Finmere wbił wzrok w lśniący wypolerowany but. Czas zwolnił na chwilę i zgęstniał jak melasa. Stopa Goldena zawisła w szarym nocnym powietrzu. I wtedy Fin zobaczył, jak jego noga w adidasie wystrzela naprzód i podbija piętę w wysokim bucie.

Wszystko zatrzymało się jak w stop-klatce. Po kilku wiekach w obraz wdarł się krzyk Fowkesa, który na powrót poruszył całą scenę.

- Pchnij!

Gdzieś nad jego głową St John rozpaczliwie wyrzucił ramiona, żeby odzyskać równowagę. Tym razem wydarzenia potoczyły się w normalnym tempie: Fin kopnął ponownie, trafiając w drugą nogę komandora - prosto w kolano. Potem skoczył do przodu i z szerokim uśmiechem na twarzy zrobił to, co kazał Fowkes. Pchnął.

Bez cienia gracji St John Golden zwałił się ze schodów i potoczył aż na sam dół, gdzie wylądował z głuchym hukiem. Miecz wypadł mu z ręki i, brzęcząc, odskoczył na odległość co najmniej metra.

Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem był szmer czarnego deszczu, spadającego na kamienie.

Finmere i Fowkes popatrzyli na leżącego Goldena.

- Myślisz, że nie żyje? - wyszeptał Fin; mimo całego zła, które uczynił ten człowiek, miał nadzieję, że nie zginął.

Z dołu dobiegł chrapliwy jęk.

- Raczej nie. - Fowkes uniósł brew. - Ale na pewno złamał nogę.

Savjani podniósł się, czepiając ściany, i dołączył do nich. Rycerz otoczył starego przyjaciela ramieniem.

- Należało mu się. Zniszczył mi koszulę! - powiedział krawiec słabym, ale wesołym głosem. Żartował. Fin czuł, że wylize się z tego.

Za ich plecami rozległ się hurgot.

- Co znowu? - mruknął Fowkes. Gdzieś pod nimi dał się słyszeć tupot ciężkich butów. Ktoś wbiegł do katedry. Fin sięgnął do miecza.

Z półmroku wyłoniła się znajoma purpurowa fryzura.

- Tato! Tato! - krzyknęła Mona. Rozejrzała się i zauważyła całą ich trójkę. - Nic ci się nie stało? Przyprowaździłam pomoc!

Niewielka grupka uzbrojonych mężczyzn w staroświeckich hełmach otoczyła St Johna.

- Właśnie widzę. - Savjani uśmiechnął się do córki.

Spomiędzy zbrojnych wyszła drobna, elegancka postać.

Książę Regent ostrożnie ujął miecz Goldena i obrócił go w dłoniach, nim podniósł głowę. Jego ciemne, niezgłębione oczy odszukały Fowkesa.

- Popilnujemy go dla was - odezwał się władca swoim jedwabnym głosem. - Może powinieneś wrócić i pomóc pozostałym.

Z wypracowaną swobodą rzucił broń. Fowkes złapał ją w powietrzu.

- Tak* wasza wysokość. - Mrugnął do Fina, opuścił miecz i w mgnieniu oka zniknęli obaj.

Bitwa zakończyła się krótko potem. Kiedy Lucas Blake schwytał Conrada Eyre'a, a pozostałych pokonali Simeon Soames i Harper Jones - wszyscy trzej pełni wigoru przywróconej młodości, przy wsparciu młodzików i starców oraz z wykorzystaniem barykady z wózków inwalidzkich - wystarczyło, żeby pojawił się Fowkes z mieczem St Johna Goldena w ręce i obrona Rady Wewnętrznej załamała się ostatecznie.

Większość Rycerzy poddała się z pewną ulgą; wielu nie potrafiło spojrzeć w oczy dawnym towarzyszom, których -jak sądzili - odebrało im starzenie.

Finmere i Joe zostali z Opowiadaczką, a Christopher wrócił z Fowkesem do siedziby Rycerzy w Nigdzieświecie.

Stał teraz w półmroku komnaty, która do niedawna była prywatnym pokojem St Johna Goldena, walczył z lekkim uczuciem mdłości i patrzył w głąb lustra. Przy Lucasic

Blake'u, Fowkesie i Harperze Jonesie czuł się gdzieś w pół drogi między dzieckiem a starcem.

Nie wiedział właściwie, dlaczego tak łatwo zgodzili się, żeby z nimi szedł, ale coś w oczach Harpera Jonesa - zastanowienie i litość? - podpowiadało mu, że rozumieją być może, jaki był koszt leku na starzenie, który im przyniósł. Może w jakiś sposób widać po nim, że sam poniósł szkodę?

Świece na ścianach rzucały migoczące żółte błyski. Christopher podszedł do lustra, żeby przyjrzeć się z bliska siedzącemu wewnątrz mężczyźnie. Jego kostkę opasywał znikający w zwierciadle łańcuch, który owinięto wokół nogi-ciężkiego pulpitu do pisania.

St John Golden nie wyglądał już tak imponująco jak wcześniej. W chudej twarzy, równie szarej, jak otaczający go mętny mrok, jego oczy wydawały się za duże, worki pod nimi napuchnięte i wielkie, kości policzkowe zbyt wystające. Niemal nic nie pozostało z dawnej arogancji komandora. Patrząc na niego, Christopher słyszał, jak Rycerze zastanawiają się, czy wezwać Prawdomówców, żeby wydobyli z Goldena nazwiska zdrajców, którzy - być może - ukrywają się jeszcze w szeregach Zakonu. Na krótką chwilę zapomnieli o obecności Christophera.

Przykucnął i się pochylił.

- Wiesz, jak mam na nazwisko? - wyszeptał w odwieczny mrok.

Oczy Goldena się zwęziły.

Z gorzkim uśmiechem na ustach Christopher szeptał dalej, przysuwając wargi do powierzchni lustra, tak że więzienie wsysało jego oddech wraz ze słowami. Gdy mówił, obie połówki serca bolały przejmująco. W końcu Golden się odsunął.

- Tylko tak możesz przeżyć - dokończył Christopher niemal bezgłośnie. Zanim Fowkes i pozostali Rycerze odwrócili się do zwierciadła, stał już oparty o ścianę, jakby nic się nie zdarzyło.

Dopiero kiedy dzwony rozgłosiły w całym mieście wiadomość, że Conrad Eyre został powieszony na Smithfield Market, St John Golden, wyjąc z bólu, odgryzł sobie język. Zanim wstrząśnięci Rycerze zdołali go powstrzymać, Christopher skorzystał z chwili, zręcznie przekręcił klucz w kłódce i odczepił łańcuch od pulpitu.

Fowkes próbował jeszcze złapać łańcuch i wciągnąć Goldena z powrotem, ale nie zdążył. Christopher przysiadł na piętach i patrzył, jak komandor znika w lustrzanej

otchłani. W sercu czuł zimną, czarną satysfakcję. Nie całkiem skłamał. To naprawdę jest jedyny sposób, żeby przeżyć. Ale nikt nie przyjdzie St Johnowi Goldenowi na ratunek. Nikt nie zaryzykuje jak Finmere, żeby wyprowadzić zdrajcę z więzienia. Golden był głupi, że uwierzył Christopherowi. A może tylko zdesperowany. Tak czy inaczej, Christopher pozbył się komandora i ochronił swoje miejsce wśród Rycerzy.

Gdyby znali prawdę, pewnie nie chcieliby mieć z nim nic wspólnego - a wtedy dokąd by poszedł? Dokąd mógłby pójść? Przez chwilę zastanawiał się, czy z jego wnętrza zniknie kiedyś to uczucie lodowatego zimna, które zagnieździło się tam, kiedy siedział naprzeciwko Maga w opactwie Zachodniominsterskim.

Fowkes chwycił go za ramiona i potrząsnął.

- Dlaczegoś to zrobił? Po co?
- To samo zrobił Opowiadaczce. Oko za oko. - Christopher podniósł głowę. - Język za język. Wieczność za wieczność.

Mężczyźni spojrzeli na niego, a potem na siebie. Nie patrzył na nich. Chciał się tylko poczuć lepiej. Może już zaczynał się czuć lepiej. Może.

Finmere nie wiedział, co Ted, Fowkes i pozostali zamierzają zrobić z Rycerzami, których pozamykali w kilku pokojach w Domu Telluriów. Dorośli zebrali się w głównej sali i rozmawiali cicho za zamkniętymi drzwiami. Zastanawiał się, dlaczego nie okazują większej radości - przecież było się z czego cieszyć. Z ulgą jednak przyjął to, że nie musi być tam w środku i że na chwilę może to wszystko zostawić komuś innemu.

Opowiadaczka wyglądała dziwnie w dżinsach i swetrze, z włosami ściągniętymi w koński ogon. Finmere domyślał się, że zbliża się do czterdziestki, ale jej skóra była gładka i świetlista, a w zwykłym ubraniu wydawała się jeszcze młodsza niż w Nigdzieświecie. Owinięty wokół szyi i uniesiony wysoko szalik zasłaniał jej poranioną twarz przed ostrym wiatrem i ciekawymi spojrzeniami przechodniów. Starła się trzymać prosto i tylko ktoś, kto wiedział, jak jest słaba, mógłby dostrzec, że idąc, lekko się chwieje.

Na rogu Charterhouse Street Joe rozejrzał się za taksówką. Deszcz przeszedł w mżawkę.

- To dokąd jedziemy?

Fin spojrzał na Opowiadaczkę.

- Gdzie ukryłaś historie? Niedaleko stąd?

Wzruszyła ramionami, a w jej oczach coś błysnęło. Wyjęła z kieszeni płaszcza notatnik, którym ostatnio posługiwała się w rozmowie. Kartki przemokły od deszczu - ale przynajmniej jego krople były przezroczyste. Nie będzie czarnej burzy: na pewno nie w tym roku.

Napisała jeden wyraz i podsunęła notatnik Finowi. Przeczytał i aż otworzył usta. Opowiadaczka przyglądała mu się czujnie; w jej oczach zobaczył tyle troski, że o mało się nie rozplakał.

- Kocyk - powiedział na głos, - Mój kocyk?

Skinęła głową.

Pytania zakłębiły mu się w głowie w takim tempie, że nie był w stanie sklecić słów w zdanie ani tym bardziej go wypowiedzieć.

- Umieściłaś historie w moim kocyku? - wykrztusił wreszcie. - I przyniosłaś mnie w nim? Owinęłaś mnie w Odwieczne Historie?

Znów przytaknęła.

- Mamy taksówkę! - zawołał Joe i gwizdnął.

Serce Finmere'a stanęło.

- Ale skąd wiedziałaś, że go nie zgubię?

Wzruszyła ramionami i napisała jeszcze jeden wyraz.

„Wiara”.

Taksówka zatrzymała się przy chodniku, a Joe otworzył drzwi.

- Nie rozumiem. Jesteś moją matką? - Słowa wydostały się na zewnątrz, zanim Fin zdołał je zatrzymać. Opowiadaczka zgarbiła się lekko i zmarszczyła brwi.

- Chodźcie! - krzyknął Joe, ale Finmere nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

- Muszę wiedzieć - wyszeptał.

„Tak i nie”.

Wcisnęła mu do ręki kartkę i wsiadła do samochodu.

Żołądek Fina podszedł do gardła. Tak i nie? Co to znaczy? To nie jest odpowiedź! Miał w głowie tysiąc nowych pytań. „A może to odpowiedź, o której nie chcesz myśleć”. Słowa wyłoniły się z ciemnej pustki w głowie i w sercu, w które wepchnął je z powrotem. Mogą odejść. Ta ciemna pustka też może odejść. Zamknął ją za drzwiami,

które na pewno jej nie wypuszczą. Tego był pewien. Uratowali Opowiadaczkę i wszystko będzie znowu dobrze... oby także z jego głową. Patrzył uparcie przez okno taksówki na Londyn: wspaniale konkretny, stały, namacalny Londyn.

Dwadzieścia minut później stali we troje w Postman's Park. Fin i Joe podtrzymywali Opowiadaczkę. Być może przebywanie w Gdzieświecie było dla niej wysiłkiem, a może to przez rany - w każdym razie bardzo osłabła, od kiedy opuścili Dom Telluriów.

Zimno i deszcz, które przysły po czarnym deszczu, zniechęciły większość turystów do spacerowania po mieście. Nie licząc starej kobiety siedzącej na ławce i wpatrzonych w fontannę, byli sami w niewielkim parku. Krople rozбивały się z pluskiem na drewnianym daszku, który osłaniał rzędy plakietek.

Opowiadaczka podeszła do muru i zaczęła się przyglądać szklwionym ceramicznym prostokątom. Rozszerzonymi oczami czytała każdy opis. Czasem podnosiła dłoń, żeby dotknąć gładkiej lub popękanej powierzchni. Kiedy obejrzała się na chłopców, z jej oczu płynęły łzy.

„Tyle pięknych historii o ludziach, którzy poświęcili życie”, napisała. „Tutaj ukryłeś Pięć Odwiecznych Historii?” W jej oczach Fin czytał, że to był doskonały wybór.

Kiwnął głową, czując się jakoś niezręcznie, i zbliżył się do plakietki upamiętniającej Olive Jones, która znajdowała się na samym końcu. Znalazł na ziemi wilgotną gałązkę i włożył między tabliczkę a kamienną ścianę, żeby zaczepić nią plastikową torbę. Ciągnął w dół, aż zdołał uchwycić ją palcami i wydobyć.

Dziwacznie się czuł, kiedy Joe i Opowiadaczka patrzyli, jak wyjmuje z torby stary, wydziergany na drutach kocyk. Na chwilę przycisnął go do twarzy, wdychając wspomnienia dzieciństwa i tęsknoty, wymieszane z zapachem wilgoci i plastiku.

Wyblakły i wystrzępiony kocyk przez tak długi czas był jedyną rzeczą, którą Finmere mógł uważać za swoją własność. Dziwnie było oddać go, choć może to właśnie Opowiadaczka włożyła kocyk do pudełka wraz z dzieckiem. Może tak musi być, kiedy się dorasta: trzeba pożegnać się z pamiątkami z dzieciństwa.

Miękkie, blade palce Tovy przykryły dłoń Fina. A jednak wcale nie było tak trudno oddać kocyk w te ręce.

Pod dotykiem Opowiadaczki kocyk rozjarzył się kolorami, jakby przez włókna przebiegł prąd.

- Jakie piękne... - Joe odsunął się, żeby patrzeć w zachwycie, jak uwalniają się wplecione w dzianinę historie.

Znad kocyka uniósł się tęczowy wir, który wzbił się aż pod drewniany dach.

Fin miał wrażenie, że w tym spiralnym świetle tańczą wszystkie kolory, jakie kiedykolwiek widział w życiu: odcienie jesiennych liści, sopli w styczniu, kwiatów rozwijających się na wiosnę, karmelowego budyniu, letnich zachodów słońca, kruchych zielonych i soczystych czerwonych jabłek, i wszystkie barwy, jakie był w stanie sobie wyobrazić. Nagle okazało się, że śmieje się w głos, zasłaniając usta podniesionymi w podziwie dłońmi - tak samo jak stojący naprzeciwko Joe.

Wirując coraz szybciej, odcienie zaczęły się łączyć w pięć grubych pasm, czerwone, zielone, niebieskie, czarne i białe, które splatały się i obracały: uwolnione wreszcie duchy życia.

Opowiadaczka jęknęła cicho i się zachwiała. Fin złapał ją. Barwne linie rozwinęły się do końca i oddzieliły od kocyka, który stał się teraz zwykłym kawałkiem białej wełnianej dzianiny.

Tova wyciągnęła ręce w stronę kolorowych pasm. Niebieskie pasmo zafalowało i wpłynęło w jej palce, zupełnie jakby wciągnęła je w siebie. Otworzyła szerzej oczy i chwyciła oddech. Potem śladem niebieskiego poszło zielone pasmo, a później białe. Było w połowie drogi, kiedy zaczęło drgać gwałtownie. Opowiadaczka również zadrżała, wchłonęła pasmo do końca, krzyknęła i zemdląła.

Fin nie utrzymał w ramionach martwego ciężaru jej ciała. Przewrócili się oboje; kocyk wypadł z bezwładnych rąk Opowiadaczki. Dwa pozostałe pasma, czerwone i czarne, unosiły się niepewnie w powietrzu. Przerażony, że mogą przepaść w Gdzieświecie, Fin wyciągnął dłoń w ich kierunku. Czarne pasmo uchyliło się, jakby ono i Fin stanowili dwa odpychające się magnesy. Spróbował jeszcze raz i znowu umknęło bez trudu.

- Nie mogą uciec!

Joe nie słuchał. Patrzył na dwie kolumny czystego koloru, które zatrzymały się przed nim.

Finmere tulił Opowiadaczkę w ramionach i przyglądał się, jak pasma, które nie chciały się do niego zbliżyć, przysuwają się do Joego. Zawisły kilka centymetrów przed

jego twarzą i czekały. Joe powoli uniósł dłoń. Kolory gwałtownie rzuciły się w jej stronę i wlały w ciało Joego, który krzyknął, jakby uderzył go piorun.

Koniec. Powietrze było puste.

Fin rozejrzał się; miał wrażenie, że barwy zniknęły nie tylko z kocyka, który leżał zmięty na ziemi. Cały świat wydawał się pozbawiony koloru. Ciężki, rozpaczliwy szloch szarpał ramionami Joego. Ten przerażony dźwięk z głębin duszy nie należał do niego - zadziornego chłopaka, który śmiał się wszystkim w oczy i nie wybiegał myślą dalej niż do najbliższego wybryku albo meczu.

Finmere wolną ręką przyciągnął przyjaciela bliżej ku sobie, zastanawiając się, dlaczego czuje, że stało się właśnie coś strasznego.

EPILOG

O północy niebo nad Londynem było czyste. Krąg mężczyzn zgromadził się w Komnacie Szeptów w katedrze Świętego Pawła. Gwiazdy migotały nad hałaśliwymi, zatłoczonymi ulicami; po tygodniu niepogody wszystko wracało do normalności. Zwykłym ludziom mogło się wydawać, że na świecie panuje porządek... ale zwykli ludzie wierzą, że istnieje tylko jeden świat.

Rycerze stanęli w równych odstępach wokół Galerii, jak zwykle przed spotkaniem. Tym razem jednak było między nimi wiele pustych miejsc. Zbyt wiele. Patrząc na te luki, An-drew Fowkes poczuł pustkę w sercu.

- Co z historiami? - Głos Lukasa Blake'a poniósł się echem po całej komnacie; powtarzane pytanie wracało i wracało w nieskończoność. Turyści, którzy odwiedzali to miejsce w dzień, chichotali, słysząc, jak echo odpowiada im własnymi słowami, aż rozmowa staje się niemożliwa. Teraz, w środku nocy, kolejne warstwy dźwięku zwiększały ciężar wypowiedzianych przez Rycerzy zdań. - Nie powinny znaleźć się w chłopcu. Kto wie co z nim zrobią?

- Zaczekamy i zobaczymy. Kiedy Tova odzyska siły, odbierze je z powrotem. Jest z nią w jej mieszkaniu, żeby mogła mu pomóc. Mimo własnych ran zrobi wszystko, żeby o niego zadbać.

Fowkes westchnął. Nastoletni chłopcy nie powinni się tak głęboko zaangażować. Ta

przygoda zmieniała ich i nie da się już tego odwrócić. W oczach Christophera zobaczył mrok, który go niepokoił, a teraz Joe miał w sobie historie. I był jeszcze Finmere. Co z nim zrobią? Sto razy pytał Tovę, skąd wziął się ten chłopiec, ale nic nie chciała mu powiedzieć. Nawet na niego nie patrzyła.

Fowkes chciałby wiedzieć coś więcej, a na myśl o Towie aż krzywił się z bólu. Nie widział jej przez siedemnaście lat, ale cierpienie po stracie jej i Baxtera było wciąż świeże. Tamtej mrocznej nocy stracił ich oboje, każde w innym sensie. Zaciśnął szczęki. Rozpacz i poczucie winy nigdy go nie opuszczają. Musi nauczyć się z nimi żyć. Nie będzie już słaby. Zakon go potrzebuje; wszystko wskazuje na to, że chociaż chcieliby zignorować proroctwo, dawna przepowiednia przypomina im o sobie.

- Niegotowy posiadał historie. - Freddie Wise wypowiedział na głos jego myśli. - Porozmawiamy o tym? Może powinniśmy lepiej przyjrzeć się naszemu stołowi.

Każde ze słów starca uderzało w żołądek Fowkesa jak stalowa pięść. Opanował się jednak.

- Może, ale proroctwo to zagadka. Większa część nie ma sensu. Jeśli zaczniemy się nad tym zastanawiać, znajdziemy w nim każde znaczenie, jakie zechcemy. - Waga tych zdań stłumiła echo. - Powinniśmy się teraz skupić na odbudowie Zakonu.

- A co z Finem? - zapytał Ted. - Chłopak dziwnie się zachowuje. Jakby zapadał się w siebie. Coś go męczy, ale nie chce o tym mówić.

Fowkes także to zauważył - podczas wspólnych przygód z Finem zobaczył też kilka innych rzeczy, o których wolał jeszcze nie myśleć. Były to rzeczy, których Finmere nie mógł wiedzieć.

- Dużo przeszedł. Tak jak oni wszyscy. Nic dziwnego, że zrobił się bardziej wyciszony. - Fowkes nie kłamał. Raczej unikał odpowiedzi. Chłopcy naprawdę dużo przeżyli i zmienili się: to widział każdy.

- Skoro tak twierdzisz. - Ted nie wydawał się przekonany, ale najwyraźniej nie zamierzał się spierać.

Pozostali mężczyźni nie odzywali się. W tej chwili Fowkes coś sobie uświadomił. Był kolejnym komandorem Rady Wewnętrznej. Głosowanie jeszcze się nie odbyło, ale znał już wynik. Słyszał to w ciszy, jaka go otaczała. Niedługo wręczą mu klucze do apartamentu Rookhaven. Westchnął.

Popijając bardzo drogą brandy z kryształowej szklanki, Justin Arnold-Mather myślał o wieloletniej przyjaźni z Harlequinem Brownem. Wieloletniej dla niego, a dla Harlequina - na całe życie.

Bursztynowy płyn palił przyjemnie gardło. Nigdy nie przestało go zadziwiać, jak bardzo Harlequin ufał swojemu przyjacielowi ze szkolnych lat. Cóż, zawsze taki był: nieco wycofany, ale szlachetny i wierny. Choć widział z bliska najgorsze nieprawości, nigdy nie zdradził tej dziecięcej przyjaźni. Inaczej niż Justin, który z biegiem lat zrozumiał, że świat dorosłych rządzi się innymi prawami. Harlequin najwyraźniej nigdy tego nie zauważył.

Kiedy - niecały rok po narodzinach Christophera - na schodach Old Bailey pojawiło się kartonowe pudełko, a w nim Finmere Tingewick Smith, Harlequin zwierzył się właśnie Justinowi. Opowiedział mu wszystko: o Rycerzach, o Nigdzieświecie, o starzeniu. Wszystko.

Z punktu widzenia Harlequina Justin nie zawiódł. Twierdził, że nie interesuje go tamten inny świat - chce tylko pomóc przyjacielowi. Odmówił nawet, kiedy zmarła jego pierwsza żona i Harlequin zaproponował mu, żeby wstąpił do Zakonu. Powiedział, że jego miejsce jest tutaj, w Gdzieświecie. Biedny Harlequin uwierzył mu i pod rezerwą przyjaciela nigdy nie domyślił się wyrachowania. Justin nie bał się, tak jak Golden, ale wolał nie ryzykować. Zawsze natomiast starał się mieć wszystko na oku. Trzymał się blisko Harlequina i doprowadził do tego, że Finmere poszedł do tej samej szkoły, co Christopher. Kufarki w kolorze zielonym i czerwonym to był jego pomysł zainspirowany kolorem sof w klubie. Harlequin uśmiechnął się, kiedy mu o tym powiedział.

Ale teraz Harlequina nie było, Golden przeszarżował i poniósł konsekwencje, a postępowanie Christophera zaskoczyło go. W Starym Areszcie zobaczył w oczach syna, że wie, co się dzieje. Ale jak dotąd - nikt po niego nie przyszedł. W dodatku okazało się, że istnieje lekarstwo na starzenie, a znalazł je nikt inny, jak jego syn. Christopher wciąż przyjaźnił się z Finmere'em - Finmere'em Tingewickiem Smithem, chłopcem, który wciąż wymykał mu się z rąk i który znajdował się w samym środku starannie utkanej sieci.

Tak wielu graczy.

Justin Arnold-Mather uśmiechnął się i pociągnął łyk brandy, patrząc w ogień, który

płonął zawsze w kominku najstarszego klubu dżentelmenów w Londynie. W bitwie między światami wciąż było sporo do wygrania, ale on zamierzał pozostać w cieniu.

Jeszcze przez jakiś czas.

PODZIĘKOWANIA

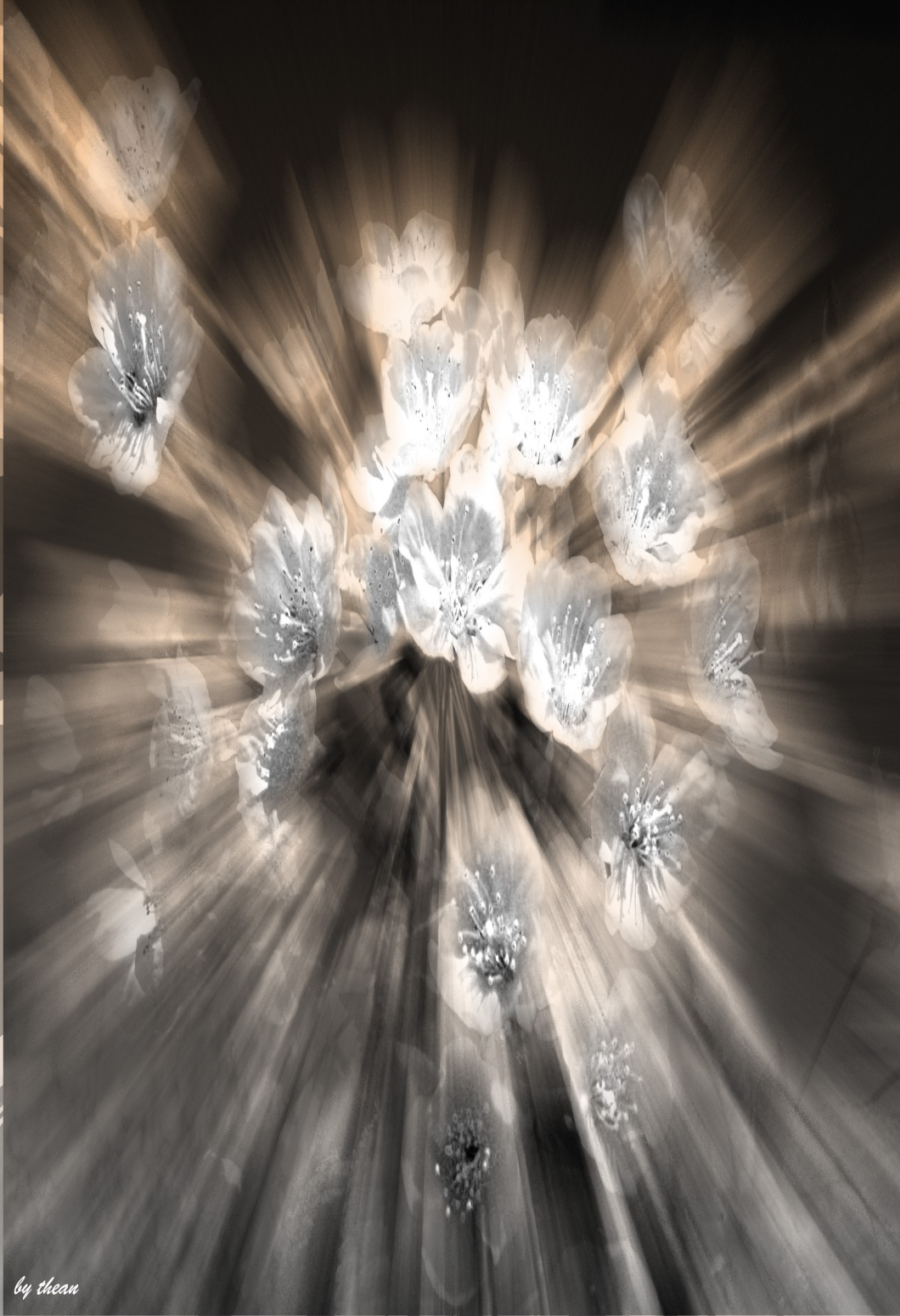
Przede wszystkim chciałabym podziękować mojej wspaniałej przyjaciółce Adrienne Smith, bez której ta opowieść nigdy by nie powstała. Jej urodzinowy spacer po Clerkenwell - tej części londyńskiego City, która sięga korzeniami w średniowiecze, zainspirowała wszystkie przygody na kartach tej książki. Był to wspaniały dzień spędzony z cudownymi przyjaciółmi: Adrienne, Mikiem, Christopherem i Jo. Dziękuję wam wszystkim za tę książkę i nie tylko. Szczególne podziękowania należą się Mike'owi Smithowi za pomysł dotyczący imienia bohatera, Finmere'a Tingewicka Smitha, który podarował mi podczas ciąży Adrienne. Mały Hayden będzie wam zawsze wdzięczny za to, że daliście wymarzone imię mojemu bohaterowi, zamiast ochrzcić nim jego.

Kolejne podziękowania chciałabym skierować do tych, których imionami - za ich zgodą - nazwałam różne postacie w książce. Uczyniliście czasy, w których byłam nauczycielką, radośniejszymi, niż powinny być. Dziękuję Andrew Fowkesowi, Adamowi Baxterowi, Simone Monie Mather, Jamesowi Arnoldowi, Jimmy'emu George'o-wi, Charlotte East, Miteshowi Savjaniemu - by wymienić tylko kilkoro. Mam nadzieję, że przygody waszego życia są mniej zwariowane niż fikcyjne, które dla was wymyśliłam.

Jak zwykle pragnę gorąco podziękować mojej wspaniałej agentce Véronique Baxter za jej ciężką pracę i wiarę we mnie, a także cudownej redaktorce Jo Fletcher za jej entuzjazm i pilnowanie kwestii stylistycznych. Dziękuję zespołowi z wydawnictwa Gollancz: Jonowi Weirowi, Markowi Stayowi, Charliemu i Gillian za ich nieocenioną pomoc.

Beth, Clappers, Jules, klan McNallych i Turnham Green - dziękuję wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście, i za waszą wiarę we mnie. Wprowadziliście magię do mojego świata.

Dziękuję też Tobie, kimkolwiek jesteś, że czytasz te słowa - aż do ostatniej linijki.



by thean